



Harlequin® na życzenie

3 POWIEŚCI
TYLKO 15,99

Lato pełne sekretów

MAUREEN CHILD

Lato pełne sekretów

MAUREEN CHILD

MAUREEN CHILD: Lato pełne sekretów, 15,99 zł, 3 powieści, 320 stron, 16x24 cm, 978-83-275-1111-1

ITARIOTYIN®

Georgey Romans®

NR 10 05/07 CENA 7,40 ZŁ W TYM 0% VAT INDEKS 356948



Lata pełne
sekretów
minisaria

Maureen Child
Razem przez życie

Maureen Child

Razem przez życie

(Expecting Lonergan's baby)

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Spotkanie ducha nad jeziorem nie zaskoczyłoby bardziej Sama Lonergana. Nie spodziewał się tu nagiej dziewczyny.

To, co zobaczył, bardzo mu odpowiadało. Wiedział, że powinien odejść, odwrócić się, ale nie zrobił tego. Przeciwnie. Wbił wzrok w szczupłą, wysoką postać przecinającą ciemną, migocącą w blasku księżycy toń.

Nawet w słabym świetle widział wyraźnie jej lśniąca, opaloną skórę. Rozcinała gładką wodę niemal bezszelestnie. Długimi ruchami ramion płynęła szybko i spokojnie.

Intruz na cudzej ziemi, pomyślał o niej. Ale dobrze, że jest, dodał w myślach.

Przyglądał się nieznajomej, ale myślami był gdzie indziej.

Nie powinienem był tu wracać, mówił sobie.

To jezioro, to ranczo przywoływały zbyt wiele wspomnień. Zbyt wiele obrazów z przeszłości atakowało go boleśnie i bez litości.

Zacisnął powieki i głęboko nabrał powietrza. Kiedy otworzył oczy, napotkał wzrok dziewczyny. Wpatrywała się w niego, utrzymując się w miejscu machaniem nogami.

– Napatrzyłeś się? – rzuciła.

– To zależy. Masz jeszcze coś do pokazania?

Zagryzła wargi. Jakby siłą powstrzymywała cisnące się jej na usta słowa.

– Kim jesteś? – spytała po chwili.

W jej głosie więcej było złości niż lęku.

– Mógłbym spytać o to samo.

– To jest teren prywatny.

– Jak najbardziej. – Skrzyżował ręce na piersi. – I właśnie zastanawiam się, co ty tutaj robisz.

– Mieszkam tu. – Szarpnięciem głowy odrzuciła z twarzy mokre, brązowe włosy.

– Mieszkasz tu? To jest ranczo Lonerganów. Ranczo należało do jego rodziny od wielu pokoleń.

Od czasów gorączki złota, kiedy przodkowie Sama zdecydowali się ruszyć do Kalifornii w poszukiwaniu lepszego życia. Złota nie znaleźli. Zajęli się hodowlą koni. Z biegiem lat rodzina malała. Obecnie został tylko jeden starzec i trzech kuzynów: Sam, Cooper i Jake.

Dziadek Sama, Jeremiasz Lonergan, mieszkał na ranczu samotnie od dwudziestu lat. Od śmierci żony, babki Sama. Więc, jeśli wierzyć nagiej dziewczynie, miał lokatorkę.

– Zgadza się – przyznała dziewczyna. – Ale właściciel tego rancza jest opiekuńczy. I bywa wściekły.

Sam omal nie parsknął śmiechem. Nie spotkał na świecie człowieka o równie gołęmbim sercu jak jego dziadek. A według tej dziewczyny miał się wściekać.

– Ale chyba nie ma go tutaj? – zapytał.

– Nie ma.

– Skoro więc jesteśmy tylko we dwoje iskoro zaprzyjaźniamy się tak ładnie... może powiesz mi, czy często kąpiesz się nago?

– A ty często podglądasz nagie kobiety?

– Kiedy tylko mam okazję.

Posłała mu groźne spojrzenie. Odsunęła z czoła mokre włosy. Zanurzyła się przy tym trochę głębiej. Utrzymywanie się na powierzchni mężczyło ją coraz bardziej.

– Nie wyglądasz na zawstydzonego. Uśmiechnął się.

– Miła pani, gdybym nie spoglądał na nagą kobietę, kiedy tylko nadarzy się sposobność, to dopiero byłoby zawstydzające.

– Twoja mama musi być z ciebie dumna. Zaśmiał się. Mama pewnie nie, ale dziadek na pewno.

Rozejrzała się dookoła. Pustka. Byli sami wśród dębów wokół jeziora. Do rancza mieli prawie dwa kilometry, a do szosy – dwadzieścia.

– Posłuchaj – zaczęła – miałeś już swój spektakl. Teraz jest mi zimno, jestem zmęczona i chciałabym wyjść.

– Kto ci zabrania? Oczy jej pociemniały.

– Słucham? Przecież nie wyjdę z wody, kiedy się na mnie gapisz.

Sam poczuł coś jak wyrzut sumienia, ale zignorował go. Owszem, powinien się odwrócić. Ale czy głodny człowiek odsunie stek tylko dlatego, że został skradziony?

– Powinieneś się odwrócić – usłyszał po chwili. Delikatny uśmiech podniósł mu kąćki warg.

– Skąd mam wiedzieć, że nie uderzysz mnie czymś ciężkim, kiedy to zrobię?

– Czy wyglądam na kogoś, kto ma złe zamiary?

Wzruszył ramionami.

– Ostrożności nigdy za wiele.

Pokiwała głową. Zanurzyła się przy tym po samą brodę.

– Wspaniale. Ja jestem naga, ale to ty się boisz.

Podmuch wiatru poruszył liśćmi. Zadrzała. Zanurzyła się jeszcze głębiej. Sam znowu poczuł wyrzuty sumienia.

Podniósł głowę ku rozgwieżdżonemu niebu.

– Jaka piękna noc – powiedział. – Może rozbiję tu obóz?

– Nie zrobisz tego.

– Nie? – Rozbawiony coraz bardziej, udawał, że poważnie się zastanawia. – Może nie. Ale pytanie pozostanie. Wychodzisz czy będziesz próbowała spać, pływając?

Sapnęła gniewnie. Wściekle uderzyła dłonią w wodę.

– Wychodzę!

– Nie mogę się doczekać!

– Straszny z ciebie palant, wiesz?

– Już to kiedyś słyszałem.

– Wcale mnie to nie dziwi.

– Wciąż jesteś w wodzie. – Wetknął ręce do tylnych kieszeni spodni. – Musi ci być zimno...

– Owszem, ale...

– Już ci powiedziałem, że nie odejdę.

Znów rozejrzała się nerwowo, jakby szukała ratunku.

– Skąd mam wiedzieć, że nie rzucisz się na mnie, kiedy tylko wyjdę z wody?

– Mogę ci dać słowo. Ale ponieważ mnie nie znasz, chyba nie na wiele się to zda.

Parę chwil przyglądała się mu uważnie. Zrobiło mu się nieprzyjemnie.

– Jeśli dasz mi słowo, zaufam ci – powiedziała po chwili.

Zmarszczył brwi. Wyjął rękę z kieszeni i potarł się po karku. Piękna naga nieznajoma była gotowa mu zaufać. Wspaniale.

– Zgoda. Daję słowo.

Kiwnęła głową. Lecz minęła dobra minuta, nim ruszyła do brzegu. Poczul wtedy coś dziwnego. Oczekiwanie? Podniecenie?

Blask księżyca migotał na jej mokrej skórze, kiedy powoli wynurzała się z wody. Przyglądał się, jak szła do starannie złożonego pod drzewem ubrania. Zrobiło mu się gorąco. Gwałtowne pożądanie rozpałiło krew w żyłach Sama.

Była wysoka i szczupła. Miała drobne, jędrne piersi i wąskie biodra. Fragmenty nieopalonej skóry powiedziały mu, że raczej rzadko opalała się nago. Ta niekompletna opalenizna sprawiła, że jej nagość stała się jeszcze bardziej podniecająca. Paski jasnej skóry aż korciły, by przyjrzeć im się dokładnie.

Pożądanie wzburzyło krew Sama.

W blasku księżyca była jak bajkowa zjawia. Aż go ręce świerzbiły, by wziąć ją w ramiona. Pomyślał, że to syrena wyszła z morskiej toni, żeby go uwieść.

– Jesteś cudowna.

Zawahała się. Wyżej uniosła głowę. Stała, dumna, pewna siebie. Wiedziała, że to on powinien był wstydzić się, że na nią patrzy.

Ale, do diabła! Nie mógł przestać.

Po chwili wciągnęła koszulkę i luźną, długą do kolan spódnice. Stopy wsunęła w sandały.

Powinien być jej wdzięczny. Dzięki niej uwolnił się od upiorów przeszłości. Od wspomnień, które budziły się nad tym jeziorem.

– Wiesz – odezwał się, kiedy się wyprostowała. – Przepraszam cię za wszystko. Nie spodziewałem się spotkać tu ciebie i...

Dała mu kuksańca w żołądek. Niezbyt mocno. Ale zaskoczyła go tak bardzo, że na moment stracił oddech.

– Zdziwiony?! – Maggie Collins zebrała włosy w gruby węzeł i wycisnęła resztki wody.

Cudowna, pomyślał. Cudowna.

Wciąż czuła to dziwne ciepło koło serca, które pojawiło się, kiedy jej się przyglądał. Było to tak, jakby jej dotykał, a nie patrzył. I wtedy przez króciutką chwilę zapragnęła, żeby naprawdę jej dotknął.

Wprawilo to Maggie w jeszcze większą wściekłość. Rzuciła mu pogardliwe spojrzenie.

– Ty zepsuty, samolubny, żaloszny...

Psiakrew! Znowu zabrakło jej przekleństw.

Oddychała gwałtownie. Urażona duma bolała. Kiedy zobaczyła go po raz pierwszy, przyglądającego się jej w ciemnościach, omal nie umarła na atak serca. Ale im dłużej mu się przyglądała, tym lęk szybciej słabł.

Maggie bardzo długo musiała polegać na sobie. Miała instynkt, który podpowiadał jej, kiedy była bezpieczna, a kiedy nie. Żaden dzwonek alarmowy nie włączył się, kiedy na niego patrzyła. Był źle wychowany, ale nie był niebezpieczny.

Przynajmniej fizycznie.

Ale działał na zmysły... To już zupełnie inna bajka. Był wysoki i przystojny. I miał błysk w ciemnych oczach... Coś bardzo... smutnego. A Maggie była bardzo wrażliwa na mężczyzn o smutnych oczach i o samotnych sercach.

Niestety, kilka razy w życiu sparzyła się. Nabrała przekonania, że musi być jakiś powód tego, że mężczyzna jest samotny.

Wpatrywała się w Sama, który zakłócił jej nocne pływanie. Kilka lat wcześniej czmychnęłaby, gdzie pieprz rośnie. Teraz było inaczej. W ciągu ostatnich dwóch lat zdarzyło się tak wiele. Tak wiele się zmieniło. Znalazła dom. Stała się częścią rancza Lonerganów... I nikt, nawet taki przystojny nieznajomy, nie był w stanie jej przestraszyć.

– Ale masz cios. – Sam próbował zagadywać Maggie.

– Przeżyjesz. – Minęła go i ruszyła ścieżką między drzewami, wiodącą do rancza.

Zatrzymał ją, kładąc rękę na ramieniu. Poczowała mrowienie na karku. Krew żywiej popłynęła w jej żyłach. Gwałtownie odskoczyła.

– Hej, hej – powiedział uspokajająco. – Wszystko w porządku. Uspokój się.

Tak gwałtowna reakcja zaskoczyła nawet ją samą.

– Nie dotykaj mnie więcej.

– W porządku – powiedział. – To się nie powtórzy. Maggie oddychała głęboko. Starala się uspokoić.

Nie wystraszyła się tego, że dotknął jej ramienia, ale jak na to dotknięcie zareagowała. Dzwonki alarmowe w jej głowie przeraźliwie się rozdzwoniły. Lepiej unikaj tego mężczyzny!

– Dotarcie do domu zajmie mi jakieś dziesięć minut – powiedziała lekko drżącym głosem. – Wykorzystaj ten czas, żeby stąd odejść.

– Nie zrobię tego. – Pokręcił głową.

– Lepiej zrób. Kiedy tylko dotrę do telefonu, zadzwonię na policję, że jakiś intruz się tu kręci.

– Proszę bardzo – powiedział. – Ale nie będzie z tego nic dobrego.

– A to dlaczego?

– Ponieważ chodziłem do szkoły z szefem policji w tym mieście. Poza tym myślę, że Jeremiasz Lonergan protestowałby gorąco przeciwko aresztowaniu mnie.

Maggie poczuła niepokój. Ale jednak zadała to pytanie:

– Czemu protestowałby?

– Gdyż jestem Sam Lonergan, a Jeremiasz jest moim dziadkiem.

ROZDZIAŁ DRUGI

Gniew ścisnął gardło Maggie. Wiedziała, że wszyscy trzej wnukowie Jeremiasza mieli tu przyjechać tego lata. Ale nie spodziewała się, że jeden z nich będzie podglądał ją pod osłoną nocy.

– Gdybym wiedziała, kim jesteś – rzuciła wściekle – walnęłabym cię mocniej.

– To dobrze, że siedziałem cicho.

– Jak mogłeś to zrobić? – Wsparła się pod boki. Jej oczy groźnie migotały.

– Co takiego?

– Opuściłeś go – parsknęła. – Ty... wy wszyscy. Przez ostatnie dwa lata żaden z was nawet nie odwiedził dziadka.

– A skąd ty to wiesz?

– Byłam tu przez cały czas. – Przyłożyła dłoń do piersi. – Opiekowałam się tym uroczym staruszkiem przez dwa lata. Żaden z was nie raczył wpaść do niego choćby na chwilę.

– Uroczym staruszkiem? – Sam zaśmiał się głucho. – Jeremiasz Lonergan to najokropniejszy staruch w naszym kraju.

– To nieprawda! – krzyknęła. Do białości rozwścieczyło ją, że kpił ze starego człowieka, który był bardziej samotny niż ona, kiedy go poznała. – On jest uroczy. I opiekuńczy. I samotny. Jego bliscy ani razu nie raczyli go nawet odwiedzić. Powinniście wstydzić się. A zwłaszcza ty. Jesteś lekarzem. Powinieneś zjawić się tu wcześniej, sprawdzić, czy z nim wszystko w porządku. Ale nie. Czekałeś, aż on będzie... – Boże! Nie mogło przejść jej przez gardło słowo: umierający.

Nawet nie mogła pomyśleć, że mogłaby stracić tego człowieka. I dom, który tak bardzo pokochała. A tu stał przed nią człowiek, który w ogóle nie potrafił tego docenić. Który nie umiał uszanować miłości, która na niego tam czekała.

Kolejna fala gniewu zamgliła spojrzenie Maggie.

Głośny śmiech Sama szybko przeszedł w żalony jęk.

– A kimże ty właściwie jesteś? – rzucił.

– Nazywam się Maggie Collins. Jestem gospodynią twojego dziadka.

Pracowała u niego, ponieważ dał jej szansę, kiedy jej najbardziej potrzebowała. I dlatego nikomu, nawet jego wnukowi, nie zamierzała pozwolić szkalować starszego pana, którego pokochała całym sercem.

– Maggie Collins – powtórzył z namysłem. – To, że opiekujesz się domem Jeremiasza, nie oznacza, że cokolwiek wiesz o mnie i mojej rodzinie.

Pochyliła się ku niemu, przeszywając go wściekłym spojrzeniem. Przez te dwa lata nieraz widziała, jak Jeremiasz przeglądał stare albumy z rodzinnymi fotografiami i oglądał amatorskie filmy sprzed lat. Wciąż tęsknił za wnukami, którzy nie potrafili znaleźć dla niego nawet chwili czasu.

– Doskonale wiem, że chociaż ma on trzech dorosłych wnuków, jest człowiekiem okropnie samotnym. Wiem, że musiał zaprosić obcą osobę, żeby mieć towarzystwo. Wiem

też, że wciąż oglądał wasze fotografie i że rozpacz ścisnęła mu serce.

Stuknęła Sama palcem w pierś. – I wiem też, że musiał znaleźć się na skraju śmierci...

– Gniew odebrał jej oddech – ... żebyście wszyscy raczyli przyjechać do niego. Wiem to aż za dobrze.

Sam przeczesał palcami włosy. Spojrzał w dal. Powoli policzył do dziesięciu. Kiedy minęła mu pierwsza fala złości, spojrzął jej prosto w oczy.

– Masz rację – powiedział.

Nie spodziewała się tego. Stropiła się. Przechyliła na bok głowę.

– Tak po prostu? Mam rację?

– Właśnie tak – powiedział cicho. – To jest bardzo... skomplikowane – dodał po chwili.

– Nieprawda. – Pokręciła głową. – On jest twoim dziadkiem. Kocha cię. A ty go ignorujesz.

– Nic nie rozumiesz.

– To prawda. – Skrzyżowała ramiona. Przytupywała niecierpliwie.

– Niczego nie muszę ci wyjaśniać, Maggie Collins – usłyszała.

Nie musiał. Ale bardzo pragnęła usłyszeć, co miałby do powiedzenia. Rozpaczliwie pragnęła zrozumieć, dlaczego ktoś, to ma rodzinę, tak bardzo jej unika.

– W porządku. Być może nie musisz mi niczego wyjaśniać. Ale na pewno należy się to twojemu dziadkowi.

Twarz mu się ściągnęła.

– Jestem tu, tak? – rzucił.

– Wreszcie! Widziałeś się już z nim?

– Nie – przyznał. Wcisnął ręce do kieszeni. – Musiałem najpierw przyjść właśnie tutaj. Stawić czoło temu miejscu.

Serce Maggie ścisnęło się boleśnie. Wiedziała, co widział, kiedy patrzył na jeziorko. Wiedziała, jakie opadały go wtedy wspomnienia. Jeremiasz opowiedział jej wszystko o swoich wnukach. Wszystko.

– Przepraszam – powiedziała. – Wiem, jakie to dla ciebie musi być trudne, ale...

– Nie wiesz – przerwał jej. – Nie możesz wiedzieć. Lepiej wracaj już do domu. Powiedz dziadkowi, że niedługo się zjawię.

Odwrócił się i odszedł. Zatrzymał się na skraju ciemnej, gładkiej wody. Zrobiło się jej przykro. Nie chciała mu sprawiać bólu. Ale uważała, że nawet jeśli miał powody, dla których unikał rancza Lonerganów, nie miał prawa zostawiać samego starego człowieka, który tak mocno go kochał.

Krótką chwilą współczucia minęła. Maggie szybko odeszła.

Zanim Maggie otworzyła drzwi, zastukawszy w nie prędko, Jeremiasz zdążył jeszcze schować pod koldrę książkę, którą czytał. Popatrzył na dziewczynę, którą traktował jak własną wnuczkę, i uśmiechnął się do siebie. Jej ciemne włosy były mokre. Na koszulce miała mokre plamy. Na długiej spódnicy dostrzegł żdźbła trawy. Z sandałów sączyła się woda.

– Znowu byłaś nad jeziorem, prawda? Uśmiechnęła się, lecz nie zdołała ukryć dziwnego błysku w ciemnych oczach.

– O co chodzi, Maggie? – Chwycił ją za rękę. – Dobrze się czujesz?

– Nic mi jest. – Uwolniła dłoń. Zabrała ze stolika przy łóżku karafkę i poszła napełnić ją wodą. – Spotkałam twojego wnuka, to wszystko – powiedziała, kiedy wróciła.

Serce Jeremiasza załopotowało. Przypomnił sobie, że niedawno był umierający.

– Którego? – spytał słabym głosem.

– Sama.

– Ach! – Uśmiechnął się do siebie. – Hm, gdzie on jest? Nie przyjechał z tobą?

– Nie. – Pogasiła światła, zostawiając tylko małą lampkę przy łóżku. – Powiedział, że chciał najpierw zostać przez chwilę sam nad jeziorem.

Serce Jeremiasza ścisnęło się boleśnie. Wiedział, że nie było to nawet w części cierpienie, jakiego doświadczał Sam. Ale, do diabła! Minęło już piętnaście lat. Czas najwyższy, żeby młodzi Lonerganowie odcięli się od przeszłości. Bardzo odległej przeszłości. I dlatego, chociaż skłamał, żeby sprowadzić ich wszystkich do siebie, skłamał w słusznej sprawie.

– Jak on wygląda?

Maggie starannie poprawiła mu poduszki i wyprostowała się.

– Na samotnego – powiedziała z namysłem. – Na najbardziej samotnego człowieka, jakiego kiedykolwiek spotkałam.

– Myślę, że tak właśnie jest. – Jeremiasz ciężko westchnął. Właściwie powinien czuć wyrzuty sumienia, że użył podstępny, by zwabić do siebie wszystkich wnuków. Ale nie czuł. – Nie będzie łatwo. Żadnemu z nich. Ale są silni. Poradzą sobie.

Maggie wygładziła okrywający Jeremiasza koc. Pochyliła się i cmoknęła staruszka w czoło.

– To nie o nich martwię się najbardziej – powiedziała.

– Jesteś dobrą dziewczyną, Maggie. Ale o mnie nie musisz się martwić. Kiedy zjawią się tu moi chłopcy, nic mi się nie stanie.

Sam ostrożnie wszedł do domu. Spodziewał się, że strażniczka dziadka rzuci się nań z któregoś kąta. Jednak Maggie Collins nie było w pobliżu. Rozejrzał się dookoła. Nic się nie zmieniło. Dębowa podłoga nosiła jeszcze ślady jego dzieciństwa. Na środku wielkiego salonu, oświetlonego tylko dwiema lampami, stały ustawione w czworobok skórzane sofy. A pomiędzy nimi stolik. Na brzegu leżały kolorowe pisma, a na samym środku stał wazon z kwiatami.

Musiała być w tym ręka Maggie. Jeremiasz na pewno nie pomyślałby o żółtych różach.

W wielkim kominku zarzyły się bierwiona. Na ścianach wisiały rodzinne fotografie i obrazy namalowane ręką młodego, utalentowanego artysty. Sam boleśnie się skrzywił. Nie był gotów na spotkanie z duchami. Wystarczyło mu, że w ogóle znalazł się w tym domu.

Postawił torbę przy drzwiach i ruszył ku schodom. Każdy stopień wykonany był z potężnej drewnianej belki, a wszystkie wypolerowane do gładkości przez lata użytkowania.

Jego kroki dudniły tak jak serce. Każdy kolejny zbliżał go do wspomnień, których wcale nie pragnął. Ale nie miał odwrotu.

Na szczycie schodów zatrzymał się. Popatrzył w głąb długiego korytarza. Wszystkie drzwi były zamknięte, ale on doskonale wiedział, co za nimi się kryło. Każdego lata on i jego kuzyni mieszkali w tych pokojach. Biegali po schodach, zjeżdżali po poręczy. I szaleli radośnie po całym ranczu.

Aż do tamtego lata.

Do tamtego dnia, kiedy wszystko zmieniło się na zawsze.

Do dnia, kiedy wydorośleli... I rozstali się.

Przeciagnał ręką po twarzy. Jakby chciał zetrzeć bolesne wspomnienia. Ruszył do najbliższych drzwi.

Do pokoju dziadka. Człowieka, którego nie widział od piętnastu lat.

Zrobiło mu się wstyd.

Gdyby Maggie wiedziała, pomyślał, byłaby dumna. W jednej sprawie miała rację. Nie powinni byli zostawiać starego człowieka na tak długo samego. Powinni zdobyć się na wysiłek mimo bólu.

Nie zrobili tego.

Przeciwnie. Ukarali samych siebie. A tym samym i staruszka, który ani trochę na to nie zasługiwał.

Zastukał w drzwi i czekał.

– Sam?

Głos był bardzo słaby, ale znajomy. Najwyraźniej gospodyni-strażniczka już uprzedziła dziadka. Wszedł do środka. Serce skoczyło mu do gardła.

Jeremiasz Lonergan. Najsilniejszy człowiek, jakiego Sam kiedykolwiek spotkał, wyglądał... staro. Stracił większość włosów. Jego opalona czaszka połyskiwała w świetle słabej żarówki. Te włosy, które mu jeszcze zostały, były całkiem siwe. Twarz miał pomarszczoną. W wielkim łóżku wydawał się mały.

Samowi żal ścisnął gardło. Upłynęło tyle czasu. Zbyt wiele. Przez lata tęsknił za tym człowiekiem, którego szczerze kochał. Podświadomie oczekiwał, że Jeremiasz się nie zmienił. Mimo że lekarz dziadka telefonował i powiedział, że nie zostało mu już wiele czasu.

– Cześć, dziadku. – Zmusił się do uśmiechu.

– Wejdz, wejdz. – Dziadek machnął zapraszająco ręką. Poklepał brzeg swojego łóżka. – Usiądź, chłopcze. Niech ci się przyjrzę.

Sam przysiadł na krawędzi łóżka i uściśnął staruszka. Był bardzo chudy, ale jego oczy patrzyły jasno i uważnie. A sękaty dłonie nie drżały.

To dobrze.

– Jak się czujesz? – Sam położył dłoń na czole dziadka.

– Dobrze. – Jeremiasz niecierpliwie odsunął jego rękę. – Bardzo dobrze. A od szturchania i obmacywania mam swojego doktora. Nie potrzebuję, żeby jeszcze mój wnuk to robił.

– Przepraszam. – Sam wzruszył ramionami. – Przyzwyczajenie zawodowe. – Jako lekarz szanował diagnozy lekarzy i starał się nigdy nie wchodzić im w paradę. Jako wnuk chciał osobiście przekonać się, w jakim dziadek był stanie. – Rozmawiałem z doktorem Evansem w ubiegłym miesiącu, zaraz jego rozmowie z tobą. Powiedział, że twoje serce jest w bardzo złym stanie.

Jeremiasz skrzywił się.

– Lekarze! Nie zwracaj na nich uwagi.

– Dziękuję. – Sam parsknął śmiechem.

– Nie myślałem o tobie, chłopcze. Jestem pewien, że jesteś dobrym doktorem. Zawsze byłem z ciebie dumny, Samie. Szczerze mówiąc, powiedziałem kiedyś Bertowi Evansowi, że mógłbyś przejąć jego praktykę.

Sam wstał. Wcisnął ręce do kieszeni. Tego właśnie się obawiał. Że starszek będzie sobie obiecywał po tej wizycie więcej, niż to możliwe. Że będzie chciał zatrzymać Sama.

Dziadek nie zauważył albo nie chciał zauważyć jego zmieszania. Nie przestał mówić. I z każdym jego słowem poczucie winy kłuło Sama coraz mocniej.

– Myślę, że Bert to dobry doktor. Ale jest tak stary jak ja. Pora mu zwijać interes. – Uśmiechnął się do Sama i mrugnął porozumiewawczo. – W mieście potrzebny jest lekarz. A ty nie masz jeszcze swojej...

– Dziadku, ja tu nie zostanę. – Sam starał się, by nie zabrzmiało to zbyt gwałtownie. Nie chciał go urazić. Ale też nie chciał, żeby czynił sobie płonne nadzieje. Oczy dziadka zaszkliły się. – Przyjechałem tu tylko na lato – powiedział miękko. – Potem wyjadę.

– Myślałem... – Jeremiaszowi głos się załamał. – Myślałem, że kiedy w końcu tutaj przyjedziesz, zobaczysz, że to twoje miejsce. Że tu jest miejsce was wszystkich.

Żal ścisnął Samowi gardło. Kiedy był dzieckiem, wszystko oddałby za to, żeby móc zostać tu na zawsze. Stać się częścią społeczności tego miasta. Żyć w tym domu. Lecz wszystkie te marzenia legły w gruzach pięknego letniego dnia, piętnaście lat temu.

Od tamtej pory nie miał swego miejsca na ziemi.

– Bardzo mi przykro, dziadku – powiedział. Wiedział, że to za mało, ale tylko na tyle potrafił się zdobyć.

Starszy pan długo mu się przyglądał. Pomału opuścił powieki i westchnął.

– Lato jest długie, mój chłopcze. Wszystko może się zdarzyć..

– Nie rób sobie nadziei, Jeremiaszu. Nie zostanę tutaj. Nie mogę. I dobrze wiesz, dlaczego.

– Wiem, czemu tak uważasz. I wiem, że się mylisz. Wszyscy się mylicie. Ale mężczyzna sam musi kierować swoim losem. – Podciągnął koc pod brodę. – Jestem teraz zmęczony. Przyjdź jutro. Porozmawiamy dłużej.

– Jeremiaszu...

– Idź – wyszeptał. – Idź na dół i weź sobie coś do jedzenia. Rano wciąż tu będę.

Samowi nie pozostało nic innego, jak posłuchać. Cicho zamknął za sobą drzwi. Wspaniale! Był w tym domu nie dłużej niż kwadrans i już zdążył rozgniewać chorego na serce staruszka.

Ale nie mógł pozwolić, żeby dziadek robił sobie nadzieje. Nie mógł obiecać Jeremiaszowi, że zostanie. Nie potrafił myśleć o przyszłości, gdy przeszłość wciąż go przytłaczała.

Tyle lat żył z prześladowającymi go wspomnieniami... Ale nie mógłby... nie potrafiłby żyć w tym domu. Tu z każdego kąta wyglądały upiory z dawnych lat.

ROZDZIAŁ TRZECI

Maggie siedziała w salonie i gapiała się przez okno na dom. Oddalony był nie więcej niż o dziesięć metrów, ale jej zdawało się, jakby to było dziesięć kilometrów.

Przez dwa lata żyła na ranchu Lonerganów. Od dnia, w którym jej samochód ostatecznie odmówił posłuszeństwa przed bramą rancha. Ale nigdy nie czuła się tam tak niepotrzebna. I taka samotna.

Łzy cisnęły się jej do oczu.

Nie miała wtedy grosza przy duszy i właśnie straciła środek transportu. I chociaż tak naprawdę nie miała dokąd jechać, to jeszcze pięć minut wcześniej przynajmniej mogła.

Rozglądała się po pustej drodze wijącej się wśród bezkresnych pól. Rozpacz coraz mocniej ścisnęła ją za gardło. Słońce niemiłosiernie paliło. Nie było w pobliżu ani jednego drzewa, które mogłoby dać odrobinę cienia. Ostatnia tablica, którą minęła po drodze, informowała, że do najbliższego miasta, Coleville, było jeszcze czterdzieści kilometrów.

Na samą myśl o takim spacerze poczuła śmiertelne zmęczenie. Jednak siedzenie i czekanie na ratunek nie miało sensu. I ani trochę nie przybliżało jej do miasta. Rozpacz mogła co najwyżej sprawić, że będzie miała czerwone oczy i nos. Nie! Maggie Collins nie będzie użalać się nad sobą. Musi spróbować. Wiedziała, że wcześniej czy później znajdzie swoje miejsce na ziemi. Gdzie będzie mogła osiąść, zapuścić korzenie. Spełnić swoje marzenia.

Musiała działać. Otworzyła drzwiczki samochodu i wyciągnęła granatowy plecak.

– Wygląda na to, że samochód ma już dosyć. Poderwała się gwałtownie. Uderzyła głową o dach auta. Starszy pan stał tuż za nią oparty o bramę, nad którą wisiał napis „Ranczo Lonerganów”. Nie usłyszała, kiedy nadszedł. Albo on był bardziej żwawy, niż wyglądał, albo ona bardziej zmęczona, niż sądziła.

Chyba jednak to drugie.

Nie był to wysoki mężczyzna. Na głowie miał kapelusz z szerokim rondem, spod którego uważnie przyglądały się jej ciemne oczy. Jego dzinsy były chyba starsze niż on sam.

– To już koniec. – Machnął ręką w stronę samochodu.

– Taaak. Ale nic w tym dziwnego. Już kilkaset kilometrów przejechał na słowo honoru.

Przyjrzał się jej uważnie, lecz nie było to groźne spojrzenie. Raczej jakby patrzył na zagubione dziecko i zastanawiał się, jak mu pomóc.

Na koniec powiedział:

– Przy samochodzie nic pomóc nie mogę, ale jeśli odważysz się pójść ze mną do domu, poszukamy czegoś na lunch.

Zerknęła przez ramię na pustą drogę. Potem spojrzała na stojącego przed nią mężczyznę. Już w dzieciństwie nauczyła się ufać swemu instynktowi. Tym razem mówił jej, że powinna się zgodzić. Cóż miała do stracenia? Była przekonana, że gdyby coś miało pójść nie tak, zdołałaby mu bez trudu uciec.

– Nie mogę zapłacić za jedzenie – powiedziała. Dumnie spojrzała mu prosto w oczy. – Ale chętnie odpracuję, jeśli się pan zgodzi.

Uśmiechnął się. Ciepło i przyjaźnie.

– Myślę, że się dogadamy – powiedział.

Maggie westchnęła do swoich wspomnień. Położyła głowę na oparciu wielkiego fotela. Podwinęła pod siebie nogi i rozejrzała się po wnętrzu domku, który był jej schronieniem przez ostatnie dwa lata. Jeremiasz zaoferował jej tamtego dnia domek gościnny. Nim skończyli jeść lunch, który przygotowała, zaproponował jej posadę i zakwaterowanie.

I tak żyją razem przez dwa lata.

Maggie obróciła głowę. Po raz pierwszy zobaczyła w dużym domu światło inne niż w sypialni Jeremiasza. Z niepokojem zastanawiała się, co dla niej samej może oznaczać przybycie Sama Lonergana.

Zbudził go rozkoszny aromat kawy.

Sam obrócił się na plecy i wbił w sufit niewidzące spojrzenie. Przez chwilę nie mógł zorientować się, gdzie jest. Dla niego to nic nowego. Ktoś, kto podróżował tak dużo jak on, przywykł do budzenia się w różnych obcych miejscach.

Nagle wszystko mu się przypomniało i serce ścisnęło się boleśnie. Pokój prawie nie zmienił się, odkąd był dzieckiem. Białe ściany obwieszane były plakatami ze sportowymi bohaterami sprzed lat. Na biurku pod ścianą wciąż stał plastikowy ludzki szkielet. Półki pełne były książek i podręczników medycznych.

Nakrył oczy ramieniem. Jakby chciał uciec przed bolesnymi wspomnieniami. Niemal słyszał głosy kuzynów. Jak każdego lata, które spędzali w tym domu.

Czterej chłopcy Lonerganów byli sobie bliscy jak bracia. Urodzili się w ciągu trzech lat i dorastali, spotykając się każdego lata na ranczu. Ich ojcowie byli braćmi. Żaden z nich jednak nie myślał o powrocie na ranczo.

Ich synowie zaś przyjeżdżali tam z ochotą. To był dla nich zupełnie inny świat. Wielkie połacie ziemi otwarte po horyzont zapraszały, by wsiąść na rowery i ruszyć w nieznaną. W miasteczku odbywały się targi, pokazy sztucznych ogni i mecze baseballowe. Można też było reperować płoty i pomagać przy koniach. I można było kąpać się w jeziorze.

Na to wspomnienie Sam poczuł ucisk w dołku. Serce załomotało mu gwałtowniej i oblał się zimnym potem.

– Nie powinienem był tu przyjeżdżać – mruknął pod nosem.

Ale czy mógł nie przyjechać? Staruszek był w bardzo złym stanie i go potrzebował. Nie mógł mu odmówić.

Minęło piętnaście lat, a jego pokój wyglądał tak, jakby opuścił go przed kwadransiem. Trudno dorosłemu mężczyźnie znaleźć się w miejscu, które opuścił jako chłopiec z poczuciem winy i bólem w duszy.

– Nikt nie obiecywał, że będzie łatwo – powiedział.

Odrzucił kołdrę i wstał z łóżka. Pora zmierzyć się z pierwszym dniem lata, które zapowiadało się na najtrudniejsze w jego życiu.

Z parteru dolatywały stłumione odgłosy krzątania w kuchni. I zapach kawy, silniejszy jeszcze niż dotychczas.

W kuchni musiała być nimfa z jeziora.

Gospodyni Jeremiasza.

Kobieta, którą oglądał naga.

Kobieta, o której śnił przez całą noc.

Psiakrew! Powinien jej podziękować. Śniąc o niej, uwolnił się od dręczących go koszmarów. Od innej twarzy, której obraz stale go prześladował.

Ubrał się szybko i boso wyszedł na korytarz. Na chwilę zatrzymał się przed drzwiami sypialni dziadka. Ruszył dalej.

Potrzebował kawy.

I może czegoś jeszcze. Kolejnego spojrzenia na nimfę?

Jego boscie stopy poruszały się bezszelestnie. Maggie nawet nie zorientowała się, że stanął w drzwiach kuchni i przyglądał się jej w milczeniu. Poranne słońce wpadało przez okno na złoty obrus na stole i ciepłą, drewnianą podłogę. W kuchni wszystko lśniło. Widać było, że gospodyni dobrze wykonywała swoje obowiązki.

Ale to nie wnętrze kuchni przyciągało uwagę Sama. Jak poprzedniej nocy – wpatrywał się w Maggie.

Trochę irytowała go jej obecność w tym domu. Ale też trochę był rad, że dziadek ją zatrudnił.

Włosy splotła w długi, czarny warkocz. Na końcu przewiązała go czerwoną wstążką. Miała na sobie jasnoniebieską bluzeczkę i bardzo wytarte dżinsy.

Na stoliku w kącie stało radio. Cicho grało jakąś starą piosenkę. Sam z zachwytem patrzył, jak jego nimfa poruszała biodrami w rytm muzyki. Wstrzymał oddech i wodził za nią wzrokiem.

Nagle Maggie zakreśliła szybki piruet i zobaczyła go. Uśmiech znikł z jej twarzy.

– Zawsze zakradasz się i podglądasz ludzi, czy tylko mnie?

– Nie chciałem przerywać tego tańca – powiedział.

Minął ją i poszedł do ekspresu do kawy. Nalał sobie pełny kubek i odwrócił się ku Maggie. Stała oparta o blat.

– Zawsze tańczysz w kuchni? – spytał.

Mocniej zacisnęła dłoń na trzymanej łyżce.

– Tylko kiedy jestem sama – rzuciła.

– Tak jak z pływaniem nago, co?

– Dżentelmen tego by nie powiedział.

– Dżentelmen nawet nie patrzyłby – przyznał. – A ja patrzyłem, pamiętasz?

– Trudno mi zapomnieć.

– Mnie też.

Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, i bez słowa je zamknęła. Był pewien, że policzyła do dziesięciu, żeby nad sobą zapanować. Wyraźnie widział jej płonące gniewem spojrzenie.

Sam wypił łyk kawy.

– Wyraźnie szukasz zaczepki – powiedziała.

– Dlaczego?

Zmarszczył brwi.

– Bo nie jestem miłym facetem.

– Twój dziadek mówi coś innego. Zerknął na nią zaciekawiony.

– Jeremiasz nie jest obiektywny. I zawsze przesądza. Nie wierz nawet w połowę tego, co mówi.

– Powiedział mi, że jesteś lekarzem. To prawda?

– Prawda.

– Czy ty... – zawahała się. – Badałeś go wczoraj wieczorem?

Parsknął śmiechem.

– Ja? Nie ma szans. On wciąż traktuje mnie jak trzynastoletniego chłopca, który chciał zrobić gipsowy odlew jego psa.

– Niemożliwe.

– Tak było. – Uśmiechnął się. – Na szczęście dziadek zjawił się, zanim gips zdążył na psie zastygnąć.

Maggie uśmiechała się. Jej oczy pięknie lśniły. Sam poczuł się nagle... skrepowany. Pociągnął kolejny łyk kawy.

– Mniejsza z tym – powiedział. – Jeremiasz nie pozwolił mi się dotknąć. Porozmawiam z jego lekarzem. Dowiem się wszystkiego, co będzie możliwe.

– Dobrze. – Pokiwała głową i wzięła się do rozbijania jajek. – Dobrze, że się dowiesz. Bałam się. On był taki...

– Jaki?

Obróciła się ku niemu.

– Nie umiem tego nazwać, pokazać – powiedziała. – Nie potrafię powiedzieć: „To jest inaczej. To jest źle”. Ostatnio był jakiś... inny. Może bardziej zmęczony. Bardziej... kruchy.

– Dobiega już siedemdziesiątki – zauważył Sam.

– Jeszcze dwa tygodnie temu nie powiedziałbyś tego – rzekła. – Wstawał skoro świt, pracował, jeździł do miasta na lunch z doktorem Evansem, w piątki bywał na potańcówkach.

– Na potańcówkach? – Kolejne zaskoczenie.

I kolejne ukłucie zazdrości. Ta dziewczyna wiedziała o jego dziadku znacznie więcej niż on.

– W piątki bywał z przyjaciółmi w klubie seniora we Fresno. – Westchnęła.

– Może to nic takiego – bąknął Sam.

– Mam nadzieję.

Usłyszał prawdziwą nadzieję w jej głosie i bardzo go to ujęło.

– Naprawdę go kochasz? – spytał.

– Tak. – Odwróciła się do niego. – Posłuchaj, Sam. – Wymówiła jego imię z naciskiem. Jakby chciała podkreślić, że jest jej obojętny. – Przyjechałeś, żeby zobaczyć się ze swoim dziadkiem, i bardzo mnie to cieszy. Dla jego dobra.

– Ale... ?

– Ale... – Patrzyła mu prosto w twarz. – Uważam, że dopóki tu jesteś, powinniśmy trzymać się od siebie jak najdalej.

– Naprawdę? – Podeszedł do niej bardzo blisko.

I poczuł, że COŚ między nimi zaiskrzyło. Psiakrew! Wcale sobie tego nie życzył. Miał szczerzy zamiar trzymać się od tej gosposi jak najdalej. Dopóki tego nie zaproponowała.

Maggie energicznie mieszała jajecznicę na patelni. Jeremiasz lubił dobrze wysmażoną. Starła się skupić na gotowaniu, ale w obecności Sama nie było to łatwe.

Uzmysłowiła sobie minionej nocy, że powinna na całe lato usunąć się z rancza. W ten sposób mogła udowodnić młodemu Lonerganom, że tylko pod jej opieką dziadek może poczuć się lepiej.

Prawie całą noc przewracała się w łóżku. Nie mogła zasnąć. Rozmyślała o tym miejscu. Ile dla niej znaczyło. I o starszym panu, który stał się jej rodziną.

Gdyby jednak miała być absolutnie szczerą, musiałaby przyznać, że przed samym świtem myślała też o Samie. O tym, co czuła, kiedy oglądał ją w nocy. Jak gorąco zrobiło się jej pod wpływem jego spojrzenia.

I jak pragnęła przekonać się, co poczułaby, gdyby jej naprawdę dotknął.

– Jajka się palą.

– Co? – Zamrugła gwałtownie, wyrwana z zamyślenia. I odruchowo chwyciła patelnię...

Ból w oparzonej dłoni sprawił, że upuściła ją. Łzy zamglily jej oczy.

– Cholera! – Sam odstawił kawę na stół, chwycił Maggie za rękę i uważnie obejrzał sparzoną dłoń. Potem pociągnął ją do zlewu, odkręcił zimną wodę i wetknął dłoń pod lodowaty strumień. Westchnęła z ulgą.

– O czym ty, u diabła, myślałaś?

– Nie wiem – skłamała. Spróbowała uwolnić rękę z jego uścisku. Bezskutecznie. – Ja tylko...

– Nie wygląda najgorzej – powiedział. Pogładził jej dłoń z niezwykłą delikatnością. – Nie wrywaj się, muszę dokładnie obejrzeć.

Lekarz, pomyślała.

Coś nagle się zmieniło. Jego dotknięcia stały się mniej profesjonalne, a bardziej... czułe. Obracał jej rękę, oglądał każdy skrawek zaczerwienionej skóry. Maggie zamknęła oczy. Poczowała niezwykle mrowienie na karku. Nawet pod lodowatym strumieniem wody jego dotknięcia paliły jak żywym ogniem.

Otworzyła oczy i napotkała jego spojrzenie. Zobaczyła coś ciepłego, niewypowiedzianego. Nagle zabrakło jej tchu. Napięcie między nimi niezdolnie narastało.

Nie mogła tego wytrzymać. Usta jej wyschły, głos się łamał.

– Czy z moją ręką wszystko w porządku?

– Masz szczęście. – Jego głos brzmiał dziwnie nisko. – Nie ma pęcherzy.

– To dobrze – mruknęła z trudem.

Ze zdumieniem stwierdziła, że drżały jej kolana. Boże, czy naprawdę było tak gorąco? Czy jej krew wrzała? Należy trzymać się od niego jak najdalej.

Świetny początek, pomyślała.

Palce Sama wciąż głaskały dłoń Maggie, a jej zdawało się, że dotykał jej duszy. Dziwne. Nigdy dotąd nie doświadczyła czegoś podobnego.

W końcu zakręcił wodę i sięgnął po ściereczkę do naczyń. Miękkimi muśnięciami lnianej materii osuszył jej płonąca skórę. Potem uniósł wzrok i zająrzył w jej oczy. Przez mgnienie oka Maggie poczuła, że coś zdumiewającego między nimi się zdarzyło. Szybko wyrwała rękę i cofnęła się o krok.

– Nic ci nie będzie – powiedział. – Ale na przyszłość bardziej uważaj, zgoda?

– Zazwyczaj uważam.

– To dobrze. – Zawahał się. – Jeśli chodzi o minioną noc...

– Co? – spytała podejrzliwie.

Długo się jej przyglądał. Na koniec spuścił wzrok.

– Nic. Nieważne. Chyba dla wszystkich będzie lepiej, jeśli po prostu zapomnimy o minionej nocy.

Oczywiście. Będą udawać, że nie oglądał jej nagiej. Nic trudnego.

– Chyba rzeczywiście tak będzie lepiej.

– Właśnie. – Cisnął szmatkę na blat i wetknął ręce do kieszeni, jakby w obawie, że znów dotknie Maggie. – Myślę, że jeszcze w jednej sprawie miałaś rację. Na pewno lepiej będzie, jeśli przez całe lato będziemy trzymać się od siebie jak najdalej.

– Zgoda. – Maggie wciąż jeszcze starała się wyrównać oddech.

Najwyraźniej Sam Lonergan potrafił lepiej panować nad sobą. Choćby nie wiadomo jak bardzo udawał... Maggie wiedziała, że także poczuł to coś.

– No, to świetnie. Umowa stoi. – Rozejrzył się dookoła, jakby nie wiedział, gdzie jest. Potrząsnął głową. Podeszedł do blatu, gdzie zostawił swój kubek, i ponownie go napełnił. Ruszył do wyjścia, ale w drzwiach się zatrzymał. – Idę wziąć prysznic. Potem pojedę do Coleville. Zamierzam porozmawiać z lekarzem Jeremiasza.

Pokiwała głową, lecz jego już nie było. Wybiegł, jakby się paliło. Widocznie nie tylko dla Maggie to, co zaszło między nimi, było frustrujące.

Przyszło jej na myśl, że Sam Lonergan może być zagrożeniem dla domu, który tak bardzo pokochała.

Nie przypuszczała jednak, że może stanowić zagrożenie także dla niej.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Wykąpał się w lodowatej wodzie.

Nie pomogło.

Niech to diabli! To miało być okropne lato. Nawet bez tej ponętnej gospodyni o oczach koloru starej whisky i o delikatnych dłoniach.

Sam, rozprowadzając po policzkach krem do golenia, wpatrywał się w lustro. Golił się mechanicznie. W palcach wciąż czuł dłoń Maggie. Nie spodziewał się tego. Nie spodziewał się, że spotka dziewczynę, która zbudzi w nim takie tęsknoty.

Skończył. Obmył twarz i wyprostował się. Woda spływała mu z włosów, ściekała po plecach i piersi. Nie czuł jej. Zacisnął dłonie na chłodnej krawędzi umywalki i pochylił się, aż dotknął czołem lustra.

Powrót do domu okazał się jeszcze trudniejszy, niż przypuszczał.

Jeremiasz odczekał, aż ucichł w oddali warkot odjeżdżającego samochodu. Dwadzieścia minut później stare auto Maggie także odjechało. Wtedy szybko odrzucił kołdrę i wyskoczył z łóżka.

Przeciągnął się. Westchnął z ulgą. W sobotnie poranki na ranczu zawsze mógł liczyć na jedno: Maggie wyjeżdżała co najmniej na dwie godziny. Zjadała wtedy lunch z przyjaciółką Lindą, która pracowała w salonie fryzjerskim w miasteczku. Potem robiła zakupy na następny tydzień.

– Dzięki Bogu, że właśnie dzisiaj Sam pojechał do Berta – powiedział do siebie Jeremiasz. Zrobił kilka przysiadów i skłonów. – Jeszcze godzina w łóżku i zostałbym inwalidą.

Dla człowieka tak aktywnego jak Jeremiasz nie było nic okropniejszego niż długotrwała bezczynność. A co dopiero mówić o leżeniu w łóżku! Miał już prawie siedemdziesiąt lat i doskonale wiedział, że wkrótce poleży całą wieczność. I że nie ma się do czego spieszyć.

Uśmiechnął się do siebie i zamknął drzwi na klucz. Na wszelki wypadek. Następnie wyjął z półki z książkami tom *Wojny i pokoju* i wsunął rękę głęboko do skrytki.

– Ach... – Wyjął jedno z trzech cygar, które mu jeszcze zostały, i prędko je zapalił.

Z prawdziwą rozkoszą zaciągnął się kilka razy. Podeszedł do stolika obok łóżka i sięgnął po telefon.

Wybrał numer, radośnie dmuchając gęstym dymem. Czekał, by jego przyjaciel podniósł słuchawkę.

– Bert? Chciałem cię ostrzec, że Sam do ciebie jedzie.

– Niech cię diabli, Jeremiaszu! – zawołał dobry doktor. – Wcale mi się to nie podoba. Mówiłem ci od początku. To głupi pomysł.

Jeremiasz znał to na pamięć. Bert od początku był przeciwny temu planowi. I tylko przez wzgląd na starą przyjaźń w końcu uległ i zgodził się wziąć w nim udział.

Jeremiasz przesunął cygaro do kącika ust i powiedział:

– Teraz nie ma już odwrotu, Bert. Tkwisz w tym po uszy. Ale dobrze wiesz, że nie miałem wyboru.

– Czy okłamywanie wnuków, że jesteś umierający, to naprawdę jedyny sposób, żeby ściągnąć ich do domu?

Jeremiasz ponuro popatrzył prosto w padające przez okno słońce. Przekręcił zameczek i podniósł okno. Powiew świeżego powietrza rozwiał dym z cygara. Bertowi wydawało się, że udawanie własnego umierania to bułka z masłem. Nie, do diabła! Leży człowiek całymi dniami, a wkoło wszyscy wzdychają przez cały dzień. Oszaleć można. Najgorsze, że Maggie tak bardzo się martwiła.

Prawda była jednak okrutna.

– Tak – powiedział do Berta – to był jedyny sposób. Chłopcy nie byli tutaj od...

Zapadła ciężka cisza. Obaj przyjaciele doskonale pamiętali tragedię sprzed lat, która wciąż prześladowała młodych Lonerganów. W końcu Bert westchnął z rezygnacją.

– Wiem – powiedział. – Dobrze, dobrze. Niech ci będzie...

Jeremiasz uśmiechnął się. Gorączkowo zastanawiał się, gdzie też ukrył butelkę burbona. Może było jeszcze za wcześnie, lecz czuł, że odrobina alkoholu dobrze mu zrobi. Wszystko szło zgodnie z planem. Należało to uczcić.

– Dziękuję, Bert. Jestem twoim dłużnikiem.

– Jeszcze jak, stary capie.

Jeremiasz rozłączył się i zachichotał. Zaciągnął się głęboko cygarem i wypuścił pod sufit idealnie równe kółko z dymu.

Coleville nie zmieniło się prawie wcale.

Sam jechał wolno wąską główną ulicą i rozglądał się z zaciekawieniem. Mimo wczesnego sobotniego poranka na chodnikach pełno było przechodniów. I trudno było znaleźć miejsce do zaparkowania auta.

Coleville było małym miasteczkiem. Do najbliższego dużego miasta Fresno było stamtąd ponad siedemdziesiąt kilometrów. Dla przyjemności mieszkańców miasto zafundowało supermarket i kino. Sam spostrzegł także, że przybyło wiele kawiarenek. Były niemal na każdym rogu.

W małych szkołach uczyły się dzieci z miasta i okolicznych farm. A jedyny w mieście lekarz przyjmował w małej klinice na przedmieściu. Wszystkie nagłe przypadki. W razie potrzeby pacjenci byli wiezieni ambulansem lub samolotem do szpitala we Fresno.

Sam zatrzymał dziadkowego jeepa na parkingu przed kliniką i wyłączył silnik. Słońce świeciło mu prosto w oczy, odbite w wielkim oknie. Napis na szybie głosił, że tam właśnie przyjmował doktor Bert Evans. Budynek wymagał odmalowania, ale całość sprawiała dobre wrażenie.

Wysiadł z auta, schował kluczyki do kieszeni i ruszył do drzwi. Z każdym krokiem wracały do niego kolejne wspomnienia.

Jako mały chłopiec często przybiegał do kliniki i zamęczał doktora Evansa niekończącymi się pytaniami. Doktor nigdy nie okazywał zniecierpliwienia. Odpowiadał na każde pytanie. Dawał Samowi stare podręczniki medyczne, żeby chłopiec mógł sam znaleźć resztę informacji.

W tej właśnie małej klinice Sam postanowił, że zostanie lekarzem. Już jako dziecko pragnął pomagać ludziom. Snuł wielkie plany. Bert Evans był dla niego wzorem. Człowiekiem, który wszystkich swoich pacjentów znał jak najbliższą rodzinę. Był nieodłączną częścią lokalnej społeczności.

Wiele zmieniło się od tamtej pory. Sam robił, co mógł i kiedy mógł, by nie wiązać się z żadnym miejscem.

Kiedy otworzył drzwi, przywitał go radosny dźwięk dzwonka i miły chłód klimatyzowanego pomieszczenia. W poczekalni na plastikowym zielonym krzeselku siedziała zmęczona matka trojga dzieci. Posłała mu słaby uśmiech i skinęła głową, kiedy dwoje dzieci próbowało się pozabijać.

Za kontuarem w recepcji siedziała młoda kobieta i z zapamiętaniem stuknęła w klawiaturę komputera. Sam skrzywił się. Podświadomie oczekiwał, że zobaczy starą pielęgniarkę doktora Evansa. Ale ona musiała mieć sto lat już wtedy, gdy on był dzieckiem.

– Czym mogę panu służyć? – Kobieta podniosła wzrok znad klawiatury i uśmiechnęła się ciepło.

– Chciałbym porozmawiać przez chwilę z doktorem Evansem – powiedział Sam. – Proszę mu powiedzieć, że przyjechał Sam Lonergan.

Wstała.

– Może zechce pan usiąść.

Nie zechciał. Kiedy wyszła, zaczął przechadzać się i oglądać stare fotografie na ścianach. Doktor Evans mówił o nich „moje trofea”. Były tam dzieci, które przyjął na świat, i te, które leczył; byli dorośli, którymi opiekował się przez całe życie, aż do śmierci. Tuziny... setki twarzy uśmiechały się do niego. Sam widział tylko jedną.

Na widok znajomego uśmiechu poczuł ten sam co zawsze skurcz serca. Nie mógł oderwać oczu od fotografii. Chłopiec na zdjęciu miał zaledwie szesnaście lat... I nigdy nie miał mieć więcej. Sam odruchowo zacisnął dłonie w pięści. Głosy pokrzykujących za jego plecami dzieci odpłynęły, zginęły w oddali. A on wpatrywał się w twarz osoby, którą mógł uratować, lecz tego nie uczynił.

– Doktor zaraz pana przyjmie. – Szarpnięcie za rękaw przywołało go do rzeczywistości.

– Słucham? – Potrząsnął głową. – Dziękuję.

Nie czekając, ruszył do drzwi. Znajomym korytarzem przeszedł do gabinetu doktora Evansa. Tu także wydawało się, że czas stanął w miejscu. Nic nie zmieniło się przez te długie lata.

Wszystkie ściany zastawione były wysokimi do sufitu półkami pełnymi książek. Biurko jak zawsze zavalone było papierzyskami. Na brzegu zaś stał wielki stół z lizakami dla małych

pacjentów.

– Sam! – Starszy pan zerwał się na równe nogi. Z szerokim uśmiechem obszedł biurko. Ujął w obie ręce dłonie Sama i potrząsnął serdecznie. Jego błękitne oczy wciąż patrzyły łagodnie i pogodnie, ale włosy zbieleły mu jeszcze bardziej. – Dobrze znowu cię widzieć, chłopcze. Tyle czasu. Stanowczo zbyt długo!

– Taaak – przyznał Sam. Znowu poczuł wyrzuty sumienia. – Chyba tak.

– Siadaj, siadaj. – Doktor wskazał mu głęboki skórzany fotel przy biurku. Usiadł i położył dłonie na blacie. – A więc wróciłeś do domu. Widziałeś się z dziadkiem?

– Tak. Wczoraj wieczorem.

– Dobrze, dobrze. To poznałeś też Maggie, prawda?

– Tak, ja...

– Urocza dziewczyna. Jest najlepszym lekarstwem, jakie Jeremiasz mógł sobie wymarzyć. Dzięki niej ten stary głupiec wciąż się uśmiecha. – Splótł palce. – Tak, to naprawdę urocza dziewczyna.

– Wygląda... miło – powiedział Sam, bo musiał coś powiedzieć, a nie mógł zdradzić starszemu panu, jak cudownie Maggie wygląda nago. Poza tym nie przyjechał rozmawiać o Maggie. Szczerze mówiąc, Sam robił wszystko, żeby o niej nawet nie myśleć. Dlatego prędko zmienił temat. – Wracając do mojego dziadka... Co mu naprawdę dolega?

Doktor Evans wymamrotał coś niezrozumiale, opadł na oparcie fotela i zawzięcie tarł brodę, jakby wciąż miał bujny zarost, który zgolił dwadzieścia lat wcześniej.

– No cóż... Właśnie... To jest, hm... Powiadasz, że rozmawiałeś z Jeremiaszem?

– Tak. – Sam przyglądał się staruszkowi podejrzliwie. – Powiedział, że pan dobrze się nim opiekuje i że nie muszę się martwić.

– Tak, właśnie. – Doktor Evans uśmiechnął się słabo. – Zgadzam się z nim, Samie. Naprawdę nie musisz się martwić. No właśnie, dobrze cię widzieć, synu.

– Ho, ho. – Sam pochylił się do przodu. Nie odrywał od staruszka oczu. Nie zdziwiło go ani trochę, gdy doktor odwrócił wzrok. Najpierw popatrzył w sufit, potem na biurko, by na koniec wyjrzeć za okno. – Czego mi pan nie mówi, doktorze?

– Ależ, Sam – jęknął. – Przecież doskonale wiesz o tajemnicy lekarskiej...

– Nie chcę, żeby złamał pan tajemnicę lekarską – powiedział Sam. – Proszę tylko, jak lekarz lekarza, o trochę faktów. Czy robił mu pan EKG? Jaki ma poziom cholesterolu? Ciśnienie krwi? Czy robił mu pan ostatnio badanie wysiłkowe?

Doktor Evans uśmiechnął się i wstał. Stał za Samem i poklepał go po ramieniu jak studenta, który właśnie zdał ostatni egzamin.

– Bardzo dobre pytania, synu. Cieszę się, że jesteś tak dobrym lekarzem, jak przypuszczałem.

– Dziękuję – powiedział Sam. Pozwolił się popchnąć w stronę drzwi. – Ale nie odpowiedział pan na żadne z tych pytań i...

– O nic się nie martw, Samie. Twój dziadek jest w dobrych rękach.

– Wiem o tym. Chciałem tylko...

– Najlepsze, co możesz zrobić – powiedział doktor Evans, otwierając drzwi i wypychając Sama na korytarz – to odwiedzać Jeremiasza. Bardzo tęskni za wami wszystkimi.

I znowu poczucie winy ścisnęło gardło Sama.

– Wiem – powiedział. – Nigdy nie chcieliśmy...

– Do diabła, chłopcze! – Doktor poklepał go po plecach. – Wiem o tym. Jeremiasz także. Ale lata lecą i człowiek tęskni za rodziną.

– A jego serce... ?

Doktor Evans skrzywił się leciutko i popatrzył w dal.

– Leczę ludzi dłużej, niż ty chodzisz po świecie, Samie. Nie martw się o kurację Jeremiasza. Trzymam rękę na pulsie. – Jeszcze raz klepnął Sama i zaczął zamykać drzwi. – Dziękuję, że wpadłeś. Chętnie zobaczę cię jeszcze kiedyś.

Sam przytrzymał drzwi.

– Dlaczego mam wrażenie, że próbuje pan mnie spławić?

Niebieskie oczy doktora Evansa zrobiły się wielkie ze zdziwienia.

– Ależ nic podobnego – zawołał. – W gabinecie czeka na mnie pacjent. A w poczekalni następni. Jestem bardzo zajęтым człowiekiem, Sam. Bardzo, bardzo zajęтым.

– Hm. – Sam nie mógł oprzeć się wrażeniu, że coś tu było nie tak. – Jeśli nie ma pan nic przeciw temu, chciałbym zbadać dziadka.

– Nie licz na to, Sam – powiedział doktor po paru chwilach. – Jeremiasz nie pozwoli. Rozumiem, że niepokoisz się, chłopcze. Ale będziesz musiał zaufać mi, kiedy mówię, że wszystko jest w porządku. – Popchnął drzwi, usiłując je zamknąć. – A teraz, jeśli pozwolisz...

Sam cofnął się. Ze ściągniętymi brwiami stał przez moment przed zamkniętymi drzwiami. Na koniec potrząsnął głową i ruszył korytarzem.

Tymczasem doktor Evans oparł się o drzwi i ciężko westchnął. Wyjął chusteczkę i otarł pot z czoła. Wiedział, że nie oszukał Sama. Ale robił, co mógł.

Kłamstwo przychodziło mu z wielkim trudem. Z drugiej jednak strony jego stary przyjaciel miał prawdziwy powód, żeby go o coś prosić.

– Jeremiaszu, stary draniu – wyszeptał. – Naprawdę jesteś moim dłużnikiem.

Maggie zwawo maszerowała główną ulicą. Pozdrowiała mijanych znajomych, ale myśli miała zaprzątnięte zupełnie czymś innym. Dlatego też ucieszyła się, kiedy okazało się, że Lindzie wypadło coś pilnego i nie mogła pójść z nią na lunch.

Bardzo dobrze, pomyślała.

Nie lubiła zostawiać Jeremiasza samego. Zwłaszcza gdy nie czuł się dobrze.

Ciekawe, pomyślała, czego Sam dowiedział się od doktora Evansa?

Niepokój ścisnął ją za gardło. Jeremiasz nie chciał rozmawiać z Maggie o swoim zdrowiu.

Jej myśli same pobiegły do Sama. Znała go zaledwie dobie, ale nie mogła przestać o nim myśleć.

– Maggie, na Boga – mruknęła pod nosem – uspokój się. Masz trzymać się od niego z daleka. Przecież raczej nie zażąda od dziadka, żeby cię wyrzucił ani nic takiego.

Ale mógłby, gdyby zechciał.

Poczuła dreszcze na plecach. Za wszelką cenę starała się zachować spokój. Chociaż to nie było w porządku, że musiała lękać się i o zdrowie Jeremiasza, i o swoją przyszłość.

Zamyślona doszła do parkingu przed supermarketem. Rozejrzała się dookoła i szybkim krokiem weszła do środka. Z ulgą powitała chłód klimatyzowanego pomieszczenia. Słońce stało już wysoko i robiło się naprawdę upalnie.

Z głośników sączyła się spokojna muzyka. W oddali krzyczało dziecko. Maggie wzięła wózek. Położyła torebkę na półeczce przed sobą i ruszyła między regały. Wózek klekotał i skrzypiał, jakby zaraz miał się rozpaść.

– Czy oni już produkują je popsute? – usłyszała za plecami.

Aż podskoczyła przestraszona. Z cichym piskiem zakręciła się na pięcie i stanęła oko w oko z Samem Lonerganem.

– Ale mnie przestraszyłeś!

Odsunął ją delikatnie na bok i ujął uchwyt wózka.

– Wołałem cię trzy razy jeszcze przed sklepem. Potem już w środku, kiedy brałaś ten wspinały pojazd. – Popchnął wózek.

– Nic nie słyszałam.

Zbyt była zaabsorbowana rozmyśleniem o tym, żeby go zobaczyć. Cóż to mogło oznaczać?

– Jasne. – Wzruszył ramionami.

Zatrzymał się przed skrzynią z sałatą.

– Co ty tu robisz? – spytała.

– Jak widać, kupuję jarzyny – Włożył do wózka dwie główki sałaty i ruszył do półki z zielonym groszkiem.

Maggie przyglądała się mu z niedowierzaniem.

– Wiesz, sama świetnie sobie radzę z zakupami. Zerknął na nią przez ramię.

– Robisz straszny problem z zielonego groszku. Gniewnie sapnęła. W końcu to on wdzierał się w jej życie. Opiekowała się Jeremiaszem od dwóch lat. Nawet cień przypuszczenia, że można by jej cokolwiek zarzucić, dotykał Maggie do żywego.

– Dobrze – powiedziała, dumna, że potrafiła ukryć drżenie głosu. – Możemy zrobić to razem. – Wyjęła mu z ręki paczkę i odłożyła na półkę. – Powinieneś wiedzieć, że twój dziadek nie lubi zielonego groszku.

Nachmurzył się, obrócił ku niej i wzruszył ramionami. Powoli uśmiechnął się.

– Masz rację. Zapomniałem. Babcia często robiła groszek dla mnie i moich kuzynów, ale dziadek nigdy go nie dotykał.

Maggie odpowiedziała uśmiechem. Poczuła rodzące się między nimi ciepło.

– On uwielbia kalafiora – powiedziała. – I brokuły! – Sam roześmiał się.

Spojrzał na nią jasnym wzrokiem i Maggie straciła oddech.

– Powinieneś robić to częściej – powiedziała, kiedy nabrała pewności, że głos jej nie zdrzży.

– Co? – Zapakował w plastikową torbę główkę kalafiora.

– Uśmiechać się.

Pochylił głowę na bok i spojrzał na nią uważnie. W końcu włożył warzywa do wózka.

– Wracam od doktora Evansa – powiedział.

Szli pomału, ramię w ramię. Maggie dołożyła do wózka kilka grejpfrutów, parę cytryn, cebulkę. Nie odzywała się. Nie pytała. Bała się tego, co mogła usłyszeć.

Jeremiasz nie chciał rozmawiać na temat swojej nagłej choroby. A ona nie zadawała pytań. Może było to tchórzostwo, ale nie chciała stanąć twarzą w twarz z prawdą, która mogła zdruzgotać jej serce.

– Nie spytasz, czego się dowiedziałem? Stanął tak blisko, że poczuła ciepło jego ciała. Przelknęła z trudem ślinę. Powiedziała sobie, że nie powinna uciekać przed prawdą, i zmusiła się do kiwnięcia głową.

– Czego się dowiedziałeś? – spytała. – Co mu jest?

– Nie mam pojęcia. – Co?

– Przepraszam. – Tęga kobieta w kwiciastej obcisłej sukience przyglądała się im z dezaprobatą. – Jeśli nie mają państwo nic przeciw temu, chciałabym kupić kilka pomarańczy.

– Przepraszam. – Sam ujął Maggie za łokieć i cofnął się o krok. – Doktor Evans nic mi nie powiedział.

– O Boże! – Maggie zakryła usta dłonią. Patrzyła na niego wielkimi z przerażenia oczami. Skoro doktor nie chciał nic powiedzieć wnukowi Jeremiasza, to mogło oznaczać, że ze staruszką było naprawdę źle. – Nie jest więc dobrze. Pewnie nie chciał cię martwić.

Zamyślił się.

– To jest prawdopodobne – powiedział. – Ale nie wydaje mi się. – Pokręcił głową. – Nie. To musi być coś innego.

– Co masz na myśli?

– Mam na myśli to, że doktor Evans i Jeremiasz coś knują, i bardzo chciałbym wiedzieć co.

Maggie nie kryła zdumienia.

– Chcesz powiedzieć, że Jeremiasz nie jest chory? To śmieszne. Nie zrobiłby mi tego.

– Być może – powiedział Sam, ale bez przekonania. Maggie położyła mu dłoń na ramieniu.

– Jeremiasz to wspaniały człowiek. Nigdy nie niepokoiłby rodziny bez potrzeby. Powinieneś wiedzieć o tym lepiej ode mnie.

Popatrzył przeciągle na jej dłoń na swoim ramieniu. Maggie cofnęła ją pomału.

– Może masz rację – zaczął powoli – ale chciałbym, żebyś przyglądała się wszystkiemu uważnie.

– Chcesz, żebym szpiegowała twojego dziadka?

– Szpiegować to zbyt wielkie słowo.

– Ale odpowiednie. – Maggie pokręciła głową.

Zrobiła krok w bok, żeby przepuścić jakiegoś klienta. Sam zmarszczył brwi, wziął Maggie pod rękę i popchnął wózek w mniej zatłoczony kąt.

Rozejrzał się dookoła, czy nikt ich nie słyszy, i pochylił się ku niej.

– Przecież nie namawiam cię, żebyś go zdradziła. Proszę tylko, żebyś mi pomogła.

– Jeszcze dwie godziny temu – szeptała gorączkowo – twierdziłeś, że przez całe lato powinniśmy trzymać się jak najdalej od siebie. A teraz prosisz mnie, żebym współpracowała z tobą przeciwko człowiekowi, który zrobił dla mnie tyle dobrego.

Sam dotknął dłonią twarzy Maggie. Ujął ją za ramię i przyciągnął do siebie. Gwałtownie wciągnęła powietrze, kiedy jego twarz znalazła się tuż przy jej twarzy. Serce jej załomotało. Krew zadudniła w uszach.

– Sytuacja się zmieniła, Maggie – rzucił. – Teraz mówię, że potrzebna mi twoja pomoc. Boję się o Jeremiasza. Tak jak ty. – Jego wzrok, jak pieśczość, sunął po jej twarzy. Obliznął wargi. Westchnął i uwolnił jej rękę. Cofnęła się o krok. – Pytanie, tylko, czy ty zechcesz współpracować ze mną, żeby wyjaśnić, co tu się dzieje?

ROZDZIAŁ PIĄTY

Następne trzy dni upłynęły pod znakiem trudnego zawieszenia broni. Maggie starała się nie wchodzić w drogę Samowi, a on nie wtrącał się w jej życie. Hm... Tak naprawdę było to jednostronne zawieszenie broni.

Sam pojawiał się nagle i wszędzie. Kiedy zajmowała się czymś w ogródku, widziała go opartego o węgiel domu, uważnie śledzącego każdy jej ruch. Kiedy gotowała, zawsze okazywało się, że miał jakąś sprawę w kuchni. I wciąż wtrącał się w dietę dziadka. Kiedy ona zmywała, kręcił się tuż obok. Jakby pilnował, czy nie ukradnie rodowych sreber czy czegoś podobnego.

I stale, bez przerwy, czuła na sobie jak dotknięcia dłoni spojrzenia jego ciemnych oczu.

Właściwie tylko wieczorami, kiedy była już w swoim domku, nie miała wrażenia, że jest nieustannie obserwowana. Ale nawet wtedy nie miała spokoju. Wtedy bowiem śniła o Samie.

O jego ciemnych oczach. O doskonale wykrojonych ustach, smukłych palcach i muskularnym ciele. W jej snach robił więcej, niż tylko na nią patrzył. W snach trzymał ją w objęciach, całował, smakował, rozkoszował się każdym skrawkiem jej ciała. I każdego ranka budziła się trochę bardziej zdenerwowana niż poprzedniego wieczora.

Miała wrażenie, że każdy jej nerw żarzył się wewnętrznym ogniem. Była tak spięta, że z trudem oddychała. A serce tłukło się ciężko i gwałtownie.

Z rękami po łokcie w gorącej wodzie Maggie wycisnęła gąbkę z piany, wypłukała starannie talerz i odłożyła na suszarkę. Potrząsnęła głową. Ziewnęła. Zmrużyła zmęczone oczy i wyszeptała:

– Minęły dopiero trzy dni. Jeśli tak dalej pójdzie, nie dożyję końca lata.

– Słucham?

Podskoczyła wystraszona tak gwałtownie, że się ochlapała. Odetchnęła głęboko, spojrzała za siebie i zobaczyła stojącego w drzwiach Sama.

– Masz przestać podkradać się do mnie! – warknęła. Na mgnienie oka uśmiech uniósł mu kąciki warg.

– Usłyszałaś mnie, gdybyś nie mówiła do siebie – zauważył.

– Masz rację. – Czubkami palców spróbowała odkleić od brzucha mokrą bluzkę. Po chwili poddała się i wróciła do zmywania. – Zanim zapytasz, powiem...

– odezwała się polubownie – Jeremiasz zjadł obfite śniadanie. Jajka. Bekon. Tost i sok.

– Bomba cholesterolowa dla pacjenta chorego na serce. Doskonale.

Odwróciła się. Popatrzyła srogo.

– Już to przerabialiśmy – powiedziała, siląc się na spokój. – To był bekon z indyka, jajka z proszku i tost z białego pieczywa. Idealnie zdrowe.

Podszedł do niej z ponurą miną. Skrzyżował ręce na piersi.

– Przepraszam – powiedział.

– O! – odparła Maggie. – Przeprosiny. To takie podniecające.

Z ciężkim westchnieniem pokręcił głową.

– Chyba winien ci jestem więcej niż przeprosiny, prawda?

Maggie zakręciła wodę. Wytarła ręce i obróciła się twarzą do Sama. Uznała, że skoro był już w nastroju do rozmowy, to powinna łapać okazję.

– Chodziłeś za mną przez ostatnie trzy dni bez przerwy – powiedziała cicho. – Zupełnie, jakbyś usiłował znaleźć coś przeciwko mnie. Jakbyś podejrzewał, że robię jakąś krzywdę twojemu dziadkowi. Chciałabym wiedzieć dlaczego.

Wpadające przez okno słońce rozjaśniło mu twarz. Rozświetliło jego smutne oczy.

– Ponieważ doprowadza mnie to do szaleństwa – przyznał po chwili. – Dziadek nie chce rozmawiać ze mną. Oświadczył, że nie powie ani słowa, dopóki nie przyjadą moi kuzyni, Cooper i Jake.

Jeszcze więcej Lonerganów będzie patrzeć jej na ręce. Hura!

– Kiedy to nastąpi? – spytała.

Odepchnął się od blatu. Wcisnął ręce do kieszeni i zaczął spacerować.

– Nie wiem – odparł. – Jake był gdzieś w Hiszpanii, startował w jakimś rajdzie, kiedy starszy po niego posłał. A Cooper... Kiedy pracuje, kryje się gdzieś na odludziu. Bóg jeden wie, czy w ogóle odebrał wiadomość.

– Czytałam kilka jego książek – powiedziała Maggie.

– Co o nich myślisz?

– Są przerażające. – Uśmiechnęła się leciutko. Gdy przeczytała ostatni thriller Coopera Lonergana, tak się bała, że przez tydzień na całą noc zostawiała włączone światło w sypialni. Wizje, które stworzył, były tak realistyczne, że zastanawiała się, w jaki sposób mógł w ogóle spokojnie spać. – On musi być przerażającym człowiekiem... Ma naprawdę pokręconą wyobraźnię.

Sam smutno się uśmiechnął.

– Nic bardziej mylnego – powiedział. – Cooper zawsze był najweselszy z nas wszystkich. Nie przejmował się niczym. Przynajmniej do czasu, kiedy... – głos mu się załamał. – ...wszystko się zmieniło.

Serce Maggie ścisnęło się. Naprawdę współczuła im wszystkim.

Chciało jej się krzyknąć, że przecież minęło już piętnaście lat. Wystarczająco długo, by pogodzić się z tragedią.

Powiedziała tylko:

– Może powinieneś spróbować raz jeszcze porozmawiać z doktorem Evansem...

Sam parsknął śmiechem.

– O, tak. To na pewno wiele da. Wciąż będzie mrucał o tajemnicy lekarskiej. Nie. Cokolwiek tu się dzieje, Jeremiasz i doktor są w zмовie. I obaj są zbyt uparci, by to przerwać.

– Upór to zdaje się wasza cecha rodzinna.

– Tak? – Sam wysoko uniósł brwi.

– No cóż – powiedziała ostrożnie. – Mówiłeś, że obaj nie mają zamiaru nic ci powiedzieć, a mimo to nie przestajesz próbować. Czy to nie jest upór?

– A może poświęcenie?

Maggie roześmiała się. I zobaczyła w jego oczach isierki zadowolenia. To sprawiło, że zrobiło się jej ciepło na sercu. Ręce zaczęły drżeć. Prędko ściągnęła wiszącą na ramieniu ściereczkę do naczyń i wplotła ją między palce. Wykonała kilka krótkich, urywanych wdychów. Spróbowała wziąć się w garść.

– Co to? – spytał niespodziewanie Sam. Serce Maggie na moment stanęło.

Wyjrzała przez okno i zobaczyła sąsiadkę, Susan Bateman, pędzącą przez podwórze. W ramionach trzymała swoją czteroletnią córeczkę Kathleen.

– To Susan – powiedziała Maggie, idąc spieszenie do kuchennych drzwi. – Mieszka razem z rodziną na sąsiednim ranczu. Musiało stać się coś złego.

Otworzyła drzwi i po chwili Susan wpadła do kuchni. Miała bladą twarz i wielkie z przerażenia oczy. Jej biała spódnica była poplamiona krwią. A dziewczynka na jej rękach przeraźliwie szlochała. Susan minęła Maggie i zwróciła się do Sama.

– Pan jest lekarzem, prawda?

– Susan – zaczęła Maggie – co...

– Słyszałam w mieście – ciągnęła kobieta – że jest pan lekarzem. Jest pan, prawda?

Sam wpatrywał się w nią w napięciu. Wyglądał, jakby chciał zaprzeczyć. Dostrzegł jednak w jej oczach tyle desperacji... I ten przeraźliwy płacz dziecka...

– Taaak – wydusił. – Jestem.

– Dzięki Bogu – powiedziała Susan. – Katie bawiła się przy płocie i zraniła się w rękę. Do was jest dużo bliżej niż do miasta, więc natychmiast przybiegłam.

W tym momencie dziewczynka uniosła główkę i popatrzyła na Sama i Maggie pełnymi łez oczami.

– Mam tu kuku i leci mi krew – wyszlochała. – Ach, kochanie. – Maggie odgarnęła jej włosy z czoła. – Wszystko będzie dobrze. Sam na pewno coś poradzi. Zobaczysz. Mała spojrziała na Sama. Usta jej drżały.

– Czy będzie bolało? – spytała.

Sam zagryzł wargi. Przeciągnął dłonią po twarzy i burknął:

– Powinna pani pojechać z nią do miasta. Trzeba zrobić jej zastrzyk przeciw tężcowi.

– Nie chcę zastrzyków, mamusiu! – Dziewczynka krzyknęła przeraźliwie.

Susan zaś zdawała się nie słyszeć krzyku. Nie odrywała oczu od doktora.

– Tym zajmiemy się później – powiedziała. – Ona cierpi. Potrzebuje natychmiast pomocy.

Maggie dostrzegła wahanie Sama. Zaintrygowało ją to.

– Dobrze – powiedział, chociaż z wyraźną niechęcią. Pochylił się nad dzieckiem. – Maggie – rzucił, badając długą ranę na ramieniu dziewczynki – pójdź na górę. W moim pokoju stoi torba lekarska.

– Dobrze. – Maggie wybiegła z kuchni. I bardzo szybko wróciła.

Dziewczynka siedziała na brzegu stołu obok zlewu. Sam ostrożnie przemywał ranę pod kranem.

– Ciągle leci krew! – zawołała Katie. Machała przy tym nóżkami, kopiąc szafkę. Sam uśmiechnął się do niej.

– To dlatego, że masz bardzo sprytną krew – powiedział.

– Naprawdę? – chlipnęła.

Wytarła drugą rączką zaczerwienione oczy.

– Tak. Twoja krew właśnie czyści ranę. Bardzo sprytna krew.

– Mamusiu! – zawołała mała, wyraźnie uszczęśliwiona. – Jestem sprytna.

– Jeszcze jak, kochanie – odpowiedziała Susan. Uważnie śledziła każdy ruch Sama.

– Przyniosłam twoją torbę. – Maggie podeszła bliżej i postawiła torbę obok dziewczynki.

Czule pogłaskała ją po policzku.

Przyglądała się pracującemu Samowi poruszona delikatnością jego poczynań. Znała go już trzy dni, lecz dopiero teraz dostrzegła odruch jego serca.

– Dziękuję – powiedział Sam. Ostrożnie osuszył ranę papierowym ręcznikiem. – Katie, nie wierc się teraz przez chwilę, bo robię opatrunek.

– Dobrze.

Sam wyjął z torby niewielki pakunek.

– A tutaj mam motylkowe bandaże – powiedział.

– Motylkowe? – Ciekawość wzięła górę nad strachem i Katie z zaciekawieniem przypatrywała się, jak Sam dociskał brzegi rany i owijał jej rękę bandażem.

Na koniec sprawdził jeszcze, czy opatrunek nie jest zbyt ciasny. Spojrzał małej w oczy i uśmiechnął się.

– Skończone – powiedział. – Byłaś bardzo dzielna.

– I sprytna – dodała z dumą Katie.

Uśmiechnęła się do niego uśmiechem, który podzialał jak uderzenie. Sam wzdrygnął się. Zawsze tak reagował w kontaktach z dziećmi. Z ludźmi słabymi i bezbronnymi. Z oczami pełnymi łez i ślepym zaufaniem w sercach.

Wyprostował się, podniósł dziewczynkę z blatu i postawił na podłodze. Zamknął torbę i zwrócił się do jej matki:

– Nic jej nie będzie. Ale powinna pani pojechać do doktora Evansa, żeby zrobił przeciwțęcowy... – Urwał i zerknął na dziecko. – Żeby zrobił to, o czym mówiłem wcześniej.

– Pojadę. – Przytuliła córeczkę. – I dziękuję. Bardzo dziękuję.

– To nie było nic poważnego – powiedział Sam uspokajająco. Pełne wdzięczności spojrzenia Susan i Maggie wyraźnie go krępowały.

– To jest moja ukochana córeczka. – Susan mocniej przytuliła małą... – A to oznacza, że wszystko jest dla mnie poważne.

– Rozumiem – powiedział.

I było tak naprawdę. Bardzo starał się zachować emocjonalny dystans w takich sytuacjach.

Odeszły. Katie jeszcze z oddali machała do niego rączką. Zostali sami. Sam wyraźnie czuł ciekawość dręczącą Maggie.

– Świetnie radzisz sobie z dziećmi – powiedziała. Zmusił się, by spojrzeć je w oczy. Dostrzegł tam błysk zainteresowania. W normalnych okolicznościach, gdyby dziewczyna taka jak Maggie patrzyła na niego w taki sposób, cieszyłby się. Tym razem było inaczej. Czekali ich długie wspólne lato. Po trzech miesiącach on zamierzał wyjechać, a ona chciała pozostać na ranchu Lonerganów jak najdłużej.

– Prawie nigdy ich nie gryzę – próbował obrócić wszystko w żart.

Pochyliła na bok głowę i przyglądała mu się uważnie.

– Jeremiasz powiedział mi, że pracujesz dla „Lekarzy bez granic”.

– Czasami – odparł sucho.

Chciał zniechęcić ją do dalszej rozmowy na ten temat.

– I powiedział jeszcze – ciągnęła, niezrażona – że kiedy tego nie robisz, pracujesz w szpitalnych oddziałach ratunkowych w całym kraju.

Prawda. Wciąż był w ruchu. Nigdy nie zatrzymywał się w jednym miejscu na tyle długo, by zżyć się z ludźmi, którymi się opiekował. Nie pozwalał sobie na takie związki, które prowadziły do cierpienia.

Nachmurzył się.

– Jeremiasz mówi za dużo – powiedział ponuro.

– Czegoś tu nie rozumiem – powiedziała cicho Maggie. Było coś w jej głosie, co powstrzymało go od wyjścia z kuchni. – Dlaczego ktoś taki jak ty nie chce osiąść gdzieś na stałe? Zacząć własnej praktyki?

Poczuł ucisk w piersi. Nagle zabrakło mu tchu. Jakby otrzymał potężny cios w żołądek. Mieszkała na ranchu dopiero od dwóch lat, a już zdołała odcisnąć w tym miejscu swój ślad.

Wszędzie znać było jej obecność... Kwiatuszki, świeczuszki... Ozdóbki w każdym pokoju. W całym domu pachniało olejkiem cytrynowym, każdy mebel lśnił wypolerowany. Zadomowiła się. Zapuściła korzenie na tej ziemi, która go wychowała.

Nie, Maggie nie była w stanie zrozumieć, dlaczego Sam nie chciał tego samego.

Gdyby sprawy miały się inaczej, zapewne pragnęłyby stabilizacji. Ale bardzo wcześnie nauczył się, że miłość i wrażliwość zawsze przynoszą cierpienie. I dlatego postanowił trzymać się na uboczu. Zamknąć swe serce.

– Lubię być w ruchu – powiedział.

Nawet on usłyszał, jak niezręcznie to zabrzmiało. W tej lśniącej czystości i słonecznym światłem kuchni część jego duszy marzyła, żeby wszystko potoczyło się inaczej. Żeby był inny.

Ale żadne marzenia nie cofną czasu.

– Wcześniej – Maggie najwyraźniej nie miała zamiaru kończyć tej rozmowy – powiedziałeś mi, że nie jesteś dobrym człowiekiem.

Zastygł z rękami na torbie lekarskiej, z którą nigdy się nie rozstawał.

– Bo to prawda – powiedział.

– Nie – zaprotestowała cicho, a on nie mógł oderwać od niej wzroku.

Słońce za plecami Maggie tworzyło wokół niej złotą aureolę. Patrzyli sobie prosto w oczy. I Sam poczuł potrzebę ostrzeżenia jej. Chciał powiedzieć, że to, co mogła wypatrzeć na dnie jego duszy, naprawdę nie było warte oglądania.

– To nie jest prawda – powiedziała. I uśmiechnęła się samymi kącikami warg. – Chociaż pewnie chciałbyś w to wierzyć. Ale tak nie jest.

– Nie znasz mnie – zaoponował. Rozpaczliwie usiłował przełamać ten dziwny czar, który zaczynał ich łączyć. Wziął torbę i zrobił kilka kroków ku drzwiom.

Głos Maggie go zatrzymał.

– Może i cię nie znam – powiedziała ledwie słyszalnie – ale naprawdę nie wiesz, że jesteś dobry.

– Nie powinnaś przychodzić tutaj sama.

Rytm ruchów Maggie został zakłócony, kiedy obróciła się na wodzie, żeby spojrzeć na stojącego na brzegu jeziora mężczyznę. W świetle księżycy wyglądał naprawdę... fantastycznie.

Myślała o nim cały dzień, chociaż starannie unikał jej, schodził z drogi, znajdował sobie wciąż nowe zajęcia na ranczu. Naprawił płot, umocnił ruszający się schodek na ganku, wyczyścił puste stajnie.

A Maggie korzystała z każdej nadarzającej się sposobności, by mu się przyglądać, napawać się jego widokiem. Pracował jak człowiek szukający zapomnienia. Jak ktoś usiłujący uciec od własnych myśli. Kiedy popołudnie rozpałało się upałem, zdjął czarną koszulkę. Jego opalone, muskularne ciało oczarowało Maggie.

Żar wypełnił jej duszę i wyglądało na to, że zostanie tam na stałe. Przez cały dzień poruszała się jak we mgle. Oczy przysłaniało jej pożądanie. Nie kępowało jej, że pożądała Sama. Sprawa była jasna i prosta. W domu był czarujący mężczyzna, brunet o zabójczym spojrzeniu, głębokim głosem i delikatnych dłoniach. Jakaż dziewczyna by się oparła?

Skrepowanie Maggie wynikało z tego, że wiedziała, że i on jej pragnął. I że robił wszystko, by unikać jej towarzystwa. Ale w końcu tak właśnie umówili się, czyż nie? Trzymać się od siebie z daleka...

W takim razie czemu teraz przyszedł? Nieustannymi ruchami nóg i rąk Maggie utrzymywała się na powierzchni wody.

– Przychodzę tu sama od dwóch lat. Jestem absolutnie bezpieczna.

– Bywałem tutaj każdego lata, przez całe życie. Wystarczył jeden raz...

– Sam... – Jeśli mieli kontynuować tę rozmowę, nie chciała prowadzić jej, kopiąc zapamiętałą wodę.

Kilkoma silnymi ruchami nóg i ramion zbliżyła się do brzegu. Woda spływała jej po ramionach. Wykręciła długie włosy i odrzuciła je na plecy. Stała tuż przed Samem.

Omiótł ją szybkim, uważnym spojrzeniem.

– Już nie pływasz nago?

Spojrzała w dół, na czarny jednoczęściowy kostium, który miała na sobie. Podniosła oczy. Uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

– Ostatnio stałam się trochę ostrożniejsza. Nagle uśmiech zniknął z jego oczu. Chwyił Maggie za ramię, mocno zacisnął palce i przyciągnął ją ku sobie.

– Mam nadzieję, że tak jest – powiedział głucho. – Nie nurkujesz tutaj, prawda? Nie skaczesz z brzegu?

– Nie – odparła prędko, bardziej ponaglona przerażeniem w jego oczach niż stanowczością głosu. – Przyszłam tylko popływać. Ochłodzić się.

Wbił wzrok w ciemne lustro wody za jej plecami. Spróbowała zajrzeć w głąb jego oczu, poprzez zasłone wspomnień, które nim zawładnęły. Ale zobaczyła tylko piękno. Jak zawsze, to miejsce uspokajało ją, wypełniało duszę ciepłem. Czowała delikatne powiewy wiatru wśród drzew. I chłodne krople wody na skórze. A wszystko spowite w bladą, księżycową poświatę.

– Tutaj jest tak pięknie – powiedziała bardzo cicho.

– To prawda – przyznał niechętnie. Zwolnił nieco uścisk, lecz nie puścił jej ramienia. – Już zapomniałem.

– Sam. – Uniosła głowę i czekała, aż spojrzy jej w oczy. – Ja... wiem, co stało się tutaj piętnaście lat temu. Wiem, dlaczego ty i twoi kuzyni wyjechaliście i nigdy więcej nie wróciliście.

Chwyił ją za ramiona. Mocno zacisnął palce. Potrząsając głową, spojrzał na Maggie z góry. Zrobił długi, głośny wdech.

– Nie możesz wiedzieć. Nie możesz wiedzieć, jak to jest być tak młodym i utracić wszystko.

Uniosła rękę i zamknęła w dłoni jego policzek. Serce ścisnęło się jej, gdy ujrzała dawny ból w jego oczach.

– Wiem, jak to jest nie mieć nic, co można by stracić – powiedziała. – Wiem, że wciąż masz tak dużo... Ale za nic nie chcesz tego zobaczyć.

Przyciągnął Maggie ku sobie i pochylił się nad nią. Spojrzała mu w oczy i nie mogła już się od nich oderwać. Dręczące ją tak długo pożądanie wyrwało się i sprawiło, że każdy nerw dziewczyny zapłonął żywym ogniem. Żołądek zwinął się jej w twardą kulę. I coś ścisnęło jej gardło.

– Rozgryzłaś mnie – przyznał. – Gdybym mógł przestać, przestałbym.

Serce Maggie ruszyło z kopyta. W ustach jej zaschło.

– Wiem. – Nie była głupia.

Wiedziała, że to wielki błąd angażować się w związek z mężczyzną, którego obecność była zagrożeniem dla niej na ranczu, które tak pokochała. Jednak tak wiele czasu upłynęło od

chwili, kiedy ostatnio czuła podobne... pragnienie. A jeszcze nigdy w życiu nie doznała aż takiego wrażenia. Ilekroć Sam zbliżał się do niej, jakby prąd elektryczny przenikał jej ciało.

– Powiedziałem ci już, że nie jestem dobrym człowiekiem – powiedział. – Musisz mi uwierzyć.

– Nie.

Zacisnął powieki i oparł się czołem o czoło Maggie. Kolejna fala gorąca spłynęła po jej ciele.

– Uwierzysz, Maggie – powiedział. – Boże! Uwierzysz, i to szybko.

Znów powróciło skrępowanie.

I wtedy Sam przycisnął usta do jej ust. I Maggie przestała myśleć. Nie chciała myśleć. Chciała tylko czuć. Objął ją, przycisnął do siebie jej zimne, wilgotne ciało. Maggie gotowa była przysiąc, że dostrzegła obłoczek pary pomiędzy nimi.

Kiedy przerwał pocałunek, poczuła żal. Wielką pustkę. I słabość w kolanach. Każda komórka jej ciała wibrowała. Widziała wyraźnie, że Sam z trudem łapie oddech. Czuła, jak drżał.

Podniósł głowę, spojrzał jej głęboko w oczy i powiedział:

– To wielki błąd.

– Prawdopodobnie.

– Pragnę cię – przyznał. – Bardziej, niż powinienem. Z trudem łapiąc powietrze, Maggie uśmiechnęła się do niego. Wciąż nie mogła zapomnieć wrażenia, jakie zrobił na niej ten pocałunek.

– I ja ciebie pragnę, Samie. Czy to wielki błąd, czy też nie.

– Dzięki Bogu.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Dzwonki alarmowe rozdzwoniły się w głowie Sama. Głośno i przeraźliwie. Powinien ją zostawić. Zrobić wielki krok do tyłu i spędzić resztę nocy na próbach zapomnienia jej smaku. Jej zapachu.

Lecz nie stało się nic takiego.

Pocałował Maggie. Jeszcze mocniej i zachłanniej. Aż zadygotała i cicho westchnęła. Zarzuciła mu ręce na szyję, wplotła palce we włosy. Delikatnie drapała go po karku. Mróz przeszedł mu po kościach, a krew zawrzała w żyłach.

Dzwonki alarmowe hałasowały coraz głośniejsze, lecz Sam zupełnie je zignorował. Nie mógł odejść. Nie potrafił odwrócić się plecami od pożądania, głodu silniejszego niż cokolwiek, co poczuł w życiu.

Gorący letni wiatr zawirował wokół nich i Sam jeszcze głębiej pograżył się w pragnieniach. Uniósł Maggie, zaniósł na chłodną trawę z dala od brzegu i położył się obok.

Porzucił jej usta. Obsypał pocałunkami brodę, szyję, aż po załamanie ramienia. Upajał się jej zapachem, odległym śladem szamponu kwiatowego w jej włosach, świeżym aromatem wody z jeziora na jej skórze. Z każdą chwilą wypełniał go coraz większy żar. Coraz potężniejszy głód ponaglał go dalej i dalej.

Maggie westchnęła, głaskała go po ramionach. Nawet przez koszulkę czuła gorąco jego skóry. Sam drżał. Uniósł głowę i zajrzał jej głęboko w oczy. Dostrzegł w nich odbite światło księżycy i blask pożądania. Wzięła w dłonie jego twarz, przyciągnęła ją. Pocałowała z niespotykaną delikatnością. Z delikatnością, która poruszyła go do głębi.

I cała delikatność odeszła w zapomnienie. Jak uderzenie pioruna coś zachwycającego przeszło Sama, odebrało mu dech w piersi, rozpało żądze.

Jęknął głucho. Jego dłonie rozpoczęły wędrówkę wzdłuż ciała Maggie. W górę i w dół. Smakował rozkoszny chłód jej kostiumu kąpielowego i obiecujące gorąco bijące z ciała. Spełniły się jego marzenia. Myślał o takiej chwili od wielu dni. Marzył, że ją dotykał. Wyobrażał sobie pod palcami gładkość jej skóry. Muśnięcia warg. Powiew oddechu.

W ciągu kilku krótkich dni ich znajomości Maggie zawładnęła bez reszty jego myślami. Gdzieś na dnie duszy wciąż martwił się o dziadka. Niepokoił się o konsekwencje swego powrotu na ranczo. Ale całkiem inna część jego umysłu wciąż zajęta była myślami o niej. Od pierwszego spotkania między nimi zaiskrzyło. Poczł coś, czego dotąd nie znał. Coś, o czym bał się nawet myśleć.

Tymczasem wystarczyło mu, że była z nim. Że mógł jej dotykać.

Pod wpływem dotyku Sama Maggie westchnęła.

Obsypała go pocałunkami. Nie przestawała ani na moment. Jej ręce błądziły po jego ciele. Chwyciła koszulkę i wyciągnęła ją ze spodni, odsłaniając tors. Położyła mu dłonie na nagiej skórze, jakby znakowała go rozpalonym żelazem... Budziła w nim pragnienie, by jej ręce pokryły go całego.

Usiadł gwałtownie. Zerwał z siebie koszulkę i cisnął za siebie. Wpatrywał się w nią, oddychając coraz szybciej, a ona pomalutku zsuwała z ramienia ramiączko kostiumu. Potem drugie. Jej ciało stopniowo wyłaniało się spod elastycznego materiału.

Serce Maggie waliło szalonym rytmem. Krtań miała ściśniętą. Sam ujął ją za rękę. Ścisnął.

– Pozwól mi – szepnął.

Kiwnęła potakująco głową i zacisnęła powieki. Po chwili leżała całkiem naga, skąpana w księżycowej poświacie. Jasne plamy nieopalonej skóry jasno świeciły. Sam zapragnął zobaczyć ją w tym bikini, które zostawiło te ślady.

– Dzisiaj włożyłaś jednoczęściowy strój – powiedział i uśmiechnął się.

Uśmiechnęła się także. Wyciągnęła do niego rękę. – Pomyślałam, że tak będzie... bezpieczniej, gdybym przypadkiem natknęła się na ciebie. Spoważniał. Popatrzył jej w oczy.

– Chcesz być bezpieczna? – spytał.

Pokręciła głową.

– Nie. Chcę ciebie.

– Miło słyszeć. – Sam...

– Przez całą noc marzyłem o tym – wyznał. Poglaskał ją po szyi. Maggie przeciągnęła paznokciami po jego piersi.

Gwałtownie wciągnął powietrze. Za wszelką cenę starał się zapanować nad sobą. Nad sytuacją. Daremny trud. Mając pod sobą taką kobietę, nie miał żadnych szans. Panowanie nad sobą było mu niepotrzebne. Pragnął jedynie zaspokoić ten wielki głód.

Maggie zachłysnęła się powietrzem, jakby tonęła. I wyciągnęła ku niemu ramiona.

– Nie zwlekaj – powiedziała.

Odchyliła głowę do tyłu, ani na moment nie odrywając od niego oczu.

– Och... Sam...

Fantastycznie, pomyślał. Cudownie.

Zapamiętali się w odwiecznym tańcu, wśród rozpalających ich płomieni namiętności. Razem poddali się ogarniającym ich żądom. Świat wokół nich zniknął, przepadł... Zostali tylko oni dwoje. Spowici pożądaniem, odarci z myśli, logiki i ostrożności.

Zagubieni w powiewach wiatru, w krzyku nocnych ptaków, zmierzali ku spełnieniu. Kobierzec trawy był im łóżkiem, rozgwieżdżone niebo – powałą. Zamknięci w ciemnościach nocy, w sobie samych.

Ich spojrzenia spotkały się. Każdy ruch zbliżał ich ku nieodwracalnemu. Ciała zaczęły drżeć w namiętności. Rozkosz wypełniała im żyły, gotowała krew. Maggie czuła na policzku urywany oddech Sama. Widziała burzę w jego oczach.

Zbliżała się do granicy szaleństwa. Nie umiała znaleźć odpowiednich słów, by opisać, co czuła. Mogła tylko chłonąć radość tej chwili. Dygotała. Obejmowała Sama ze wszystkich sił. Jakby od tego zależało jej życie.

Samowi zdawało się, że już nigdy nie zdoła się podnieść. Serce mu waliło, omal nie łamiąc żeber. Wtulony w Maggie, czuł gwałtowne bicie jej serca. I wiedział, że przeżyła to, co i on. Uniósł się na łokciach i spojrzał wprost w jej oczy.

– Wszystko w porządku? – spytał. Oblizła wargi i parsknęła śmiechem. Uśmiechnął się. Wierzchem dłoni musnął jej piersi.

Maggie opuściła ręce na trawę. Podłożyła sobie pod głowę. Wyglądała jak bogini Ziemi. Blade światło księżyca lśniło na jej skórze. Wysokie, zielone źdźbła trawy otulały ją dokoła. Długie, wciąż mokre włosy rozsypały się wokół głowy. W oczach miała żądzę i namiętność. Jak Sam.

– Maggie – szepnął. Schylił się do jej ust.

Maggie odrzuciła do tyłu głowę. Pozostali zwarci w uścisku jak rozbitkowie na morzu.

Czas płynął nieubłaganie. Maggie nie umiała powiedzieć, czy były to minuty, czy godziny. W końcu udało się jej odzyskać oddech. Podniosła głowę z ramienia Sama.

– Noc robi się zimna, chociaż to lato. Zmarzniemy – powiedział wtulony w jej kark.

– No tak. – Maggie zaśmiała się cichutko. – To by mogło być krępujące, prawda? Nagie, złodowaciałe postacie odnalezione przez jakiegoś ubogiego ranczera.

Nie odpowiedział i uśmiech Maggie z wolna zbladł. Westchnęła cicho. Gdy minęła namiętność, chłód nocnego wiatru stał się dokuczliwy. Zadrzała.

Sam zauważył to. Pochylił się, sięgnął za jej plecy i podał jej sukienkę.

– Powinnaś nałożyć – powiedział.

Skrzywiła się. Wciągnęła sukienkę przez głowę i przyglądała się, jak wkładał dzinsy. Kiedy je zapiął, odwrócił się ku Maggie.

– Widzę, że czar prysł – powiedziała. Wyciągnęła ku niemu rękę. Ujął ją i pomógł jej wstać.

– Maggie... – Przesunął dłonią po twarzy. Potrząsnął głową. Schylił się i podniósł z trawy swoją koszulkę. Zaciśnął pięści i powiedział:

– Nie chcę, żebyś myślała, że...

– Nie myśl o tym – przerwała mu. – Jeśli chcesz powiedzieć mi, że to wszystko... – zatoczyła szeroko ręką – ... nie ma żadnego znaczenia, nie martw się. Nie oczekuję jakichś zobowiązań czy deklaracji.

Poczuła lekki żal. Miała w swoim życiu tylko jednego mężczyznę, bo zdawało się jej, że była zakochana. A przecież uważać, że jest się zakochanym, i być zakochanym, to dwie różne rzeczy. Ale nawet wtedy nie czuła takiego pożądanego, jakie Sam budził w niej od samego początku.

To, co stało się przed chwilą, było nieuniknione, pomyślała. Ale dokąd to nas zaprowadzi?

Nie wiadomo.

– Ale... – zaczął.

Maggie przerwała mu szybko.

– Musisz wiedzieć, że nie sypiam z mężczyznami, których znam krócej niż tydzień. –
Chciał odezwać się, lecz mu nie pozwoliła. – To było tylko...

– Wiem – rzucił. – Ty także zrobiłaś na mnie piorunujące wrażenie.

– Naprawdę? Uśmiechnął się krzywo.

– Od kilku dni doprowadzałaś mnie od szaleństwa.

– Ty mnie też – wyznała z cichym westchnieniem. – To znaczy, też mnie drażniłeś.

Sam wciągnął koszulkę przez głowę.

– Nie przyszedłem tu po... – przerwał. – Chodzi mi o to, że nie planowałem tego.

– Co zatem planowałaś?

– Sam chciałbym wiedzieć. – Wzruszył ramionami i zapatrzył się gdzieś w dal. Potem przeniósł wzrok na Maggie. – Chyba chciałem zobaczyć się z tobą.

– Cieszę się, że przyszedłeś.

– Ja też, ale... – Ale... ?

– Chyba jest już trochę za późno, żeby pytać. Jako lekarz powinienem był pomyśleć... –
Zniecierpliwiony potrząsnął głową. Trochę rozpaczliwym gestem złapał się za głowę. – Nie
mogę uwierzyć, że nie pomyślałem. Nie zastanowiłem się...

– Nad czym?

Popatrzył na nią pustym wzrokiem.

– Nie zabezpieczyliśmy się.

– Och. – Zastanawiała się przez kilka sekund, aż w końcu dotarło to do niej. Jakby dostała
w głowę obuchem. – Oooh.

– Cholera. – Zamknął oczy. Westchnął ciężko. Podniósł powieki i popatrzył w twarz
Maggie. – Z twojej reakcji wnioskuję, że nie bierzesz pigułek.

– Nie miałam żadnego powodu – powiedziała. Obronnym gestem położyła sobie rękę na
brzuchu. – To znaczy, zanim ty... dzisiaj... hm, to było... tak dawno.

Och, sytuacja stanowczo ją przerosła. Namiętność zaćmiła myśli. Lecz z wolna zaczęło
docierać do Maggie, co zrobili, i żołądek zaczął zmieniać się jej w twarde kamień. Być może
właśnie poczęli dziecko.

– Psiakrew! – Schylił się po buty, a potem wyprostował. Miał poważną i skupioną minę.
– Idiota. Ależ ze mnie głupiec. Na nic zdadzą się przeprosiny.

– Oboje byliśmy niemądrzy – zauważyła. – Ja też tutaj byłam, nie możesz obwiniać tylko
siebie. Przecież nie wykorzystałeś mnie, nie wzięłaś siłą. Jestem dorosła i sama decyduję o
sobie.

– Jakoś wcale nie jest mi lżej.

– Może i tak – powiedziała – ale jestem tak samo winna jak ty. I na nic tu najlepsze
przeprosiny.

Myśl, mówiła sobie w duchu.

Gorączkowo starała się przypomnieć sobie, w której części cyklu była. Prędko jednak się poddała. Nie przywiązywała do tego wielkiej wagi i nie śledziła kalendarza zbyt starannie. Skrzyżowała palce na szczęście i powiedziała:

– Jestem pewna, że wszystko będzie dobrze.

– Jesteś pewna? – Żrenice Sama zwięzły się.

– To był tylko jeden raz.

– Dwa.

– Prawda. – Wykonała głęboki, powolny wdech. Nie panikuj, myślała. Nie panikuj.

Z trudem przełknęła ślinę. Pokiwała głową, jakby usiłowała przekonać samą siebie.

– Wszystko będzie dobrze. Zobaczysz.

– Mam nadzieję, że masz rację – powiedział. Przyglądał się jej w zamyśleniu. – Ale powiesz mi wszystko, prawda, jeśli będzie inaczej?

– Oczywiście – odparła. – Nie będzie o czym mówić. Ale jeśli... Powiem ci o wszystkim.

– Dobrze. Dobrze. – Zdecydowanie pokiwał głową. Jakby to pieczętowało umowę. – A przy okazji... chcę, żebyś wiedziała... jestem zdrowy.

– Och. Ja też – zapewniła go.

I Maggie pomyślała z żalem, że seks na początku dwudziestego pierwszego wieku mógłby być nieco mniej kliniczny. Wolałby, żeby przynosił więcej radości. Przecież w końcu było im przyjemnie, prawda?

Zapadła niezręczna cisza. W oddali huczała sowa. W zaroślach nad brzegiem jeziora szumiał wiatr. Liście nad ich głowami cicho szeleściły, a z rancza dolatywało szczekanie psa. Niesamowite i przerażające w tych okolicznościach.

– Nie chcę cię skrzywdzić, Maggie – powiedział cicho Sam.

Tak cicho, że ledwie słyhać go było wśród dźwięków nocy.

Serce Maggie boleśnie się ścisnęło. Zrozumiała, że w tym momencie Sam odsuwał się od niej jeszcze bardziej. Widziała rozpacz w jego oczach, słyszała w jego głosie rozdzierającą samotność.

– Czemu myślisz, że mógłbyś mnie skrzywdzić?

Wbił wzrok w ciemną powierzchnię jeziora. Wpatrywał się w nie tak intensywnie, że Maggie nabrała przekonania, iż widział je nie takim, jakie było, gdy z nią rozmawiał, lecz takim, jakie było tamtego lata, wiele, wiele lat wcześniej.

– Po prostu nie mogę – powiedział niemal niesłyszalnie. Jakby do siebie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

W ciągu następnego tygodnia Jeremiasz wyczuł zmianę w relacjach między Samem i Maggie. Nie mógł wpływać na przebieg zdarzeń, ale był pewien, że działo się więcej, niż oboje chcieli mówić. Ilekroć jedno wchodziło do pokoju, drugie stawało się niespokojne.

Był stary, ale nie był głupi.

Kiedy otworzyły się drzwi jego sypialni, Jeremiasz leżał w łóżku. Słońce znaczyło go złotą poświatą. Zobaczył, że przyszedł jego przyjaciel Bert i usiadł.

– Nareszcie jesteś – powiedział. – Przywiozłeś? Bert skrzywił się niemiłosiernie i starannie zamknął za sobą drzwi.

– Na miłość boską, cicho! Tak, przywiozłem i... To już ostatni raz – dodał i zbliżył się do łóżka.

Bert poczerwieniał na twarzy. W jego jasnych oczach znać było poczucie winy. Tak wyraźne, że nie ukryły go nawet jego okulary.

– Daj spokój, Bert – powiedział Jeremiasz. Usiadł energicznie i spuścił nogi z łóżka. – Szkoda twoich nerwów.

Przybysz postawił swoją skórzaną torbę lekarską na brzegu łóżka i ją otworzył. Zanurzył rękę i wyciągnął butelkę starej, dobrej szkockiej whisky. Z ponurą miną podał ją Jeremiaszowi. – Nie chodzi o moje nerwy, Jeremiaszu. Chodzi o to, co jest dobre, a co nie jest. Nie lubię okłamywać Sama.

Marszcząc brwi, Jeremiasz uważnie oglądał butelkę.

– Taaak. Szczerze mówiąc, ja także. Ale musiałem ściągnąć ich tutaj wszystkich.

– Owszem, ale Sam już tu jest. Powiedz mu prawdę.

– Jeszcze nie. – Jeremiasz pokręcił głową. Jemu także wyrzuty sumienia wciąż nie dawały spokoju. Nie cieszyło go sprawianie przykrości wnukom, ale będzie mógł wyznać im wszystko dopiero, gdy zjawią się wszyscy trzej. Tam, gdzie ich miejsce. Jakby utwierdzając się w przekonaniu, kiwnął zdecydowanie głową, a potem spytał: – Powiedz, Bert, kiedy byłeś na dole, czy zauważyłeś, że coś dzieje się między Samem i Maggie?

Zaskoczony nieoczekiwaną zmianą tematu Bert gwałtownie zamrugał. Potem przez parę chwil zastanawiał się.

– Nie – odparł w końcu. – Nic takiego nie zauważyłem. Tym bardziej że Maggie nie było w domu. Sam otwierał drzwi. – Kręcąc niezdecydowanie głową, dodał: – Próbowałem porozmawiać z nim o osiedleniu się tutaj. O odkupieniu mojej praktyki.

Jeremiasz popatrzył na niego z zaciekawieniem.

– Co ci powiedział?

– To, co zawsze – odparł Bert. Westchnął ciężko i usiadł przy przyjacielu, na brzegu łóżka. Przez uchylone okno wpadały do pokoju powiewy wiatru i kołysały firanką. – On nie zamierza tutaj osiąść. Nie interesuje go to ani trochę. Chce praktykować medycynę na swoich warunkach.

– To przykre. – Jeremiasz westchnął jeszcze boleśniej i z cichym zgrzytem odkręcił butelkę. Pociągnął łyk i wyciągnął rękę do Berta. – Chłopcy są strasznie uparci. Strasznie.

Bert głośno prychnął. Także pociągnął spory łyk prosto z butelki.

– Zastanawiam się, gdzie się tego nauczyli?

Maggie szła wzdłuż sznura z bielizną. Odpinała drewniane zaciski i zdejmowała suche prześcieradła i poszewki. Starannie składała każdą sztukę i wkładała do stojącego u jej stóp kosza. Kiedy kończyła z kolejną porcją pościeli, nogą przesuwiała kosz.

Sam stał na werandzie za domem. Wsparł łokcie na balustradzie i obserwował Maggie. Kiedy Jeremiasz zajęty był na górze rozmową z Bertem, on poszedł za głosem instynktu. A ten przywiódł go tutaj.

Do Maggie.

Niechętnie przyznawał, nawet samemu sobie, że tak właśnie było. Zupełnie o to nie zabiegając, nawiązał z tą kobietą niezwykłą więź. Przyzwyczyił się, że widywał ją codziennie. Że słuchał jej śpiewu, kiedy myślała, że nikogo nie ma w pobliżu. Z przyjemnością obserwował, jak doglądała dziadka i prowadziła dom.

Boże! Jakże tęsknił za tym ranczem. Kiedy był dzieckiem, wakacje spędzane tutaj znaczyły dlań więcej niż cokolwiek innego. To miejsce, to stare ranczo, bardziej było mu domem niż którakolwiek z baz wojskowych, w których się wychowywał. Jego rodzice zawsze zbyt zajęci byli sobą, by poświęcać mu dość uwagi. Dlatego każde lato z dziadkiem i kuzynami traktował jak najcudowniejszy skarb. Zawsze wiedział i czuł, że tu było jego miejsce. W tym mieście. Na tym ranczu.

Oderwał wzrok od Maggie. Powiódł nim wkoło. Po przestronnym podwórzu. Po zabudowaniach. Stajnia i stodoła wymagały odmalowania. W kilku miejscach należało zreperować rynny. Miejscami widać było kępy chwastów. Dawniej żaden chwast nie miał tu szans na przetrwanie. Ale czasy się zmieniły.

Zbyt wiele się zmieniło.

Znowu wrócił do przyglądania się Maggie. Absolutnie nie zdawała sobie sprawy z tego, że była obserwowana. Powoli, systematycznie przesuwiała się wzdłuż rzędów czystej pościeli, którą wywiesiła do suszenia kilka godzin wcześniej. Miała na sobie białe szorty i kusą żółtą bluzeczkę. Białe niegdyś trampki były stare i znoszone. Długie do ramion, ciemne włosy związała w koński ogon, który kołysał się z każdym jej ruchem jak metronom.

W pewnym momencie Sam uświadomił sobie, że patrząc na nią, uśmiechał się.

– Jeśli zamierzasz stać tak dłużej – zawołała, nie odwracając głowy – to może przynajmniej pomożesz mi składać pościel!

Wyprostował się. Sapał z niezadowolenia. Ileż dałby za czapkę-niewidkę. Podszedł do Maggie wielkimi krokami.

– Skąd wiedziałas, że tam byłem?

Pochyliła na bok głowę i posłała mu zdziwione spojrzenie.

– Czulałam na sobie twój wzrok.

Wysoko uniósł brwi, a Maggie uśmiechnęła się.

– No dobrze, słyszałam, kiedy przyszedłeś. Siatkowe drzwi kuchenne wciąż skrzypią. – Wzruszyła ramionami. – Poza tym słyhać było stukot twoich butów na werandzie... Nie wspominając już o tym, że jakieś dwie czy trzy minuty temu westchnąłeś jak bardzo stary człowiek.

Palce Maggie nie zatrzymały się ani na moment. Odpinała zaciski, wrzucała je do wiszącej na sznurze płóciennej torby i składała kolejną część pościeli.

– Jesteś wyjątkowo spostrzegawcza – powiedział. Ujął podany mu brzeg prześcieradła.

– Owszem – przyznała. Zawinęła brzeg prześcieradła i ruszyła z nim do następnego. – I zauważyłam, że unikałeś mnie przez cały tydzień.

Promienie słońca mieniły się na jej włosach, malowały na nich złociste pasemka. Maggie zmrużyła oczy i podejrzliwie popatrzyła na Sama. W tym momencie po raz pierwszy zauważył, że miała na nosku jasne piegi. Nie za wiele. Tylko kilka. Akurat tyle, żeby mężczyzna zapragnął policzyć je pocałunkami.

I właśnie dlatego, powiedział sobie w myślach, unikałem cię przez cały tydzień.

Ani na moment nie zapomniał tamtej nocy. Nieustannie pragnął Maggie. Jak powietrza. Wciąż i wciąż, i wciąż.

Potrząsnął głową. Głośno wypuścił powietrze. Psiakrew! Trzymał ją w ramionach. Wiedział, co mógł tam znaleźć. I dlatego za wszelką cenę musiał trzymać się od niej z daleka.

– Jak już powiedziałem, jesteś spostrzegawcza.

W milczeniu złożyli prześcieradło. Potem następne. Na koniec Maggie wręczyła mu powłóczkę na poduszkę. Sobie zatrzymała następną.

– Hm – mruknęła. – Nawet nie spróbujesz zaprzeczyć?

– To chyba i tak nie miałyby sensu, prawda?

– Może w takim razie zechcesz powiedzieć mi, dlaczego mnie unikaszesz?

– Raczej nie – odparł.

– No, dobrze. To może ja powiem tobie? – Maggie... – Odłożył powłóczkę na stos czystej pościeli.

– Widzisz – przerwała mu – myślę, że nie chcesz rozmawiać o tamtej nocy, ponieważ ma to dla ciebie szczególne znaczenie. I to ci dokucza.

Zesztywniał. Oczy zwęziły się mu jak szparki. Maggie tymczasem podeszła już do następnego prześcieradła i wprawnie zdjęła je ze sznura.

– Już powiedziałem, że nie chcę cię skrzywdzić.

– Owszem. – Pokiwała głową. – Już o tym rozmawialiśmy.

– Dajmy więc temu spokój.

– Nie. – Stała przed nim, twarzą w twarz.

– Czemu nie jestem zaskoczony? Uśmiechnęła się smutno.

– Czy naprawdę tak trudno przyznać, że to była wyjątkowa noc?

- Nie – wyrzucił. – Była naprawdę wyjątkowa. Przyznaję. Ale nie mogę dać ci nic więcej.
- Nie prosiłam o nic więcej – przypomniała mu, wzdychając z lekkim zniecierpliwieniem.
- Tak, ale teraz poprosisz – powiedział. Spojrzał *jej* prosto w oczy. – To tkwi w twojej

naturze.

Maggie parsknęła śmiechem. A jego ten śmiech poruszył do głębi.

- W mojej naturze – powtórzyła drwiąco. – A skąd ty to możesz wiedzieć?

Wykonał nieokreślony ruch ręką.

– Jesteś domatorką, Maggie. Spójrz. Stąd widać zasłonki, które powiesiłaś w domku gościnnym. Zostawiłaś swój ślad w każdym zakątku tego miejsca, którego unikałem od piętnastu lat.

- Ale teraz tu jesteś.

– Tylko na lato – przypomniał jej. – Potem wyjadę.

– Ot, tak? Potrafisz tak po prostu wyjechać, kiedy już dowiedziałaś się, jak twój dziadek cię potrzebuje? Jak cię kocha?

Sam poczuł się niezręcznie. Znow wróciło poczucie winy.

- Nie mogę tu zostać – powiedział po chwili przez zaciśnięte zęby.

Pomału pokręciła głową. Wraz z nią zakołysał się jej kucyk.

- Nie, nie możesz – powiedziała. – Nie chcesz.

– Co za różnica? – W głosie Sama słychać było irytację.

Ale tym razem nie zrobiło to na Maggie wrażenia. Patrzyła na niego z tym samym uśmiechem. Na pół z rozczarowaniem, na pół z politowaniem.

– Jeśli nawet masz zamiar wyjechać z końcem lata, to teraz tutaj jesteś – przypomniała mu.

To prawda. Był tu. I pragnął jej. Rozpaczliwie. Na samą myśl jego całe ciało wyprężyło się, sztywniało. I brakowało mu powietrza w płucach.

– Ty nie jesteś kobietą na chwilę, Maggie – powiedział, kiedy zdołał zapanować nad sobą. – A ja nie mogę ci niczego obiecać.

– Stale zapominasz, że ja cię o nic nie prosiłam. – Podeszła do niego. Położyła mu dłoń na policzku. I zajrzała głęboko w oczy. – Co? Tylko mężczyźni mają prawo do przelotnych, gorących przygód?

Chwytał ją za rękę. Ślady jej palców na skórze paliły jak ogień.

- A co z resztą?

– Hm?

– Z ewentualną ciążą? – Nie do wiary, że musiał jej przypominać o czymś takim.

Widział w jej oczach, że zrozumiała, co miał na myśli.

– Jeszcze nie wiem – odparła. – Ale teraz i tak nic nie możemy zrobić. Po co martwić się na zapas?

– Może masz rację. – Sam wiedział, że gdzieś w głębi duszy nie pozbędzie się niepokoju.

– Tym razem możemy być ostrożni.

Głos Maggie wyrwał go z zamyślenia. Spojrzał w jej oczy i poczuł, jak jego postanowienie unikania tej dziewczyny topniało jak wosk. Jeśli będą ostrożni, a ona nie będzie oczekiwała od niego więcej, niż gotów był ofiarować...

Byłoby to czyste szaleństwo.

Głupota.

Olbrzymia.

Maggie czekała, by coś powiedział. Nie doczekała się. Wzruszyła ramionami.

– Tak czy siak – powiedziała w zadumie – i tak musimy zanieść pranie do domu.

Sam poczuł nagle, jakby ktoś wskazał mu drogę przez pole minowe. Przyglądał się Maggie idącej wzdłuż sznura po kolejną sztukę bielizny. Podziwiał kołysanie jej bioder, chociaż doskonale pamiętał, że tego właśnie miał unikać.

– Czemu nie użyjesz po prostu suszarki, która jest w domu?

– Bo w ten sposób wszystko ładniej pachnie. – Sięgnęła do sznura. Brzeg jej bluzeczki uniósł się nieco, odsłaniając skrawek opalanej skóry na brzuchu. To wystarczyło, żeby go podniecić. – Czuję wiatr i słońce... A w nocy śpię na takiej pościeli i śnię o lecie.

Byłoby wspaniale, pomyślał Sam i wcisnął ręce do kieszeni.

Chociaż tak naprawdę wszystko byłoby lepsze od snów, które zazwyczaj miewał.

– Poza tym – ciągnęła, podając mu krawędź kolejnego prześcieradła – kiedy byłam małą dziewczynką, zawsze marzyłam o tym, żeby mieć własny sznur do bielizny.

Sam stłumił śmiech.

– To zmienia postać rzeczy – powiedział prawie poważnie.

Zerknęła podejrzliwie. Potem popatrzyła w dół, na prześcieradło, które składali.

– Na końcu ulicy, tam, gdzie mieszkałam, stał dom. Właścicielka prawie całe dni spędzała na dworze. – Mówiła coraz ciszej, głosem coraz bardziej miękkiem. Sam zrozumiał, że Maggie właśnie oglądała własne wspomnienia. – Miała wielkiego, złotego psa, który chodził za nią po podwórku krok w krok. I kiedy rozwieszała pranie, głośno się do niego śmiała. Czasami – dodała, uśmiechając się – wraz z nią wychodziły także dzieci. Wszyscy razem bawili się w chowanego. Mieli czyste ubranka i wyglądali tak... ładnie.

– Twoja mama nie zwracała specjalnej uwagi na ubranie, prawda?

Maggie spoważniała. Mgielka zasłoniła jej oczy.

– Nie wiem, jaka była moja mama – powiedziała. Słychać było smutek w jej głosie. – Nie znałam jej.

Zobaczyła, że Sam zawstydził się.

– Przepraszam – powiedział.

Wzruszyła ramionami. Poprawiła ramiączko bluzeczki, które zsunęło się z ramienia.

– To nie twoja wina – powiedziała. – Nie wiedziałeś.

– A twój ojciec? Zmusiła się do uśmiechu.

– On także jest wielką zagadką. Oboje umarli, kiedy byłam mała. Wtedy trafiłam w szpony systemu i tkwiłam w nim do osiemnastego roku życia. Ta sąsiadka, o której mówiłam,

pamiętasz, mieszkała na końcu ulicy, przy której był dom dziecka.

– Nie zostałeś adoptowana?

– Nie. Większość ludzi woli małe dzieci. Nie patrz na mnie z takim współczuciem – rzuciła Maggie. Już dawno nie potrzebowała litości. A już na pewno nie chciała jej od Sama.

– Poradziłam sobie z tym. Byłam w kilku rodzinach zastępczych, ale w domu dziecka wcale nie było najgorzej. – Nie chciała dalej o tym mówić. – Mniejsza z tym. Teraz mam sznur do bielizny pod ręką i mogę sobie poużywać.

Na szczęście nie pytał więcej o jej dzieciństwo. Nie było wesołe i kolorowe. Raczej jak z powieści Dickensa. Ale to już przeszłość. Minęło. Teraz powinna myśleć o dziś i o przyszłości.

– Używasz sobie, chociaż masz w ten sposób więcej pracy.

– Czasami lepiej jest mieć więcej pracy.

– Twoja przeciętna z ostatnich dni chyba cię nie zadowala.

Uśmiechnęła się do niego.

– Kto chciałby być przeciętny? – spytała.

– Słusznie. – Dokończył składać prześcieradło i rozejrzał się po podwórzu. – Wiem, czego ci jeszcze brakuje do twoich pralniczo-suszarkowych rozrywek. Dziadek miał psa.

– Wielka Stopa. – Maggie smutno pokiwała głową.

– Wiem. Zdechł w zeszłym roku.

– W zeszłym roku?! – Sam gwizdnął przez zęby. – Musiał mieć chyba ze dwadzieścia lat.

– Prawie. Do końca był bardzo żwawy. Jeremiasz bardzo przeżył jego śmierć. Powiedział, że to był ostatni jego łącznik z tobą i twoimi kuzynami.

Sam przyłożył dłoń do piersi i pomasaował, jakby jej słowa boleśnie go trafiły.

– Nie powinieneś trzymać się z daleka aż tak długo – powiedziała.

Sam otaksował Maggie.

– Nie mogłem wrócić. Nie mogłem znaleźć się tutaj... w otoczeniu wspomnień. Nie mogłem tego zrobić.

– Ale teraz to robisz.

– Z trudem – prychnął.

– Może z biegiem czasu będzie ci łatwiej?

– Nie, nie będzie.

– Spróbuj. Dla niego. – Kiwnęła głową w stronę domu.

– Tylko dla niego w ogóle tutaj przyjechałem. – Uniósł rękę i zacisnął dłoń na nylonowym sznurze.

Mocno. Jakby to była lina rzucona rozbitkowi na morzu.

– To nie była twoja wina. – Słowa same wyrwały się jej z ust.

I gdy tylko zabrzmiały, Maggie wiedziała, że popełniła błąd.

Rysy Sama zastygły. Zacisnął szczęki. Niemal usłyszała zgrzytanie zębów. Natomiast jego wzrok, ponury i pełen cierpienia sprawił, że ścisnęło się jej serce.

– Nic o tym nie wiesz – powiedział.

– Powinieneś porozmawiać o tym. Opowiedz mi. Po raz kolejny parsknął krótkim śmiechem. Pokręcił głową.

– Opowiadanie o tym niczego nie zmieni. Nie pomoże. Tylko wszystko znowu do mnie wróci.

– Sam – powiedziała Maggie cicho – nic do ciebie nie musi wracać. Jest z tobą cały czas.

– Boże. Wiem o tym. – Odetchnął głęboko, jakby próbował się uspokoić. Po chwili odezwał się, lecz na zupełnie inny temat. – Jak to się stało, że znalazłaś się na ranchu Lonerganów, że zaczęłaś pracować dla Jeremiasza?

Skinieniem głowy Maggie zaakceptowała taki zwrot rozmowy. I była pewna, że dostrzegła błysk ulgi w oczach Sama. Podała mu brzeg następnej sztuki pościeli. Od pewnego czasu składali je w stałym rytmie, jak doskonale zgrany duet. I Maggie po raz kolejny pomyślała, że chciałaby stworzyć z nim taki zespół także w innych sprawach.

– Mój samochód zepsuł się – powiedziała. – Tuż przy głównej bramie rancha. – Zamyśliła się, przywołując wspomnienia. – Zepsuł się, to za mało powiedziane. Raczej kompletnie się rozsypał.

Kąciki ust Sama uniosły się niemal niezauważalnie. Zastanawiała się przez chwilę, jak Sam wygląda, kiedy uśmiecha się naprawdę. Kiedy się śmieje.

– Mniejsza z tym – powiedziała. – Jeremiasz zaprosił mnie do domu, dał śniadanie, zadzwonił po mechanika. I kiedy czekaliśmy, żeby holownik odwiózł moje auto na złomowisko, twój dziadek zaproponował mi pracę. Jako gospodyni.

– To mi wyjaśnia, w jaki sposób tutaj się znalazłaś – powiedział. Odłożył kolejną sztukę pościeli na stos.

– Teraz wyjaśnij mi, dlaczego nadal tutaj jesteś.

Maggie wyprostowała się. Potoczyła dookoła wzrokiem. Poza zabudowania, na pola i łąki. Na błękitne niebo. Na budynki sąsiedniego rancha w oddali.

Na koniec popatrzyła na Sama.

– A dlaczego nie? – spytała. – Tutaj jest pięknie. Lubię małe miasteczka. Kocham twój dziadek...

Wiele mu zawdzięczam. Dał mi miejsce na ziemi, które mogę nazwać moim.

Proste słowa, a tak wiele dla niej znaczyły. Zapewne znacznie więcej, niż Sam mógł naprawdę zrozumieć. Nikt, kto miał dom i rodzinę, nie zdoła pojąć, co znaczy tego nie mieć.

– Poza tym – ciągnęła – pracując dla Jeremiasza, miałam czas na naukę na uczelni we Fresno.

– Co studiowałaś?

– Pielęgniarstwo. Ja... lubię opiekować się ludźmi.

– Jeremiasz i doktor Evans mówią, że jesteś w tym dobra.

– Dziękuję.

– Nie ma za co.

Rozmowa toczyła się gładko, bo byli zajęci pracą. We dwoje. I tylko we dwoje.

Popołudniowe słońce paliło coraz mocniej. Delikatne podmuchy wiatru poruszały liśćmi, podnosiły obłoczki kurzu, ale były zbyt słabe, by dawać ochłodę.

Czas płynął.

Sam spojrzął na Maggie, a ona zaczęła zastanawiać się, o czym myślał.

Zastanawiała się, czy jeszcze kiedyś ją pocałuje. Na samą myśl serce zadudniło jej w uszach. I zabrakło powietrza w płucach. Usta wyschły, a krtań boleśnie się zacisnęła.

A Sam patrzył i patrzył. Jego ciemne oczy przesywały Maggie na wylot. Hipnotyzowały ją. Było w nim coś, co sprawiało, że zaczynały drzeć najtajniejsze struny jej duszy. Nie zaznała czegoś podobnego nigdy wcześniej.

Boże! Jakże marzyła, żeby znów poczuć na wargach jego usta!

A Sam, jakby czytał w jej myślach, wbił wzrok w wargi Maggie. Serce skoczyło jej do gardła.

Kiedy wyciągnął do niej ręce, pochyliła się. Poczowała jego dłonie na ramionach i wstrzymała oddech.

Sam pochylił głowę i szepnął:

– Chyba mamy zamiar znów popełnić ten sam błąd, prawda?

Poczowała na twarzy jego oddech. Nabrała powietrza. Spojrzała mu prosto w oczy i powiedziała:

– Wszystko na to wskazuje.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Doczekała się.

Usta Sama dotknęły jej ust i Maggie bezwiednie pochyliła się do przodu. Oparła się o szeroką pierś Sama.

Rozchyliła usta. Westchnęła i poddała się rozkoszy chwili. Zdecydowanie uciszyła nieśmiało ostrzeżenia, które rodziły się w jej duszy.

Sam zamknął ją w objęciach, przytulił ze wszystkich sił. Żar jego ciała sprawił, że Maggie zaczęła topnieć jak воск.

Zarzuciła mu ramiona na szyję i przywarła do niego swym ciałem. Sam oderwał wargi od jej ust i zaczął znaczyć pocałunkami jej szyję. Maggie odrzuciła głowę do tyłu. Niewidzące spojrzenie wbiła w czyste niebo. Jej kolana zaczęły dygotać.

Delektowała się każdą chwilą.

– Hm, hm – rozległ się niski, głęboki głos. – Przepraszam, nie chciałem przeszkadzać.

Oj!

Czar prysł. Kiedy Sam uniósł głowę, by zobaczyć, kto do nich przemówił, Maggie zachwiała się. Na tylnej werandzie stał doktor Evans, Zakłopotany, chusteczką do nosa staranie czyścił okulary.

– Witaj, doktorze. – Sam cofnął się o krok i uwolnił Maggie z objęć, choć tylko on wiedział, jak wiele go to kosztowało.

Wciąż dygotał i drżał z podniecenia. Za jego plecami Maggie nerwowo poprawiała bluzeczkę i włosy.

– Chciałem tylko powiedzieć Samowi, że odjeżdżam – powiedział doktor.

Włożył okulary na nos i schował chusteczkę do kieszeni.

– Jak się czuje Jeremiasz? – spytała Maggie, lekko zdyszana.

Ale chyba tylko Sam to zauważył.

Doktor podszedł kilka kroków, spojrzał na zegarek i powiedział:

– Wygląda... lepiej.

Sam uważnie przyjrzał się starszemu panu. Krew wciąż w nim kipiała. Z trudem nad sobą panował. Ta dziwna, nieokreślona „choroba” dziadka bardzo go irytowała.

To chyba dobra okazja, żeby zadać kilka pytań, pomyślał.

– Czy ustalił pan ostatecznie, co mu jest?

– Jeszcze nie. Hm, wciąż jeszcze robię badania... – Evans zaczął kręcić się nerwowo. Odwrócił wzrok. – Ja, hm, wszystkiego dopilnuję. Nie martw się.

– Doktorze... – Instykt podpowiadał Samowi, że działo się coś tajemniczego. Bert Evans i Jeremiasz byli najlepszymi przyjaciółmi i od bardzo dawna kumplami od wędkowania. Jeden dla drugiego zrobiłby wszystko. Wszystko. Sam podszedł do starszego pana i spojrzał mu w oczy. – Czy jest coś, co powinienem wiedzieć?

Doktor nerwowo poprawił kołnierzyk koszuli i z trudem przełknął ślinę. Wciąż unikając wzroku Sama, przecząco pokręcił głową.

– Nie, nic, chłopcze – odparł. – Wszystko jest tak, jak powinno być.

– Czyżby? – Sam skrzyżował ramiona.

Stanął mocniej na szeroko rozstawionych nogach i czekał.

Zapadła cisza. Poryw wiatru poderwał z ziemi tuman kurzu. Starszy pan przestąpił z nogi na nogę. Rozejrzał się dookoła.

– On symuluje, prawda?

Bert podniósł oczy i Sam nie musiał już nawet czekać na odpowiedź. Doktor zaczerwienił się.

– Czemu tak uważasz? – spytał. Wyraźnie unikał odpowiedzi.

– Ponieważ – zaczął Sam pomału – jestem pewien, że gdyby z Jeremiaszem naprawdę było tak źle, jak obaj staracie się mi wmówić, to zabralby go pan do szpitala. Albo w najgorszym razie przez cały czas byłaby przy nim pielęgniarka.

– Maggie jest na miejscu – zauważył doktor.

– Owszem – powiedział Sam. Usłyszał za plecami, że Maggie podeszła bliżej. – I radzi sobie doskonale.

Ale nie jest dyplomowaną pielęgniarką. Przynajmniej jeszcze nie – dodał. – Dlatego zacząłem podejrzewać, że Jeremiasz mnie oszukuje. A może i pan?

Starszy pan chrząknął, potarł dłonią po brodzie, potem głośno wypuścił powietrze. Ale nie odezwał się słowem.

– Doktorze Evans – spytała wtedy Maggie, wychodząc zza Sama – czy Jeremiasz jest chory, czy nie?

Doktor głośno sapnął. Przełknął ślinę.

– Nigdy nie chciałem cię okłamywać, Maggie. Ani ciebie, Samie.

– Nie wierzę – mruknęła Maggie.

– A ja tak. – Sam potrząsnął głową. – Stary cap zwabił nas tu podstępem.

Oczy Berta zapłonęły. Wyprostował się, jakby ktoś wbił mu w plecy żelazny kolec. Pogroził Samowi palcem, jakby ten wciąż był małym chłopcem.

– Wstyd, że staruszek w ogóle musiał uciekać się do takich metod, żeby zobaczyć się z wami! – zawołał gniewnie. – Nie byliście na ranchu od tamtego lata. Uważasz, że to jest w porządku? Że tak należy traktować dziadka? Wyrzucając go ze swojego życia?

– Nie, ale... – Sam wcisnął ręce do kieszeni i cofnął się o krok.

Dostrzegł wbite w siebie spojrzenie Maggie.

– Nie ma żadnego ale, chłopcze – kontynuował doktor Evans. – Dla tego „starego capa” wy trzej jesteście całym światem. Nic dziwnego, że robił, co mógł, żeby was tu ściągnąć, prawda?

Prawda. Jeśli doktor chciał zawstydzić Sama, udało mu się. Ale nikt nie był w stanie zrozumieć, jak trudny był dla niego powrót do Coleville. Do tego miejsca, które kiedyś było wszystkim. I jak bardzo chciał zapomnieć.

– To był wypadek – powiedział doktor cicho. – Ale wy trzej kazaliście Jeremiaszowi

zapłacić za to samotnością. To nie jest w porządku.

Sam nie mógł wydobyć głosu ze ściśniętego gardła. Doktor miał rację. Jeremiasz poniósł karę za coś, czemu nie zawinił. Sam i jego kuzyni odepchnęli od siebie ranczo i staruszka, by swoje życie uczynić łatwiejszym. Nigdy nie zastanowili się, jak takim postępowaniem skrzywdzili dziadka. Jakimi okazali się draniami.

Sam nerwowo potarł ręką po policzku i odwrócił się. Nie mógł znieść oskarżycielskiego spojrzenia doktora Evansa. Wielki krokami ruszył przez podwórze. Zatrzymał się dopiero przy ogrodzeniu. Wbił spojrzenie w dal, na rozciągający się po horyzont krajobraz. Wiatr targał mu włosy. Sypnął kurzem w oczy. Gorące słońce paliło, jakby stał u wrót piekła.

Słyszał za plecami, jak Maggie dziękowała doktorowi i żegnała się z nim. Słyszał oddalające się kroki doktora. Wstyd palił mu policzki. On i kuzyni zmusili dziadka, żeby symulując poważną chorobę, mógł znowu ich zobaczyć.

– Wszystko w porządku?

Maggie stanęła za nim. Położyła mu rękę na ramieniu. Prostota tego gestu, gorąco dotyku i delikatność głosu sprawiły, że przyczajony na dnie duszy ból pękł. Wypełnił mu pierś.

– Nie – odparł, nie patrząc na nią. – Nie sędzę. Westchnęła.

– Jeremiasz nie postąpił dobrze – powiedziała. – Nie powinien był straszyć ciebie i twoich kuzynów... Ani mnie.

Sam pomału odwrócił głowę i spojrzał na nią. Zauważył w jej ciemnych oczach lęk.

– Nie powinien był straszyć ciebie – powiedział. – My sobie na to zasłużyliśmy.

– Jesteś dla siebie bardzo surowy. Roześmiał się.

– Czy to nie ty przypadkiem mówiłaś, że nigdy nie powinienem uciekać?

– Tak – odparła. – Ale to właśnie Jeremiasz najlepiej powinien rozumieć, co czułeś.

– Nie. – Położył jej ręce na ramionach. – Nie mógł, ponieważ nie zna całej prawdy.

– Opowiedz mi. – Chwyciła go za ręce. – Opowiedz mi, co się stało.

Poczuła, jak palce Sama wbiły się w jej ramiona. Wyczuła emanujący z niego ból i zapragnęła jakoś mu ulżyć. Nie mogła jednak nic zrobić... dopóki on nie powie, co przez tyle czasu zadawało mu tyle cierpienia. Co sprawiło, że przez lata uciekał od domu dziadka, który kochał tak bardzo.

– Sam...

Gwałtownie wciągnął powietrze i wypuścił je z głośnym gwizdem.

– Przyjeżdżaliśmy tutaj każdego lata. Było nas czterech. Niemał w tym samym wieku. Nasi ojcowie byli braćmi, a i my byliśmy bardziej jak bracia niż kuzyni.

Delikatna mgielka przysłoniła mu spojrzenie. Patrzył w przeszłość. Nie widział Maggie. Tylko uścisk na jej ramionach stawał się coraz mocniejszy.

– Ja, Cooper, Jake i Mac. – Uśmiechnął się smętnie. – Ja byłem najstarszy, Mac najmłodszy. Chociaż to nie miało żadnego znaczenia.

Kolejny powiew wiatru zakręcił pyłem z podwórza, podniósł miniaturową trąbę powietrzną.

– Mac był wspaniały. Niezwykle inteligentny. Miał dopiero szesnaście lat, ale głowę pełną nadzwyczajnych pomysłów. – Sam nadal uśmiechał się, lecz Maggie wyczuwała budzące się w nim napięcie. – Tamtego roku wymyślił biznes, który miał przynieść nam wielkie bogactwo.

– Naprawdę? – Maggie uśmiechnęła się do niego. – Co to było?

Odplącił jej uśmiechem i pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia. Mac i Jake pasjonowali się motocyklami... ciągle przy nich grzebali, poprawiali, ulepszała. Tamtego lata powiedzieli, że wynaleźli coś, co bardzo usprawni pracę silnika i sprawi, że wszyscy będziemy milionerami. – Uśmiech z wolna odpływał z jego twarzy. – Mieli rację. Zyski z tego wynalazku były niewiarygodne. Tylko Mac już tego nie dożył.

– Opowiedz mi, co się stało.

Wsunął ręce do kieszeni i cofnął się. Odsuwał się od niej? Czy od dręczących go wspomnień?

– Urządziliśmy zawody – powiedział z goryczą w głosie. – Skakaliśmy kolejno do jeziora. Dostawało się punkty za odległość i za czas, jaki wytrzyma się pod wodą.

Współczucie ścisnęło serce Maggie. Wyciągnęła ku niemu rękę, lecz on pokręcił głową.

– Pozwól mi... pozbyć się tego. – Przełknął z trudem ślinę. Wbił wzrok w dal. W przeszłość. – Przyszła kolej Maca. Jake przeskoczył nas wszystkich. – Głuchy śmiech wydarł mu się z gardła. – Mac nienawidził przegrywać. Wziął wielki rozbieg, odbił się i poleciał najdalej. Jake wkurzył się. Ale Mac, żeby wygrać, musiał zostać pod wodą dłużej niż on.

– O Boże... – Wiedziała, co będzie dalej. Wiedziała, że tamtego lata Mac umarł, a jego śmierć sprawiła, że kuzyni odwrócili się od tego wszystkiego, co wcześniej tak kochali.

Sam mówił dalej, jakby nie usłyszał Maggie. – Ja mierzyłem czas. Miałem stoper Jeremiasza. Kiedy minęły dwie minuty, zacząłem się niepokoić.

– Dwie minuty? Przecież to strasznie długo.

– Nie dla niego. Robił to wcześniej już nieraz. Ale tym razem... – Potrząsnął głową. – Było jakoś... inaczej. Nie wiem dlaczego. Powiedziałem do Coopera, że powinniśmy pójść po niego, ale on chciał, żeby Mac pokonał Jake'a. Powiedział, żeby dać mu jeszcze kilka sekund. Czekaliśmy. Powinniśmy pójść po niego, ale czekaliśmy. – Oczy zaszkliły się mu łzami. Otarł je gniewnym ruchem. – Nie my. Ja. Ja powinienem był pójść po niego. To ja wiedziałem, że działo się coś złego. Że Mac ma kłopoty. Ale czekałem.

– Sam... – Serce Maggie ścisnęło się bolesnym współczuciem.

– Czekałem. Stałem na brzegu i mierzyłem czas. Boże. A Mac w tym czasie umierał.

– Jesteś dla siebie zbyt okrutny. Zawsze byłeś. Posłał jej wściekłe spojrzenie.

– Nie słuchałaś mnie? Wiedziałem, że on miał kłopoty!

– Miałaś tylko złe przeczucie. Przecież też byłeś jeszcze dzieckiem.

– Byłem najstarszy. Powinienem był wiedzieć lepiej. Głupotą było skakanie z brzegu. Po dwóch minutach i piętnastu sekundach nie wytrzymałem. Wskoczyłem do wody. Pozostali

popędzili za mną. Woda w jeziorze była mętna. – Zmrużył oczy, jakby wciąż próbował przebić spojrzeniem mroczne wody. – Zbyt długo go szukaliśmy. Całą wieczność. Leżał na dnie. Wyciągnęliśmy go na brzeg. Położyliśmy na piasku i próbowaliśmy ratować. Ale było już za późno. Nie żył. Mac był martwy.

Maggie ścisnęła go za ramię. Czuła pod palcami jego naprężone, twarde jak stal mięśnie.

– Tak mi przykro, Sam. Ale to nie była twoja wina.

– Wszyscy tak mówili – westchnął ciężko. – Doktor Evans badał... ciało. Powiedział, że Mac złamał kark podczas skoku i nieprzytomny utonął. Później nic już nie było takie samo.

– Uciekłeś, Samie – powiedziała. Czuła, że nie chciał jej współczucia. – Dokonałeś wyboru. Ty i pozostali. A nie musiałeś. Nikt cię nie obwiniął.

– Ja sam siebie obwinałem. Mac utonął. Podczas gdy my wszyscy staliśmy na brzegu i mierzyliśmy czas, on umierał.

– Nie jesteś jasnowidzem. Nie mogłeś wiedzieć, że złamał kark.

Potrząsnął głową. Nie chciał jej słuchać. Nie chciał pozbyć się brzemienia winy, które dźwigał tak długo, że stało się jego częścią. – Powinienem wiedzieć, że miał kłopoty. Gdybym pobiegł do niego od razu, mógłbym go uratować.

– Złamał kark – przypomniała cicho.

– Miał dopiero szesnaście lat.

– Wiem... – Położyła mu dłoń na piersi. Czuła gwałtowne bicie jego serca. – Ale czy ucieczka z Coleville przyniosła ci ulgę?

– Nic nie przyniosło mi ulgi.

– To czemu trzymałeś się z daleka? Czy nie mogłeś... Nie wiem... Uczcić pamięci Maca, przyjeżdżając tutaj? Mogłeś osiedlić się w mieście. Praktykować tutaj, żyć. Być szczęśliwym.

Przez moment nadzieja rozjaśniła jego spojrzenie, lecz prędko zgasła. Jakże chciałby przyznać jej rację. Powiedzieć: tak, zostanę tutaj. Osiedlę się w Colleville, zamieszkać na ranczu. W miejscu, do którego tak długo tęskniłem.

Ale nie mógł.

Zawiódł Maca.

I nie wolno mu było być szczęśliwym.

Skrzywił się, kiedy spytała, z zawodem w głosie:

– Naprawdę uważasz, że Mac chciałby, żebyście cierpieli do końca życia? Żebyście unikali miejsca, które tak bardzo kochaliście?

– Nie, nie chciałby – szepnął. Ostrożnie, samymi czubkami palców, dotknął jej policzka.

– Ale to nie ma znaczenia. Nie dla mnie. Ani dla pozostałych.

– Zatem kiedy lato minie, wyjedziesz?

– Tak – wydusił przez ściśnięte gardło.

– I nigdy nie wrócisz. – Tak.

– Nieważne, jak daleko odjedziesz, Samie, nigdy nie zdołasz uciec od swojej przeszłości.

Ja to wiem. Próbowалам.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

– Jesteś na mnie zła, prawda?

Maggie układała właśnie w komodzie wyprane ubrania Jeremiasza. Słyszając jego głos, odwróciła się. Wyglądał na zmartwionego. I wystraszonego. Jak dziecko, które podkrađło ciastko i zjadło je przed obiadem.

Chociaż wciąż miała do niego żal, że okłamał ją, to przecież... Świadomość, że był zdrów, ogrzewała jej serce. Przez te dwa lata stał się jej bardzo bliski. I bardzo ważny. Ten samotny starzec stał się dla niej rodziną, o której marzyła. Myśl, że mogłaby go stracić, przerażała ją.

– Zła? – powtórzyła, kręcąc głową. – Nie, już nie. Ale byłam. Kiedy doktor Evans powiedział nam prawdę.

– Naprawdę bardzo mi przykro, Maggie – powiedział Jeremiasz. Przyglądał się jej spod krzaczastych brwi. – Jeśli ci to pomoże, powiem, że bardzo nie lubiłem cię okłamywać.

Popołudniowe słońce lśniło na jego siwych włosach. Przez uchylone okno wpadał do sypialni wiatr i tarosił zasłony. W oczach Jeremiasza była nadzieja i niema prośba o wybaczenie.

Miłość, słodka i potężna, zalała serce Maggie. I już wiedziała, że nie będzie umiała boczyć się dłużej. Uśmiechnęła się do niego.

– Cieszę się, że jesteś zdrowy, Jeremiaszu. Przeraziłeś mnie.

Skrzywił się. Wyszedł z łóżka. Stał, zgarbiony, z opuszczonymi ramionami.

– Przepraszam za to wszystko. Ja tylko... Nie znalazłem innego sposobu, że ściągnąć do domu moich chłopców.

Właściwie rozumiała jego desperackie pragnienie. Ale przecież okłamał ją.

– Wystraszyłeś wszystkich.

– Wiem.

– Sam jest naprawdę wściekły. Westchnął ciężko.

– Spodziewałem się tego. Ale jest tutaj. A to najważniejsze. I zostanie przez całe lato. Tak jak pozostali. Przyrzekli mi.

– Dlaczego to zrobiłeś, Jeremiaszu? Wiem, że tęskniłeś za nimi. Ale dlaczego teraz? Dlaczego właśnie tego lata?

Znowu uśmiechnął się. Widać było, że cieszyło go, że był taki tajemniczy.

– Tego nie mogę ci jeszcze powiedzieć, Maggie. Wyjawię mój sekret dopiero, kiedy wszyscy moi chłopcy tu będą.

– Jesteś uparty jak Sam. – Pomału pokręciła głową. Odwróciła się i dalej układała jego koszule w szufladzie.

– Lubisz go, prawda? Zerknęła przez ramię.

– Jeremiaszu...

Uniósł obie dłonie i rozpromienił się.

– Tak tylko pytam. Przyglądałem się wam... jestem już zbyt stary, żeby nie dostrzec czegoś między wami.

Zapłonila się. Miała nadzieję, że nie zorientował się, jak mocno między nimi zaiskrzyło. Na samo wspomnienie tamtej nocy z Samem serce Maggie zaczęło bić szybciej. I zrobiło się jej gorąco. Wciąż pamiętała tamto rozkoszne szaleństwo. Ale nie tylko to. Od tamtej pory przyglądała się Samowi nieustannie. Gdy rozmawiał z Jeremiaszem. Gdy pomagał małej Katie. Widziała jego delikatność i cierpiała z powodu jego samotności. Dotykał jej na tak wiele sposobów, ale...

– To nie ma znaczenia, Jeremiaszu. On i tak wyjedzie.

– Pozwolisz mu?

– To nie zależy ode mnie – rzuciła. – Dobrze o tym wiesz. Sam opowiedział mi o Macu. Starszy pan oklapł jak przedziurawiony balon.

– To było naprawdę straszne. – Głos mu nieco drżał. – Ale czas już najwyższy, żeby oni wszyscy zjawili się tutaj, zmierzili się z tym. Nauczyli się w końcu żyć bez Maca.

– Nie wiem, czy Sam będzie potrafił – wyszeptała Maggie.

Wciąż pamiętała wyraz jego oczu, kiedy opowiadał jej tę straszną historię.

– Mam nadzieję, że mylisz się, Maggie.

Kilka godzin później Sam stał przy kuchennym oknie i patrzył na domek Maggie po drugiej stronie podwórza. Była letnia noc. Czyste niebo roziskrzone gwiazdami, rozjaśnione księżycem w pełni. Wiatr szeleścił w liściach drzew. Jakby tłum ludzi czynił szeptem zakłady, czy Samowi uda się trzymać z daleka od Maggie, czy też nie.

On sam nie odważyłby się nawet zakładać.

Z salonu dolatywały dźwięki z telewizora. Jeremiasz, który nie musiał już symulować choroby, oglądał jakiś bardzo hałaśliwy program.

Sam spowaźniał. Wetknął ręce do kieszeni. Odbył przed obiadem burzliwą rozmowę z dziadkiem. Wyrzucił z siebie całą gorycz. Powiedział mu, jak obrzydliwie postąpił, udając, że był umierający. Strasząc wszystkich śmiertelnie.

Jeremiasz go przeprosił. Ale potem dodał na swoje usprawiedliwienie:

– Jest mi przykro, że sprawiłem wam przykrość, chłopcy, ale w dniu, w którym umarł Mac, straciłem nie jednego wnuka, ale czterech. Nie możesz mieć mi za złe, że próbuję ich odzyskać.

To była prawda. Sam nie mógł go oskarżać. Nie mógł gniewać się, że został podstępem zwabiony na ranczo. Bo naprawdę tęsknił za tym nieznośnym staruszkim.

Sam otworzył kuchenne drzwi i wyszedł na werandę. Kiedy zamknął drzwi, ucichł hałas z telewizora. Letnia noc była ciepła. Tylko czasem powiew wiatru odrobinę chłodził powietrze. Opadły go nagle wspomnienia z dzieciństwa. Zamknął oczy i skoncentrował się na przeszłości. Wąchał znajome zapachy.

Z oddali doleciał go cichy pomruk zbliżającej się burzy.

Wkrótce spadnie deszcz, pomyślał.

Spojrzał w niebo. Wielkie, ciężkie chmury nadciągały z nad horyzontu, pokrywały ranczo głębokim cieniem. Ileż to burz obserwował razem z kuzynami z przytulnego schronienia na werandzie? Ileż nocy przesiedzieli na niej ze szklankami lemoniady w dłoniach, obserwując błyskawice, rozmawiając o dziewczynach, szkole, samochodach i innych równie ważnych dla chłopców sprawach? Byli bardzo zżyci.

Dlatego śmierć Maca wstrząsnęła nimi tak bardzo. Nie wiedzieli, jak rozmawiać. Zostało ich tylko trzech. Zachwiana została równowaga. Jakby trzynogi pies próbował biegać. Próbowali, aż w końcu dali spokój.

Pierwsza błyskawica przedarła się przez zasłonę chmur. Zaraz za nią grzmot uderzył w dom. Zadrżała szyba w drzwiach za jego plecami.

Sam oparł się o balustradę, wcisnął ręce do kieszeni i zapatrzył się na dom Maggie. Musiał bardzo się starać, żeby nie pójść przez podwórze, nie zastukać do jej drzwi i poprosić, by go wpuściła.

Od wielu lat żył na własny rachunek... Ale nigdy nie czuł się aż tak bardzo samotny.

I po raz pierwszy w życiu zaczęło mu to doskwierać.

Po drugiej stronie podwórza drzwi otworzyły się. Dosięgła go smuga światła. Maggie wyszła na zewnątrz.

– Zamierzasz tam stać przez całą noc? Serce Sama drgnęło.

– Myślałem o tobie – powiedział.

Przechyliła głowę, spojrzała w niebo. Potem popatrzyła na niego.

– Chyba będzie padało – powiedziała.

Kolejny grzmot zadudnił głucho. Kolejna błyskawica przecięła niebo.

– Chyba tak – przytaknął.

Nie mógł oderwać od niej oczu, żeby popatrzeć do góry. Stała jak tancerka, pełna gracji. Zrobiła krok w stronę barierki. Siatkowe drzwi za nią zatrzęsły się. Padające od tyłu światło sprawiało, że wyglądała jak senne marzenie.

– Zmkniesz, jeśli będziesz tam stał. Naturalny zimny prysznic.

Może to niegłupi pomysł?

– Być może – bąknął.

– Tutaj będzie ci lepiej.

– Ale mniej bezpiecznie – zauważył.

Pomysł, żeby pójść do Maggie, zanurzyć się w jej ciepłe, niemal powalił go na kolana.

– Aż tak ci zależy na bezpieczeństwie? – spytała.

– Staram się. Dla twojego dobra. Popatrzyła na niego uważnie.

– I chcesz mi wmówić, że nie jesteś dobrym człowiekiem?

– Nie jestem. Naprawdę.

Następna błyskawica zaalała podwórze jaskrawym zimnym światłem. Grzmot przetoczył się nad dachami. Sam zadrżał.

– Nie wierzę ci.

– Cholera – mruknął i przeskoczył przez barierkę. Wściekłość aż odbierała mu dech w piersi. Czy nie widziała, ile wysiłku włożył, żeby zapanować nad sobą? Pierwsze krople deszczu spadły mu na głowę, ale nie zwrócił na nie uwagi. Nogi niosły go przez podwórze wielkimi krokami. Zatrzymał się przed schodami werandy Maggie.

– Staram się, jak mogę, trzymać się od ciebie z daleka, Maggie – powiedział.

– A kto cię o to prosił? – Uśmiechnęła się.

– Ty powinnaś.

– Nie sędzę.

Błyskawica jak lampa w dyskotecie ukazała mu szalone emocje w jej oczach. Dzikie i groźne.

– Myślę, że jesteś lepszym człowiekiem, niż starasz się udawać.

Przesunął dłoń po twarzy. Starł pierwsze krople deszczu.

– To dlatego, że mnie nie znasz.

– Och. Myślę, że jednak cię znam – powiedziała. – Na przykład wiem, że jesteś wolontariuszem w „Lekarzach bez granic”... Pomagasz dzieciom.

– Bo mogę zrobić coś dla nich i wyjechać. Bo to jest szlachetne i bezpieczne. – Deszcz lunął wielkimi kroplami. Grzmot zadudnił nad nimi. Błyskawica przecięła niebo. Sam uniósł głowę ku Maggie. Krople deszczu wpadały mu do oczu i jak łyzy spływały po policzkach. – Robię swoją robotę i wyjeżdżam. Nic mnie nie trzyma. Żadnych przyjaciół. Nic mnie nie obchodzi.

– Obchodzi cię – upierała się. A on zastanawiał się, czemu go nie słuchała. – Obchodzi cię bardziej, niż chciałbyś.

– Mylisz się. Podróżuję po kraju. Pracuję w różnych miejscach po kilka miesięcy i wyjeżdżam. Nie zostaję, Maggie. Nigdzie. Nie chcę się przywiązać. Nie chcę, żeby znowu mnie coś obchodziło. Tylko w ten sposób mogę ustrzec się przed kolejnym rozdarciem serca.

Dotknęła jego policzka. Samymi opuszkami. Ostrożnie starła wilgoć, odgarnęła z czoła wilgotne włosy.

– Jeśli chcesz bronić się, proszę bardzo. Ale nie musisz bronić mnie przed tobą, Samie. Jestem dużą dziewczynką. Sama podejmuję decyzje.

– Gdybyś miała odrobinę rozumu – burknął – odesłałabyś mnie do diabła.

Uśmiechnęła się. Pokręciła głową.

– Czemu miałabym to zrobić, jeśli tak bardzo chcę, żebyś został?

Skrzywił się.

– Nie mogę zostać. Nie licz na to, Maggie. Zeszła na dół, prosto w jego ramiona. Objęła go za szyję i zajrzała prosto w oczy.

– Miałam na myśli dzisiejszą noc – szepnęła. – Zostań ze mną dziś w nocy, Samie.

Gorąco jej ciała przeniknęło Sama na wskroś. Jej zapach... obezwładniał go. Zrozumiał, że nie mógł odejść. Nawet dla jej dobra.

Przytulił ją. Wzrokiem dotykał jej twarzy. Nie mógł już dłużej czekać. Wpił się w jej usta. Wplótł palce w jej włosy. Mocno trzymał głowę.

Deszcz padał coraz mocniej. Grzmoty i błyskawice goniły się coraz szybciej. Zerwał się wiatr. Ale oni nie zauważyli niczego. Serca były im tak potężnie, że zagłuszały cały świat.

Sam całował Maggie coraz zachłanniej. A ona objęła go za szyję i przywarła ze wszystkich sił. Całowali się jak szaleni. Namiętnie i zachłannie. Dopiero brak powietrza w płucach zmusił ich do oderwania się od siebie. Lecz nie na długo. Sam wnet obsypał pocałunkami brodę i szyję Maggie. Odchyliła głowę do tyłu i cicho jęknęła.

Sam wziął Maggie na ręce i ruszył po schodkach na werandę. Odsunął nogą siatkowe drzwi i wszedł do domu. Kopnięciem zatrzasnął drzwi i pomaszerował do sypialni.

Bardzo dobrze znał ten dom. Kiedyś mieszkał tu zarządca. Sam i jego kuzyni zawsze mieli wolny wstęp do jego domu.

Oczywiście wiele się tu zmieniło. Zauważył to w drodze do sypialni. Pojawiły się kolorowe obrazki i plakaty. I zewsząd dochodził zapach kwiatów i świeżo parzonej kawy.

Maggie połaskotała go w kark. A on stęknął i wyprężył się. Gwałtownie wciągnął powietrze. Niemal przebiegł krótki korytarzyk i wpadł do sypialni. Narzuta była odsunięta do połowy, jakby Maggie wszystko przygotowała.

– Potrzebuję cię, Maggie. Teraz. Pragnę cię.

Uśmiechnęła się szelmowsko i zdjęła koszulkę. Sam miał ochotę zamknąć w dłoniach jej piersi. Ale ona podeszła bliżej i przywarła do niego.

Schylił się i pocałował ją w kark. Pieścił gładką skórę. Czuł, jak drżała na całym ciele. Oddychała coraz ciężej.

Przytuliła się do niego. Pragnęła go każdym nerwem. Od pierwszego pocałunku każde wspomnienie wciąż burzyło jej krew. Nigdy wcześniej nie przeżyła czegoś podobnego i marzyła gorąco, że Sam zmieni zdanie i nie wyjedzie. W głębi duszy czuła jednak, że tak się nie stanie.

Na razie miała go dla siebie.

Tak niewiele było w jej życiu pięknych chwil, że nauczyła się każdą traktować jak skarb. Każda chwila z Samem była taka.

A gdy on odjedzie... gdy zostanie sama... będzie miała wspomnienia. Wspaniałe wspomnienia.

Krew w jej żyłach zaczęła krążyć szybciej. Zacisnęła powieki, skupiła się na doznaniach, których jej dostarczał. Starła się czuć je jak najwyraźniej. Przycisnął ją mocniej do siebie. Uniósł jej głowę i zajął w oczy.

– Pragnę cię jeszcze bardziej niż za pierwszym razem – wyznał szeptem.

– Tak jak ja – powiedziała Maggie.

Wspięła się na palce, chociaż miękkie kolana odmawiały jej posłuszeństwa, i pocałowała go. Zachłannie i namiętnie.

Popchnął ją delikatnie do tyłu. Jego ręce były wszędzie. Czuła je na całym ciele. Przymknęła powieki, żeby nie uronić nic z tych pieszczot.

Ich ciała zjednoczyły się we wspólnym rytmie. Popatrzyli sobie w oczy. Żar spojrzeń rozpałił ich jeszcze bardziej. I po chwili oboje zapadli w czeluść rozkoszy.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Przez następny tydzień życie na ranchu Lonerganów toczyło się monotonnym rytmem. Sam spędzał dni na włóczędze po znanych z dzieciństwa zakątkach, a noce w łóżku i ramionach Maggie. Przestał martwić się, co będzie, kiedy wyjedzie... Maggie radowała się każdą wspólną chwilą i jemu także udzielał się taki nastrój.

Jeremiasz nie musiał już symulować choroby, dlatego Sam spędzał z nim wiele godzin po swoich wędrówkach. Choć minęło tyle lat, prawie nic się na ranchu nie zmieniło. Prawie.

– Warzywa? – spytał Sam.

Zatrzymał samochód na skraju drogi i patrzył na ciągnące się po horyzont zielone grządki. Jeremiasz wzruszył ramionami. Skrzywił się.

– Przestałem hodować bydło – powiedział – a nie chciałem, żeby ziemia leżała odłogiem. Wydzierzawiłem więc połowę ziemi grupie farmerów za procent z zysku. Pastwiska wynajął Dave Hemmings. – Westchnął cicho. Sam spojrzał na niego uważnie. – Jestem już stary, chłopcze. Sam nie dam rady obrobić tyle ziemi.

Sam poczuł wyrzuty sumienia. Próbował je uciszyć. Żaden z synów staruszka nie miał ochoty zostać na ranchu. Każdy poszedł swoją drogą. A wnukowie... w tym również Sam... uciekli piętnaście lat temu.

Nie dziwił się, że Jeremiaszowi trudno było prowadzić dalej rancho Lonerganów. Jakże musiało być dla niego bolesne takie powolne rezygnowanie z ukochanej posiadłości. Sam rozglądał się dookoła, lecz wciąż miał przed oczyma krajobraz sprzed lat.

A czas zmienił wszystko.

– Przykro mi – powiedział, nie patrząc na dziadka. – Żałuję, że nie było mnie tu do pomocy.

Jeremiasz poklepał Sama po ramieniu.

– Nigdy nie oczekiwałem, że przejmiesz rancho, chłopcze – powiedział szorstko. – Zawsze miałeś być lekarzem. Ale muszę przyznać, że bardzo za tobą tęskniłem. Za wami wszystkimi.

– Wiem. – Sam spojrzał w twarz starego człowieka, który zawsze był dla niego taki ważny. – Żałuję, że tak się to wszystko potoczyło. Jeremiaszu, nawet nie wiesz, ile razy marzyłem, że da się wszystko odwrócić.

– To nie była twoja wina, Samie – powiedział Jeremiasz zmęczonym głosem. – To nie była wina żadnego z was.

– Chciałbym móc w to uwierzyć. – Sam głęboko odetchnął. – Brakowało mi ciebie, staruszku.

Jeremiasz mocno zacisnął usta. Jego krzaczaste brwi poruszyły się gwałtownie.

– Tak, hm. Miło słyszeć – bąknął.

– Wystarczająco miło, żeby powiedzieć mi, co tu się dzieje? – spytał Sam. – Czemu wybrałaś właśnie to lato, żeby nas tutaj ściągnąć?

– Nie teraz – uciął Jeremiasz i energicznie pokręcił głową. – Dopiero gdy przyjadą Jake i

Cooper. Co powiesz na wizytę w mieście? Może odwiedzilibyśmy Berta?

Sam srogo popatrzył na dziadka.

– Nie zamierzam przejąć praktyki Berta – powiedział stanowczo.

– A czy ktoś o tym mówi? Chcę tylko odwiedzić starego przyjaciela.

– Uhm. – Sam nie dał się nabrać.

Nie umiał znaleźć odpowiedniej wymówki, więc włączył motor i ruszyli piaszczystą drogą do miasta.

Maggie ułożyła na krawędzi umywalki trzy paski plastiku. Z trudem przełknęła ślinę. Gardło miała ściśnięte.

– Trzy próby – szepnęła. Kręcąc głową wpatrywała się w wyniki testów. – Trzy plusy.

Musiała mieć pewność. W tych sprawach nie mogła polegać tylko na przekonaniu. Chociaż jej przekonanie oznaczało niemal pewność. Prawie całkowitą pewność. Nigdy nie miała spóźnień. Jedyne, co w jej życiu było naprawdę regularne, to cykl miesięczkowy.

Aż do tego miesiąca.

Uniosła głowę i napotkała w lustrze własne spojrzenie. Ze wszystkich sił starała się nie zauważać paniki...

Przecież to wspaniale! przekonywała się w myślach. Całe życie marzyłam o rodzinie. O kimś, kogo mogłabym kochać. I kto kochałby mnie.

Tu, na ranchu Jeremiasza, znalazła swoje miejsce.

A teraz będzie miała swoją rodzinę.

– Jestem w ciąży.

Dopiero gdy powiedziała to głośno, dotarło do niej. Uśmiechnęła się.

Obronnym gestem położyła ręce na brzuchu i wyszeptwała:

– Nie martw się, maleństwo. Wszystko będzie w porządku. Przysięgam.

Tymczasem w głębi duszy czuła pewien lęk. Jak powiedzieć o tym Samowi? Wprawdzie brał to pod uwagę, ale nie będzie szczęśliwy. Była tego pewna. Wiadomość o dziecku może być dla niego bolesna.

Maggie z westchnieniem obróciła się na pięcie i oparła o umywalkę. Myśli kłębiły się w jej głowie, mieszały z pragnieniami i marzeniami.

Niewidzącym spojrzeniem wpatrywała się w obrazek na ścianie – na dzieci igrające w wodzie z delfinami. Pomału zaczęła docierać do niej prawda, którą usiłowała dotychczas ukryć nie tylko przed Samem, ale nawet przed sobą.

Kochała go.

Kochała Sama Lonergana.

Jego siłę i łagodność. Jego delikatny dotyk.

Kochała go i nie mogła go tu zatrzymać. Gdy odjedzie z rancha, Maggie będzie miała przynajmniej dziecko. I już nigdy nie będzie sama.

Poczekalnia była pełna ludzi.

Dzieci krzyczały, zmęczone matki usiłowały nad nimi zapanować, a pielęgniarka znużonym głosem wywoływała nazwiska kolejnych pacjentów.

Sam instynktownie poczuł potrzebę pomagania.

Jeremiasz pomaszerował prosto do drzwi prowadzących na zaplecze, do gabinetu Berta. Sam nie poszedł za nim. Zatrzymał się przy popłakującym cicho dziecku.

Kłęknał na jedno kolano, uśmiechnął się do matki chłopca i zajął uważnie w pełne łzy oczy małego.

– Jak ci imię? – spytał łagodnie.

– Toby. Gardło mnie boli. Matka odpowiedziała uśmiechem.

– Od wczoraj ma gorączkę i pomyślałam, że będzie lepiej, jeśli przywiozę go tutaj... – Rozejrzała się po zatłoczonej poczekalni i ciężko westchnęła.

Sam widział błyszczące od gorączki oczy malca. Przyłożył mu dłoń do czoła. Było ciepłe, ale nie gorące. Ostrożnie, samymi opuszkami, obmacał nabrzmiące ślinianki. Potem pogłaskał chłopca po głowie.

– To mi wygląda na zapalenie migdałków – powiedział do matki. – Proszę podać mu jakiś łagodny środek przeciwbólowy. I dużo płynów.

Kobieta uśmiechnęła się.

– Przepraszam, ale pan jest... ?

Sam chrząknął. Nie zdziwiło go, że była zaskoczona. Miał wszak na sobie wypłowiałe dzinsy, zakurzone buty i flanelową koszulę z zawiniętymi do łokci rękawami.

– Jestem Sam Lonergan. Proszę się nie obawiać. Jestem lekarzem.

– Czy gardziółko przestanie mnie boleć? – głos chłopca lekko drżał.

– Nie od razu – powiedział Sam. – Ale już niedługo. – Popatrzył na kobietę. – Powiem doktorowi Evansowi, że pani tu jest, i...

Uśmiechnęła się. Wyciągnęła do niego rękę.

– Dziękuję. Jestem Sally Hoover. A to mój syn, Toby.

– My już się znamy. – Sam uśmiechnął się także.

– Wspaniale. – Kobieta rozejrzała się dookoła, jakby upewniała się, że wszyscy ją słyszą.

– Pan jest wnukiem Jeremiasza, prawda?

– Tak...

– Nawet pan nie wie, jaka to dla nas ulga – ciągnęła Sally. – Kiedy dowiedzieliśmy się, że doktor Evans odchodzi na emeryturę, zaczęliśmy się bać, że będziemy musieli teraz jeździć do lekarza do Fresno. Jakie to szczęście, że pan tu będzie.

– Nie – zaproponował Sam. – Bardzo mi przykro. Nie zrozumiała mnie pani...

– Pan jest nowym lekarzem? – Kobieta z niemowlęciem na ramieniu zbliżyła się do nich.

– Jestem Victoria Sanchez. Miło mi pana poznać.

– Dziękuję, ale...

– Nazywam się Donna Terrino – wtrąciła się kolejna kobieta zza pleców Sama. Trzymała

za ręce parę bliźniaków w wieku około pięciu lat. – To naprawdę cudownie. To prawdziwa przyjemność pana poznać. Mogę panu wszystko opowiedzieć o naszym mieście.

Panika ścisnęła Samowi gardło.

Coraz więcej osób gromadziło się wokół niego. Nowe twarze i nazwiska mieszały się mu jak w kalejdoskopie. Ogarnęło go przerażenie. Serce biło jak szalone.

Poczuł się... osaczony.

Wszyscy patrzyli na niego, jakby był najwspanialszym podarkiem gwiazdkowym. Nie pozwalali mu dojść do głosu, nic wytłumaczyć. Z przerażeniem pomyślał o rozczarowaniu, jakiego mieli doświadczyć.

Ale to nie była jego sprawa. Nie do niego należała opieka lekarska w tym mieście.

Tylko dlaczego miał coraz silniejsze poczucie winy?

– Kiedy rozpocznie pan przyjmowanie pacjentów? – spytał ktoś z tłumu.

– Czy to jest nowy doktor? – rozległ się dziecięcy głosik.

Nie! – chciał zawołać. Ale i tak nikt by mu nie uwierzył. Wszyscy widzieli, jak oglądał pierwszego pacjenta.

Sam niespodziewanie poczuł dziwną tęsknotę. Za tym, żeby się tu osiedlić, znaleźć swoje miejsce. Skoro tak wielu tego chciałoby...

Drzwi za jego plecami otworzyły się i Sam obrócił się na pięcie, żeby zrobić przejście. Zrobił krok i stanął jak wryty.

– Sam? – Wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna trzymał za rękę małą dziewczynkę. Podszedł do Sama wielkimi krokami.

Wspomnienia wróciły.

– Mike? Mike Haney?

– Jasne! – Wielki mężczyzna pokraśniał z zadowolenia. – Cieszę się, że cię widzę, chłopie. Tyle czasu! Słyszałem, że wróciłeś do miasta. Cooper i Jake też przyjechali?

– Jeszcze nie – odparł Sam.

Przestał zwracać uwagę na otaczający go tłumek matek i dzieci. Przed laty przyjaźnił się z Mike'em Haneyem. Jego jednego, tak naprawdę, brakowało Samowi po wyjeździe z Coleville. – Ale już niedługo będą.

– To moja córka. – Mike wyciągnął zza siebie małą blondyneczkę.

– Twoja córka?! – zdziwił się Sam.

W jego pamięci Mike Haney wciąż miał siedemnaście lat. Nadal podkradał piwo z lodówki ojca i przynosił nad jezioro.

– Nasza... – powiedział Mike z prawdziwą dumą w głosie. – Moja i Barb... pamiętasz Barb?

– Oczywiście. – Sam nie mógł otrząsnąć się ze zdumienia. Wciąż zerkał na śliczną dziewczynkę kryjącą się za plecami ojca. W końcu pojał. – Ty i Barb wzięliście ślub?

– No jasne... Ta blondyneczka to nasza najmłodsza. Mamy trzy dziewczynki.

– Trzy...

– A każda śliczna jak obrazek. A co u ciebie? – Mike uśmiechnął się szeroko. – Żona? Dzieciaki?

– Nie. – Bolesny smutek przemknął Samowi przez głowę. – Nie mam rodziny.

– Och! No cóż... – Mike stropił się. Objął córkę i wysunął przed siebie. – Chciałbym, żebyś poznał Maxie – powiedział. Po krótkiej chwili dodał: – Nazwaliśmy ją tak na cześć Maca. Marie, kochanie, przywitaj się z doktorem Samem. On jest starym przyjacielem twojego tatusia.

Sam wpatrywał się w wielkie, błękitne oczy i usiłował zmusić się do uśmiechu. Ale niespodziewany ucisk w gardle uniemożliwił to. Mac. Powód tak długiej jego nieobecności w tym mieście. Powód, dla którego znowu wyjedzie. I to wkrótce.

– Jest śliczna – bąknął w końcu. Odwrócił się i ruszył przez tłum pacjentów w stronę drzwi na zaplecze. Mała blondyneczka pomachała mu na pożegnanie. – Miło było znów cię zobaczyć, Mike.

Wielki człowiek kiwnął głową zdumiony ucieczką Sama.

– Daj mi znać, kiedy przyjadą Jake i Cooper. Może się spotkamy? Pogadamy o starych czasach.

– Dobrze. Doskonały pomysł – obiecał Sam, chociaż w myślach dodał, że nigdy się nie spełni.

Nikt nie namówi go na wspomnienia.

Był pewien, że Jake i Cooper myśleli tak samo.

Maggie czekała.

Przez cały obiad podczas zmywania i sprzątania kuchni nawet w czasie wieczornych wiadomości w telewizji trzymała w tajemnicy swój sekret. Czekala, aż Jeremiasz usnie, jak zwykle, przed telewizorem i zostaną z Samem sami.

A kiedy doczekała się wreszcie tej pory, nie wiedziała, jak powiedzieć to, co musiało być powiedziane.

Sam siedział przy kuchennym stole. Przed nim leżały księgi rachunkowe rancza. Odwróciła się od zlewu i długo mu się przyglądała. Zbierała się na odwagę.

Sam pochylał się nad kolumnami liczb. Ciemne włosy opadły mu na czoło. Uniósł głowę. Szukał czegoś przez chwilę w stosie dokumentów.

Z sąsiedniego pokoju dolatywał stłumiony dźwięk telewizora. Wiatr stukał w szyby lodowatymi palcami.

Maggie westchnęła, wytarła ręce i starannie rozwiesiła ręcznik na uchwycie kuchenki.

Oj, nie będzie łatwo, pomyślała. Najlepiej powiedzieć to jak najszybciej.

– Sam?

– Hm? – Nawet nie podniósł głowy.

Pisał gorączkowo jakąś notatkę na żółtej kartce papieru.

– Muszę z tobą porozmawiać.

– Oczywiście. – Pisał dalej.

– To ważne.

Coś w jej głosie sprawiło, że odłożył ołówek i spojrzał na nią.

– Coś złego? – spytał.

– Nie – odparła. Chociaż wiedziała, że on mógł mieć inne zdanie. Co dla niej było darem, Sam mógł odebrać jak pułapkę. Chociaż Maggie nie miała zamiaru go więzić. – Dla mnie przynajmniej to nie jest problem.

Uśmiechnął się lekko.

– No, to teraz mnie zaintrygowałaś.

Wstał i podszedł do niej. Zajrzał do salonu, żeby upewnić się, czy Jeremiasz nadal spał. Potem stanął przed Maggie.

– O co chodzi?

Wzięła głęboki wdech. Pomału wypuściła powietrze. I spróbowała się uśmiechnąć.

– Przez cały dzień zastanawiałam się, jak ci to powiedzieć. A teraz, kiedy już tu jestem...

Ujął jej twarz w dłonie.

– Po prostu powiedz to, Maggie.

– Dobrze.

Nakryła rękami jego dłonie. Zajrzała mu głęboko w oczy. Czuła radość i zarazem żal. Gdyby okoliczności były inne, chwila ta mogłaby być radosnym świętem.

Chciała powiedzieć mu, jak bardzo go kocha. Jak bardzo będzie go kochała. Ale dobrze wiedziała, że na pewno nie byłby z takich wyzwzań zadowolony.

Prawda była okrutna. Pokochała mężczyznę, który nie miał zamiaru odpłacić jej tym samym. Człowieka, który myślał tylko o tym, by stąd wyjechać. Z rozpaczą w sercu myślała, jak wiele wspaniałych chwil mogliby przeżyć razem.

– Zaczynam bać się o ciebie, Maggie – powiedział ledwie słyszalnym głosem.

– Nie musisz. – Pokręciła głową. – Nie martw się o mnie. Mam się świetnie. Lepiej niż świetnie.

To nie ma znaczenia, pomyślała. Nie ma znaczenia, czy Sam kiedykolwiek ją pokocha. Maggie wystarczało, że ona kocha.

– Wyjdźmy na zewnątrz – powiedziała.

Minęła go i podeszła do kuchennych drzwi. Nie chciała rozmawiać, gdy w sąsiednim pokoju drzemał Jeremiasz.

Wyszli. Maggie zatrzymała się dopiero na środku skąpanego w księżycowej poświacie podwórza.

– Dobrze – powiedział Sam. – Jesteśmy na zewnątrz. Teraz możesz mi powiedzieć.

– Mam taki zamiar – wydusiła przez ściśniętą krtań. – Ale zanim to zrobię, chcę, żebyś wiedział, że niczego od ciebie nie oczekuję. Mówię ci o tym tylko dlatego, że obiecałam i uważam, że należy tak postąpić.

– Maggie...

– Jestem w ciąży.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Sam miał wrażenie, że coś ciężkiego uderzyło go w głowę.

Ciąża?

Przeciągnął dłonią po twarzy. Usiłował pozbierać myśli... Powiedzieć coś. Cokolwiek. Ale nie potrafił. Dziecko. Miał wrażenie, że lodowa obręcz zaciskała mu się na sercu. Wstyd rozpalał policzki.

Zrobił dziecko Maggie. Cokolwiek by mówić, tak się stało.

– Nic nie musisz mówić – rzuciła szybko Maggie. Sam głośno wypuścił powietrze. Spojrzał jej w twarz.

Oczy Maggie świeciły tajemniczo w księżycowej poświacie. Było w nich także coś, czego nie widział wcześniej... Radość. Prawdziwa, szczerą radość. Ta ciąża ją cieszyła..

Jakże chciałby móc powiedzieć to samo o sobie.

Tymczasem czuł tylko przerażenie. Aż brakło mu tchu.

– Od jak dawna o tym wiesz? – spytał w końcu.

– Od rana. – Położyła mu rękę na ramieniu. – Wiem, że nie chciałeś tego, ale ja jestem zadowolona. Uwierz mi.

– Widzę. – Jej uśmiech był autentyczny i niewymuszony. Choć widział także troskę w jej oczach. Troskę o niego.

– Niczego od ciebie nie oczekuję, Samie – powiedziała, unosząc dumnie głowę. – Powiedziałam ci, bo uważam, że należało tak postąpić. Masz prawo wiedzieć, że będziesz ojcem.

– Boże. Ojcem.

Niewielki fragment jego duszy jęknął z zachwytu.

I z tęsknoty. Za dzieckiem. Za domem. I za kobietą taką jak Maggie, którą mógłby kochać.

– Nie musisz tak się bać – powiedziała. Zmusiła się do uśmiechu. Lecz jej oczy pozostały poważne. – Nie będę rodzić już za chwilę.

– Wiem, ja tylko...

Wiatr zniecka uderzył. Rozsypał włosy Maggie. Odgarnęła z twarzy niesforne kosmyki. Ani na moment nie przestała patrzeć Samowi w twarz.

– Chciałam, żebyś wiedział, że nie musisz się bać o mnie... Ani o dziecko. Będę dobrze opiekować się nim... nią...

– Wiem. – Odruchowo pokiwał głową.

Natłok myśli rozsadzał mu czaszkę. Maggie była mądra, odpowiedzialna i zaradna. Umiała poradzić sobie ze wszystkim. Udowodniła to swoim życiem. Trudnym dzieciństwem. I późniejszymi latami. Nie miał wątpliwości, że będzie umiała doskonale zadbać o dziecko.

Ale nie musiała.

Czuł, co powinien zrobić. Co powiedzieć.

– Nie mogę pozwolić ci zostać samej, Maggie. Ja także jestem odpowiedzialny za to dziecko.

Jej oczy zwęziły się w szparki. – To znaczy... ?

– To znaczy... Chcę, żebyś za mnie wyszła. Cofnęła się o krok. Przyglądała się Samowi, jakby urosła mu druga głowa. Mówiąc oględnie, zaskoczył ją. Zaskoczył jak diabli. – Co?!

– Słyszałaś. Powinniśmy wziąć ślub. Tak właśnie należy postąpić. – Łatwo powiedzieć. Ale co to, tak naprawdę, oznaczało? Nie miał czasu na szukanie odpowiedzi. – To jest także moje dziecko, Maggie. Zasluguje na to, żeby mieć ojca.

Otrząsnęła się z zaskoczenia. Został już tylko smutek. Pomału pokręciła głową.

– Och, Sam. Gdybym wierzyła, że naprawdę tego chcesz, byłabym szczęśliwa.

– Chcę – powiedział.

Przez głowę przeleciała mu wątpliwość. Kogo chciał przekonać? Siebie czy ją?

– Nie. – W oczach Maggie załśniły łzy. Kiedy odezwała się, głos się jej łamał. Ale z uniesioną głową próbowała panować nad sobą. – Nie chcesz tego. Nie chcesz wiązać się z niczym i z nikim. Nie chcesz miłości. Nie chcesz mnie... Ani tego dziecka.

– Maggie...

– Nie, Samie. – Podeszła do niego bliżej. – Nie mów niczego, czego nie chciałbyś powiedzieć.

W księżycowym świetle czytał w jej oczach. Zobaczył tam żal, rozczarowanie, ale i zrozumienie.

– Oboje wiemy – ciągnęła cicho – że jeśli zostaniesz tutaj, nigdy nie będziesz szczęśliwy. Aż w końcu mnie i dziecko oskarżysz, że chcemy zatrzymać cię siłą.

Trudno dyskutować z argumentami tak prostymi. Ileż dałby za to, żeby być innym człowiekiem! Ale jak to zrobić?

– Chciałbym powiedzieć, że się mylisz – powiedział – ale sam nie wiem. Od piętnastu lat – wyszeptał – uciekam przed ścigającymi mnie demonami. Uwielbiałem Maca. Zawiodłem go i umarł. Tego zmienić nie mogę. Jeśli pokocham ciebie i nasze dziecko i zawiodę was, chyba tego nie zniosę.

Delikatny, smutny uśmiech uniósł kąciki warg Maggie. Pogłaskała go po policzku.

– I dlatego nie mogę cię poślubić, Samie. Nawet jeśli cię kocham.

Tych kilka prostych słów zabolowało go. Z całego serca pragnął chwycić ją w ramiona i przytulić. Delektować się słowami, których nie spodziewał się usłyszeć nigdy w życiu. O których nawet nie myślał, że usłyszy. Lecz kiedy spojrział w twarz Maggie, nie zrobił nic.

– Tak, kocham cię. Ale nie mogę wyjść za ciebie, Samie, ponieważ pragnę, by nasze dziecko wzrastało w miłości, nie w strachu. W nadziei, nie w rozpacz.

Zamknął jej dłoń w swojej. I mocno ścisnął, jakby od tego zależało jego życie.

– Chciałbym, żeby było inaczej – powiedział.

Już kiedy wypowiadał te słowa, wiedział, że to nie miało sensu. Wiedział, że same słowa niczego nie zmieniają.

– To smutne – powiedziała Maggie. Uwolniła rękę z jego dłoni. – Może być inaczej. Ale ty tego nie chcesz.

– To nie takie proste.

– Owszem, to jest proste. Powiedziałeś, że uciekałeś przed ścigającymi cię demonami... Ale to też nie jest prawda.

– Słucham?

– To nie demony cię ścigają, Samie. – Jej cichy głos pełen był cierpienia. – To Mac. A on cię kocha.

Sam zeszywniał. Maggie wyczuła, że zamknął się w sobie. Chciała płakać, ale wiedziała, że to nie pomoże. Bo chociaż stał na wyciągnięcie ręki, był od niej dalej niż kiedykolwiek dotąd.

Łykając łzy powiedziała:

– Nie chcę męża, który ożenił się ze mną, bo uważał, że musi.

– Maggie...

– Myślę, że najlepiej będzie, gdy wyjedziesz z końcem lata, jak planowałeś. Nie chcę, żebyś znalazł się w życiu tego dziecka.

Zachwiał się jak po ciosie.

– To jest także moje dziecko, Maggie.

– Owszem, ale go nie chcesz. A ja tak.

– Cholera, Maggie...

Cokolwiek chciał powiedzieć, było już za późno. Maggie odwróciła głowę, bo na podjazd przed dom wjechał samochód.

Zgasły światła. Silnik przestał warczeć. Drzwi po stronie kierowcy otworzyły się i z auta wysiadł wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna.

– Wygląda na to, że w czymś przeszkodziłem – powiedział przybysz, patrząc to na Maggie, to na Sama. – Zawsze trafiam nie w porę.

– Cooper. – Sam ruszył ku niemu z wyciągniętą ręką. Serdecznie się przywitali. – Cooper, to jest Maggie Collins – powiedział Sam. – Ona jest... gospodynią Jeremiasza.

Wyczuła dystans w głosie Sama. Zabolało. Ale powiedziała sobie w duchu, że dobrze się stało, iż przyjazd Coopera przerwał ich rozmowę.

– Miło mi – wymamrotała. Zmusiła się, by spojrzeć w twarz Samowi. – Do zobaczenia rano.

– Maggie... Cofnęła się dwa kroki.

– Dobranoc, Sam. Dobranoc, Cooper – powiedziała. – Obróciła się na pięcie i odeszła. Wpadła do domu, zatrzęsnęła drzwi i oparła się o nie plecami.

Kolana jej się trzęsły. Serce łomotało. Zamknęła oczy i zapłakała.

– Powiesz mi, co się tu dzieje? – spytał Cooper, kiedy Jeremiasz poszedł spać. – Nie mogę uwierzyć, że tak nas nabrał.

– Mnie to też cholernie zaskoczyło. – Sam wyjął piwo z lodówki.

Gestem zaprosił kuzyna, by usiadł. Otworzył butelkę i pociągnął duży łyk lodowatego napoju. Usiadł wygodnie i opowiedział wszystko o udawanej agonii Jeremiasza.

Kiedy skończył, Cooper roześmiał się. Upił łyk piwa.

– A niech go... – powiedział. – Cieszę się, że nic mu nie jest. Nawet nie umiem gniewać się na niego.

– To tak jak ja.

– Kto mógł przypuszczać, że staruszek jest taki przebiegły? Taki pomysłowy?

– To u nas chyba rodzinne. – Sam uśmiechnął się krzywo.

Horrory Coopera Lonergana od pięciu lat straszły czytelników w całej Ameryce. Każda kolejna jego książka była straszniejsza od poprzedniej.

Sam rozparł się na fotelu. Obracał w dłoni butelkę.

– Czytałem twoją ostatnią książkę – powiedział.

– Tak? – zdziwił się Cooper. – Co o niej myślisz?

– Przerażająca. Jak i pozostałe.

– Dzięki. – Cooper rozejrzał się po znajomym wnętrzu i westchnął. – Człowieku, tutaj nic się nie zmieniło. Jakby czas stanął w miejscu.

– Spotkałem w mieście Mike’a Haneya – powiedział Sam.

– Poważnie?! – zawołał Cooper. – Co u niego?

– Ożenił się z Barb Hawkins i mają trzy córki.

– Człowieku – Cooper przełknął kolejną porcję piwa – ale jesteśmy starzy.

Ponad stołem Sam przyglądał się kuzynowi, którego nie widział od dzieciństwa. Cooper właściwie się nie zmienił. Zmężniał tylko i rozrósł się w barach. Ale wciąż miał te same, ciemne oczy Lonerganów, pełne cieni, które Sam co rano dostrzegał w lustrze.

Śmierć Maca bardzo dotknęła ich wszystkich.

– Opowiesz mi o tej gospodyni? Sam zeszywniał.

– Co mam ci opowiedzieć? Cooper zachichotał.

– Nie bądź taki tajemniczy. Po prostu zdawało mi się, że rozmawialiście o czymś... ważnym.

Sam odstawił piwo na stół i wstał. Poszedł do kuchni. Odszukał w szafce plastikowy pojemnik z ciasteczkami i wrócił do salonu. Podsunął ciastka Cooperowi.

– Jakie? – spytał Cooper.

– Czekoladowe.

– Do piwa?!

– Coś ci nie pasuje? – Sam ugryzł jedno ze smakiem.

– Nie, nic. – Cooper ostrożnie wziął ciasteczko do ust. – Wyborne!

– Taaak – rzucił Sam od niechcienia.

Przed oczyma miał obraz Maggie poprzedniego dnia piekącej te ciasteczka. Jaka była ładna. Miała pyłek mąki na nosku, włosy związane w koński ogon i tańczyła w rytm muzyki z radia. Wiele wysiłku kosztowało go, żeby nie fantazjować z Maggie w roli głównej.

Każdy jej ruch, każdy gest poruszały go do głębi. Nie zdarzyło się mu to jeszcze nigdy w życiu. Każdy uśmiech Maggie rozjaśniał mu duszę. Każde jej dotknięcie było miękkie jak jedwab.

Pragnął jej. Z każdym uderzeniem serca.

– Do diabła! – Cooper sięgnął po następne ciastko. – Ona jest mężatką?

– Bo co? – warknął Sam.

– O! – Ciasteczko zatrzymało się w pół drogi do ust Coopera. – Nie strzelaj do mnie. Tak tylko pytałem.

– Przepraszam. – Sam pohamował się.

– Jest już zajęta, tak?

– Odczep się Cooper, dobrze?

– Dobrze. – Umilkli. Minęło wiele długich minut, nim Cooper odezwał się znowu. – Po co tu jesteśmy, skoro Jeremiasz nie umiera?

– Nie chciał powiedzieć. Dopóki nie przyjedziemy wszyscy. Wiesz coś o Jakeu?

– Rozmawiałem z nim, kiedy dostaliśmy wiadomość o Jeremiaszu. Powiedział, że przyjedzie, kiedy tylko będzie mógł. Ale wcześniej musiał jeszcze coś załatwić.

– W Hiszpanii?

Cooper wzruszył ramionami.

– Znasz Jake'a. Wciąż jeździ na rajdy po całym świecie.

Przez okna zaglądała noc. Wiatr szeptał za oknami. Stary dom był cichy, jeśli nie liczyć zwykłych trzasków i skrzypnięć.

– Dobrze znów cię widzieć – powiedział Sam.

– I ciebie też. To nie powinno trwać tak długo. Brakowało mi was.

– Mnie też.

Znów zapadła cisza. Słysząc było tylko tykanie zegara. Jak bicie serca. W końcu Cooper odstawił na stół niedopite piwo.

– Lepiej już pojedę – powiedział.

– Jesteś pewien, że nie chcesz tu zostać?

– Tak. Cieszę się, że cię widzę. I Jeremiasza. Ale w tym domu wspomnienia są wyjątkowo bolesne.

Trudno było nie zgodzić się z tym.

– Poza tym – ciągnął, sięgając po wiszący na oparciu krzesła długi, czarny płaszcz – mam dużo pracy. Gdybym tu został, nigdy bym jej nie wykonał.

Sam pokiwał głową i ruszył za Cooperem do drzwi.

– Nie mogę uwierzyć, że wynająłeś dom Hollisów – powiedział. – Ludzie tutaj wciąż wierzą, że jest nawiedzony.

Cooper zastygł z ręką na klamce samochodu. Uśmiechnął się szeroko.

– Jak myślisz, dlaczego go wynająłem? Znasz lepsze miejsce na lato dla autora horrorów?

– Masz rację.

– Do zobaczenia jutro.

Sam pokiwał głową i uniósł rękę na pożegnanie, Obserwował przez moment odjeżdżający samochód.

Kiedy ucichł warkot silnika i słychać było tylko szelest liści, Sam spojrzął na dom Maggie. Świeciło się tam światło tylko w jednym oknie... w jej sypialni.

Zaprażył pójść do Maggie. Poczuć ją w ramionach. Zamknąć w objęciach. Ale nie przypuszczał, żeby jej się to spodobało. Wcisnął więc ręce do kieszeni i stał nieruchomo, wpatrzony w jasne okno jej sypialni.

Wyobrażał ją sobie w łóżku, pod kołdrą w kwiatki. Zastanawiał się, o czym myślała. Co czuła.

Czy czuła się tak wypalona jak on?

Czy była samotna?

Czy też dziecko, które rosło w jej łonie, wystarczało, by zapełnić jej cały świat?

ROZDZIAŁ DWUNASTY

W ciągu kilku następnych dni Jeremiasz odmłodził jakieś dziesięć lat. Uśmiechał się szeroko, oczy radośnie mu lśniły. Śmiał się często i głośno.

Sam przyglądał mu się i czuł wyrzuty sumienia. Z egoistycznych pobudek odsunął się na tak długo! Nie zdawał sobie sprawy, że w ten sposób karał także innych. Nie tylko omijał szerokim łukiem ranczo i dziadka. Uciekając przed swoimi upiorami krążył po świecie, nie myśląc o tym, że także rodziców zostawiał samotnych.

Teraz było już za późno, aby to naprawić. Nie da się cofnąć czasu. Rodzice zginęli pięć lat temu w wypadku awionetki. Pozostali trzej synowie dziadka także już nie żyli. Zginęli w wypadkach. Jakby nad Lonerganami ciążyła klątwa. Jego rodziną byli tylko dziadek i kuzyni.

Sam coraz bardziej uświadamiał sobie, jak bardzo byli dla niego ważni. Jak ważne było dla niego życie.

A wszystko z powodu Maggie.

Potrząsnął głową. Ściągnął robocze rękawice, wsunął je do tylnej kieszeni dżinsów i ściągnął koszulkę.

Poranne słońce mocno prażyło i pot spływał mu po plecach.

Było mu dobrze.

Dobrze było zatrzymać się w biegu.

Dobrze było pracować w miejscu, które wciąż znaczyło tak wiele w jego sercu.

Rozejrzał się po podwórzu, po ciągnących się polach i łąkach. Rzucił przepoconą koszulkę na płot. W ostatnich tygodniach znów znalazł swoje miejsce na ranczu. Jak w dzieciństwie. I jak wtedy myśl o wyjeździe sprawiała mu autentyczny ból.

Tym razem jednak wynikało to bardziej z tego, kogo miał opuścić. Spojrzenie Sama znów pobiegło w stronę domku zamieszkiwanego przez Maggie. Nie było jej tam. Wiedział to. Ale... nawet gdy jej nie było, czuł jej obecność.

Znalazł spokój w jej ramionach. Znalazł pociechę i ukojenie. I zaczął dostrzegać sens życia rodzinnego. Chociaż trzeba przyznać, że wciąż go to przerażało. Nie mógł zostać. Nie mógł dać jej, czego chciała... potrzebowała.

Prawda?

– Tyle pytań, a tak mało odpowiedzi – mruknął pod nosem.

Odgarnął włosy z czoła i zadarł głowę do góry, do rozpalonego słońcem nieba. Czuł na twarzy gorące promienie, czuł je na odsłoniętej skórze.

Ale w duszy wciąż miał lód.

Mróz przenikający aż do kości.

A najgorsze w tym wszystkim było to, że miał głębokie przeświadczenie, że to wszystko była jego wina.

Ciszę dnia zburzył narastający warkot samochodu. Sam obrócił się. Spodziewał się, że to Jeremiasz i Cooper wracali z wyprawy do Coleville. Starszy pan bardzo na tę podróż nalegał. Sam miał już dość samotności. Zbyt wiele czasu na myślenie, zbyt wiele refleksji.

Ale to nie był samochód Coopera. Na podwórze wjechała półciężarówka. To była Maggie.

Serce Sama ruszyło z kopyta. I zaschło mu w ustach. Jaskrawe słońce odbijało się w szybach i prawie nie było widać, kto siedział za kierownicą. Ale jemu to nie przeszkadzało. Wystarczyło, że wiedział, iż była w pobliżu, i natychmiast emocje ścisnęły mu trzewia.

Maggie wysiadła z auta. Odrzuciła włosy na ramię.

– Cześć, Sam. Uśmiechnęła się smutno. Boże! Jak on za nią tęsknił.

Zupełnie nie umiał wyobrazić sobie, co będzie, kiedy wyjedzie.

– Czy Jeremiasz już wrócił? – spytała. Zatrzasnęła drzwiczki i zaczęła wyjmować z bagażnika torby z zakupami.

– Nie. – Sam ruszył ku niej.

– Pomyślałam, że znów upiekę ciasteczka czekoladowe... Trzeba uczcić, że wy dwaj tu jesteście. – Wspięła się na palce, żeby sięgnąć po następne torby.

– Nie ruszaj – zawołał Sam. Odsunął ją i wziął sprawunki. – Nie powinnaś dźwigać ciężkich rzeczy – powiedział surowo.

Uśmiechnęła się szeroko.

– Nic mi nie jest, Samie. Warzywa mogę zanieść sama.

Jednak nie ustąpił i sięgnął po torby.

– Nie możesz – powiedział. – Przynajmniej dopóki ja tu jestem.

Uśmiech spłynął z jej twarzy.

– Ale będę musiała, kiedy wyjedziesz. Poczul ucisk w sercu. Aż do bólu.

– Jeszcze nie wyjechałem – zauważył.

– No, dobrze. Zanieś to do kuchni i postaw na stole. – Maggie poszła przodem. Otworzyła drzwi i go wpuściła. Potem zaczęła rozpakowywać torby.

– To też mogę zrobić – powiedział Sam.

Poczul gwałtowną potrzebę pomagania jej. Przynajmniej dopóki tu był. Spojrzała mu w twarz.

– Sam, ja wiem, że starasz się być miły, ale...

– Maggie, to jest dla mnie ważne... żeby ci pomagać. Psiakrew! Ależ idiotycznie to zabrzmiało. Pomagać?

Zamierzał pomagać matce swojego dziecka rozpakować torby z jarzynami, a potem wyjechać? Cudownie! Wspaniały plan.

Maggie westchnęła. Ujęła go za ramię. Dotknęła Sama po raz pierwszy od wielu dni. Było to najwspanialsze dotknięcie, jakiego kiedykolwiek doświadczył. Jakże brakowało mu jej czułości!

Kiedy cofnęła rękę, poczul przerażającą pustkę.

– Nie dam rady, Sam – powiedziała cicho. W jej oczach zalśniły łzy. – Nie mogę... być przy tobie i nie kochać cię.

– Maggie...

Uciszyła go gestem ręki.

– Nie mogę kochać cię i spokojnie myśleć o twoim wyjeździe. Przykro mi. Naprawdę nie mogę. Ale jeśli naprawdę chcesz mi pomóc, proszę... daj mi trochę spokoju.

Wyrzuty sumienia i wstyd sprawiły, że Sam cofnął się. Tylko on wiedział, ile go to kosztowało. Miał wrażenie, że ktoś wbił mu w serce tuzin ostrych noży.

– Masz rację – powiedział. – Ja, hm, wrócę już do naprawiania płotu. – Odwrócił się i położył rękę na kłamce. – Tylko... Zrób to dla mnie i nie podnoś niczego ciężkiego.

Zmusiła się do uśmiechu.

– Zgoda.

– Dzięki. Będę na zewnątrz... – W tym momencie zadzwonił wiszący na ścianie telefon.

– Ranczo Lonerganów – powiedziała Maggie do mikrofonu. – Cześć, Susan. Co... Och! Dobrze. Powiem mu. Tak – zerknęła na Sama z ukosa – jest tu obok mnie. Powiedz Katie, żeby się nie martwiła.

Kiedy rozłączyła się, Sam spytał:

– Co się stało?

– To była Susan Bateman. Ich suka zaczęła rodzić i Katie przeraziła się, że stało się jej coś złego. Prosiła, żebyś przyjechał pomóc.

– Ja? – Sam parsknął śmiechem. – Katie wie przecież, że jestem lekarzem ludzi, prawda?

– Tak – odparła Maggie. – Ale ona jest małą dziewczynką, która kocha swojego psa. Jest przerażona. A tobie ufa.

Ufa.

Cóż za brzemię. Szczególnie dla człowieka, który nieustannie starał się trzymać z dala od ludzi i ich oczekiwań.

Maggie wyczuła jego obawę i zachciało jej się płakać. Odkąd odkrył, że była w ciąży, dość się już napłakała.

To nie powinno być takie bolesne i trudne, pomyślała.

Kocha, jest w ciąży... Powinna być szczęśliwa. Radować się i świętować.

A tymczasem była w rozpacz, gdyż traciła mężczyznę, który nie mógł... bądź nie potrafił dostrzec stojącego przed nim szczęścia.

– Powiedziałeś, że chciałbyś mi pomóc – powiedziała cicho. Zajrzała mu w oczy. Zobaczyła w nich strach. – Jeśli mówiłeś szczerze, pojedź pomóc Katie.

Zacisnął szczęki. Jakby przeżuwał gorzkie słowa. W końcu kiwnął głową.

– Zgoda – powiedział. – Wrócę tu później. Wyszedł. Maggie oparła się o stół. Marzyła, żeby wszystko mogło się zmienić. Żeby Sam potrafił zauważyć, że byli sobie przeznaczeni. Wszyscy troje.

Suka, jasnożółty golden retriever o imieniu Księżniczka, nie była zainteresowana jakąkolwiek pomocą. Spojrzała na Sama, jakby chciała mu powiedzieć, że doskonale da sobie radę, byle tylko jej nie przeszkadzać.

I tak się stało. Z Katie u boku Sam przyglądał się, jak na świat przychodziły kolejne szczenięta.

– Czy to boli? – spytała Katie.

– Troszeczkę – powiedział Sam. I wskazując leżącą na materacu sukę, dodał prędko: – Ale Księżniczce to nie przeszkadza, widzisz?

– Tak. – Katie usiadła mu na kolanach. – Popatrz, jeszcze jeden!

Urodziło się szóste szczenię. A po kilku minutach jeszcze siódme i ósme. Wkrótce wszystkie małeństwa były wyczyszczone i umyte. A Księżniczka zmęczona usnęła.

– Mamusiu, już są wszystkie! – zawołała Katie. Susan Bateman wetknęła głowę w drzwi i uśmiechnęła się do Sama.

– Dziękuję, że pan przyjechał. Ona była taka przerażona.

– Możesz dostać szczeniaka, jeśli chcesz – powiedziała Katie. – Jeremiasz chciał jednego, a ty możesz dostać drugiego.

– Och, kochanie – rzuciła Susan i posłała Samowi przepraszający uśmiech. – Doktor Sam nie zostanie tutaj. On nie ma domu, gdzie mógłby trzymać pieska.

Sam zmarszczył się. Nie podobało mu się to wytłumaczenie, ale co miał powiedzieć? Wszak miała rację.

– Nie masz domu?

– Nie...

– On jest bardzo zajęty – wtrąciła Susan. – Pracuje po całym świecie.

– Przecież nie musisz – powiedziała Katie i poklepała go po ręce. – Możesz zostać tutaj i mieć pieska i dom, i mnie do zabawy, i...

– Katie... – Głos jej mamy pełen był zmęczenia, ale i rozbawienia. – Idź na górę i umyj ręce przed jedzeniem.

– Doobrzeeee... – Wyraźnie zde gustowana Katie posłuchała.

Kiedy wyszła, Susan wzruszyła ramionami i powiedziała:

– Dziękuję, że pan przyjechał. To było dla Katie bardzo ważne.

– Nie ma za co – odparł. Wstał i otarł dłoń o dłoń. – Cieszę się, że mogłem pomóc.

Nie uwierzyła, ale i tak się uśmiechnęła.

– Niektórzy mówią, że ją rozpieszczę. Ale tak trudno się powstrzymać.

– Ona jest jedynaczką?

– Właściwie nie – odpowiedziała cicho. – Mieliśmy dwoje dzieci. Ale nasz syn Jacob zmarł dwa lata temu.

Jej cichy głos, proste słowa, wstrząsnęły Samem.

– Nie wiem, co powiedzieć.

– Wszystko w porządku. Nie musi pan nic mówić. Proszę za mną, coś panu pokażę. – Zaprowadziła go do salonu. Przez szerokie okna wpadało światło do zastawionego meblami wnętrza. W kącie leżały zabawki, na stoliku do kawy kolorowe pisma i parę książek.

Susan podeszła do ściany, na której wisało kilka oprawionych w ramki fotografii. Pośród nich portret roześmianego chłopca. Mógł mieć około trzech lat, jasne włosy i błyszczące niebieskie oczy. Jak jego siostra.

– To jest Jacob – powiedziała.

– Jest śliczny – powiedział Sam. – Co się stało? Westchnęła. Skrzyżowała ramiona i powiedziała:

– Kiedy sprowadziliśmy się tutaj, zamierzaliśmy postawić płot od frontu. Ale jakoś zawsze było coś ważniejszego do zrobienia. Stale byliśmy zajęci. – Potrząsnęła głową. – Jacob pobiegł za piłką, prosto na ulicę. Kierowca nawet go nie zauważył.

Boże!

– Tak mi przykro.

– Nam też było przykro – powiedziała cicho. Popatrzyła mu w twarz i głęboko nabrała powietrza. Dla uspokojenia. – Długo trwało, ale jakoś w końcu się pozbieraliśmy. Życie musi toczyć się dalej. Stale wspominamy Jacoba. Mamy Katie i... – przyłożyła dłoń do brzucha – ... numer trzeci już w drodze.

Mimo tylu tragicznych doświadczeń potrafiła się pozbierać. Spróbować jeszcze raz. Ujęła go jej odwaga.

– Jak pani pokonała ból?

– Wcale nie trzeba – odparła. – Trzeba po prostu nauczyć się z nim żyć. Jeremiasz opowiedział mi o pana kuzynie Macu.

Niektórzy żyją z tym, pomyślał Sam, jak Susan, która musi opiekować się Katie. A inni uciekają.

Ze wstydem musiał przyznać, że ta kobieta okazywała każdego dnia więcej odwagi, niż on potrafił wykrzesać z siebie przez piętnaście lat.

I w tym momencie przejrzał. Serce zaczęło mu walić. Poczul pieczenie pod powiekami. Coś ścisnęło go za gardło. Zrozumiał! Pojął, że ucieczka nie koi ran. Że nie można skryć się przed bólem i cierpieniem. Że dopóki nie znajdzie własnej drogi przez życie, będzie równie martwy jak Mac.

– Przepraszam, Mac – powiedział Sam, wpatrując się w ciemną toń jeziora. Chociaż brzmi to dziwnie, wyraźnie czuł obecność Maca. – Przepraszam, że cię wtedy zawiodłem. Przepraszam, że tak długo mnie tu nie było.

Powiew wiatru zmarszczył powierzchnię jeziora.

– Wciąż za tobą tęsknię. Każdego cholernego dnia. – Schylił się, podniósł kamień i cisnął do wody. – Ale myślę, że wreszcie wszystko będzie dobrze. Chciałbym... żebyś wiedział.

Stał w milczeniu i po raz pierwszy od tamtego odległego, letniego dnia czuł się... pełen życia.

Nieoczekiwane pukanie do drzwi tak wystraszyło Maggie, że wylała sobie herbatę na bluzkę. Zerkając podejrzliwie na drzwi, skarciła się w myślach za taką reakcję.

Sam nie odwiedził jej od dnia, kiedy powiedziała mu o dziecku. I o to jej chodziło.

Mrucząc coś pod nosem, odstawiła kubek na stolik i wstała. Podeszła do drzwi i je otworzyła. Przed nią stał Sam.

Lecz nie był to ten sam człowiek. Kilka godzin wcześniej widziała kogoś innego. Ten, który stał przed nią, tryskał radością. Iskierka nadziei zaświtała w jej duszy.

– Sam?

– Mogę wejść, Maggie? – Obiema rękami ścisnął framugę.

Jakby powstrzymywał się przed wtargnięciem do środka.

– Nie wiem... – Nadzieja próbowała zagościć w jej duszy, lecz broniła się przed nią.

Nie mogła pozwolić sobie na jeszcze jedno rozczarowanie.

– Proszę, Maggie. Tyle mam ci do powiedzenia... O tyle chcę cię prosić.

Choć zimne dreszcze przebiegły jej po plecach, usłuchała instynktu. Odsunęła się, gestem zaprosiła go do środka. Wszedł energicznie i zatrzymał się na środku pokoju. Odwrócił się do niej i powiedział:

– Maggie, jestem idiotą.

– W porządku... – Powoli zamknęła drzwi i czekała.

Bała się uwierzyć. Bała się marzyć.

Obiema rękami przesunął po włosach. Potem opuścił je wzdłuż boków.

– Coś mnie dzisiaj oczarowało. – Co?

– Ty. My. Dziecko. – Roześmiał się i szeroko rozpostarł ręce. – Życie.

– O czym ty mówisz, Samie? – Maggie zbliżyła się do niego ostrożnie.

– Kocham cię.

Zachwiała się. Przycisnęła dłoń do piersi. Jakby chciała uciszyć łomotanie głupiego serca.

– Co?

– Kocham cię, Maggie – powtórzył i podszedł do niej. – Kocham cię od chwili, gdy zobaczyłem cię pierwszy raz. Ale byłem zbyt głupi... albo zbyt przerażony, żeby to dostrzec. Żeby uwierzyć w to.

– Sam... Nie wiem, co powiedzieć... – Boże, modliła się w duchu, spraw, żeby naprawdę to miał na myśli.

– Nie mów nic. Pozwól mi mówić. Pozwól mi powiedzieć, ile dla mnie znaczysz. – Podszedł do niej, zamknął jej twarz w dłoniach i zajrzał w oczy. – To ty przypominałaś mi, co znaczy żyć, Maggie. Śmiałaś się ze mną, spierałaś. Pokazałaś, że życie bez miłości nie jest pełne.

– Sam... – głos się jej załamał.

Zamrugnęła gwałtownie, żeby usunąć łzy spod powiek. Nie chciała niczego uronić. Chciała widzieć emocje lśniące w jego oczach.

– Piętnaście lat uciekałem – powiedział. Wplótł palce w jej włosy. Jego spojrzenie omiatało ją jak dotyk kochanka. – Ukrywałem się przed wszystkim i wszystkimi, których kochałem. Straciłem bezpowrotnie czas, który mogłem poświęcić ludziom, bardzo dla mnie

ważnym. Wmawiałem sobie winę, ponieważ uważałem, że nie mam prawa być szczęśliwy. Tłumiłem swoje uczucia, gdyż zwiążanie się z kimś mogło przynieść mi kolejne cierpienie.

Delikatnie pogłaskała go po policzku. Uśmiechnęła się, kiedy obrócił głowę i pocałował wewnątrz jej dłoni.

– Ale, Maggie, dzisiaj uświadomiłem sobie, że uciekanie przed miłością także oznacza cierpienie. – Objął ją i spojrzał głęboko w oczy. – Byłem samotny i pusty. Nie chcę więcej być sam. Chcę cię kochać, Maggie. I chcę być przez ciebie kochany. Chcę wychowywać nasze dziecko... I następne...

– Następne?

– Następne. – Roześmiał się radośnie. – Niech będzie tuzin.

– Sam...

– Gotów jestem zaryzykować, Maggie. Jestem gotów poddać się przeznaczeniu. I jestem gotów uwierzyć, że to ty nim jesteś.

Radość wypełniła serce Maggie. Zrobiło się jej gorąco. Poczowała miękkie nogi. Gdyby jej nie trzymał, przewróciłaby się na podłogę.

Nie liczyła na to... Nie spodziewała się.

– Och! Sam...

– Rozmawiałem z doktorem Evansem – mówił prędko, z ożywieniem. – Zamierzam przejąć jego praktykę w mieście...

– Naprawdę? – Otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. Rozpromieniła się. Wizja przyszłości oszołomiła ją.

– Ale, jeśli nie masz nic przeciw temu, chciałbym mieszkać tutaj. Na ranchu. Jeremiasz starzeje się i będzie potrzebował opieki. Poza tym, psiakrew! stęskniłem się za rodziną. Za moimi korzeniami. Za tym miejscem.

Maggie roześmiała się przez łzy.

– Ależ oczywiście, że nie mam nic przeciw temu! – zawołała. – To miejsce jest moim domem. Kocham je. I kocham Jeremiasza.

– A mnie? – spytał z niepokojem. – Proszę, powiedz, że wciąż mnie kochasz, Maggie. Powiedz, że nie zwlekałem zbyt długo.

– Kocham cię, Samie – powiedziała. Serce podeszło jej do gardła. Łzy napłynęły do oczu, zupełnie ją oślepiając. Ale to nie miało znaczenia. Wiedziała, że będzie widywała go codziennie. Że każdego dnia będzie widziała miłość w jego oczach. – Zawsze będę cię kochała.

– Powiedz, że za mnie wyjdiesz – poprosił, wyraźnie zdenerwowany.

– Tak. Wyjdę za ciebie – wyszeptwała. Serce omal nie eksplodowało jej ze szczęścia. – I przyrzekam, że zawsze będę cię kochała.

Przytulił ją. Pocałował.

– Tylko śmierć nas rozłączy, Maggie.

ITARI TO:IN

Georgey Romans[®]

NIR 12 06/01 CENA 7,40 ZŁ W TYM 0% VAT INDERS 356 048

Lata pełne
niekłamstwa
miniserial

Maureen Child
Duchy z przeszłości

Maureen Child

Duchy z przeszłości

(Strictly Lonergan's Business)

ROZDZIAŁ PIERWSZY

– To proste – powiedziała do siebie Kara Sloan, spoglądając na swoje odbicie w samochodowym lusterku. – Kiedy otworzy drzwi, powiesz: odchodzę.

Jasne.

Ale gdyby to było takie łatwe, zrobiłaby to już sześć miesięcy temu albo przed rokiem, kiedy zdała sobie sprawę, że zakochała się w swoim pracodawcy.

Problem w tym, że przy Cooperze Lonerganie przestawała myśleć, a władzę przejmowały emocje. Wystarczyło jedno spojrzenie ciemnobrązowych oczu, a miękkły pod nią kolana.

Nadal nie mogła zrozumieć, jak do tego doszło. Absolutnie tego nie planowała. Była jego asystentką od pięciu lat. Przez pierwsze cztery nic się nie wydarzyło, wszystko doskonale się układało. Łączyła ich przyjaźń i dobre stosunki służbowe. Aż tu niespodziewanie rok temu uświadomiła sobie, że jest w nim zakochana. Od tej chwili czuła się podle i była nieszczęśliwa.

Nie mogła być zła na Coopera, że nie zauważył zmiany w jej uczuciach. Zresztą dlaczego miałby zauważyć? Dla niego była jedynie wygodnym i oczywistym elementem otoczenia jak stojąca w salonie czarna skórzana sofa.

Sama była sobie winna. Bez jego wiedzy zmieniała zasady. Kochała go, a on ją tylko lubił.

Sytuacja była beznadziejna.

– Dlatego musisz odejść – powiedziała stanowczo, patrząc w swoje duże zielone oczy w lusterku wypożyczonego auta. – Zmierz się z problemem, stań przed Lonerganem i po prostu mu to powiedz.

Wciągnęła ciężko powietrze i westchnęła. Potrafię to zrobić i zrobić!

Mamrocząc pod nosem, wysiadła z samochodu, zatrzasnęła drzwiczki i ruszyła w kierunku dużego domu w stylu wiktoriańskim, z żółtą fasadą, który Cooper wynajął na lato. Budynek wydał jej się przytulny i gościnny, jakby na nią czekał. Niespodziewanie zrobiło jej się przykro, że za dwa tygodnie będzie musiała wrócić do Nowego Jorku. Tu, w tym miejscu, było coś fascynującego.

Dom usytuowany był w znacznej odległości od ulicy, pośrodku rozległego, wypielegnowanego trawnika. Otaczały go stare, cieniste drzewa. W szybach odbijały się promienie porannego słońca. Wzdłuż werandy stały gliniane donice pełne kwiatów, mieniących się w ciepłym świetle feerią barw. W powietrzu unosił się zapach świeżo skoszonej trawy i delikatna woń oddalonego o kilka kilometrów oceanu. Kara zawsze uważała się za mieszczucha. Była szczęśliwa na Manhattanie. Uwielbiała tamtejszy pośpiech i uliczny dok, symfonię klaksonów stojących w korkach aut, obelżywe okrzyki taksówkarzy, którzy każdy przejechany kilometr traktowali jak osobiste zwycięstwo.

Musiała jednak przyznać, że to miejsce było urokliwe. Cisza, spokój, przepych soczystych kolorów.

Nie ma sensu się przyzwyczajać, pomyślała.

Zachwiała się na wysokich szpilkach, które zapadały się w żwirową nawierzchnię podjazdu. I to miało być odpowiednie obuwie... Od roku przebywanie w towarzystwie Coopera kompletnie ją rozstrajało. Gdyby miała odrobinę rozsądku, włożyłaby na podróż dżinsy i tenisówki. Ale nie, ona wolała pięknie wyglądać, gdy się spotkają. Żeby przynajmniej choć raz dostrzegł jej starania...

Zgrzytając zębami, przyznała, że pisarz nie zauważyłby, nawet gdyby stanęła przed nim naga. Właśnie dlatego powinna natychmiast rzucić tę pracę. Co nie było jednak takie proste. Okropnie jest być zakochanym w mężczyźnie, który widzi w tobie tylko kompetentną asystentkę.

– Sama się tak urządziłam – westchnęła, obchodząc samochód. Nacisnęła autopilota i bagażnik otworzył się wolno jak wieko trumny w starych filmach o Drakuli.

Dobrze im się razem pracowało. Często się śmiali. Kara odczuwała ogromną satysfakcję. Była tak dobra w tym, co robiła, że Cooper nie potrafił się już bez niej obejść. Niestety wszystko popsuła, nie trzymając się zasad.

Sama nie wiedziała, kiedy przestała patrzeć na Coopera jak na pracodawcę i zaczęła mieć na jego temat fantazje dozwolone od osiemnastego roku życia. Pisarz mylił się co do niej i jej profesjonalizmu. Bez trudu pokonał jej mur obronny i nieświadomie rozkochał ją w sobie, nawet tego nie zauważając.

Tym bardziej powinna odejść. Uciec od niego, zanim będzie za późno. Jak to ujęła zeszłego wieczoru jej przyjaciółka Gina: „Zwiewaj od niego, gdzie pieprz rośnie, póki jeszcze masz siłę”.

Giną zabrała Karę na drinka, żeby udzielić przyjaciółce wsparcia i dodać odwagi.

– Doskonale wiesz, że ten facet nigdy się nie zmieni – przekonywała.

– Masz rację – przyznała Kara, wkluwając wykałaczkę w pływającą w kieliszku martini oliwkę, jakby była kosmitą dążącym do przejęcia władzy nad ziemianami. – Dla niego wszystko jest w najlepszym porządku. Wspaniale!

– Do tego zmierzam. – Giną zamrugła powiekami i gestem dłoni przywołała barmana. – Od kiedy jest w Kalifornii? Od trzech dni?

– Tak.

– I już dzwonił do ciebie ze sto razy.

To prawda. Zawsze miała włączony telefon komórkowy, żeby Cooper w każdej chwili mógł się z nią skontaktować. Co też wykorzystywał, wydzwanając z zadziwiającą regularnością. Ostatni telefon odebrała dwadzieścia minut temu.

– Pracuję dla niego.

– Jasne, tylko że on przekracza wszelkie granice – stwierdziła Gina, nachylając się nad barem. Jej jasne włosy opadły na blat. – Ostatnio dzwonił zapytać, jak zrobić kawę. Ma trzydzieści kilka lat i nie potrafi zaparzyć sobie filiżanki kawy bez twojej pomocy?

– Dokładnie trzydzieści jeden i oczywiście potrafi – zaśmiała się Kara. – Jest po prostu nieznośny.

Giną wcale nie czuła się rozbawiona. Kręcąc głową z dezaprobatą, wyprostowała się.

– Możesz mieć pretensje tylko do siebie. Doprowadziłaś do tego, że jesteś mu niezbędna.

– Uważasz, że to źle? – Kara sięgnęła po drinka, szukając w kieliszku nowej oliwki.

– Lonergan postrzega cię jako doskonale zaprogramowanego robota. – Giną przełknęła łyk appletini i zakręciła kieliszkiem w powietrzu. – On nie widzi w tobie kobiety i nigdy nie zauważy.

– To przykre, co mówisz.

– Ale prawdziwe.

– Być może.

– I co z tym zamierzasz zrobić? Trzymać się go, aż się zestarzejesz i zadasz sobie pytanie, co się stało z twoim życiem? Dlaczego nie odejdziesz teraz, póki jeszcze możesz?

To pytanie za tysiąc punktów, pomyślała Kara, wyciągając z bagażnika rzeczy. Giną miała rację. Do licha! Od roku знаła tę gorzką prawdę, ale łudziła się. Nie było dla niej przyszłości z Cooperem. Bynajmniej nie czekało jej nic więcej poza tym, co miała teraz. A to jej nie wystarczało.

Rześki powiew chłodnego wiatru znad oceanu wprawił w taniec leżące na trawniku liście i potargał ciemnobrązowe włosy Kary, które zasłoniły jej oczy. Odgarnęła je do tyłu, westchnęła głęboko, wzięła dwie walizki, siatkę ze świeżymi bajglami, słoiczkiem wymienitej kawy; bez której Lonergan nie potrafił pisać, oraz pięć opakowań ciasteczek z pianką. Miał upodobania nastolatka. Uśmiechnęła się pod nosem. To było urocze. Zawsze musiał mieć pod ręką ulubione łakocie. Nie, przeciwnie, to jest irytujące, poprawiła się natychmiast w myślach.

Obiecała sobie, że z marszu wręczy Coopelowi wypowiedzenie z dwutygodniowym terminem wypowiedzenia. Oczywiście znajdzie mu tymczasowe zastępstwo na okres wakacji, które pisarz spędza tu w Kalifornii. Potem, kiedy wróci na Manhattan, sam poszuka sobie kogoś na stałe.

A ona im szybciej wyjedzie do Nowego Jorku i zacznie odzyskiwać swoje życie, tym lepiej.

Zdeterminowana ruszyła podjazdem do frontowego wejścia wielkiego domu. Chwiejąc się na szpilkach, powtarzała sobie w myślach: To tylko praca. Znajdziesz lepszą. Nie potrzebujesz Coopera. Gdy była już prawie przekonana co do słuszności swojej decyzji, niespodziewanie otworzyły się drzwi i na ganek wyszedł Lonergafi. Wysoki i szczupły, ubrany w swój charakterystyczny nowojorski strój, czyli czarną koszulę i czarne spodnie. Miał ostre rysy i nieco kanciastą twarz. Czarne włosy opadające na ramiona tworzyły wokół twarzy coś na kształt ciemnej aureoli. W jego ciemnych oczach odbijały się promienie słońca. Kiedy się uśmiechnął, Kara poczuła nieprzyjemny skurcz w żołądku. Jego widok wywarł na niej większe wrażenie, niż się spodziewała. Wszystko przez ten cudowny uśmiech, który nieczęsto gościł na jego ustach. Jednak kiedy się pojawiał... przyprawiał ją o zawrót głowy. Do licha!

– Kara! – zawołał entuzjastycznie, schodząc ze schodów długimi krokami. Zatrzymała się, spiorunowana siłą obezwładniających ją uczuć. Cooper przycisnął ją na powitanie mocno do siebie, rozpalając jak stuwatową żarówkę, po czym nagle wypuścił z ramion. O mało nie straciła równowagi.

– Dobrze, że już jesteś.

W sercu zaświtała jej nikła nadzieja.

– Tęskniłeś za mną?

– Nawet nie wiesz jak! Zrobiłem sobie rano kawę z cynamonem i smakowała jak bagnista breja.

No tak. Złudzenia prysły. Witaj, prozo życia, pomyślała. Oczywiście, że za nią nie tęsknił. Brakowało mu komfortu, który mu zapewniała. Dlaczego tym razem miałyby być inaczej?

– Powiedz, że przywiozłaś prawdziwą kawę i moje ulubione ciasteczka.

Westchnęła głęboko, akceptując prawdę.

– Tak, mój wyrośnięty nad wiek czterolatku. Mam i jedno, i drugie.

– Wspaniale – wykrzyknął, ignorując zarówno jej drwiny, jak i ją samą. Wziął od niej jedną walizkę i ruszył do domu. – A odebrałaś rzeczy z pralni?

– Są w bagażniku.

– A bajgle? Pamiętałaś?

Pokiwała głową i przyspieszyła kroku, doganiając go. Wystarczyło kilka sekund, a już wpadła w stary schemat. Co się stało z deklaracjami? Tak szybko straciła siłę woli? Dlaczego nie spojrzała w te jego czekoladowe oczy i nie oświadczyła, że odchodzi? Wciągnęła głęboko powietrze i o mało nie jęknęła.

Tak wspaniale, smakowicie pachniał.

– Oczywiście – mruknęła zde gustowana jego i własnym zachowaniem. – Czy przez ostatnie pięć lat kiedykolwiek o czymkolwiek zapomniałam?

– Nigdy – potwierdził, mrugając do niej okiem. Pod Karą zmiękły kolana, mimo że coraz bardziej umacniała się w swoim postanowieniu. – To dlatego nie potrafię bez ciebie żyć.

Słowa wypowiedziane tak łatwo i lekko. Nic dla niego nie znaczyły. Dla niej, gdyby były szczerze, byłyby spełnieniem pragnień.

Cooper otworzył drzwi i przepuścił ją pierwszą. Weszła, stukając głośno obcasami o wiekową drewnianą posadzkę. Odrzuciła długie ciemnobrązowe włosy na ramiona i rozejrzała się ciekawie po domu.

Biegając za jej wzrokiem, po raz pierwszy od przyjazdu zauważył szczegóły wystroju wnętrza. Był tu od trzech dni, ale większość czasu spędził w sypialni, pracując.

Lub raczej starając się pracować. W rzeczywistości rozegrał tysiąc partii Solitera, co oczywiście nie pomoże mu w dotrzymaniu zbliżającego się nieuchronnie terminu oddania książki.

– Piękny dom – zauważyła Kara, przyglądając się wspinałemu mosiężnemu żyrandolowi wiszącemu w salonie.

Cooper rozejrzał się wokół. Nic szczególnego. Tapicerowane fotele w wyblakłym różnym kolorze, pleciony dywan zakrywający większość drewnianej zniszczonej podłogi, jasnożółte ściany rozświetlające i rozweselające pomieszczenie. Widać było, że agencja nieruchomości, od której wynajął ten dom, dbała o utrzymanie budynku w dobrym stanie.

– Ludzie mówią, że to miejsce jest nawiedzone.

Kara odwróciła się gwałtownie i spojrzała na niego z zaciekawieniem, otwierając szeroko zielone oczy.

– Tak?

– Kiedy byłem dzieckiem, spędzałem w Coleville z dziadkiem i kuzynami każde wakacje.

Niespodziewanie naszły go wspomnienia i poczuł dławienie w gardle od kłębiących się emocji. Odepchnął je od siebie, celowo zamykając się przed miotającymi się w sercu uczuciami.

– Przyjeżdżaliśmy tu w nocy na rowerach, obserwowaliśmy dom i opowiadaliśmy sobie straszne historie, czekając na pojawienie się ducha. Oczywiście niczego nie zobaczyliśmy – uśmiechnął się, wzduszając ramionami.

– Może teraz przez te kilka dni coś zauważyłeś?

– Nic a nic.

– Szkoda – oświadczyła zawiedziona.

Coopera rozbawiło wyczuwalne w jej głosie rozczarowanie. Niezależnie od wszystkiego zawsze mógł liczyć na to, że Kara zainteresuje się dokładnie tym samym co on. Jako autorowi powieści grozy, spodobał mu się bardzo pomysł wynajęcia na lato nawiedzonego domu, który tak bardzo go fascynował i niepokoił, gdy był dzieckiem. Powinien jednak wiedzieć, że jedyne duchy, których mógł się tu spodziewać, były zjawami z jego przeszłości. Instynktownie odrzucił tę myśl. Nie zamierzał wracać do tamtych wydarzeń.

– Tylko kilka kilometrów dzieli to miejsce od posiadłości dziadka, dlatego uznałem, że będzie mi tu wygodnie.

– No właśnie. A jak on się czuje?

– O dziwo, doskonale, ale to dłuższa historia.

– Ale lekarz twierdził, że jest umierający?

– Mówiłem ci, to zawiła sprawa – mruknął, nie chcąc wdawać się teraz w szczegóły. – Najpierw wytłumacz się, dlaczego przyjechałaś dopiero dzisiaj. Miałaś być wczoraj.

– Przecież już mówiłam. Trzy dni zabrało mi pozamykanie wszystkich spraw i załatwienie opieki do twojego mieszkania.

– Dobrze, że się wszystkim zajęłaś, ale to były dla mnie bardzo długie trzy dni. Jesteś najlepszą asystentką pod słońcem. Dostałaś ostatnio podwyżkę?

– Nie – burknęła z wyrzutem.

– Dopisz to do listy – rozkazał, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć. – Najważniejsze, że już jesteś.

Kara uśmiechnęła się i Cooper dodał:

– Przy tobie nareszcie będę mógł zacząć pracować. Od wyjazdu z domu nie jadłem porządnego posiłku.

Uśmiech zniknął z jej twarzy jak za dotknięciem różdżki.

– Sklep spożywczy w Coleville nie dostarcza zakupów do domu, będziesz więc musiała pojechać do miasteczka, żeby zrobić zapasy. – Wyjął jej z rąk walizkę i oddalił się w kierunku schodów. – Zaniosę twój bagaż. Zamieszkas w pokoju z pięknym widokiem na pola. Moja sypialnia jest po przeciwnej stronie korytarza. Łazienką będziemy się musieli podzielić, ale myślę, że sobie z tym poradzimy. Zrobisz harmonogram i...

– Cooper!

Przerwał, spojrzął na nią i posłał jej jeden ze swoich rzadkich, szczerych uśmiechów.

– Naprawdę się cieszę, że przyjechałaś. Nie ma sprawy. Wiem, co chcesz powiedzieć.

– Czyżby?

– Oczywiście. Czujesz to samo i cieszysz się, że wszystko wróciło do normy.

ROZDZIAŁ DRUGI

Kilka godzin później Kara wróciła do domu z zakupów, wstawiła kurczaka do piekarnika i nawet zdążyła zamówić faks, który mieli przywieźć następnego dnia rano.

Cooper pracował na górze, a ona, krzątając się po kuchni, zastanawiała się, co się stało z jej doskonałym planem. Przysiadła na zniszczonym blacie kuchennym i skrzyżowała ręce na piersi. Miała na sobie ulubione, znoszone, wypłowiałe dżinsy, błękitny podkoszulek i tenisówki.

– Jesteś beznadziejna – skarciła się głośno. – Zachowujesz się jak tresowany piesek. Nie masz kręgosłupa. Przynosisz wstyd swojemu zawodowi.

Późnym przedpołudniem przez przysłonięte firankami okna wślizgnęły się do wnętrza domu jasne promienie słońca, tworząc na okrągłym stole i błyszczącej drewnianej podłodze koronkowe wzory. Powiał lekki wiatr, wprawiając cienie w leniwy taniec.

Kara przeszła przez kuchnię, wysunęła zza stołu krzesło i usiadła. Oparła się łokciami o blat i wyrzała przez szparę pomiędzy firankami na trawnik ciągnący się aż do zieleniącego się w oddali dzikiego pola. Westchnęła głośno z niechęcią. Czowała odrazę nie tyle do Coopera, ile do siebie.

„Wszystko wróciło do normy” – zadzwęczało jej w głowie. Ze złością podniosła się i uderzyła pięściami w stół, wywołując głuchy łomot przypominający bicie serca. To nie jego wina, że dobrze się czuje w dotychczasowym układzie. Wiedziałaś, że tak będzie. Dlaczego w takim razie nie dałaś mu wymówienia? – warknęła.

Odpowiedź na to pytanie doskonale знаła. Wystarczyło, że ujrzała Coopera, a natychmiast straciła głowę. Logicznie myślący, rozsądny umysł opanowywały emocje, wiodąc ją w krainę fantazji.

W wyobraźni miała wszystko idealnie zaplanowane. Nawet dialogi. Musi podjąć jeszcze jedną próbę. Wejdzie do jego pokoju, wpadające przez okna promienie słońca oślepią ją, a wtedy...

Cooper podniesie na nią oczy. Ich spojrzenia spotkają się. I przez jedną krótką, zapierającą dech w piersiach chwilę oboje zatracą się w niespodziewanie rozkwitłej między nimi wszechogarniającej miłości.

On podejdzie do niej, ujmie jej twarz w dłonie i powie:

– Byłem głupcem, że tak długo nie potrafiłem cię dostrzec. Wybaczysz mi?

Ona uśmiechnie się, weźmie go za rękę i wyszepcze:

– Nie muszę ci niczego wybacać. Wystarczy, że nareszcie jesteśmy razem. Kocham cię.

– Ja też cię kocham – odpowie Cooper, po czym namiętnie ją pocałuje.

No tak, burknęła, wynurzając się z krainy marzeń jak tonący nurek na powierzchni wody, by zaczerpnąć haust powietrza. Chyba jestem kompletną idiotką.

Niewątpliwie. Beznadziejną marzycielką, zakochaną w mężczyźnie, który mnie nie zauważa i nie dostrzeże, aż będzie za późno.

Niespodziewanie kuchnię przeszły głębokie westchnienie.

Kara podskoczyła na krzesło, rozejrzała się wokół, szukając na próżno źródła dźwięku. Nikogo nie było. Spięta, wyprostowała się, w oczekiwaniu, że odgłos się powtórzy. Wokół panowała grobowa cisza. Siedziała sama w wypełnionej promieniami słońca kuchni. Przeszył ją nieprzyjemny dreszcz.

Duch?

Cooper wspominał, że dom jest nawiedzony, ale niczego dziwnego dotąd nie zauważył.

– To wyobraźnia – wyszeptwała, wstając cicho i powoli. Zaśmiała się lekko, udając przed samą sobą, że nie drży jej głos. Z trudem przełknęła ślinę i obejmując się rękoma, roztarta dłońmi ramiona, jakby chciała rozproszyć ogarniające ją uczucie zdenerwowania.

W końcu uznała, że przesłyszenia są wynikiem nadmiernego fantazjowania, i zabrała się za gotowanie obiadu.

Cooper spędził cały dzień z demonem mordercą. Zręczne palce jak szalone uderzały w klawiaturę, z trudem doganiając tworzone w wyobraźni obrazy. Słowa same układały się w historię. Pisarz dobrze wiedział, co czytelnik powinien odczuwać. Zdziwiło go, że był to pierwszy kawałek dobrej fikcji, który udało mu się napisać od przyjazdu do Kalifornii. Był z siebie zadowolony. Wspaniale było zatopić się w świecie fantazji, powoływać do życia nowe postaci i patrzeć na ekran monitora, na którym nabierają kształtu i charakteru. Nareszcie choć na moment udało mu się pozbyć dławiących go od trzech dni wspomnień.

Gruby dywan śniegu zakrył ścieżkę prowadzącą do drzwi starego hotelu, ale David nawet tego nie zauważył. Przeszywający mróz wniknął głęboko w jego kości i w duszę. W żołądku coraz mocniej zaciskał mu się węzeł strachu. Skulił się, chroniąc się przed uderzeniami lodowatego wiatru. Szedł, powłócząc nogami, niechętnie, wiedziony wewnętrznym przecuciem, że powinien trzymać się od tego miejsca z daleka...

Cooper przerwał pisanie i odchylił się na oparcie krzesła. Wiedział, co przeżywał bohater jego powieści, gdyż sam znalazł się w podobnej sytuacji. Nie chciał przyjeżdżać do Coleville. Intuicja podpowiadała mu, że powinien natychmiast jak najdalej stąd uciekać. Został tu jednak uwięziony na całe lato. Dał słowo dziadkowi, a Lonerganowie zawsze dotrzymują obietnic, nawet jeśli zostały wymuszone podstępem. Przebiegły staruszek oszukał bowiem swoich wnuków, że leży na łożu śmierci.

Cooper nie był na niego zły. Przeciwnie, ucieszył się, że Jeremiaś jest zdrowy i że dopisuje mu humor. Nie był w Coleville od piętnastu lat i gdyby dziadek nie użył podstępu, zapewne nigdy by tu nie wrócił.

Powrót w rodzinne strony był dla niego ciężkim przeżyciem. Zbyt wiele było wspomnień rojących się w jego umyśle jak dokuczliwe stado komarów, których nie da się ignorować.

Na monitorze włączył się wygaszacz ekranu: nawiedzony dom pełen nietoperzy, duchów i wampirów. Zazwyczaj obrazek ten był wystarczająco motywujący, aby zachęcić go do

dalszego zagłębiania się w opowiadaną historię i pisanie. Dziś jednak animowany filmik nie przykuł jego uwagi.

Z dołu dobiegało stukanie garnków i patelni. W starych rurach słychać było płynącą wodę. W powietrzu unosił się smakowity zapach. Lonergan pociągnął nosem, delektując się aromatem czosnku i szaławii. Nade wszystko cieszyła go obecność krzątającej się na dole Kary.

Dobrze było mieć ją przy sobie. I to nie tylko z powodu jej umiejętności kulinarnych. Od jej przyjazdu Cooper nie czuł się już w Coleville samotnie. Jego rodzina mieszkała zaledwie kilka kilometrów stąd, mimo to nie odstępowało go poczucie pustki.

Zazwyczaj lubił być sam. W Nowym Jorku pracował przez całe dni, unikając telefonów, emaili i wizyt. Kara chroniła go przed światem, zapewniając mu spokój i potrzebny na pisanie czas. Kiedy miał ochotę się rozerwać, tuż za progiem czekało na niego miasto pełne różnorodnych atrakcji oraz setek kobiet, do których zawsze mógł zadzwonić.

W Coleville panował zupełny spokój. Nikt się nie śpieszył i nigdzie nie pędził. Nie trąbiły klaksony stojących w korkach aut, nie docierał gwar ulicy. Nie było słychać syren policyjnych i nie widywało się ulicznych handlarzy narkotyków. Cisza i nadmiar czasu na myślenie.

Lonergan odsunął się z krzesłem od biurka, wstał i podszedł do okna wychodzącego na frontowe podwórze. Nie dostrzegł jednak przez nie zadbanego ogrodu, starych cienistych drzew ani zielonych pól rozciągających się po obu stronach drogi wiodącej na rancho dziadka.

Od trzech dni oczami wyobraźni widział jezioro. Było ono oddalone od posesji o kilka kilometrów i w żadnym wypadku nie można go było stąd dostrzec. Wynajmując ten dom, sądził, że taka odległość wystarczy. Jeśli nie będzie musiał patrzeć na wodę, łatwiej zniesie pobyt w Coleville.

Powinien był lepiej przewidzieć swoje reakcje.

Mieszkał na Manhattanie od kilkunastu lat i codziennie w nocy śniło mu się jezioro. Każdego dnia, kiedy siadał do pisania powieści grozy, które przyniosły mu sławę i pieniądze, widział to samo jezioro. W jego umyśle wciąż odżywały zdarzenia, do których doszło podczas wakacji piętnaście lat temu i które do dziś były dla niego żywym koszmarem.

Gdyby zamknął teraz oczy, ujrzałby przewijające się jak w kalejdoskopie sceny. Poczulby na ramionach prażące słońce. Usłyszałby śmiech kuzynów, szum wiatru w drzewach, plusk wody. Zobaczyłby krewnych urządzających zawody w skokach do lodowatej wody. I przeżyłby paraliżujący szok wywołany wypadkiem.

Nie zamknął więc oczu, ale wspomnienia mimo tego nadal krążyły gdzieś na obrzeżach jego podświadomości, drwiąc sobie z niego i nieustannie powracając. Przeczesał dłonią włosy i przetarł oczy, jakby chciał wymazać obrazy, które wydawały się wypalone na siatkówce.

– Hej! – usłyszał damski głos.

Zaskoczony odwrócił się i ujrzał stojącą w otwartych drzwiach Karę. Serce waliło mu jak młotem. Potrząsnął karcąco głową i spojrzał na nią gniewnie.

– Chcesz mnie przyprawić o atak serca?

– Nie miałam tego w planie na dziś – odparła pogodnie i wkroczyła do pokoju, ciekawie mu się przyglądając.

– Wszystko w porządku? – zaniepokoiła się. Nie, przebiegło mu przez myśli.

– Oczywiście. Skąd to pytanie? – najeżył się. Odwrócił się do niej plecami i ruszył szybkim krokiem do laptopa. Nigdy nie zostawiał podniesionego monitora, gdy ktoś był w pobliżu. Nie był przesądny, bynajmniej. Po prostu nie lubił, kiedy ktoś podglądał, co pisze.

– Ponieważ wołałam cię trzy razy, a ty się nie odzywałeś.

– Myślałem – odparł, co było zgodne z prawdą.

– Masz trudności z nową książką?

– Tak. – Przesunął palcami po szarej pokrywie laptopa, jakby głaszcząc ukryte w środku słowa. – To znaczy, miałem, do dziś. – Posłał jej wymuszony uśmiech i spoglądając na nią, dodał: – Przywiozłaś mi szczęście.

– No, no. – Przeszła przez pokój, rozsunęła zasłony i otworzyła okno. Chłodna, ostra bryza wpadła z impetem do środka, jakby czaiła się na zewnątrz, aż ktoś ją wpuści. – Mam przez to rozumieć, że wcześniej nie pracowałeś, ponieważ mnie tu nie było?

– Właśnie tak – przytaknął Cooper, przyglądając się, jak chodzi po pokoju, sprawnie uprząając bałagan. Złożyła starą narzutę leżącą u stóp łóżka, wyprostowała wiszący na ścianie pejzaż, ułożyła porzrzucone na biurku papiery na równe stosiki.

Widok ten uspokoił go. Do licha, jej obecność mu służyła. Tak było od początku. Jej spokojny głos, stonowany charakter, zimna logika, mądry sposób patrzenia na świat – to wszystko pozwalało mu wygodnie funkcjonować.

– Wnoszę z tego – powiedziała, spoglądając na niego z błyskiem w oku – że znów uśmierciłeś mnie w straszliwy sposób.

Zadrżały mu kąciki ust i na twarzy pojawił się delikatny uśmiech. Kara знаła go lepiej niż ktokolwiek na świecie. Bycie pisarzem dawało mu ten przywilej, że w powieści zawsze mógł zamordować każdego, kto go drażnił lub irytował.

Cooper, choć niechętnie, musiał przyznać, że bez Kary u boku był kompletnie zagubiony. Stąd w jego powieściach pojawiał się często motyw zabójstwa sekretarki lub asystentki. Było to swoiste katharsis pisarza uzależnionego od asystentki.

– Jak umieram tym razem? – rzuciła, opierając ręce na biodrach. – Tonę?

– Już ci mówiłem – odparł surowo, czując, że sztywnieje na całym ciele. – Nigdy się nie utopisz.

– No dobrze – mruknęła, podnosząc ręce do góry, jakby się poddawała. – Tylko pytałam.

– Przepraszam. – Siłą woli opanował wewnętrzne drżenie.

W każdej jego powieści przynajmniej jeden z bohaterów tonął. Zawsze był to ktoś, kogo Cooper nie lubił, i ktoś, kto nie mógł się stać zbyt bliski czytelnikom. Zważywszy na bagaż wspomnień i piętno, jakie odcisnęły na nim wydarzenia sprzed lat, śmierć przez utonięcie była dla Coopera czymś wyjątkowo poruszającym.

– Na pewno nic ci nie jest?

– Nie – zapewnił, kręcąc przecząco głową. – Wszystko w porządku. Przyszłaś tu w jakimś konkretnym celu?

– Obiad gotowy.

Cooper wyjrzał za okno. Powoli zaczynało zachodzić słońce.

– Tak wcześnie? – zdziwił się, odwracając się twarzą do asystentki.

– Jestem okropnie głodna i zamierzam coś zjeść – wyjaśniła, wzruszając ramionami i kierując się do drzwi. – Jeśli wolisz, możesz jeszcze poczekać.

– Nie – burknął, rozglądając się po pokoju, który bez niej wydał mu się nagle pusty. – Będę ci towarzyszył.

– Świetnie. W takim razie otwórz butelkę chardonnay, którą kupiłam w sklepie w miasteczku.

– Mm, kalifornijskie chardonnay ze sklepu Ala w Coleville. Nie mogę się doczekać! – zawołał uradowany, wędrując za nią na dół.

– Snob.

– Plebejka.

Żartując, weszli razem do kuchni. Kara usiadła przy stole, przyglądając się, jak Lonergan bierze butelkę wina i otwieracz. Już dawno wypracowali sobie rodzinny schemat koegzystencji. Oboje czuli się w nim dobrze. Aż za dobrze. Wszystko było na właściwym miejscu.

Pomyślała, że będzie za tym tęsknić, kiedy odejdzie. A musi to zrobić. Było to coraz bardziej oczywiste. Zbyt swobodnie się ze sobą czuli.

Cooper usiadł i wyciągając przed siebie długie nogi, niechętny ją trącił. Karę zalała fala ciepła, jakby w jej wnętrzu niespodziewanie wybuchł wulkan. Z trudem powstrzymała się, żeby nie jęknąć.

Oczywiście Cooper niczego nie zauważył.

Kiedy wlewał słomkowego koloru wino do wiekowych różowych kieliszków, które znalazła w kredensie, zaczęła się uważnie rozglądać po starej, przytulnie urządzonej kuchni. Szafki były pomalowane na biało. Wszystkie urządzenia kuchenne wyglądały, jakby pochodziły z lat pięćdziesiątych. Okna wychodziły na ogromny ogród porośnięty starodrzewem.

Powinna tu panować atmosfera spokoju i ciepła. Zamiast tego unosiło się w powietrzu jakieś nieokreślone napięcie, panował nastrój dziwnego zawieszenia. Szept, który Kara słyszała wczesnym popołudniem, więcej się nie powtórzył, więc uznała, że zwyczajnie się przesłyszała.

– Pięknie pachnie – stwierdził Cooper, nakładając sobie kurczaka, ziemniaki i brokuły.

– Wiesz, że sam mogłeś poszukać sklepu? – zauważyła, upijając łyk chłodnego, cierpkiego wina.

– I zrobiłem to – odpowiedział, sięgając po kromkę chleba do stojącego na środku stołu talerza. – Kupiłem kawę i kilka pudełek pączków. A, i zapas mrożonych burritos – dodał.

– Żalotne – stwierdziła. Ale na swój sposób urocze, dodała w myślach. Chyba jestem kompletnie pokręcona.

– Mierzmy siły na zamiary – odparował, biorąc do ust kolejny kęs kurczaka. Przymknął oczy i zamruczał z zadowoleniem. Widać było, że czuje się jak w niebie. – W domu, w Nowym Jorku, zawsze mogę zamówić coś dobrego w restauracji. Tutejszy fast-food nie oferuje dostaw do klienta. – Przełknął kolejną porcję. – Moja droga, jestem teraz twoim wielkim dłużnikiem.

Nie chciała, żeby był jej coś winien. Pragnęła, żeby ją kochał. Było to jednak tak mało realne jak schudnięcie przez noc o pięć kilo lub znalezienie rano w garderobie sterty nowych ubrań z najdroższych butików.

Na dworze zaczęło zmierzchać, niebo pociemniało. W domu zapanowała miła, niekrepująca cisza. Kara zaczęła rozmyślać. Po odejściu stąd będzie mogła zacząć wszystko od nowa i nareszcie zatroszczyć się o przyszłość.

Spojrzała na Lonergana i zrobiło jej się smutno. Poczula w sercu ukłucie bólu. Nie chciała od niego odchodzić.

Jeśli jednak zamierzała zacząć żyć własnym życiem, nie miała wyjścia. Na moment postanowiła odrzucić przykre myśli i cieszyć się ostatnimi spędzonymi z nim chwilami.

– Powiedz, co z dziadkiem?

Cooper sięgnął po kieliszek i przez dłuższy moment delektował się winem.

– Naprawdę niezłe – zauważył, spoglądając, jakby zaskoczony, na alkohol.

– Mhm – przytaknęła. Wyczuła, że wykręca się od odpowiedzi. – Mów w końcu, co się dzieje.

Opowiedział jej więc o podstępie dziadka, który postanowił ściągnąć do siebie na lato wszystkich wnuków. Jeremiaś nie tylko wyprowadził w pole całą rodzinę, symulując poważną chorobę serca, ale wciągnął w oszustwo nawet swojego lekarza. Wystraszył wszystkich, żeby ściągnąć ich do Coleville.

– To okropne.

– Właśnie – zgodził się Cooper. – Dziadek jest starym, szczerwanym lisem. Tym razem jednak przesadził. Poważnie nas wszystkich przeraził.

– Nie to miałam na myśli – przerwała mu Kara, widząc, że najwyraźniej nie zrozumiał intencji jej słów. – Okropne jest to, że musiał uciec się do podstępu, aby wymusić na wnukach odwiedziny.

– Słucham? – Spojrzał na nią zmieszany.

– Jak możecie tak go traktować? – spytała z wyrzutem. Odłożyła z łoskotem widelec na talerz, przerywając panujący w domu spokój.

– To znaczy jak? Nic nie zrobiliśmy – zaczął się bronić, wymachując w powietrzu sztucami dla podkreślenia swojej niewinności.

– I właśnie o to chodzi – odparła i napiła się wina, które przepływając powoli przez przełyk, dotarło do żołądka i przyjemnie rozgrzało ją od środka. – Żaden z was nic nie zrobił!

– Co sugerujesz?

– Powiedziałeś, że nie byłeś tu przez ostatnie piętnaście lat.

– Miałem ku temu powody.

– Powody? Pozwalające łamać staruszkowi serce? Ogarnęło ją współczucie podsycające jednocześnie gniew.

– Wyjechaliście i nie pokazywaliście się przez wiele lat. Biedny człowiek. Nit dziwnego, że w desperacji posunął się do kłamstwa.

Cooper westchnął i usiadł, chwytając kieliszek z winem, jakby był kołem ratunkowym.

– Masz rację.

– Słucham? – Przyłożyła dłoń do ucha.

– Nie kpij sobie ze mnie – mruknął. – Doskonale słyszałaś, co powiedziałem. Wiem, że powinniśmy wcześniej odwiedzić dziadka. Uwierz mi, nie było nam łatwo i mieliśmy swoje powody. Sądzisz, że za nim nie tęskniliśmy?

– Więc dlaczego? – spytała cichutko, pochylając się nad stołem i przyglądając mu się uważnie. – Dlaczego tak długo kazaliście mu czekać?

– Ponieważ – odparł łagodnie, przenosząc spojrzenie na kieliszek z winem – chociaż ciężko nam było bez dziadka, jeszcze trudniej było nam tu wrócić.

Cooper stał się nagle nieobecny. Odgrodził się od niej emocjonalnie, jakby celowo chcąc ją od siebie odsunąć. To zabolalo. Od pięciu lat byli ze sobą bardzo blisko. Nie byli kochankami, ale zawsze uważała, że łączyła ich przyjaźń.

Postanowiła zaczekać, aż na nią spojrzy. Potrafił być uparty. Cierpliwie, w milczeniu, liczyła upływające sekundy. W końcu podniósł na nią wzrok. Jego ciemne, brązowe oczy były pełne jakiegoś dawnego, głęboko skrywanego bólu.

– Co tak ważnego trzymało cię z dala od osoby, którą kochasz? – spytała.

Cooper przełknął łyk wina i ostrożnie, jakby się obawiał, że go stłucze, odstawił kieliszek na stół.

– Czasami miłość nie wystarcza – westchnął ciężko. Potarł dłonią policzek i posłał jej wymuszony uśmiech, który nie rozpogodził mu twarzy. – Czasami miłość jest problemem.

Zimny prąd powietrza przeleciał przez kuchnię, otoczył Karę, a następnie Coopera, biorąc oboje w lodowate objęcia.

Zadrzała.

– Takie stare domy bywają nieszczelne. – Wstał i przeszedł przez kuchnię. – Zamknę okno w salonie.

Powiew chłodu nagle odpłynął. Kara rozejrzała się zaniepokojona po pustej kuchni. W starym budownictwie często zdarzają się przeciągi, ona jednak zamknęła okno w salonie dwie godziny temu.

ROZDZIAŁ TRZECI

Obudziła się cała roztrzęsiona.

Serce waliło jej w piersi jak oszalałe, z trudnością łapała oddech, nie mogąc do końca otrząsnąć się z koszmaru sennego. Przełknęła ślinę i wtuliła się mocno w kołdrę, starając się uspokoić.

Nie mogła sobie przypomnieć, co jej się przyśniło. Co tak straszliwie prześladowało ją we śnie, nie opuszczając podświadomości nawet po przebudzeniu? Na całym ciele miała gęsią skórę, nie była w stanie pozbyć się uczucia wiszącej w powietrzu grozy.

Wtedy usłyszała to.

Szloch.

Ktoś w starym domu płakał, jakby wydzierano mu serce. Jęki przybrały na sile, stały się głośniejsze, wypełniając powietrze rozpaczą i bólem. Po chwili szloch przycichł, przechodząc w prawie niesłyszalny szept.

Karze zaschło w ustach. Serce o mało nie wyskoczyło jej z piersi. Odrzuciła kołdrę i spuściła nogi na podłogę. Poczula pod stopami nieprzyjemny chłód polakierowanych desek, na który nawet nie zwróciła uwagi, Wstała i ruszyła do drzwi zdeterminowana odnaleźć źródło rozpaczliwego zawodzenia. Przeszywał ją paniczny lęk, ustępujący jednak miejsca ciekawości. Chwyciła za lodowatą, żelazną klamkę i szybkim szarpnięciem otworzyła drzwi. Wyszła na korytarz, a następnie powędrowała do holu. Nagle zatrzymała się, nie będąc w stanie zrobić kroku dalej. Żałosne zawodzenie powtórzyło się, tym razem donośniej. Wzdrygnęła się, poczuła, jak jeżą jej się włosy na głowie. Przez zwieńczone łukiem okno do holu przedostawały się promienie księżyca, malując na ścianach i wyblakłym chodniku plamy bladospęznej poświaty. Na zewnątrz drzewa tańczyły na wietrze, rzucając upiorne, dziko poruszające się cienie.

Niespodziewanie naprzeciw Kary otworzyły się drzwi. Podskoczyła z przerażenia. Mogłaby przysiąc, że na wysokość metra. Serce podeszło jej do gardła. Chwyciła za klamkę i w tym momencie ujrzała stojącego w progu ze zmierzwionymi od snu włosami Coopera. Rozejrzał się uważnie po holu, po czym obrzucił wzrokiem asystentkę.

– Co tu się, u diabła, dzieje? – zażądał wyjaśnień surowym tonem.

Przez moment nie mogła wydobyć z siebie głosu. Lonergan ubrany był w czerwone bawełniane, związkiwane sznureczkiem w pasie spodnie od pidżamy, które zsunęły mu się luźno na biodra, a przydługie nogawki zrolowały się na nagich stopach. W świetle księżyca jego umięśniony tors wyglądał jak wyrzeźbiony w brązie. Ręce Kary zapragnęły go dotknąć.

– Halo! – zawołał, machając jej dłonią przed oczyma.

Potrząsnęła głową, wysłała hormony na wakacje i warknęła:

– Zabierz rękę sprzed mojej twarzy!

– Nie zwracałaś na mnie uwagi.

– Nieprawda – zaprzeczyła, choć wiedziała, że miał rację. Widok Coopera, który wyszedł prosto z łóżka, zauroczyłby każdą, nawet najbardziej nieczułą kobietę.

Niespodziewanie ciszę przeszył szloch. Dochodził z dołu, przybierając coraz bardziej na sile, i unosił się ku górze jak powoli nadmuchiwany balonik. Kara po raz drugi dostała gęsiej skórki.

Cooper odwrócił głowę i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w miejsce, z którego dochodziły jęki.

– Powiedz, że też to słyszałaś.

– O tak... – wysapała.

– To dobrze.

– Dobrze? – powtórzyła. – A co w tym dobrego?

– Sądziłem, że się przesłyszałem – wyszeptał, robiąc krok w kierunku schodów. – Skoro jednak oboje to słyszeliśmy, to znaczy, że to się dzieje naprawdę. – Zniżył głos jeszcze bardziej, przysuwając się do niej. – Ktoś sobie z nas robi żarty.

Kara poczuła dławienie w gardle. Gorący oddech Coopera na jej policzku wytrącił ją z równowagi. Z trudem starała się skoncentrować na tym, co mówił, i nie dać się obezwładnić uczuciom, które budziła w niej jego bliskość. Przymknęła na moment oczy, wciągnęła do płuc powietrze i spytała:

– Kto mógłby wymyślić tak głupi dowcip?

– Mój kuzyn Jake, ale z tego co wiem, jest teraz w Hiszpanii – odparł pisarz, obrzucając ją spojrzeniem. Uśmiechnął się pod nosem i dodał: – Mike Haney.

– Kto? – spytała, idąc za nim na palcach w kierunku schodów. Nagle Cooper odwrócił się i Kara o mało nie krzyknęła.

– Ciii... – uspokoił ją, kładąc jej rękę na ramiona. – Mike to stary przyjaciel. Razem dorastaliśmy. Kuzyn Sam powiedział mi, że widział go w mieście kilka dni temu. To w jego stylu.

Ona jednak była innego zdania. Z drugiej strony musiała przyznać, że jej umysł nie pracował na pełnych obrotach. Duże dłonie Lonergana o utalentowanych, długich palcach trzymały ją mocno, parząc dotykiem skórę, elektryzując zmysły i przyprawiając o dreszcze.

Skup się, zrugala się w myślach. – Posłuchaj...

– Zostań tu – ostrzegł ją, unosząc rękę w geście, jakby wydawał komendę krnąbrnemu szczeniakowi.

– Słucham?

Popatrzył na nią gniewnie.

– Zaczekaj tu, a ja zejść na dół i wybiję Mike'owi głupoty z głowy.

– Mowy nie ma – oświadczyła, ruchem dłoni dając mu do zrozumienia, żeby szedł dalej, gdyż ona nie zamierza odstąpić go nawet na krok. – To nie stary film grozy, gdzie on ją zostawia i sam idzie się zmierzyć z niebezpieczeństwem.

– Jediną osobą, której tu grozi niebezpieczeństwo, jest Mikę Haney – parsknął.

– Te jęki nie przypominają męskiego głosu. A jeśli się mylisz? Nie zostanę tu w żadnym wypadku!

Zawodzenie nie milkło, to przybierając na sile, to po chwili cichnąc, jak przyptywające i odpływające morskie fale. W powietrzu unosiło się niejasne napięcie, atmosfera stawała się coraz cięższa. Kara zaczynała żałować, że to jednak nie film, że nie może schować się pod łóżkiem i zaczekać, aż Cooper sprawdzi, co się dzieje.

Raptownie powietrze przeszył rozdzierający szloch. Serce Kary wypełniło się współczuciem.

– Trzymaj się za mną – mruknął Cooper, skradając się powoli po schodach, stawiając uważnie jedną stopę za drugą.

– Jasne – szepnęła, przyklejając się do niego jak cień.

Wyciągnął do tyłu rękę i chwycił jej dłoń, mocno przytrzymując. Kara przytuliła się do niego, jakby był jej ostatnią deską ratunku.

Kiedy znaleźli się na dole, zawodzenie otoczyło ich ze wszystkich stron, odbijając się echem od ścian i sufitu. – Cooper...

– Spokojnie – dodał jej otuchy.

Miał znacznie dłuższe od niej nogi, więc żeby dotrzymać mu kroku, praktycznie musiała za nim biec. Skierowali się do salonu.

– To stamtąd dochodzą jęki. Słyszysz? Im bardziej się zbliżamy, tym są głośniejsze.

Kiedy znaleźli się w samym centrum, Kara zaczęła się zastanawiać, po co się upierała, żeby szukać rozwiązania zagadki. Jeśli to przyjaciel Coopera, nie było się czego bać. A jeśli nie? Nie zamierzała jednak teraz o tym myśleć.

– Gotowa? – spytał, spoglądając na nią. Jego dłoń spoczywała na mosiężnej klamce drzwi salonu.

– Nie.

Posłał jej szelmowski uśmiech, który uspokoił jej lęki i obudził przyjemne fantazje.

– No dobrze, po prostu otwórz – wyjąkała. Szarpnęła drzwi, które natychmiast ustąpiły, i weszli do środka. Niespodziewanie szloch ustał.

Przez szerokie frontowe okna wpadało do salonu jasne światło księżyca, rzęsiście go rozświetlając. Tylko w mrocznych kątach czaiły się cienie, które zniknęły, kiedy Cooper zapalił światło. W pokoju oprócz nich nie było nikogo.

Pisarz wypuścił dłoń Kary, obszedł wkoło niewielki, urządzonej w starym stylu salonik. Zajrzał za zasłony, otworzył zabytkową szafę, jakby się spodziewał znaleźć w niej Mike'a z magnetofonem.

Nie odkrywszy niczego podejrzanego, oświadczył:

– Przyznaję, jestem zupełnie zbity z tropu.

Kara wolno spacerowała po pokoju, obejrzała psa z chińskiej porcelany, musnęła dłonią frędzelki na kloszu lampy.

– Mówiłeś, że ten dom jest nawiedzony, tak?

Cooper zmarszczył brwi, skrzyżował ręce na piersi i obrzucił ją uważnym spojrzeniem. Jeszcze przed chwilą był przekonany, że za nocnymi jękami stali jego przyjaciele. Kiedy byli

dziećmi, uwielbiali się wzajemnie straszyć. Najlepszym dowcipem, jaki można było zrobić autorowi powieści grozy, było zorganizowanie mu ducha. Gdyby jednak faktycznie maczali w tym palce, odnalazłby jakieś dowody. Oczywiście rano przeszuka dokładnie salonik, teraz jednak nie miał pojęcia, jakim cudem przenikliwy głos mógł się sączyć ze ścian w całym domu, a po chwili raptownie urwać.

– To, że nie znalazłem Mike’a, nie znaczy, że mieszka z nami duch.

Kara nie wyglądała na przekonaną jego wyjaśnieniem. Spacerowała po pokoju, wodząc palcem po grzbietach starych, oprawionych w skórę książek. Cooper zaczął jej się uważnie przyglądać. Nigdy wcześniej nie zauważył, że miała bujne, brązowe, opadające na ramiona loki, teraz lekko potargane. Letnia bladozielona, jedwabna koszulka nocna na cienkich ramiączkach, z głęboko wyciętym dekoltem, ledwie zakrywająca pośladki, odsłaniała zadziwiająco jędrne, pociągające ciało. Jego asystentka miała gołe nogi i pomalowane na szkarłatny kolor paznokcie u stóp.

Zalała go fala gorąca. Chrapliwie wciągnął powietrze. Nie potrafił oderwać od niej oczu. Kiedy się zatrzymała i pochyliła, by obejrzeć znajdującą się na jednej z dolnych półek książkę, ogarnęła go nieodparta ochota zajrzenia jej pod koszulkę.

Obudził się w nim mężczyzna.

Co go naszło? Znał ją od pięciu lat, razem pracowali i nigdy dotąd jej nie pragnął. Nie przyszło mu nawet do głowy, żeby ją zaciągnąć do łóżka. Teraz jego rozpalony umysł ogarnęło pożądanie.

– Dobrze się czujesz?

– Co mówiłaś? – Przybrał srogą minę, gdy zdał sobie sprawę, że z zaciekawieniem go obserwuje. Pięknie, pomyślał, mając nadzieję, że nie zauważyła, że właśnie rozbierał ją wzrokiem. – Oczywiście. Dlaczego pytasz?

– Bez powodu – odparła tonem, który wskazywał, że myśli zupełnie coś innego. – Po prostu tak dziwnie na mnie patrzyłeś.

– Zdawało ci się – stwierdził, śmiejąc się nieco zbyt głośno i trochę sztucznie.

– Wcale nie. Spokojnie. Opanuj się.

Przeczesał nerwowo dłońmi włosy. Musiał natychmiast odwrócić uwagę od pędzących przez jego umysł niekontrolowanych myśli. Kara w koszulce, Kara bez koszulki. Dość!

– Nie chciałem. – Wzruszył ramionami. – Po prostu jakoś tak inaczej wyglądasz.

– Co masz na myśli? – spytała, krzyżując przed sobą ręce i mimowolnie uwypuklając kształtne piersi wychylające się kusząco z dekoltu.

Cooperowi krew odpłynęła z mózgu w dolne partie ciała.

– Nieważne – wymamrotał i zabrał się za sprawdzanie, czy wszystkie okna są zamknięte i czy mają zasunięte zasuwki.

Zajmij się czymś, odwróć od niej myśli, zaczął sobie powtarzać gorączkowo w duchu.

– Inaczej, czyli jak? – drażyła.

Spojrzał na nią przez ramię i natychmiast odwrócił głowę. Wyglądała zniewalająco, co potwierdziła natychmiastowa reakcja jego ciała.

– Daj spokój, dobrze?

– Nie! Co oznacza „inaczej”? – spytała rozbawionym głosem.

– Chodzi o twoją koszulkę – odparł sztywno.

Kara zachichotała. Cooper przez dłuższą chwilę nie zrywał z nią kontaktu wzrokowego, jakby siłował się z nią na spojrzenia.

– Przecież nie mam na sobie czarnego koronkowego peniuaru – rzuciła, gładząc dłońmi jedwabny ciuszek, który ledwie ją zakrywał.

Oczami wyobraźni Lonergan ujrzał zmysłowy obrazek, który bardzo mu przypadł do gustu.

– Poza tym – dodała – to strój do spania. Myślałeś, że chodzę do łóżka w szpilkach?

Fantazja podrzuciła mu kolejną interesującą wizję. Bolesnie jęknął w duchu. Po tajemniczych odgłosach i nowo odkrytym wizerunku asystentki na pewno nie będzie mógł zasnąć do rana. Sapnął głośno i wyrzucił z myśli nocną koszulkę Kary.

– Teraz niczego więcej się nie dowiemy. Poza tym jestem zmęczony – a raczej rozpalony, dodał w myślach – i nie mam ochoty więcej o tym rozmawiać. Zapomnijmy o wszystkim i wracajmy do łóżek.

Kara rozejrzała się po pustym pokoju i z jej twarzy zniknął uśmiech.

– Myślisz, że to się powtórzy?

– Mam nadzieję, że nie – odrzekł i wyszedł z salonu. Słyszał, jak dziewczyna idzie za nim, delikatnie stąpając nagimi stopami po drewnianej podłodze. W połowie schodów zaczął przeskakiwać po dwa stopnie. Nie chciał, żeby go wyprzedziła. Widok jej na wpół nagiego ciała mógłby go obezwładnić.

Następnego dnia Kara, siedząc obok Coopera w jego ogromnej terenówce, nadal odczuwała ogromną radość, że w końcu udało jej się zwrócić na siebie jego uwagę. Na krótko, ale jednak. Widziała jego twarz zeszłej nocy, kiedy się jej przyglądał. Miała świadomość, że nic z tego nie będzie, niemniej jednak cieszył ją fakt, że w końcu dostrzegł w niej kobietę.

Na pewno więcej się to nie powtórzy.

Bez tańczących w mroku nocy cieni tworzących intymną atmosferę wszystko powróciło do zwykłego stanu rzeczy. Cooper był jak zawsze uprzejmy, choć nieco rozproszony, ona żałowała, że marzenia się nie spełniają.

Pisarz unikał Kary przez cały ranek. Kiedy zszedł do kuchni, kiwnął jej tylko głową na powitanie, po czym napełnił termos kawą i uciekł na górę. Później słyszała stukot palców uderzających w klawiaturę komputera. Była w domu praktycznie sama, nie licząc tajemniczego autora nocnych jęków.

Teraz Cooper siedział zaledwie na wyciągnięcie ręki i nie odzywał się. W skupieniu

obserwował drogę, celowo nie zwracając na Karę uwagi.

Nie mogła dłużej tak tego ciągnąć. Potrzebowała mężczyzny, który będzie ją kochał, pragnęła mieć dzieci, zanim osiągnie wiek emerytalny.

Kiedy wjeżdżali na podjazd rancza Jeremiaha, obrzuciła pisarza szybkim spojrzeniem. Miał napięte mięśnie twarzy i zaciśnięte usta. Zwęziły mu się źrenice ciemnych oczu i zaczęła drgać dolna szczęka, jakby zgrzytał zębami.

O co chodziło? Dlaczego nie chciał tu przyjeżdżać?

Dlaczego nic jej nie wyjaśnił?

Terenówka sunęła miękko po nierównej drodze. Cooper skręcił za róg domu i zaparkował auto w cieniu ogromnego, rozłożystego drzewa, które wyglądało, jakby rosło tu od początku świata. Na dworze hulał wiatr, wzbijając w powietrze tumany kurzu i podrywając wiszące na sznurach pranie. Wiekowe drzewa wyznaczające granicę posesji gięły gałęzie pod wpływem silnych podmuchów znad oceanu.

W drugim końcu podwórza stał niewielki domek dla gości. Nawet z tej odległości widać było odbijające się w szybach okien promienie słońca. Na zadbanej frontowej werandzie stały donice z niebieskimi i purpurowymi bratkami. Na drzwiach wisiał witający gości stroik z winorośli.

W odległości około stu metrów od głównego budynku znajdowała się imponująca stodoła o otwartych na oścież podwójnych wrotach, zapraszając do chłodnego cienistego wnętrza.

Największe wrażenie zrobił na Karze dom. Stary, ogromny, niezwykle zadbane. Kamienne pilastry wzmacniały cztery narożniki budynku, wzdłuż ścian rosły gęsto czerwone i białe pelargonie. Dom, choć masywny, sprawiał wrażenie przytulnego i rodzinnego.

Zupełnie inny musiał być dla Coopera. Wyłączył silnik, wyjął kluczyki ze stacyjki i przez dłuższą chwilę ścisnął je w dłoni.

Zostali zaproszeni przez dziadka na lunch. Kara jeszcze nigdy nie widziała kogoś tak niechętnie odwiedzającego bliskiego członka rodziny.

– Coś nie tak? – zaniepokoiła się.

– W porządku. A co?

– Nie wiem, wyczuwam w tobie napięcie. Lonergan westchnął, odchylił się do tyłu i rozpiął pas, nadal jednak nie wysiadał z samochodu. Odwrócił głowę i po raz pierwszy tego dnia na nią spojrzał. W jego oczach dostrzegła kłębiące się emocje, pojawiające się i znikające tak szybko, że nie można ich było odczytać.

Od kiedy go poznała, nigdy nie widziała go w takim stanie. Działo się w nim coś niedobrego. Coś, co rozdzierało go od wewnątrz.

– Nie chcę o tym mówić – wyznał.

Niespokojna, a jednocześnie zaintrygowana, odwróciła się do niego.

– Jeśli jest coś, o czym powinnam wiedzieć, zanim poznam twoją rodzinę...

– Nie przejmuj się – przerwał jej, posyłając jej szybki uśmiech i otwierając drzwi samochodu. – Oni również nie będą chcieli o tym mówić.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Cooper przez dłuższy czas obserwował, jak kuzyn Sam patrzy na swoją dziewczynę, i poczuł niejasną zazdrość. Nie miało to sensu, gdyż sam nigdy nie chciał mieć żony ani dzieci. Teraz jednak...

Podczas lunchu wszyscy czuli się skrępowani. Jediną osobą, która starała się podtrzymać konwersację i rozśmieszyć towarzystwo, był Jeremiah. Cooper był niespokojny od momentu, w którym przekroczył próg domu dziadka. Przez cały czas czekał, aż do pokoju wbiegnie szesnastoletni Mac, a ponieważ chłopiec się nie pojawiał, Lonergana przeszywał od środka coraz głębszy, silniejszy ból, tak świeży jak piętnaście lat temu.

Kiedy w końcu wyszli na zewnątrz do ogrodu, Cooper zaczerpnął świeżego powietrza. Nadal nie opuszczały go straszne wspomnienia. Obserwował Sama siedzącego obok na fotelu ogrodowym. Wreszcie nie wytrzymał i wypalił:

– Jak możesz?

– Co? – Kuzyn niechętnie oderwał wzrok od Maggie wieszającej mokre prześcieradła na sznurach do bielizny.

– Być tu – powiedział jakby z wyrzutem, zaciskając w pięści butelkę z piwem i zataczając nią krąg. – Mieszkać tu.

Uśmiechnięta twarz Sama pociemniała.

– Na początku było ciężko – przyznał, popijając piwo.

– Tyle wspomnień.

– Właśnie. – Lonergan westchnął z ulgą. Dobrze było wiedzieć, że nie tylko on walczył z widmami przeszłości.

– Kiedy tu siedzimy, mam przed oczyma obraz, jak wszyscy razem gramy na łące.

Sam uśmiechnął się smutno, gdyż myślał dokładnie o tym samym.

– Pamiętasz, jak Mac chciał uciec babci przez kuchenne okno? – zachichotał.

– I wylądował w garnku z sosem do spaghetti. Jak mógłbym zapomnieć? – Smutek ścisnął mu gardło.

– Mogłeś odebrać tę piłkę – zmienił temat, żeby rozładować napięcie.

– Jasne, tyle że byłem bez szans.

– Zbyt leniwy, żeby po nią skoczyć – powiedział Cooper, pociągając łyk zimnego piwa.

– Podania Maca były jak pociski.

– Tak, pamiętam. – Nagle piwo stało się gorzkie. – Do licha. Nadal wydaje mi się, że on zaraz przyjdzie, że go usłyszę.

– Ja też tak miałem – wyjął Sam. – W końcu jednak zdałem sobie sprawę, że odszedł. Nie ma go. Nie krąży tu wokół nas i nie obwinia nas o to, co się stało.

– Nie musi – odparł gorzko Lonergan, podnosząc się, gdyż nie mógł dłużej usiedzieć. Ścisnęło go w żołądku i w gardle, zaschło mu w ustach. – Nie ma dnia, żebym o nim nie myślał. Jest mi z tym źle i czuję się winny.

Kuzyn podniósł na niego spokojne brązowe oczy, w których malowało się zrozumienie i współczucie.

– To nie ma sensu.

– Przeciwnie. Mac nie żyje – powiedział i kopnął leżący na ziemi kamień, wznosząc obłok pyłu. – My staliśmy jak kretyni, a on umierał.

– Byliśmy dziećmiakami – przypomniał mu Sam, odgarniając z oczu włosy, które rozwiewał wiatr.

– Tak, ale nie zginęliśmy tragicznie w wieku szesnastu lat.

Wydarzenia tamtego długiego, letniego dnia stanęły mu znów przed oczyma.

Zorganizowali we cztery ulubione zawody. Ustawiali się w kolejce na skale nad jeziorem nieopodal rancza. Jeden po drugim brali rozbieg i skakali z wysokości do wody. Pozostali kibicowali z brzegu i mierzyli czas. Dostawało się punkty za odległość oraz za najdłuższy czas przebywania pod wodą. Zawsze zwyciężał Jake.

Tym razem Mac postanowił wygrać. Udało mu się skoczyć na znacznie większą odległość niż Jake'owi. Żeby zająć pierwsze miejsce, musiał jeszcze dłużej przebywać pod wodą. Sam miał stoper i sprawdzał czas. Pozostali chłopcy zgromadzili się wokół niego, czekając w napięciu na wynik. Kiedy Mac zaczął się niebezpiecznie zbliżać do rekordu Jake'a, ten coraz bardziej się denerwował. Cooper zaczął krzyżeć z radości, że ktoś nareszcie pokona mistrza. Minęły jednak dwie minuty i Mac nie wypływał. Sam zaczął się niepokoić. Chciał po niego wskoczyć, ale Cooper namówił go, żeby dać zawodnikowi jeszcze kilka sekund, które zapewnią mu zwycięstwo.

Nawet teraz Lonergan czuł na twarzy tamten wiatr i prażące słońce na plecach. Słyszał przekleństwa Jake'a i nutę niepokoju w głosie Sama. Przede wszystkim jednak dźwięczały mu w uszach własne słowa: – Co ty taki strachliwy? Macowi nic nie będzie, zaraz się wynurzy.

On jednak nie wypłynął.

W końcu wszyscy trzej wskoczyli do lodowatej wody i znaleźli kuzyna leżącego na dnie. Wyciągnęli go na brzeg, zastosowali sztuczne oddychanie, ale Mac już nie żył. Lekarz powiedział później, że złamał kark, stracił przytomność i utonął.

Od tamtego dnia wszystko się zmieniło.

Cooper unikał rancza jak zarazy. Podobnie zresztą pozostali. Karali samych siebie i siebie nawzajem. Nawet po tylu latach Coopera dławilo w piersi, kiedy tu wrócił.

– Naprawdę sądzisz, że musisz mi przypominać, co się wtedy stało? Uważasz, że cierpiałem przez te lata mniej niż ty? Że śmierć Maca nie prześladowała mnie tak jak ciebie?

Stojąc w cieniu starego dębu, na którym mieli kiedyś huśtawkę z opony, Cooper spojrzał uważnie na Sama i dostrzegł w jego oczach ten sam wyraz udreki, który widział dziś w lustrze we własnym odbiciu.

– Nie, to nie tak... – urwał, kręcąc głową. Rozejrzał się po okolicy: dom, ogród, stodoła, to wszystko pełne było wspomnień nacierających na niego jak ogromna fala przyływu. – Po prostu nie rozumiem, jak sobie z tym poradziłeś? Jak możesz tu mieszkać, nie dusząc się

od koszmarów?

– Na początku było ciężko. Runęły wszystkie moje plany. – Zaśmiał się krótko i pociągnął łyk piwa. – Miałem tu spędzić tylko lato, ale Jeremiah podstępem wymusił na mnie, żebym został...

Cooper pokiwał ze zrozumieniem głową, znając aż za dobrze fortele szczwanego staruszka.

– Potem zamierzałem wyjechać – ciągnął dalej – jak najdalej od Coleville i wspomnień.

– I dlaczego tego nie zrobiłeś? – spytał Cooper, po czym uniósł do góry dłoń. – Nie musisz mówić. Wiem, dlaczego – oświadczył, rzucając wymowne spojrzenie na Maggie walczącą ze szczeniakiem golden retriever o moką poszewkę. – Podoba mi się – dorzucił. Sam uśmiechnął się.

– Dzięki. Mnie również. – Na moment twarz mu spochmurniała i dodał: – Ale nie chodzi tylko o to, że się zakochałem. Udało mi się pogodzić z Makiem. – Obrzucił czule wzrokiem ukochaną kobietę, która śmiejąc się głośno, tarzała się po ziemi z psem. – Maggie mi w tym pomogła. Przetłumaczyła mi, że Mac by nie chciał, żebyśmy się zadreżczali do końca życia z powodu tego wypadku.

Cooper nie miał pewności, czy Sam ma rację. Musiał jednak przyznać, że ta wiara bardzo pomogła kuzynowi.

– Niezwykła kobieta.

– Jest dla mnie wszystkim – wyznał cicho Sam.

Coopera ogarnęło poczucie zazdrości, które natychmiast od siebie odepchnął. W końcu przecież sam uznał, że nie potrzebuje miłości. Wiązało się z nią zbyt wiele ryzyka i bólu. A on miał już przydział cierpienia zapewniony do końca życia.

Interesowały go jedynie romanse, które opisywał w swych powieściach. Jeśli dobrze się kończyły, czytelników nie obchodziło, czy autor wierzy w miłość i szczęście na wieki.

Mimowolnie pobiegł wzrokiem na skraj łąki, gdzie spacerowała Kara z Jeremiahem.

– Miło jest mieć Coopera znów w domu – wyznał Jeremiah.

– Aż trudno uwierzyć, że od tak dawna tu nie przyjeżdżał.

– Wszyscy mieli ku temu powody – westchnął. – A przynajmniej tak uważali, co na jedno wychodzi.

Kara zwróciła spojrzenie na starszego mężczyznę. Miał skórę szorstką od ciągłego przebywania na powietrzu, siwe rzadkie włosy i ciemne, pełne wyrazu oczy, tak bardzo podobne do oczu Coopera.

Od razu go polubiła. Podobnie jak Sama i Maggie. Przez całe popołudnie starała się nie okazywać zazdrości, słuchając jak Maggie opowiada z zapałem o planach związanych z weselem i o ciąży. Młodzi zamierzali za kilka tygodni wziąć ślub i zamieszkać w domu dziadka.

Sam miał przejąc lokalny gabinet lekarski, jego narzeczona kończyła szkołę. Każde słowo Maggie docierało do Kary, coraz jaśniej jej uświadamiając, że jej życie jest puste. Okropne, pomyślała, i natychmiast się zawstydyła. Powinna się cieszyć ich szczęściem. I poniekąd tak było. Stanowili wyjątkowo miłą i sympatyczną parę. Czy nie było w tej sytuacji naturalne, że w obliczu cudzego szczęścia użalała się nad własnym losem?

Co do tej pory osiągnęła w życiu?

Zasobne konto w banku i ładne mieszkanie. Zbliżała się do trzydziestki i oprócz matki, która telefonowała raz w tygodniu, przypominając jej, że czas płynie nieubłaganie, nie miała się kim opiekować ani tym bardziej nikogo, kto by się o nią troszczył.

Coś tu było nie tak.

Szła obok Jeremiaha, który opowiadał o życiu na ranchu i planach, jakie snuli z Samem, i nie była w stanie skupić się na tym, co mówił. Myśli jej uciekały, a serce walczyło z rozumem, który właśnie podjął jedyne i słuszne postanowienie.

Od dłuższego czasu odkładała decyzję o złożeniu Cooperowi wymówienia, ponieważ nie szło mu pisanie najnowszej powieści. Przeciagając to w czasie, robiła sobie krzywdę. Lepiej jednak stawić czoło trudnej sytuacji i wykonać konieczny ruch.

Odnalazła wzrokiem Coopera stojącego w cieniu drzewa. Śmiał się z czegoś, co powiedział Sam. Choć serce jej krwawiło, postanowiła wpisać sobie w pamięć ten właśnie obrazek, takim go na zawsze zapamiętać. Zaczęła przygotowywać się psychicznie do odejścia.

– Muszę przyznać, że doskonale gotujesz – pochwalił Karę Cooper, opierając się wygodnie na krześle przy kuchennym stole i uśmiechając się.

– To zwykłe steki. Żaden rarytas dla prawdziwego smakosza.

– Spaliłem w życiu wiele steków, dlatego śmiem twierdzić, że nawet tak prosta potrawa wymaga odrobiny talentu.

– Jesteś jedyną osobą, jaką znam, która przypali nawet wodę.

– Przykre, ale prawdziwe – przyznał, spoglądając na nią bez cienia zażenowania. – Nie wiem, co bym bez ciebie zrobił – dodał, zanosząc talerze do zlewu. – Naprawdę – ciągnął dalej, gdyż ona milczała – jesteś niezastąpiona.

– To miłe, co mówisz, ale...

– Wiesz, że nie musisz gotować – przerwał jej, odstawiając z łoskotem naczynia. – Możesz zatrudnić kogoś do pomocy.

Powinna teraz zdobyć się na odwagę i powiedzieć mu, że będzie potrzebował nie tylko kucharki i sprzątaczkę, ale i nowej asystentki.

– Skoro o tym wspomniałeś...

Nie zdążyła dokończyć, gdyż rozległo się głośnie pukanie do drzwi. Cooper przerwał sprzątanie i poszedł otworzyć. Na werandzie stał dziadek. W dłoniach trzymał przykryty metalową folią talerz.

– Widzieliśmy się zaledwie kilka godzin temu. – Cooper uśmiechnął się do starszego mężczyzny.

– Nie przeczę – powitał go Jeremiah i wepchnął się do środka, nie czekając na zaproszenie. Tuż za nim wbiegł szczeniak. Przemknął przez kuchnię, po czym ostro zahamował, wpadając pod kredens.

Dziadek zachichotał.

– Zaproponowałem Maggie, że zabiorę Shebę na spacer, a ona dała mi talerz ciasteczek, prosząc, abym wam zaniósł.

– Słodczyce są zawsze mile widziane – ucieszył się Cooper, sięgając po półmisek. – Ty zresztą również – dodał po chwili.

Staruszek uśmiechnął się i zasiadł przy kuchennym stole. Wyciągnął rękę, pogładził dłoń Kary i wyszeptał:

– Chyba nie pożałujecie mi filiżanki mocnej kawy? Wieczorem Maggie pozwala mi pić tylko bezkofeinową. Chyba chce mnie dobić.

– Już szykuję – zawołała Kara wdzięczna Jeremiahowi, że podarował jej kilka chwil zwłoki. Dlaczego było jej tak ciężko dać Cooperowi wymówienie? Wiedziała, że musi to zrobić, tylko dlaczego było to tak trudne?

Cooper sprzątnął resztę brudnych naczyń ze stołu i Kara podała kawę.

Pies ułożył się pod stołem, z zadowoleniem żując sznurowadła tenisówek pisarza.

Dziadek z westchnieniem rozkoszy przełknął łyk kawy i wypalił:

– I co? Widzieliście już ducha?

– Jeszcze nie, ale słyszeliśmy w nocy jęki – odrzekł Cooper ze śmiechem.

– Raczej szloch – poprawiła go Kara, obejmując dłońmi filiżankę z kawą, jakby chciała ochronić napój przed zimnem.

– Tak? – mruknął z przejęciem staruszek.

– Nie ekscytuj się za bardzo. Jestem przekonany, że ktoś robi nam kawał. Duchów nie ma.

– Do licha! Mój chłopcze, piszesz powieści grozy i nie wierzysz w zjawy?

– Na pewno nie w takie, które hałasują po nocy w domu.

Kara zauważyła, że Cooper nagle uciekł gdzieś myślami. Zamknął się w sobie, a ona nie wiedziała, co było tego przyczyną. W takich wypadkach zazwyczaj wkraczała i wyciągała go z dołka.

– Znasz historię tej posiadłości? – spytała, odwracając uwagę Jeremiaha od Coopera.

Dziadek westchnął ciężko i uśmiechnął się do niej, dając do zrozumienia, że wie, że chciała załagodzić sytuację, i że to docenia. Poklepał ją przyjacielsko po dłoni i powiedział:

– Wszyscy okoliczni mieszkańcy znają historię tego domu.

– Opowiedz mi ją – poprosiła, gdyż Cooper nadal milczał.

– Wszystko zaczęło się w czasach gorączki złota – rozpoczął wartką narrację, odtwarzając barwny obraz epoki. Kara zdała sobie sprawę, że Lonergan odziedziczył dar

słowa po dziadku. – W tamtym okresie było jeszcze niewiele rancz. Większość ziemi należała do hiszpańskiej szlachty, która była niechętna napływowi jankesów do Kalifornii. Ten dom został zbudowany przez jednego z pierwszych poszukiwaczy złota, któremu się poszczęściło. Kupił tę ziemię od hiszpańskiego szlachcica, postawił rezydencję i przywiózł ze wschodu żonę. Miał jedną córkę i kiedy zmarł, pozostawił jej cały majątek. Dziewczyna była jeszcze bardzo młoda i zakochała się w żołnierzu, który okazał się draniem.

– Ta historia źle się kończy? – spytała z niepokojem.

– Niestety, inaczej nie byłoby ducha, prawda? Cooper wypił łyk kawy, opadł na oparcie krzesła i utkwiał spojrzenie w dziadku. Jeremiah zignorował go i zwrócił się do Kary.

– Ten młody człowiek kochał ją na swój sposób. Był jednak ambitny. Marzył o zdobyciu fortuny. Nie miał jeszcze ochoty na ustątkowanie się. Odjechał szukać złota, obiecując dziewczynie, że po nią wróci.

– I nie zrobił tego? – domyśliła się, współczując biednej kobiecie.

– Czekala na niego przez dwa lata. Opuszczona, smutna, wyglądała go codziennie przez długie godziny z okna salonu, oplakując utraconą miłość.

Ciało Kary przeszył spazm bólu. Czuła unoszące się w powietrzu nieszczęście i cierpienie dziewczyny. Za oknami szalał wiatr, szarpiąc okiennicami i unosząc tumany kurzu i drobnych kamyczków. Do kuchni wdarł się powiew lodowatego powietrza i leżąca pod stołem Sheba cicho zawarczała.

– W końcu umarła – powiedział łagodnie, wręcz z nabożnym skupieniem – gdyż złamano jej serce.

Cooper prychnął, przyciągając spojrzenie asystentki. Jeremiah nadal nie zwracał na niego najmniejszej uwagi.

– Nie potrafiła żyć bez miłości. Od tamtego czasu żaden najemca nie zagrał wiele czasu w tym domu. Wszyscy z niego uciekają. To nie jest szczęśliwe miejsce.

– A co stało się z tym mężczyzną?

– Wrócił po nią kilka tygodni po jej śmierci. Ale było już za późno.

Niespodziewanie z hukiem zamknęła się jedna z okiennic. Kara podskoczyła przestraszona. Pisarz zaśmiał się.

– Szkoda, że nie widziałas swojej miny. Historyjka dziadka musiała zrobić na tobie spore wrażenie.

Jeremiah zmarszczył surowo brwi, karcąc wnuka wzrokiem.

– Uważasz, chłopcze, że nie warto umierać dla miłości? Cooper potrząsnął głową, wstał i poszedł po stojący na kuchennym blacie dzbanek z kawą. Napelnił wszystkim filiżanki i odstawił naczynie na miejsce.

– Morał tej historii jest prosty. Miłość nie jest tego warta.

– Nic nie rozumiałeś. To właśnie miłość jest jedyną wartością.

Serce Kary zamarło, kiedy obaj mężczyźni zaczęli się sprzeczać. Ogarnęło ją poczucie pustki, kości przeszył lodowaty chłód. Przeczucia jej nie myliły. Cooper nigdy jej nie

pokocha. Zawsze będzie w niej widział jedynie kompetentną asystentkę i świetną kucharkę. Nie ma sensu dalsze odkładanie decyzji, gdyż nic się nie zmieni. Po co w tej sytuacji przy nim trwać i się zadreć?

Bez sensu.

Po godzinie Jeremiaś odjechał, a oni zostali sami w kuchni.

Lonergan mył naczynia, a Kara je wycierała. Panowała miła atmosfera, doskonała okazja, żeby powiedzieć mu o wymówieniu.

– Cooper?

– Słucham? – Podał jej kolejny talerz.

– Odchodzę.

ROZDZIAŁ PIĄTY

– Bardzo zabawne – zachichotał, nie przerywając pracy. – To nie jest dobry temat do żartów.

– Mówię poważnie.

– Przecież nie możesz.

– Mogę i zrobię to. Składam ci wymówienie z dwutygodniowym okresem wypowiedzenia.

Zakręcił kran i odwrócił się. Długie brązowe włosy Kary zebrane były do tyłu i spięte czymś, co przypominało paszczę aligatora. W padającym od góry świetle jej wielkie zielone oczy pociemniały, a z twarzy zniknął uśmiech.

– Chodzi o ducha, tak? Nocne jęki? Nie przejmuj się, ktoś po prostu robi nam głupi dowcip.

– Nie w tym rzecz. Tu chodzi o nas.

Rzuciła ścierkę na stół, skrzyżowała ręce na piersi, przekrzywiła na bok głowę i spojrzała na niego.

– Nic nie rozumiesz, prawda?

– Najwidoczniej nie.

– To takie typowe.

– Co ja takiego znowu zrobiłem?

– Nic, absolutnie nic – warknęła, biorąc się pod biodra. Zanim zdążył otworzyć usta, podniosła do góry dłoń, nakazując milczenie. – Nieważne. Powiedzmy, że odchodzę, ponieważ nie możemy tak tego dłużej ciągnąć.

– Czego? – zdziwił się, czując się, jakby nagle w greckiej restauracji kelner zaczął mówić do niego po chińsku.

– Nie możemy tak żyć.

– Ale dlaczego? Co ci się nie podoba? – Jak to możliwe, że po raz pierwszy go nie rozumiała?

– Zachowujemy się jak stare małżeństwo, nie korzystając z tego, co w związku jest dobre i wspaniałe, jak na przykład... seks.

Natychmiast stanął mu przed oczyma obraz Kary w skąpej, zmysłowej koszulce nocnej, rozpalając do czerwoności zmysły i rozbudzając jego męskość. Musiał przed sobą przyznać, że jeszcze do wczoraj nie dostrzegał w swej asystentce obiektu pożądania. Powoli jednak zaczynał zmieniać zdanie.

– Chcesz, żebyśmy uprawiali seks?

Kara jęknęła sfrustrowana, zdjęła spinkę i zaczęła rozcierać miejsce po niej. Potrząsnęła głową. Gęste brązowe włosy opadły jej na twarz i ramiona miękkimi falami, budząc w Cooperze chęć pogładzenia ich.

Może seks to całkiem dobry pomysł, zastanowił się.

– Chcę nie tylko seksu. Pragnę czegoś więcej – wyrzuciła z siebie. – Marzę o mężu, dzieciach i domu. Jestem twoją asystentką od pięciu lat i jedyne, co z tego mam, to względnie zasobne konto bankowe oraz kilka nowych przepisów kulinarnych.

– Źle ci się u mnie pracuje? O to chodzi?

– Wprost przeciwnie – warknęła z irytacją. – Było mi tak dobrze i wygodnie, że nie zauważyłam, że moje życie zmierza w ślepy zaułek – Co widzisz złego w wygodnym życiu? – spieszył się, nabierając przekonania, że Kara nie żartuje i naprawdę chce odejść. W jej oczach dostrzegł żal. Znał ją na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że jeśli podjęła decyzję, nie było od niej odwołania.

Myśl, że mógłby ją stracić, przeraziła go.

– Nic – odrzekła. – Jeśli tobie to wystarcza, w porządku. Dla mnie to za mało.

– Zaczekaj – poprosił, czując, że serce wyrывa mu się z piersi. – Nic z tego nie rozumiem. Myślałem, że wszystko między nami doskonale się układa.

– No oczywiście. – Uniosła ze złością do góry rękę, po czym opuściła je z impetem. – Z twojego punktu widzenia niewątpliwie jest wspaniale. Wszystkim się za ciebie zajmuję. Płacę rachunki, rozmawiam z wydawcami, załatwiam reklamę, odbieram rzeczy z pralni. Beze mnie nie potrafisz nawet zrobić porządnej kawy.

– Przesadzasz – obruszył się, wiedząc, że ma rację. Spojrzał na nią, jakby ją zobaczył pierwszy raz w życiu. Przez te pięć lat, które ze sobą spędzili, Kara była zawsze spokojna i rozsądna. Nowa Kara, która przed nim stała, aż cała iskrzyła.

Co było nawet zmysłowe, pomyślał.

– To nie do końca twoja wina – oświadczyła. – Sama sobie na to zapracowałam.

– No tak, bo we wszystkim, co robisz, jesteś doskonała – uśmiechnął się, starając się rozjaśnić jej spojrzenie. Gdy mu się nie udało, poczuł w sercu przykry zawód.

– Co powiesz na podwyżkę? Czy poprawiłaby ci nastrój?

– Nie! – krzyknęła ze złością. – Tu nie chodzi o pieniądze.

Chciał ją przytulić, ale odsunęła się.

– Nie możesz odejść, za bardzo cię potrzebuję.

– Dlatego właśnie muszę! – wychrypiała, ciężko łapiąc oddech. – Zrozum, jeśli nadał będę się zachowywała jak twoja żona, nigdy naprawdę nie wyjdę za mąż.

Płonące w jej oczach ogniki błyskały jak światło latarni morskiej ostrzegające statki, że zbliżają się do brzegu.

– Jesteś przemęczona. Powinnaś się przespać. Wrócimy do rozmowy rano, kiedy się uspokoisz.

– Wrrr... – warknęła, zbierając do tyłu włosy. – Jestem zupełnie spokojna.

– To widać – przytaknął, odsuwając się od niej na bezpieczną odległość.

– Doprowadzasz mnie do szału. – Odwróciła się na pięcie i ruszyła zdecydowanym krokiem do salonu. Zanim weszła na schody, odwróciła się i posłała mu mrożące spojrzenie. – Mam nadzieję, że dotarło do ciebie. Nie zmienię zdania. Odchodzę.

Pomaszerowała na górę, stąpając z łoskotem, jakby prowadziła do boju armię najeźdźców. To tylko utwierdziło Coopera w przekonaniu, że była zbyt zdenerwowana, aby podejmować poważne decyzje. Kiedy trzasnęła głośno drzwiami sypialni, wzdrygnął się. Rano poczuje się lepiej, doszedł do wniosku. Jakoś ją przekona. Wróci jej rozsądek. Dlaczego w takim razie tak bardzo się niepokoił całą tą sytuacją?

Kiedy ciszę nocy przeszyły znajome jęki, Kara jeszcze nie spała. Stłumiony szloch zdawał się wydobywać ze ścian, otaczając ją morzem bólu, który był tak wielki, że przetrwał kilka stuleci. Do sypialni wdarł się powiew chłodu, otaczając Karę westchnieniami.

Niezależnie od tego, co myślał Cooper, to nie był żart. Powinna więc teraz umierać ze strachu i uciec z krzykiem ze starego domu, zostawiając w nim ducha. Ona jednak nie odczuwała lęku. Jej serce wypełniało współczucie.

Siedząc na łóżku, zaczęła rozcierać zmarznięte, nagie ramiona. Po policzkach płynęły jej łzy. Ogarnął ją smutek, zrobiło jej się żal kobiety, która umarła z miłości. Kara zdała sobie sprawę, że wiele ją z nią łączyło.

Chociaż może nie tak wiele.

W końcu ona była jeszcze żywa.

Kobieta czekała na miłość, aż umarła z rozpacz. Ona czekała, aż Cooper dostrzeże, jak jest im razem dobrze. Zjawą pozwoliła, aby za życia zabiło ją niespełnione pragnienie. Kara postanowiła, że nie popełni tego samego błędu.

– Tak bardzo mi przykro – wyszeptwała, rozglądając się po pokoju pełnym cieni. – Żal mi nas obu – wyznała.

Cooper nie spał. Starał się pracować. Gdy nagle usłyszał żaloszny szloch, aż podskoczył w miejscu. Podenerwowany rezygnacją Kary, od kilku godzin nie mógł napisać sensownego słowa. Przez cały czas myślał tylko o niej. Zastanawiał się, jak na nią wpłynąć, żeby zmieniła zdanie.

Jęki ocaliły go, odwracając uwagę od dręczącego go problemu. Błyskawicznie podniósł się z krzesła i pobiegł do drzwi. Szarpnął je i wyskoczył do holu. Zatrzymał się, czekając, aż pojawi się Kara, tak jak to było ubiegłej nocy. Oczami wyobraźni ujrzał jej potargane włosy i opalone, półnagie ciało zakryte jedynie skąpą koszulką. Drzwi jej sypialni jednak się nie otworzyły. Czyżby nie usłyszała zawodzenia? Niemożliwe. Po prostu unikała go. Ta myśl głęboko go ubodła. Rzucił gniewne spojrzenie w stronę jej pokoju. Dlaczego, do licha, uparła się, żeby odejść? Jak może go tak zostawić?

Mamrocząc pod nosem, ruszył samotnie na dół, do głównego holu, idąc za przepływającym przez dom płaczem. Nie obchodziła go historia, którą opowiedział im Jeremiaś. Nie wierzył w duchy. Zamierzał przyłapać przekłętą żartownisza na gorącym uczynku.

Nie zapalił światła, bez trudu odnajdując w mroku drogę, gdyż przez okna sączyło się jasne światło księżyca. Czuł chłód drewnianej podłogi pod bosymi stopami. Posuwał się

prawie bezszelestnie, zdecydowany raz na zawsze położyć kres zabawie w duchy.

Poprzedniej nocy była z nim Kara. Teraz bardzo mu jej brakowało. Tęsknił za dotykiem jej dłoni, którą wczoraj trzymał, kiedy przemykali się w ciemności nocy. Tęsknił za... poczuciem bezpieczeństwa, które dawała mu praca z nią.

Nie, nie pozwoli jej odejść!

Pohamowując napad złości, skoncentrował uwagę na żalonych jękach rozbrzmiewających wokół niego smutnym echem. Zeszłej nocy szlochy zawiodły ich do saloniku. Dziś dochodziły zza frontowych drzwi.

– Chcesz, żebym otworzył drzwi? Założę się, że znajdę na werandzie pokładającego się ze śmiechu Mike’a Haneya – mruknął do siebie, uśmiechając się.

Chwycił za klamkę i szarpnął drzwi, licząc, że ujrzy przed sobą dowcipnisia.

Na zewnątrz jednak nikogo nie było. Zrobił krok do przodu i stanął jak zamurowany.

Niewidoczna ściana lodowatego zimna zablokowała mu przejście.

Jak tonący Cooper z trudem chwycił powietrze. Serce biło mu w piersi jak oszalałe, jakby chciało rozsadzić tors. Wzdłuż kręgosłupa przebiegały przeszywające dreszcze, ścisnęło go w gardle i zaschło mu w ustach.

Mur zimna stał nieporuszony, jakby zawsze tu był. Otoczyły go przybierające na sile jęki, które z każdą chwilą stawały się coraz bardziej żalodne i natrętne.

Na ciemny dotąd trawnik wylały się jaskrawe promienie księżyca. Sącząc się przez konary drzew, tworzyły przerażające koronkowe wzory, które tańczyły na wietrze.

– To nie jest Mike Haney – wyszeptał, pocierając czoło dłonią. Serce powoli odzyskiwało naturalny rytm uderzeń. To nie był żart. Ściana chłodu była zbyt realna, żeby ją zignorować lub wyjaśnić, skąd się wzięła. Cooper przyglądał się, jak wydychane przez niego powietrze tworzyło maleńkie chmurki pary tuż przed jego twarzą. To był duch! I to drugi.

Spóźniony kochanek?

Ściana zimna natarła na niego, próbując przedostać się do domu. Poczł napierający, lodowaty dotyk na klatce piersiowej, jak gdyby ktoś go popychał. Dochodzące z domu lamente stały się głośniejsze i ostrzejsze, wywołując u pisarza gęsią skórę. Niespodziewanie przerodziły się w zdesperowany krzyk bólu podsycany złością i cierpieniem.

Pisanie o duchach to jedno, ale co innego mieszkanie z nimi pod jednym dachem.

– To o to tu chodzi? – spytał retorycznie. – Ona na ciebie czekała, a ty się spóźniłeś i teraz chcesz się dostać do jej domu?

Przeszył go nieprzyjemny dreszcz i ogarnął chłód. Ostatkiem woli zdecydował się pozostać i nie zamknąć drzwi. Gdyby udało mu się rozwiązać problem między duchami, może przestałyby jęczeć po nocach. Otworzył szerzej drzwi, cofnął się i wykonał ręką zapraszający gest.

– Wejdz. Znajdź swoją dziewczynę i przeproś ją lub zrób to, o co ci chodzi, cokolwiek by to było.

Niespodziewanie drzwi zatrzasnęły mu się przed nosem z taką siłą, że cały dom zatrzęsł się w posadach. Cooper wypuścił z płuc powietrze. Nagle wokół zapanowała całkowita cisza. Ściana zimna została na zewnątrz, a szlochający w środku duch zamilkł. Pisarz poczuł się zupełnie zdezorientowany. W opowieści Jeremiaha zjawą czekała na swego kochanka przez sto pięćdziesiąt lat. Teraz, kiedy wrócił, nie chciała go wpuścić. Kobiety!

– Jest uparty jak osioł – powiedziała Kara ponuro i przełamała na pół zieloną fasolkę.

– Uwierz mi, wiem, co czujesz – odparła Maggie, uśmiechając się łagodnie.

– Nie sędzę. – Wstała od stołu rozstawionego pod dębem w ogrodzie dziadka Coopera. Przyjechała porozmawiać z narzeczoną Sama, gdyż powoli zaczynała popadać w obłąd.

Lonergan praktycznie od kilku dni z nią nie rozmawiał. Nie przyjął do wiadomości faktu, że zamierzała odejść. Ilekroć sugerowała mu, że powinien zacząć szukać sobie tymczasowego zastępstwa, zanim znajdzie kogoś na stałe, uśmiechał się do niej wyrozumiale. Nie słuchał jej. Nie wziął na serio jej deklaracji.

– Upór to cecha wrodzona wszystkich Lonerganów, wiem coś o tym – wyjaśniła Maggie, opierając się wygodnie w krześle i wyciągając przed siebie nogi.

Kara odgarnęła opadające na twarz włosy, które rozwiał wiatr przynoszący zapach oceanu. Wciągnęła głęboko powietrze, po czym wolno je wypuściła, starając się uspokoić. Nic to jednak nie pomogło.

Potarła dłonią szczypiące oczy. Od kilku godzin łupało ją w głowie i bolały wszystkie mięśnie. Wynik braku snu. Przynajmniej tak jej się wydawało.

Duch niezmordowanie wył przez trzy ostatnie noce. Kara budziła się i wsłuchiwała w zawodzenia nieszczęśliwej kobiety płaczącej za utraconą miłością. Odnosiła wrażenie, jakby zjawą chciała jej coś przekazać. Ostrzec ją. Nie pozwól, aby i ciebie to spotkało, wydawała się mówić.

– Dobrze się czujesz?

– Tak, po prostu jestem zmęczona – wyznała z wymuszonym uśmiechem.

– Problem z duchami?

– Wierzysz w nie? – zdziwiła się.

– Tak – odparła Maggie, wstając i podchodząc do Kary. – Miłość jest najsilniejszym z uczuć. Dlaczego nie miałyby trwać wiecznie, nawet gdy ciała odejdą?

– Tak bardzo żal mi tej kobiety. Nie tylko ją słyszę, ale czuję również jej ból. Jej smutek jest tak głęboki, tak obezwładniający, że... – zaczynam wierzyć, że chce się ze mną skomunikować, dodała w myślach. Zachichotała nerwowo i pokręciła głową, odpychając te nedorzeczne urojenia. – Muszę się po prostu wyspać.

– Jesteś pewna, że to tylko zmęczenie? – Spojrzenie ciemnych oczu Maggie wyrażało niepokój. – Wyglądasz, jakbyś miała gorączkę. Mogłabym cię zabrać do miasta, żeby Sam cię zbadał w gabinecie.

Kara poczuła nieprzyjemne ssanie w żołądku. Nie miała ochoty na wizytę u lekarza. Pragnęła jedynie stąd wyjechać. Zostawić Coopera, zapomnieć o nim i podjąć próbę ułożenia sobie życia.

– Naprawdę nic mi nie jest – uśmiechnęła się sztucznie i dodała: – Właściwie to przyjechałam tu, żeby cię o coś poprosić.

– Mów, śmiało.

– Cooper nie przyjmuje do wiadomości, że zamierzam odejść.

– Mhm...

– Jedyne, co mi w tej sytuacji pozostaje, to po prostu go zostawić.

– Naprawdę tego pragniesz?

– Muszę to zrobić – powiedziała Kara twardo, nie mając pewności, kogo bardziej stara się o tym przekonać, Maggie czy siebie. Ale czy miało to jakiegokolwiek znaczenie? – Chciałam dać mu wymówienie z dwutygodniowym terminem wypowiedzenia, ale on mnie w ogóle nie słucha, uznałam więc, że to nie ma sensu. Tak czy inaczej, dopóki nie znajdzie zastępstwa na moje miejsce, będzie musiał radzić sobie sam, a to oznacza, że jeśli nikt mu nie przypomni o jedzeniu, prawdopodobnie umrze z głodu.

– Zależy ci na nim?

– W sensie ogólnoludzkim – odparła, starając się zlekceważyć pytanie Maggie. – Od pięciu lat organizuję mu życie. Beze mnie będzie zagubiony. – Tak jak ja bez niego, przemknęło jej przez myśl. – Dlatego chciałabym cię poprosić, żebyś do niego zajrzała od czasu do czasu i sprawdziła, czy wszystko jest w porządku i czy ma w lodówce coś oprócz mrożonych burritos.

Maggie przez dłuższą chwilę wpatrywała się uważnie w twarz Kary.

– Oczywiście, nie ma sprawy, pod warunkiem że odpowiesz mi szczerze na jedno pytanie.

– Jakie? – westchnęła.

– Dlaczego nie powiesz Cooperowi, że jesteś w nim zakochana?

Zaskoczona Kara najpierw chciała zaprzeczyć. Jednak widząc pełną zrozumienia minę Maggie, postanowiła wyjawić prawdę. Nic przez to nie straci. Rozmasowała czoło, starając się ukoić pulsujący w głowie ból, i wyznała:

– On nie chce się tego dowiedzieć.

– Uważasz, że można uciec od miłości? – Maggie położyła dłoń na ramieniu Kary.

– Muszę, póki jeszcze mam siłę – wyszeptała smutno.

Cooper czekał na nią.

W kuchni panował półmrok. Na stole stały zapalone świece. Ich płomienie kołysały się delikatnie pod wpływem ruchu powietrza. Z salonu sączyła się cichutko muzyka jazzowa. Obiad był przygotowany. Sam ugotował makaron. Czekало też otwarte wino, nabierając aromatu.

Przez ostatnie kilka dni wiele myślał. Głównie dlatego, że nie był w stanie nic robić. Nie mógł się skoncentrować na pisaniu. Nie rozmawiał z Karą, bo obawiał się, że będzie drażyła temat odejścia z pracy. Tego wieczoru postanowił podjąć działania.

Kara weszła do kuchni, zamknęła drzwi i wbiła w niego uważne spojrzenie. Odpowiedział jej tym samym. Miała potargane wiatrem włosy. Zielone oczy jarzyły iskierkami. Ubrana była w wytarte dżinsowe szorty, bladożółty top i białe sandaalki. Wyglądała uroczo. – Dlaczego nigdy wcześniej tego nie zauważył? W którym momencie przestał dostrzegać wokół siebie ludzi? Czyżby naprawdę stał się tak wyobcowany, żeby nie zauważyć kobiety, która organizowała mu całe życie?

– Coś się stało? – spytała.

– Słucham?

– Co się dzieje?

– Nic. – Pokręcił głową, postanawiając przystąpić do realizacji planu. – Wszystko w porządku.

– To dobrze. Gotowałeś? – zdziwiła się, pociągając nosem.

– Przeciwwstawiając się panującej o mnie opinii, postanowiłem udowodnić, że nie jestem kompletnym nieudacznikiem.

– Makaron?

– Z kurczakiem – oświadczył triumfalnie.

– Innowacja w naszym jadłospisie – uśmiechnęła się. – Co ty knujesz?

Cooper podszedł do niej i położył jej dłonie na ramionach. Zajrzała mu głęboko w oczy i coś w jego mózgu zaskoczyło. Nie wiedział dokładnie co, ale zrozumiał, że to ważne. Zastanowi się nad tym później.

– Co ty wyrabiasz?

– Myślałem trochę.

– Chyba powiadomię o tym media – zażartowała.

– Ale śmieszne – obruszył się. Przyciągnął ją bliżej do siebie i ucieszył się, dostrzegając w jej oczach zaskoczenie. – Chyba już wiem, na czym polega problem między nami...

– Masz na myśli fakt, że odchodzę, a ty nie przyjmujesz tego do wiadomości? – prychnęła.

– Nie, ten drugi problem.

– To jest jeszcze jeden?

– Tak sądzę.

– Więc może uświadomisz mi jaki – zażądała. Cooper odniósł wrażenie, że nie wiedziała, czy się do niego przysunąć, czy wyrwać z uścisku.

– Niezaspokojone pożądanie seksualne – mruknął, a jego spojrzenie zatrzymało się na jej twarzy, powędrowało na usta, na dolną wargę, którą przygryzała, gdy ją coś trapiło. Dokładnie tak, jak zrobiła to teraz.

– Pozwolisz, żebym cię pocałował?

Kara przez dłuższą chwilę milczała, po czym uważnie na niego spojrzała.

– Mówisz poważnie?

Przyciągnął jej biodra blisko do siebie, pozwalając poczuć, że nie żartuje. Źrenice jej zielonych oczu rozszerzyły się i zaczęła szybciej oddychać. Opuścił spojrzenie na jej piersi, których sutki uwypukliły się na koszulce. Ogarnęło go niepohamowane pożądanie, znacznie silniejsze, gorętsze i zachłannniejsze, niż mógł sobie wyobrazić. Wtulona w niego, tak doskonale pasowała do jego ciała. Dlaczego nigdy wcześniej tego nie zauważył? Dlaczego tak późno przyszedł mu do głowy ten wspaniały plan?

Pragnęła go, wyczytał to w jej oczach. On również jej pożądał. Nie było nic prostszego, niż dać sobie nawzajem rozkosz. Po seksie przestanie mówić o odejściu i wszystko wróci do normy.

Błyskotliwe!

– Więc? – Odgarnął jej włosy z twarzy, musnął palcami policzek. Zadrżała, a on się uśmiechnął. – Co powiesz na rozładowanie napięcia między nami?

– Muszę cię ostrzec. Jestem bardzo, bardzo spięta – wyszeptwała. Jej ręka zaczęła błądzić po jego torsie, aż dotarła do szyi. – To może nam zabrać wiele czasu.

Uśmiechnął się i pocałował ją, raz, potem drugi, doznając zadziwiającej rozkoszy.

– Więc nie traćmy go więcej.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Karze zakręciło się w głowie. Ostry ból przeszywał jej skronie i ścisnęło ją w żołądku.

Wszystkie dolegliwości jednak odeszły, gdy poczuła dotyk jego ust. Spełniły się jej marzenia. Westchnęła i z lubością poddała się obezwładniającej rozkoszy. Rozchyliła wargi i przyjęła jego gorący pocałunek.

Cooper objął ją w talii i przyciągnął mocno do siebie. Przywarła do niego całym ciałem, czując na brzuchu jego twardą męskość. Zadrżała z podniecenia. Pragnęła tego od tak dawna, że trudno jej było uwierzyć, że to się naprawdę dzieje.

Być może nie powinna ulegać oszalałym zmysłom. Powinna wyrwać się z jego ramion i zakończyć fantazje. Bez zastanowienia pozbyła się wyrzutów, oddając się bez reszty upojonej chwili.

Dłoń pisarza, błędząc po jej plecach, dotarła do karku. Palce z lubością zatopiły się w jej bujnych włosach. Kara jęknęła, przytuliła się mocniej, pragnąc brać i dawać coraz więcej.

Czające się gdzieś w zakamarkach umysłu wątpliwości krzyczały, że powinna zachowywać się racjonalnie. Myśleć. Ale ona nie chciała się zastanawiać. Już nie. Pragnęła tylko czuć. Nie miały znaczenia ból, silne zawroty głowy, podchodzący do gardła żołądek. Tak długo o tym marzyła i fantazjowała, że teraz nawet dzuma by jej nie powstrzymała. Tym bardziej że rzeczywistość okazała się sto razy lepsza od wyobrażeń.

Oderwał na moment usta od jej warg i zaczął całować szyję. Delikatne pieszczoty jego zębów przyprawiały ją o drżenie i zalewały falami rozkosznego ciepła. Poczowała na skórze jego gorący oddech.

– Obiad może zaczekać, chodźmy na górę – usłyszała stłumiony szept.

Kiedy wziął ją za rękę i poprowadził do sypialni, odezwał się w niej głos zdrowego rozsądku, wysyłając serię znaków ostrzegawczych.

Zamierzasz odejść. Powiedziałas mu o tym. Gdzie konsekwencja? Co ty wyrabiasz? Po tym wszystkim będzie ci jeszcze trudniej żyć bez niego.

Być może, przyznała, ale skoro go kocham, jak mogłabym nie wykorzystać takiej sytuacji, żeby mieć go tylko dla siebie, choćby tylko przez jedną noc.

Cooper przyspieszył, ciągnąc ją za sobą po schodach, tak że ledwie mogła za nim nadążyć. Potykając się, starała się dorównać mu kroku. Na górze gwałtownie skręcił w prawo, wpadł do sypialni i zatrzasnął drzwi. Znaleźli się sami w dużym, cichym pokoju.

Delikatny wiaterek poruszał wiszącymi w oknach zasłonami. W powietrzu unosił się ostry zapach pelargonii, mieszając się z subtelnym aromatem letnich róż. Kara nawet tego nie zauważyła. Dla niej istniał już tylko Cooper, który patrzył na nią tak, jak sobie wymarzyła. Pożerał ją wzrokiem. Nic więcej nie miało znaczenia. Jego ciemne oczy płonęły ogniem, jakiego nigdy wcześniej nie widziała. Cóż z tego, że nie czuł do niej tego samego, co ona do niego. Teraz liczyła się tylko ta chwila, ta sypialnia, ten mężczyzna.

Lonergan chwycił krawędź jej koszulki i jednym sprawnym ruchem zdjął ją przez głowę, rzucając na podłogę.

– Wspaniale – mruknął, odpinając jej stanik i ściągając go z ramion. Jego dłonie odnalazły nagie piersi i zaczęły pieścić sutki. Kara usłyszała jęk rozkoszy i dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że pochodził z jej gardła. Ręce Coopera przesunęły się niżej w kierunku talii. Objął ją mocno i położył na łóżku, po czym wstał i spojrzał na nią z zadowoleniem.

– Zupełnie nie mogę zrozumieć, dlaczego nie robiliśmy tego nigdy wcześniej – powiedział, uśmiechając się.

– Ani ja – odparła, wyciągając do niego ramiona. Pochylił się nad nią, zdjął jej szorty, po czym przez dłuższą chwilę podziwiał białe, koronkowe majteczki.

– Gdybym wiedział, że nosisz takie cudo pod codziennym, skromnym ubraniem, na pewno nie czekałbym pięciu lat na tę chwilę.

Jego szczery zachwyt przyćmił na moment dokuczliwy ból pulsujący w jej w skroniach. Pragnęła go od tak dawna. Tyle razy śniła o tej chwili, fantazjowała, że chciała ją zapamiętać na zawsze. Każdy dreszcz, każdy dotyk, każdy obraz. Wpisać w pamięć wszystkie uczucia, chropowaty ton jego głosu, żar jego oczu.

Palce Coopera wślizgnęły się pod delikatny materiał i powoli, zmysłowo zsunęły majtki, pieszcząc czule jej biodra i uda.

Przygryzła wargę i niecierpliwie wsunęła się głębiej na łóżko. Przyglądała mu się głodnym, niezaspokojonym wzrokiem, jak pospiesznie zdejmował ubranie. Był wspaniały.

Miał opaloną skórę i ciało wyrzeźbione jak grecki posąg. Ukląkł nad nią, wywołując w niej lubieżny dreszcz. Mimowolnie jej dłonie zaczęły gładzić jego tors i ramiona. Pod wpływem tego dotyku Cooper jęknął przez zaciśnięte zęby, z podniecenia z trudem łapiąc oddech. Pochylił się i chciwie zaczął całować sterczące sutki.

Kara poczuła, że kręci jej się w głowie, i mocno się przytuliła, szukając w jego ramionach oparcia. Przyłgnęła do niego, poddając się jego wspaniałym pieścizotom. Jedna po drugiej zalewały ją fale nienasyconego pożądania.

Lonergan uniósł się nieznacznie i odnalazł jej usta, wpijając się w nie pełnym pasji pocałunkiem. Jego lewa dłoń powędrowała powoli w dół, trafiając pomiędzy jej uda i odkrywając cudowną wilgoć podniecenia. Delikatne pieścizoty, którymi ją obdarzał, wstrząsnęły ciałem Kary, podsycając rozkosz. Pod wpływem cudownego dotyku zaczęła kołysać biodrami, czekając na spełnienie. On jednak w ostatniej chwili przerwał pieścizoty, pozostawiając ją rozpaloną i oczekującą.

– Cooper – wyjąkała, odrywając na moment usta od jego warg i z trudnością łapiąc oddech. – Ja...

– Ja również – mruknął, zaglądając jej w oczy, w których odbijało się pożądanie. – Chcę zobaczyć, jak wznosisz się na szczyt rozkoszy.

– Nie. – Pokręciła głową, uśmiechając się. – Chcę cię poczuć w środku, teraz, proszę.

– Doprowadzasz mnie do szaleństwa – powiedział, całując ją.

Zaśmiała się i objęła jego twarz rękoma.

– Jeszcze nie – wyszeptała, czując jego palce w najczulszym miejscu.

Cooper z trudnością przełknął ślinę, po czym oderwał się od niej, sięgając do szuflady nocnego stolika. Wyjął małą paczuszkę i pospiesznie nałożył zabezpieczenie. Nim minęła chwila, znów tulił ją w ramionach i pieścił, wsuwając się wolno między jej uda. Pragnęła poczuć go w sobie głęboko, mocno, namiętnie. Jęknęła, przyjmując go zachłannie. Jej ciało przeszła seria cudownych dreszczy.

– To jest takie cudowne – jęknęła, odchylając do tyłu głowę i poddając się zalewającej ją rozkoszy.

W pokoju panowała absolutna cisza. Słysząc było jedynie ich zmęczone, przyspieszone oddechy. Leżeli przytuleni. Nagle Kara poruszyła się.

– Aj... – jęknęła.

Cooper objął ją mocniej, czując, że znów ogarnia go pożądanie. Ta reakcja zaskoczyła go. Nie spodziewał się, że tak szybko będzie jej znów pragnął.

– Puść mnie – wymamrotała.

– Jeszcze nie. – Spojrzał jej w oczy i uśmiechnął się. – Przyznam, że bardzo mi się podoba, kiedy tu jesteś.

Kara potrząsnęła głową i z trudem wciągnęła powietrze przez nos.

– Muszę...

– Ja też wiele rzeczy muszę...

– Nie – warknęła. Jej spojrzenie nabrało dzikości. Wyrwała się z jego objęć, wyskoczyła z łóżka i pobiegła do znajdującej się w holu łazienki. Nie zamknęła za sobą drzwi i po chwili Cooper usłyszał, jak wymiotuje.

Zmartwiony poszedł sprawdzić, co się stało. Kiedy stanął w drzwiach, ujrzał ją pochyloną nad umywalką i z trudem łapiącą powietrze.

– Jeśli to jest twoja reakcja na moje umiejętności kochanka, chciałbym cię poinformować, że nigdy wcześniej nie miałem tego typu reklamacji – zażartował.

Zawstydzona, odgarnęła opadające na twarz włosy i burknęła:

– Wyjdź stąd.

– Wszystko w porządku? – spytał, zbliżył się i ukląkł przy niej.

– Jak widać nie! – prychnęła. – Ooo, nie... – Rzuciła się ponownie do toalety.

Trzymając się kurczowo krawędzi sedesu, miała ochotę zapaść się pod ziemię. Jak to możliwe, że w przeciągu zaledwie kilku minut wspaniały, pełen cudownych uniesień świat przekształcił się w nędzne bagno upokorzenia? Dlaczego musiała się rozchorować w tak niezwyklej chwili?

– Spokojnie – wyszeptał Cooper. Przytrzymał jej z tyłu włosy i zaczął pocieszać, opowiadając jakieś bezsensowne historie, kiedy ona wyrzucała z siebie całą zawartość żołądka.

Po dłuższej chwili, gdy udało jej się na moment odzyskać oddech, wyjąkała:

– Proszę, jeśli w jakikolwiek sposób zależy ci na mnie, zostaw mnie tu samą.

Cooper bezczelnie zachichotał. Poszedł do umywalki i po chwili wrócił ze zmoczonym ręcznikiem, który przyłożył jej do czoła, kiedy nadeszła kolejna fala wymiotów. Mdłości w końcu ustąpiły. Kara miała już tylko ochotę położyć się na zimnej terakocie. Cooper wziął ją na ręce i zaniósł do swojego łóżka.

Łupało ją w głowie, w ustach czuła niesmak i trzęsła się z zimna. Półświadoma nie potrafiła się nawet cieszyć, że jest w ramionach ukochanego. Takie rzeczy były teraz poza nią. Poczyniła jeszcze jedną próbę, żeby uciec do swojego pokoju.

– Muszę się przespać – powiedziała słabym głosem, starając się podnieść, ale zaraz potem bezwładnie opadając na łóżko.

– Oczywiście – zgodził się, pomagając jej włożyć szlafrok. Wysunął spod niej kołdrę i czule ją przykrył.

Nagle zrobił się taki miły. A ona była zbyt słaba i upokorzona, żeby zaprotestować. Los boleśnie sobie z niej zakpił. Od tak dawna go pragnęła, a on aż do dziś nie zwracał na nią najmniejszej uwagi. Teraz, kiedy w końcu znalazła się w jego ramionach, zakończyła upojną noc w toalecie przytulona do sedesu.

Żałosne.

– Jesteś rozpalona – zaniepokoił się Cooper, przykładając dłoń do jej czoła.

– Ależ skąd. Jest mi strasznie zimno – oświadczyła, zagrzebując się głębiej pod kołdrą i starając się powstrzymać przed szcękaniem zębami.

– No tak. Leż spokojnie. Zadzwońię po Sama.

– Jak to? – zdziwiła się, spoglądając na niego. Stał nad nią nagi i wspaniały, a ona nawet nie potrafiła się tym cieszyć.

– Jest lekarzem. Będzie wiedział, co robić.

– Nie potrzebuję lekarza. Raczej przedsiębiorcy pogrzebowego.

– Bardzo zabawne.

Podniósł z podłogi dzinsy i wciągnął je, nie kłopotząc się zapięciem zamka. Przeczesał palcami włosy i skierował się do drzwi.

– Zaraz wracam.

Minęła godzina. Sam i Cooper stali w kuchni. Świece, które paliły się, kiedy Kara wróciła do domu, zgasły w kałużach wosku. Makaron znajdujący się w misce na stole dawno wystygł. W powietrzu nadal unosił się aromat czosnku.

– Na pewno nic jej nie będzie?

– Zaufaj mi – poprosił Sam, zamykając czarną skórzaną torbę. – Ma grypę. Za kilka dni wyzdrowieje. Musi dużo odpoczywać i sporo pić.

– I to wszystko? – Spojrzał z wyrzutem na kuzyna. – Studiowałeś przez tyle lat medycynę i tylko tyle masz do zaproponowania?

– Jeśli dobrze pamiętam, to ty zadzwoniłeś po moją poradę.

– No tak – sapnął. Nie podobało mu się to wszystko. Lubił, kiedy Kara się krzątała i denerwowała go, rozstawiając po kątach. Jej obecny stan bardzo go niepokoił. – Może powinna coś zjeść?

– Najwcześniej jutro i tylko lekkie potrawy. Rosół z kurczaka i biszkopty.

Sam popatrzył na Coopera i pokręcił głową.

– Lepiej znajdę pielęgniarkę, która się zajmie twoją asystentką.

– Nie ma potrzeby, sam się nią zaopiekuję.

– Jesteś pewien? – spytał z niedowierzaniem. Trudno było go o to winić.

Cooper nie pamiętał, żeby kiedykolwiek w życiu pomagał komuś z własnej woli. Był żalonym egoistą, z czego doskonale zdawał sobie sprawę. Od czasu wypadku piętnaście lat temu zrobił wszystko, aby trzymać się na bezpieczny dystans od rasy ludzkiej. Na początku było to celowe. Odsunął się nie tylko od swoich kuzynów, ale od rodziców, dziadków i przyjaciół.

Po kilku latach nie potrafił się już do nikogo zbliżyć. Ułożył sobie wygodne życie, odgradzając się murem od ludzi, i nigdy nie starał się tego zmienić. Tak było bezpieczniej i łatwiej.

Aż do dziś.

Ale teraz to było co innego.

Dotyczyło to Kary.

– W końcu to żadna filozofia – naburmuszył się, wpychając ręce w kieszenie dżinsów i kołysząc się na piętach.

– Potrafię zająć się domem i chorą kobietą.

– No dobrze. – Sam pokiwał głową i rzucił mu uważne spojrzenie, jakby do końca nie miał pewności, czy Cooper wie, co mówi. Wzruszył ramionami i dodał: – Maggie na pewno będzie chciała jutro wpaść, żeby sprawdzić, jak się Kara czuje.

– Nie musi, ale dziękuję.

– Idę – powiedział Sam, kierując się do drzwi. Otworzył je, po czym zatrzymał się w progu i rzucił przez ramię:

– Ty też powinienesz odpocząć. Okropnie wyglądasz.

Cooper zlekceważył sugestię Sama i kiedy ten tylko wyszedł, postawił czajnik z wodą na starodawnej kuchence. Przeszukał szafki, odnalazł kubki i herbatę jaśminową, którą Kara kupiła w miasteczku pierwszego dnia po przyjeździe. Opierając się o stół, spojrzął w okno. Na dworze panowała ciemna noc. W szybie dostrzegł swoje odbicie i doszedł do wniosku, że Sam miał rację. Faktycznie wyglądał nie najlepiej. Miał ponurą minę, a z oczu przebijał wyraz niepokoju. Nic dziwnego. Było oczywiste, że martwił się stanem zdrowia Kary. W końcu była częścią jego życia. A dziś stała się kimś ważniejszym.

Tuż przed nim przemknęła fala zimnego powietrza, wywołując nieprzyjemny dreszcz. Cooper nie odrywał spojrzenia od szyby. Woda w czajniku zaczęła bulgotać i wtedy

niespodziewanie dostrzegł poruszający się białawy cień, który przeniknął przez szybę i się ulotnił.

Pisarz powoli wyprostował się i nie zwracając uwagi na szum czajnika, rozejrzał się po pustej kuchni. Nawet się nie zdziwił, gdy powietrze przeszło ciężkie, smutne westchnienie. Czajnik gwizdał coraz głośniej, dźwięcząc w głowie Coopera, jakby ktoś piłował mu mózg. W końcu podszedł do kuchenki i podniósł przykrywkę, żeby przerwać nieprzyjemne świsty. Zalał wrzątkiem herbatę. Po kuchni rozszedł się przyjemny kwiatowy aromat. Zostawiając napój, aby się dobrze zaparzył, poszedł do saloniku po biszkopty. Wbrew zaleceniom Sama uznał, że Kara może być głodna, i chciał być przygotowany. Kiedy herbata była gotowa, a biszkopty ułożone na talerzyku, ustawił wszystko na tacy i rozejrzał się po pokoju.

– Jeszcze tu jesteś? – rzucił w powietrze. Dziwne, rozmawiam z duchem, pomyślał. Jeszcze bardziej zastanawiające było to, że oczekiwał odpowiedzi.

Zaczekał chwilę, a kiedy nic się nie wydarzyło, ruszył na górę. Zatrzymał się w drzwiach sypialni. W wątłym świetle nocnej lampki dostrzegł twardo śpiącą Karę.

Wszedł do pokoju, odstawił tacę na toaletkę i przysunął bliżej łóżka stojący pod ścianą fotel. Usadowił się w nim wygodnie i wtedy poczuł na ramieniu lodowaty powiew. Na moment zamarł w zadumie.

– Byłbym wdzięczny, gdybyś dziś nie jęczała – wyszeptał. – Kara jest chora i musi się wyspać.

Przez dłuższą chwilę nic się nie działo. W końcu obłok zimna wymknął się z sypialni, jakby nigdy go tam nie było.

Pisarz pokiwał głową i poprawił się w fotelu. Zamierzał czuwać przy chorej przez całą noc.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Otoczyła go żywa ścisną zimna, napierając na niego ze wszystkich stron, jakby chciała go wchłonąć. David poczuł, jak pożera kęs po kęsie jego serce i duszę. Nie mając siły jej powstrzymać, mógł tylko obserwować, jak bezkresny chłód wnika powoli w każdy centymetr jego ciała.

To jednak nie było wszystko. Wokół niego unosiła się tajemnicza moc. Mniej namacalna niż ściana chłodu, za to potężniejsza, bardziej podstępna, niepowstrzymana. Wypełniała go zapomnieniem, rozlewając w umyśle czarną plamę, która odbierała mu przeszłość i tożsamość.

Nie potrafił z nią walczyć.

Niespodziewanie ciszę przeszył rozdzierający krzyk...

Do licha, zaklął w duchu Lonergan.

– I co dalej? – spytał głośno, odchylając się do tyłu i spoglądając ze złością na ekran monitora, jakby maszyna złośliwie utrudniała mu pisanie. – Krzyk? A kto niby krzyczał i po co? – zdenerwował się.

Zazwyczaj kiedy przykładął palce do klawiatury, słowa same na poczekaniu układały się w historii. Nigdy nie planował wcześniej scen i wątków. Nie układał zarysu powieści, bo uważał, że w ten sposób odebrałby jej serce. Tu chodziło o spontaniczność. Poza tym lubił być zaskakiwany przez swoich bohaterów.

Teraz jednak nie był w stanie myśleć. Nie potrafił się skupić na powieści z powodu kobiety leżącej na górze w jego łóżku. Czuwając przy niej przez całą noc, udało mu się kilkakrotnie zapaść w krótką drzemkę. Jednak za każdym razem, kiedy Kara pojękiwała przez sen trawiona gorączką, natychmiast się budził.

W oczach czuł piasek, a powieki ciążyły mu jak kamienie. Rozdrażniony przetarł je dłońmi, wzmagając tylko pieczenie. Jak mógł spokojnie pisać powieść grozy, kiedy tak bardzo się martwił chorobą Kary? Czy grypa faktycznie daje aż takie objawy? Czy nie powinna już czuć się lepiej?

Nie spróbowała herbaty, którą jej zaniósł. Zzieleniała na widok biszkoptów, które jej zaoferował. A jeśli się odzywała, to tylko po to, żeby go odprawić.

Nie sprawdzał się jako pielęgniarza.

A może Sam był konowalem i ona potrzebowała czegoś więcej niż tylko odpoczynku?

Wstał od kuchennego stołu i ruszył do salonu, a następnie na górę, przeskakując w pośpiechu po dwa schodki. Skręcił do sypialni i delikatnie zapukał do drzwi, zanim je otworzył.

Kara odwróciła głowę na poduszce i spojrzała w jego kierunku. W dziennym świetle wydawała się jeszcze bardziej blada. Pod oczami miała wielkie fioletowe sińce. Wyglądała na wyczerpaną.

– Pozwól mi przynajmniej wrócić do mojego łóżka – jęknęła.

– Mowy nie ma – odparł, uśmiechając się. – Nie pozwolę ci opuścić mojej sypialni, dopóki nie nabierzesz sił.

Naciągnęła kołdrę pod brodę i zrobiła nadąsaną minę.

– Nie jestem dzieckiem – prychnęła.

– Zauważyłem.

– O nie... – jęknęła i zakryła się z głową.

– Co nie?

– Nie przypominaj mi o tym – wycedziła, wychylając nieznacznie twarz spod przykrycia, a jednocześnie zamykając oczy, tak jakby się wstydziła na niego spojrzeć. – Zapomnij o wszystkim, co się wydarzyło zeszłej nocy. Ja już to zrobiłam.

Jej słowa zaboląły go. Zdziwiał, ile może się zmienić przez kilka godzin. Dopiero co tulił ją w ramionach, kochał się z nią, czując, że daje rozkosz, a następnego dnia niespodziewanie zachowują się jak obcy sobie ludzie.

Łatwe koleżeństwo, w którym żyli przez kilka lat, odeszło. Zniszczył je wspaniały seks, o którym ona teraz nie chciała pamiętać. Pięknie. Zmieniając istniejący układ, miał nadzieję, że ją zatrzyma. A wyglądało na to, że tylko przyspieszył jej odejście.

Leżała w jego łóżku i była bardziej niedostępna niż kiedykolwiek. Zdegustowany sobą i całą sytuacją powiedział:

– Wybieram się do miasteczka po zakupy.

– Świetnie, idź.

– Niedługo wrócę – poinformował, nie zwracając uwagi na jej dąsy. – Poproszę Maggie, żeby wpadła z tobą posiedzieć. Chcę mieć pewność, że nie uciekniesz z łóżka.

Kara otworzyła oczy i rzuciła mu krótkie spojrzenie.

– Nie przesadzaj. Potrafię przetrwać sama przez kilka godzin.

Cooper zignorował jej opryskliwy ton, dochodząc do wniosku, że ktoś, kto się źle czuje, ma prawo być zrzędlawy. On zawsze taki był. Ostatnio kiedy był chory, Kara nie odstępowała go ani na krok. Nigdy nie przyszło mu nawet do głowy, że mogłoby jej wtedy przy nim nie być. Nie potrafił tego docenić. Jakim ja byłem idiotą, pomyślał.

– Bez dyskusji, Maggie i tak zostanie.

– Nie potrzebuję pielęgniarki. Muszę tylko dojść do siebie.

– Niedługo wyzdrowiejesz.

– Kiedy?

– Teraz zachowujesz się jak dziecko – zaśmiał się.

– Nic na to nie poradzę – burknęła. Wyciągnęła ręce na kołdrę i zaczęła się bawić wyciągniętą nitką. – Nie cierpię być chora i nie chcę, żebyś się mną opiekował.

– Ty dbałaś o mnie przez wiele lat – przypomniał jej. – Chciałbym ci się teraz odwdziaczyć.

– S płacasz dług? – westchnęła. – Pięknie. Jeszcze tego brakowało.

Co ja takiego znowu zrobiłem? – zastanowił się.

– Niedługo wracam.

– Niewątpliwie zaczekam tu na ciebie.

– Dobrze mu to robi – stwierdziła Maggie, poprawiając poduszkę pod głową Kary. Przeszła wzdłuż łóżka, rozprostowując kołdrę. Wpadające przez okno promienie słońca rozświetliły pasemka jej ciemnych włosów. – Może Cooper musi się poczuć potrzebny? – zauważyła z uśmiechem.

Kara miała co do tego wątpliwości. Od kiedy go poznała, nigdy nie zbliżał się do ludzi i nie starał się nikomu pomagać. Żaden z jego związków nie trwał dłużej niż kilka miesięcy. Aż do tych wakacji przez wiele lat nie odwiedzał nawet rodziny. I on niby chciał być potrzebny? W żadnym wypadku. Wprost przeciwnie, zawsze wydawało jej się, że robił wszystko, aby nie stać się dla kogoś ważnym i niezastąpionym.

– Wyprowadza mnie z równowagi – wyznała, czując kolejny nieprzyjemny skurcz żołądka. Przyłożyła dłoń do brzucha i ciężko przełknęła ślinę, obiecując sobie, że dziś już nie będzie więcej biegać do łazienki. – Ciągłe się tu kręci. Przynosi herbatę, której nie mogę wypić, i ciasteczka, które przyprawiają mnie o mdłości. A potem siada przy łóżku i wpatruje się we mnie, a przecież wyglądam odrażająco.

– Widocznie jest innego zdania – zachichotała Maggie, zajmując miejsce na krześle. – Martwi się o ciebie.

Kara bardzo by chciała, żeby to była prawda, ale rzeczywistość była zgoła inna. Szkoda złudzeń.

– On wcale się nie przejmuje – westchnęła głęboko. – Powiedział, że spłaca wobec mnie dług wdzięczności za te wszystkie lata, kiedy się nim opiekowałam.

– Naprawdę tak to ujął? – spytała Maggie, kręcąc z niedowierzaniem głową.

– Na dodatek czuje się winny, że rozchorowałam się zaraz po tym, jak... – wysnęło jej się. Nie było sensu przekształcać miłej towarzyskiej pogawędki w godzinę zwierzeń.

Maggie zrozumiała w pół słowa. Na jej twarzy pojawił się uśmiech. Poprawiła się na krześle i oparła nogi o kant łóżka.

– Ach... więc w końcu udało ci się zwrócić na siebie jego uwagę.

– Jasne. – Westchnęła z odrazą. – Trudno byłoby nie zauważyć kobiety, która przerywa uprawianie seksu i biegnie do łazienki z wymiotować.

– Fakt, okropne – skrzywiła się Maggie ze współczuciem. – I to tak w trakcie?

– Nie, zaraz po, kiedy właśnie zaczynaliśmy się cieszyć bliskością i cudownym zaspokojeniem.

– Och... uwielbiam ten moment – rozmarzyła się.

– Ja nie wiem, bo go nie przeżyłam.

– Następnym razem będzie lepiej – pocieszyła ją.

– Nie będzie następnego razu – oświadczyła Kara z niesmakiem. – Widział, jak wymiotuje, i podtrzymał mi głowę. Żaden mężczyzna po takich przeżyciach nie spojrzałby na mnie namiętnie.

Maggie roześmiała się.

– Co cię tak bawi? – obruszyła się Kara.

– Nie przesadzaj – powiedziała, trącąc ją delikatnie stopą. – Sądysz, że partnerzy nigdy nie widują się wzajemnie w takich lub jeszcze gorszych okolicznościach? Uwierz mi, mam okropne mdłości codziennie rano i wieczorem i Sam zawsze jest wtedy przy mnie i... – przerwała i chrząknęła – zresztą nie o to chodzi.

– Masz rację. Tylko że wy jesteście w innej sytuacji. Jesteś w ciąży – wytknęła. – Nosisz dziecko Sama. Jest oczywiste, że nadal go pociągasz i że cię kocha.

– Tak – westchnęła Maggie z zadowoleniem. – Nie sądzisz, że Cooper jest w tobie zakochany?

Kara prychnęła i owinęła wokół palca nitkę, tak mocno, że aż się zaczerwieniła.

– Na pewno nie, choć bardzo bym chciała, żebyś miała rację.

W pokoju dało się słyszeć głośne westchnienie. Tym razem jakby głębsze i pełne udręki, płynące prosto z serca. Pojawiło się jakby znikąd, a jednocześnie sączyło się zewsząd.

Maggie jak zelektryzowana spuściła nogi na podłogę i wyprostowała się na krześle.

– Co to było?

– Przedstawiłabym ci ją, ale nie znam jej imienia. Nie będę komplikować. Maggie, poznaj Ducha, Duchu, to jest Maggie.

Powinien częściej robić zakupy w stoiskach ze świeżą żywnością. Kiedy był zdany sam na siebie, zwykle wpadał do sklepu, wrzucał do koszyka wszystkie mrożonki, które wydawały mu się jadalne, i uznawał zakupy za zakończone. Dziś przeszedł przez wszystkie alejki w supermarkecie i nawet zajrzał do działu mięsnego. Zadziwiające, jaką różnorodność towarów odkrył.

Załadował do bagażnika dwanaście toreb ze sprawunkami i zatrzasnął klapę. Rozejrzał się wokół. Na głównej ulicy Coleville panował błogi spokój. Życie toczyło się powoli. Po raz pierwszy poczuł, że wrócił do domu. Od kiedy wyjechał, bardzo niewiele się tu zmieniło, z czego w głębi duszy się ucieszył. Bez sensu. Unikał tego miejsca przez piętnaście lat, ponieważ bolały go wspomnienia, a teraz czuł zadowolenie i ulgę, że jest tu tak jak dawniej.

Zimny, ostry powiew oceanicznego powietrza łagodził letni upał. Cooper szedł do znajdującej się na rogu drogerii. Obok niego po chodniku przejechała dwójka rozpędzonych na deskorolkach dzieci, klekocząc kółkami głośno o beton. Starsza kobieta dźwigająca siatkę wielkości walizki krzyknęła karcąco w ich kierunku, ale nawet nie zwolnili. Lonergan uśmiechając się do siebie pod nosem, otworzył drzwi sklepu i usłyszał znajomy dźwięk starodawnego dzwonka. Kiedy był dzieckiem, często wpadał tu latem z kuzynami. Kupowali batoniki, lody i komiksy. Tak niewiele było im wtedy potrzeba do szczęścia.

Dłaczego życie musiało się tak skomplikować, przemknęło mu przez myśl.

Spacerując pomiędzy regałami, uśmiechał się do nielicznych napotkanych klientów. W jednej z gablot chłodniczych dostrzegł kwiaty. Zanim pomyślał, otworzył drzwi i sięgnął do środka. Róże? – zastanowił się. Wyciągnął wielki bukiet żółtych róż i powąchał.

Czy Kara lubi róże? Nie wiedział. Jak to możliwe? Znał ją od pięciu lat. Przyjrzał się krytycznie jędrnym pąkom i zajrzał głębiej do chłodni. Było tam kilka mieszanych bukietów składających się z goździków, stokrotek i dziwacznych fioletowych kwiatów, których nie potrafił zidentyfikować.

– To nie powinno być trudne – mruknął, oglądając uważnie kolejne wiązanki. Wokół niego buchał wydobywający się z lodówki chłód.

– Cooperze Lonerganie, zamknij natychmiast te drzwi! Myślisz, że zamierzam płacić za to, że klimatyzujesz mi sklep?

Pisarz podskoczył i gwałtownie się odwrócił, napotykając świdrujące spojrzenie czarnych oczu pani Russell. Kobieta miała ze sto dziesięć lat, kiedy byli dziećmi, musiała więc naprawdę być czarownicą. Nadal świetnie się trzymała i była równie niesympatyczna.

– Przepraszam – mruknął i odsunął się do tyłu. Trzymając róże, zamknął drzwi chłodni. – Nie mogłem się zdecydować.

Sprzedawczyni zmarszczyła brwi i krokiem godzilli ruszyła do kasy stojącej na głównej ladzie.

– Zastanawiaj się przy zamkniętych drzwiach.

– Miło było panią spotkać – burknął.

– Okropna jak zawsze – zauważyła wysoka, ładna kobieta o jasnych włosach i głębokich błękitnych oczach. Miała zawieszony na ramieniu stalowy koszyk i znajomy uśmiech na twarzy.

– Niestety – potwierdził, starając się przypomnieć sobie, skąd ją zna. Patrzyła na niego jak ktoś znajomy. Nie mógł dociec, kim była. – Starucha nic się nie zmieniła.

– Sądzę, że nadal żywi do ciebie i twoich kuzynów urazę za wasz wybryk czwartego lipca – wyjaśniła blondynka, sprawdzając kątem oka, czy pani Russell oddaliła się na bezpieczną odległość.

Cooper roześmiał się na samo wspomnienie. On, Jake, Sam i Mac postanowili uczcić Święto Niepodległości, Zebrali wszystkie swoje oszczędności i kupili nielegalnie race. Bynajmniej jednak nie planowali wystrzelenia jednej z nich w stodołę Russellów i spalenia jej.

– A potem Jeremiaś zapędził nas na całe trzy tygodnie do odbudowywania.

– I tak uszło wam prawie na sucho. Ja miałam szlaban na miesiąc.

Cooper przymrużył oczy i przez dłuższą chwilę wpatrywał się uważnie w kobietę. Cofnął się o piętnaście lat i zobaczył ją taką, jaka była wtedy. Wysoka, szczupła, z ogromnymi błękitnymi oczami. Zawsze przyklejona do Maca.

– Donna Barrett?

– Cześć, Cooper, miło cię widzieć.

Chwytał ją w ramiona i mocno objął. Kiedy z bukietu róż zaczęła kapać woda na jej ramię, wypuścił ją z uścisku.

– Przepraszam – zmartwił się.

– Nic nie szkodzi. Słyszałam, że wróciliście z Samem do domu.

– Tak, ale tylko na lato. Przyjedzie też Jake.

– Znow wszyscy razem. – W jej głosie pojawiła się nuta smutku. Opuściła wzrok, wpatrując się w zawartość przewieszzonego przez ramię koszyka.

– Prawie wszyscy – powiedział, wiedząc, że myśli Donny są przy Macu. Tamtego ostatniego lata byli nierozłączni.

Stała się nieoficjalnym członkiem ich paczki. Nie dlatego, że wszyscy ją lubili, ale gdyby jej nie zaakceptowali, straciliby Maca. Dzień, w którym zginął Mac, był jednym z nielicznych, kiedy jej przy nim nie było. Gdyby im wtedy towarzyszyła, może wszystko skończyłoby się inaczej? Nie czekaliby tak długo na brzegu, tylko wcześniej po niego wskoczyli? Być może...

Zapadła ciężka cisza. Oboje wrócili na moment do przeszłości, stając znow twarzą w twarz z bólem i żalem.

– Słyszałem, że zaraz po wypadku wyprowadziłaś się z Coleville – przerwał w końcu milczenie Cooper.

No pięknie. Zamiast zmienić temat, znow wracam do tamtego wydarzenia, pomyślał zmieszany.

– Tak, przeprowadziłam się do ciotki do Kolorado. Skończyłam tam szkołę i teraz... – Wzruszyła ramionami i odgarnęła opadające na twarz włosy. – Przyszedł czas, żeby wrócić do domu. – Wskazała dłonią na okapujące wodą róże. – Gorąca randka? Pisarz zaśmiał się nerwowo.

– Chcę kupić kwiaty... przyjaciółce – wybąkał. Przyjaciółka? Dziwne określenie, zastanowił się. Kochanka? Czy jedna wspólna noc mogła uczynić z nich kochanków? Jeśli wierzyć słowom Kary, na pewno nie. Ona już postanowiła wyrzucić ten epizod z pamięci.

– Spodobają jej się.

– Tak sądzisz? – spytał, wpatrując się w bukiet, jakby oczekiwał, że zmieni kolor. – Czy wszystkie kobiety lubią róże?

– Raczej bym nie generalizowała – odparła, marszcząc brwi.

– Tak, wiem, chodziło mi o to, że... do licha! – Nie miał pojęcia, co chciał powiedzieć. Nigdy wcześniej nie był tak zagubiony. Zawsze potrafił postępować z kobietami. Ale Kara to co innego. Zajmowała ważne miejsce w jego życiu. Była wyjątkowa.

Jasne, była tak niezwykła, że nawet nie wiedział, czy lubi róże.

Ten problem da się łatwo rozwiązać. Otworzył drzwi lodówki i wyciągnął jeden po drugim wszystkie bukiety, dochodząc do wniosku, że w ten sposób na pewno wśród nich znajdą się jej ulubione kwiaty.

– Zamierzasz się oświadczyć? – spytała Donna, śmiejąc się.

– Nie – odrzekł, odrzucając ten pomysł jako niedorzeczny. Nie planował zdobywać nikzyjzego serca. Nie o to chodziło. Chciał być po prostu miły dla kogoś, kogo... lubił. Zależało mu również na poprawieniu jej samopoczucia. – Po prostu kupuję dużo kwiatów –

zapewnił zdecydowanym tonem.

Z ulicy dobiegło ich głośne, natarczywe trąbienie klaksonu. Donna rzuciła szybkie, nerwowe spojrzenie przez okno.

– Miło było cię spotkać, ale muszę lecieć.

– Wszystko w porządku? – zaniepokoił się Cooper.

– Tak. – Podeszła szybkim krokiem do kasy. – Mam nadzieję, że twojej przyjaciółce spodobały się kwiaty.

– Ja również.

W zamyśleniu obserwował, jak wychodzi ze sklepu i biegnie do czekającego na nią trucka. Za kierownicą widać było jakąś postać, jednak odbijające się w szybie promienie słońca uniemożliwiły Cooperowi dokładniejsze przyjrzenie się kierowcy.

Kręcąc z niezadowoleniem głową, postanowił zapomnieć o Donnie Barrett. Niezależnie od tego, jak ułożyła sobie życie, życzył jej szczęścia. A tymczasem miał w domu chorą kobietę, która nie powinna na niego czekać.

– Sześć bukietów? – zdziwiła się Kara, kiedy Cooper wniósł do sypialni ostatni, składający się z fioletowych irysów, i ustawił go na toaletce.

Wzruszył ramionami i wbił ręce w kieszenie czarnych spodni.

– Nie wiedziałem... – W ostatniej chwili zreflektował się i dodał: – Wszystkie były ładne.

Kara uśmiechnęła się, choć w głębi duszy poczuła rozczarowanie. Po pięciu latach znajomości, codziennej współpracy, nic o niej nie wiedział.

– Nie miałeś pojęcia, jakie kwiaty lubię?

Cooper wzruszył ramionami i przecesał nerwowo dłonią włosy.

– To prawda – wyznał. – Ale byłem pewien, że w ogóle lubisz – mruknął niechętnie.

– Mhm...

Na szczęście mdłości ustały i już jej się nie przewracało w żołądku. Jeszcze dzień wcześniej pomieszane zapachy świeżych kwiatów wygoniłyby ją do łazienki. Teraz tylko przyprawiły o ból głowy.

Lonergan napuszył się z dumy i Kara nie miała serca psuć mu dobrego nastroju.

– To bardzo miłe, że pomyślałeś o mnie – odparła w końcu, odpychając od siebie marzenia i starając się ujrzeć go takim, jaki był w rzeczywistości. W gruncie rzeczy nie miało znaczenia, że nie wiedział, jakie kwiaty lubi. Liczyły się dobre chęci. – Dziękuję – dodała.

Posłał jej promienny uśmiech, po czym podniósł z podłogi siatkę, którą porzucił w drzwiach sypialni.

– Mam jeszcze coś – oświadczył triumfalnie. – Kupując je, patrzyłem prosto w oczy tej starej babie, to znaczy pani Russell.

– O czym ty mówisz? – zmieszana się, po czym widząc, jak wyjmuje kolorowe czasopisma i kładzie na nocnym stoliku, uśmiechnęła się. Były to głównie magazyny o modzie oraz plotkarskie tygodniki. Zapewne wybrał wszystkie tytuły, które uznał za popularne wśród damskich czytelniczek. – Doskonałe wycucie, dzięki.

- A co powiesz na zupę? – spytał zachęcająco. – Kupiłem kurczaka.
- Nie musisz dla mnie gotować obiadu. Pojedź do miasteczka i zjedz coś przyzwoitego.
- Nabyłem w markecie steki i sam zrobię obiad – obruszył się i wyprężył dumnie pierś.
- Naprawdę?
- Nie jestem tak całkiem do niczego!
- Nie mówiłam, że jesteś do niczego – poprawiła. – Użyłam raczej słowa „beznadziejny”.
- Czyżby? – Podszedł do łóżka i wyrównał kołdrę. – Zresztą nie tylko zrobiłem zakupy.

Wstawiłem też pranie. Wiedziałaś, że można przeładować pralkę?

- Zalałeś pół domu?
- Przynajmniej podłogi są czyste.
- Cooper!
- I poprasowałem.
- Jak to? – zdumiała się, robiąc wielkie oczy, w których błysnął cień smutku.
- Ale tylko trochę – przyznał, wzruszając ramionami. – Zupełnie nie rozumiem, dlaczego ktoś przykrył deskę do prasowania jakimś plastikiem, skoro topi się pod wpływem ciepła.
- Postawiłeś na nim żelazko? – spytała ze zgrozą.
- Kupię nowe – prychnął, nie zrażając się małym niepowodzeniem.
- Dlaczego to wszystko robisz? – spytała łagodnie. – Tylko mów prawdę.

Pisarz spojrział na nią i posłał jej uśmiech, jeden z tych, które potrafiły zatrzymać na moment bicie jej serca.

- Bo chcę. I co z tą zupą?

Przytaknęła ruchem głowy, obawiając się, że jeśli się odezwie, głos jej się załamie. Popatrzyła za nim, jak wychodził z pokoju, po czym przeniosła wzrok na biegające po suficie promienie letniego słońca. W powietrzu unosił się aromat kwiatów, a gdzieś znikąd dało się słyszeć ciche westchnienie.

Cooper nie tylko świetnie sobie bez niej radził, ale wręcz rozkwitał.

ROZDZIAŁ ÓSMY

– Jak sobie radzisz? – spytał Sam, stawiając na stole torbę i spoglądając uważnie na kuchynia.

Kuchnię rozświetlało ostre poranne słońce. Cooper zmrużył oczy i wziął w dłonie kubek z kawą. Wypił łyk i wzdrygnął się z niesmakiem. Będzie musiał jeszcze raz dowiedzieć się od Kary, jak zaparzyć dobrą kawę.

– Świetnie – odparł twardo i opadł na krzesło, bojąc się, że za chwilę zemdleje. Czuł się osłabiony, jakby nie spał od kilku tygodni. – Jak się miewa nasza pacjentka?

Sam pokiwał głową i podszedł do ekspresu do kawy. Wyjął z kredensu kubek, napełnił gorącym brym płynem, spróbował i natychmiast się skrzywił.

– Jak można zaparzyć coś tak wstrętnego?

– Mam dar – wyjaśnił pisarz, podpierając się na łokciu. – Co z Karą?

– Dobrze, jest w zdecydowanie lepszej formie niż ty. Mówiłem ci już, że wyglądasz jak zjawa?

– Wielkie dzięki – mruknął Cooper, popijając łyk kawy, nie dlatego że przyzwyczał się już do podłego smaku, tylko dlatego, że kofeina była jedynym, co trzymało go jeszcze przy życiu. – Naprawdę zdrowieje? Nic jej nie będzie?

– Już ci mówiłem, to tylko grypa. – Sam spojrział na zegarek, wziął łyk kawy i krztusząc się, przelknął, po czym odstawił kubek. – Jest zmęczona i osłabiona, ale wkrótce dojdzie do siebie. Daj jej jeszcze kilka dni odpoczynku i trzymaj na lekkostrawnej diecie.

– Poradzę sobie – zapewnił.

– Maggie chętnie ci pomoże.

– Nie, sam będę się opiekował Karą. Chcę i potrafię.

– Hm... – Lekarz podszedł do stołu, usiadł naprzeciw Coopera i spojrział na niego z wyrazem powątpiewania w oczach.

– O co chodzi?

– O nic. To bardzo interesujące. Nie znałem cię od tej strony.

– Zabawne. – Cooper oparł się wygodniej i odchylił do tyłu. – Do licha! Nie miałem pojęcia, że codziennie jest tyle rzeczy do zrobienia. Jak ona sobie z tym wszystkim radziła? Zawsze miała wszystko poukładane, na czas zorganizowane, nigdy się nie denerwowała. Naprawdę nie doceniałem jej i na pewno za mało płaciłem.

– Miło jej będzie to usłyszeć – powiedział Sam w zadumie.

Cooper nie zwrócił uwagi na jego słowa.

– Spędziłem dobrych kilka godzin na telefonicznych ustaleniach z wydawcą i z redaktorem. Do tego doszły rozmowy z agentem. Usiłowałem też wmusić w Karę zupę i zrobiłem pranie, starając się nie zalać przy tym domu. Od dwóch dni nie napisałem ani słowa.

– I nie spałeś?

– Czuwałem w nocy przy jej łóżku – odparł sucho. – Na wszelki wypadek, gdyby czegoś potrzebowała.

Sam podniósł się na krzesło i założył za siebie ręce, uśmiechając się tajemniczo pod nosem.

– Cokolwiek podejrzewasz, wybij to sobie z głowy – zdenerwował się Cooper.

Lekarz zabębnił palcami lewej dłoni o blat.

– No dobrze, skoro nie chcesz rozmawiać o Karze, pomówmy o tobie.

Pisarz jęknął. Nie miał najmniejszej ochoty na poważne rozmowy. Spojrzenie kuzyna mówiło: Wiem, jaki masz problem, i znam rozwiązanie.

– Zlituj się nad zmęczonym człowiekiem i odpuść mi dzisiaj – powiedział spokojnie.

– Jesteś tu od kilku tygodni – zauważył Sam, ignorując jego prośbę. – Z tego co wiem, nie byłeś jeszcze nad jeziorem.

Cooper zacisnął w dłoniach kubek z kawą tak mocno, że aż pobieleły mu kłykcie. Ogarnęło go zmęczenie. Pomimo bólu w plecach wyprostował się, sztywniejąc.

– Nie. I tobie też nie radzę.

– Nie możesz stale uciekać od przeszłości.

Cooper poczuł ściskanie w żołądku i zaczął się niespokojnie wiercić na krzesle.

– Do tej pory jakoś mi się udawało.

– Jesteś w Coleville. Przejechałeś tak daleką drogę. Dlaczego nie spróbujesz pogodzić się z przeszłością?

– Jestem tu tylko ze względu na Jeremiaha. – Rozluźnił uścisk na kubku. – Wczoraj byłem w miasteczku – zmienił temat, wywołując tym irytację Sama. – Spotkałem Donnę.

– Barrett? – Lekarz spojrzał na niego ze zdziwieniem. – Nie wiedziałem, że przyjechała.

– Widocznie wróciła. – Jak wygląda?

– Dobrze, ale nie w tym rzecz – powiedział Cooper, odstawiając kubek i kładąc obie ręce na stół, jakby potrzebował podparcia, by się utrzymać w pozycji pionowej. – Kiedy ją zobaczyłem, natychmiast wróciły wspomnienia tamtego lata. Poczułem zapach oceanu i ciepło słońca na skórze. – Westchnął. – Do licha! Znów usłyszałem śmiech Maca. Był tak bliski i znajomy. Wystarczyło, że spojrzałem na Donnę.

– Przestań...

– Pogrzebałem przeszłość i nie będę do niej wracał – przyrzekł.

Sam przyglądał mu się przed dłuższą chwilę.

– Nieprawda, ona nadal w tobie żyje. Dopóki nie stawisz jej czoła i nie pożegnasz się z Makiem, nie uwolnisz się.

Po wyjściu kuzyna Cooper został sam w wypełnionej słońcem kuchni.

Ogarnął go napierający ze wszystkich stron chłód. Niezależnie od tego, czy był to duch tego domu, czy jego wewnętrzne upiory, przyznał gorzko sam przed sobą, że nie zasługiwał na uwolnienie od demonów przeszłości.

Kara z trudem podniosła się na łóżku i usiadła, opierając się o poduszki. Zaczynała powoli powracać do życia. Ustały skurcze żołądka, nadal jednak czuła się podle. Nie miała nawet siły, żeby wziąć prysznic.

– Jak samopoczucie?

W drzwiach stał Cooper, opierając się ramieniem o futrynę. Miał dłonie wbite w kieszenie, skrzyżowane nogi i wyglądał na zmęczonego.

Podciągnęła wyżej kołdrę. Miała ochotę schować się przed nim. Zdawała sobie sprawę, że wygląda okropnie. Kiedy była wcześniej w łazience, widziała się w lustrze i o mało nie krzyknęła z przerażenia.

– Znów odpływasz? – Stał nad łóżkiem i pomachał jej ręką przed oczyma.

– Jestem w śpiączce.

– Jak na kogoś w śpiączce jesteś całkiem rozmowna.

– W jakim celu tu przyszedłeś?

– Musisz być taka opryskliwa, jak tylko ci się polepszyło?

– Cooper!

– Odpręż się. Przyszedłem zapytać, jak się czujesz i czy nie masz ochoty na prysznic.

Zamrugła powiekami, starając się wyrzucić z wyobraźni wizję: oboje nadzy, przytuleni, pod strumieniami gorącej wody. Jego dłonie pieszczotliwie namydlające jej ciało, usta...

– Kara?

Wyrwana z marzeń skarciła się surowo w myślach. Pójście z Lonerganem do łóżka było niewybaczalnym błędem. Teraz będzie tęskniła za jego dotykiem i bliskością do końca swych dni, a w sercu nie znajdzie miejsca dla innego mężczyzny.

A Cooper był dla niej nieosiągalny i to się nigdy nie zmieni. Powinna już dawno oswoić się z tym faktem.

– Słyszałam, co mówiłeś – prychnęła i odrzuciła kołdrę. Zimno uderzyło w jej półnagie ciało i zadrżała. – Właśnie zamierzam wziąć prysznic.

– Nie tak szybko – zaoponował, podchodząc i biorąc ją pod ramię.

– Nic mi nie jest. Poradzę sobie – oświadczyła uparcie, po czym zachwiała się i opadła na jego silny tors. Pokój zaczął nieprzyjemnie wirować. Zamknęła oczy, starając się odzyskać równowagę. – No dobrze – mruknęła. – Chyba przyda mi się trochę pomocy.

– Przed trzy dni leżałaś bez ruchu, półprzytomna. – Objął ją w talii i podtrzymał. – I nic nie jadłaś. Musisz dać sobie czas na odzyskanie sił.

Miał chropowaty głos i prawie mogłaby przysiąc, że słyszała przyspieszone bicie jego serca. Nie miała pewności, czy ciśnienie podskoczyło mu z pożądania, czy z powodu problemów, z którymi musiał sobie radzić przez ostatnie kilka dni. Wolą jednak nie zastanawiać się nad tym. Prawda mogłaby ją niepotrzebnie zboleć.

Wsparta o jego klatkę piersiową wyprostowała się, powoli wysunęła z jego objęć i zrobiła pierwszy krok. Nogi miała jak z waty. W głowie wirowało jej jak na karuzeli i wzrok się mącił.

– Uuu. Ciekawe doznania – wyszeptała, opadając Cooperowi w ramiona.

– No dobrze, zabierzemy się do tego inaczej. – Przytulił ją mocno, a ona zapadła się w niego. Położyła mu głowę na ramieniu, poczuła zapach mydła i wody kolońskiej. Ścisnęło ją

w żołądka. Tym razem jednak nie był to objaw grypy. Podziała tak na nią bliskość Coopera. Wspomnienie jego pieśczoł, smaku jego ust, rozbudziło w niej pragnienie. Łaknęła go, choć miała świadomość, że to nie ma przyszłości, że on nigdy jej nie pokocha.

– Wszystko w porządku? – zaniepokoił się.

– Tak, mam tylko lekkie zawroty głowy – zapewniła.

Wyszli z sypialni, minęli korytarz i znaleźli się w łazience. Ściany pomieszczenia wyłożone były kafelkami o zimnym odcieniu zieleni, a na podłodze leżała starodawna terakota ułożona w biało-zieloną szachownicę.

– Pomóc ci? – spytał, wypuszczając ją z objęć.

– Nie – odparła, choć jej wewnętrzny głos krzyczał „tak!”. Cooper nie wyglądał na przekonanego, jednak przesunął się w kierunku drzwi.

– Będę w pobliżu, gdybyś mnie potrzebowała. Idę zmienić pościel.

– Naprawdę?

– Byłbym ci wdzięczny, gdybyś przestała tak na mnie patrzeć.

– Jak?

– Tak, jakby dokonał się cud. Uwierz, potrafię robić różne rzeczy.

– Oczywiście. – Uśmiechnęła się na widok jego obrażonej miny. – Tylko że...

– Wiem. – Podniósł do góry dłoń, powstrzymując ją przed dokończeniem zdania. – Nigdy wcześniej tego nie robiłem, ale też i nie musiałem.

– To prawda – przyznała. Przecież zawsze się nim opiekowała i wszystkim zajmowała. Poniekąd była winna, wyręczając go we wszystkim i w efekcie doprowadzając do tego, że się od niej uzależnił.

Pokiwał głową i wepchnął ręce do kieszeni.

– Nie miałaś zapasowej koszulki nocnej, więc zostawiłem ci mój biały podkoszulek. Włóżysz go, a w międzyczasie zrobię pranie.

Pomyślał nawet o tym, zdziwiła się. Nie mogła się już doczekać, żeby zrzucić z siebie tę koszulkę, którą miała na sobie od kilku dni.

– Będziesz znów prał?

– Takie umiejętności chwytam w lot.

– Dzięki, że pomyślałeś o tym.

– Nie ma sprawy – rzucił, wychodząc z łazienki. – Jeśli zakręci ci się w głowie podczas brania prysznica, natychmiast usiądź.

– Tak zrobię.

– Może jednak zostać z tobą, na wszelki wypadek?

– Wyjdź – poprosiła, delikatnie popychając go dłonią.

Zamknęła za nim drzwi i oparła się o nie, powstrzymując się przed zaproszeniem go do wspólnej kąpieli. Kiedy usłyszała, że schodzi na dół, westchnęła rozczarowana, jednocześnie czując ulgę. Rozebrała „się powoli i weszła pod prysznic.

W pokoju panowała ciemność. Cooper siedział przy łóżku i przyglądał się śpiącej Karze. Przez okno sączyło się światło księżyca, zalewając ją srebrną poświatą, która przydawała jej bladej skórze porcelanową barwę. Długie, czarne rzęsy, takie wyraźne na jasnych policzkach, rozczulały go, a jednocześnie rozbudzały w nim pożądanie. Ciężko wciągnął powietrze, raz, a potem drugi, i pochylił się nad nią. Nie mógł oderwać od niej wzroku. Dlaczego nigdy wcześniej nie zauważył, jaka jest piękna? Westchnęła cichutko przez sen i przekręciła się, ściągając z siebie kołdrę i odsłaniając fragment nagiego ramienia i ciało ubrane w biały podkoszulek. Kto by pomyślał, że kobieta może tak dobrze wyglądać w męskim podkoszulku. Kiedy wychodziła z łazienki, T-shirt zaledwie zakrywał jej pupę, odkrywając długie, szczupłe nogi. Świeżo umyte i wysuszone włosy opadały na ramiona bujnymi falami. Podkrążone nadal oczy po raz pierwszy od kilku dni patrzyły na niego jasno.

Miał ochotę pogłodzić jej skórę. Zawładnęły nim fantazje. Przypomniały mu się sceny, dźwięki i zapachy upojnych chwil, kiedy się kochali, kiedy mu się oddała i zaprowadziła go na szczyty rozkoszy, dając coś wspaniałego, nieoczekiwanego.

Jego ciało obudziło się ogarnięte nienasyconym głodem, płonęło z pożądania. Jak mógł jej pragnąć w takiej chwili, kiedy leżała chora i wyczerpana? Cofnął się i oparł o krzesło. Niespodziewanie z wnętrza domu dobył się nieludzki jęk. Cooper podskoczył, błyskawicznie wstał i rozejrzał się uważnie wokół. Wycie nie ustawało. Nie można było w żaden sposób zlokalizować jego źródła. Sączyło się ze ścian, jakby dom zanosił się nieszczęśliwym lamentem.

– Do licha – mruknął, czując nieprzyjemne dławienie w gardle. Duch od kilku dni nie dawał znaku i pisarz doszedł do wniosku, że postanowił zostawić ich w spokoju. Teraz niespodziewanie powrócił, hałasując głośniejszym niż dotychczas.

Kolejny rozdzierający jęk przeszył powietrze tuż obok niego, przyprowadzając go o dreszcz. Na dworze zerwał się silny wiatr, zaczęły stukać i trzeszczeć okiennice. Tumany pyłu i drobnych kamyczków unoszone silnymi podmuchami uderzały w szyby jak tysiące palców pukających, by wpuścić gości do środka.

Pokój ogarnął lodowaty chłód. Z każdą chwilą zimno stawało się coraz bardziej przenikliwe i wszechogarniające. Zawrocie przybrało na sile. Cooper przysunął się do łóżka i odwrócił plecami do Kary, stając na drodze między nią a napierającym chłodem. Bezradnie wbity w ziemię poczuł, że ogarnia go pusty śmiech. Miał się bronić przed duchem? Co mógł zrobić? Jedyne, co przychodziło mu do głowy, to zabrać stąd Karę. Z drugiej strony nie będzie przecież uciekał z własnego domu z powodu jakiegoś szalonego ducha nieżyjącej od dawna kobiety i jej niedoszłego kochanka.

– Wynos się – warknął ostro.

Jęki odpowiedziały głośnym, dudniącym lamentem.

– Cooper?

Spojrzał przez ramię do tyłu i ujrzał Karę siedzącą na łóżku. Odgarnęła włosy z twarzy i rozejrzała się po pustym pokoju.

– Znów zaczęła – wyjaśnił, rzucając groźne spojrzenia na tańczące cienie, jakby chciał zawstydzić zjawę i zmusić do milczenia.

Duch zawył żałośnie, aż przeszły mu ciarki po plecach.

– Ona jest samotna – wyszeptała Kara.

– Jest szalona – stwierdził ze złością. Łkanie otoczyło ich.

Kara wyciągnęła rękę, ujęła dłoń pisarza i zmusiła, żeby usiadł przy niej na łóżku. Cooper oparł się plecami o wezglowie i przytulił ją mocno do siebie, jakby chciał ochronić przed zimnem.

– Nie powinna była tak długo na niego czekać – powiedziała cichutko, prawie płacząc.

Lonergan pokręcił przecząco głową, zdziwiony, że w środku nocy omawiają uczucia ducha.

– Może raczej powinna była jeszcze trochę wytrzymać. Przecież w końcu się zjawił.

– Za późno.

– To nie musiało się tak skończyć – oświadczył głośno, tak żeby duch go dobrze usłyszał.

– Gdyby się tak łatwo nie poddała i nie umarła, mogliby być razem. On błędzi teraz na zewnątrz domu, a ona nie chce go wpuścić.

Kara popatrzyła w ciemności na profil Coopera, starając się nie brać jego słów zbyt do serca i nie interpretować ich niezgodnie z prawdą. Tak bardzo pragnęła wierzyć, że mówił teraz o nich i podświadomie prosił, żeby tak łatwo z niego nie zrezygnowała.

Jeśli zacznie w to wierzyć, skaże się na podobne cierpienia jak kobieta, której duch żyje uwięziony w tym domu.

Powinna zdobyć się na to, czego nie potrafiła zrobić tamta kobieta. Porzucić marzenia i pójść dalej.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Kara obudziła się z najbardziej erotycznego snu, jaki kiedykolwiek jej się przyśnił. Duch zrezygnował ze straszenia i w domu panowała błoga cisza.

Nie mogła zrozumieć, co ją wyrwało ze snu. W chwilę później już wiedziała. W fantazji dłonie Coopera delikatnie i zarazem lubieżnie ją pieściły, dając nieziemską rozkosz i prowadząc do cudownego spełnienia.

Teraz zdała sobie sprawę, że to wszystko działo się na jawie. Cooper leżał przytulony do jej pleców, nagi, grzejąc ją ciepłem swojego rozpalonego ciała. Na pośladkach czuła jego twardą, spragnioną męskość. Jego dłoń błdziła między jej udami, przyprawiając ją o dreszcze. Instynktownie rozchyliła nogi, poddając się pieszczotom. Przymknęła oczy, chłonąc go całą sobą.

– Cooper... – jęknęła lubieżnie.

– Jestem przy tobie – odpowiedział, całując ją w kark i szyję.

– Miałam taki... – zaczęła, tracąc oddech. Uśmiechnął się, nie przestając pieścić jej ustami.

– Przykro mi, że cię obudziłem.

– Wcale nie – wysapała, zniewolona jego czułościami.

– Masz racje, wcale nie jest mi przykro – przyznał się. Kara przekręciła się na plecy i zajrzała w jego pociemniałe oczy.

– Co robisz?

– Myślałem, że to oczywiste – odparł, nie przerywając karesów i przyprawiając ją o kolejny dreszcz rozkoszy – Tak – zaśmiała się zduszonym głosem – ale chodziło mi o to, dlaczego to robisz? Dlaczego my... – Uniosła biodra, poddając się jego dotykowi. – Boże, jakie to cudowne.

– Muszę przyznać ci rację – mruknął i pocałował ją w usta.

Starając się zachować resztki godności i nie ulec żądającym zaspokojenia zmysłom, odwróciła głowę na poduszce i rzuciła:

– To z litości?

– Słucham?

– No wiesz – burknęła, powoli tracąc kontrolę nad własnym ciałem. – Jak wspaniale mnie dotykasz – wymknęło jej się.

– Mam dar – wyjaśnił, wodząc koniuszkiem języka po jej dolnej wardze.

– Ale ja nie chcę spełnienia z litości – wyjąkała.

– Hm?

– Byłam chora, a ty chcąc, żebym poczuła się lepiej...

– Jesteś chyba niespełna rozumu. Jak to możliwe, że nigdy wcześniej tego nie zauważyłem?

– Nie żartuj – obruszyła się, starając się nie zwracać uwagi na zabiegi jego palców, które ponownie odnalazły jej czułe miejsce.

– O co ci chodzi?

– Przecież wiesz – szepnęła, walcząc ze sobą, żeby nie błagać go o więcej. Jej ciało było jednak mądrzejsze i automatycznie odpowiedziało, żądając zaspokojenia.

– Przecież widziałeś mnie w takim okropnym stanie. Nie mogę cię pociągać po tym widowisku, na jakie cię naraziłam. Więc jeśli to dobry uczynek, czy coś w tym rodzaju...

– Ty naprawdę oszalałaś – jęknął, błędząc znów dłonią między jej udami.

– Cooper...

– Spójrz na mnie – zażądał chrapliwym głosem. Kiedy ich oczy się spotkały, powiedział:
– Pragnę cię od kilku dni. Pożądałem cię nawet wtedy, kiedy chorowałaś w łazience. Pochylałaś się nad toaletą, a ja mogłem myśleć tylko o tym, jaką masz piękną pupę. To już chyba jest zboczenie?

– Naprawdę? – spytała, podsuwając mu biodra.

– Tak. Nie dość tego. Wiem, że jesteś wyczerpana i nie spałaś dobrze od kilku nocy. Ale czy daję ci odpocząć? Nie! Budzę cię z nadzieją, że pragniesz mnie tak bardzo jak ja ciebie.

– Naprawdę?

– Przestań to ciągle powtarzać – poprosił. Pocałował ją w usta i przesunął językiem po jej wargach.

– Tak – mruknęła, ciężko łapiąc oddech.

– Więc? Mam dać ci spać?

– A komuś tu w ogóle chce się spać? – spytała, rozchylając przed nim uda i zakładając mu ramiona na szyję.

– Miałem nadzieję właśnie to usłyszeć – uśmiechnął się i cmoknął ją w szyję.

Kara odchyliła do tyłu głowę, przestała myśleć, zastanawiać się nad motywami jego postępowania i oddała się bezwolnie rozkoszy.

Mijały godziny, a oni wciąż nie mogli się sobą nasycić. Karę bolał każdy mięsień, nigdy jednak nie czuła się tak szczęśliwa, spełniona i zaspokojona. Kochali się na wszelkie możliwe sposoby, dając sobie wzajemnie wiele cudownych chwil i morze rozkoszy.

Na dworze zaczynało świtać. Świat budził się do życia tysiącem barw. W końcu oboje zmęczeni, mocno wtuleni w siebie, zapadli w drzemkę, śniąc wspólnie ten sam sen.

Cooper trzymał Karę za rękę, a ona czuła płynącą z jego dłoni moc i energię. Stali w saloniku wiktoriańskiego domu, który wyglądał jak za dawnych czasów. Wpadające przez okno promienie słońca tańczyły wesoło na klawiszach z kości słoniowej stojącego w rogu pianina. Pokrywę instrumentu ozdabiała tkanina w tureckie wzory oraz liczne ramki z fotografiami w sepia. Na wyściełanym fotelu wylegiwał się zwinięty w kłębek czarnobiały kot. W wielkim, szerokim oknie stała kobieta. Ozłocona słoneczną poświatą wyglądała na drogą, jakby na kogoś czekała. Jedną rękę trzymała na ustach, drugą obejmowała się w talii, szukając pocieszenia, którego nie potrafiła odnaleźć.

Jej cichy smutek rozbrzmiewał w pokoju echem, płynące z oczu łzy mieniły się jak diamenty. Wyglądała kochanka, który obiecał do niej wrócić. Chodziła od okna do okna dręczona tęsknotą i podtrzymywana na duchu nadzieją. Stapała cichutko po dywanach tłumiących odgłos stukania obcasów jej pantofelków. Stary zegar regularnie wybijał godziny, a ona za każdym uderzeniem gongu coraz bardziej kuliła się w rozpacz.

Kara czuła, jakby nieszczęście tej kobiety było jej własnym. Cały dom płakał, towarzysząc kobiecie w powolnej agonii. Czas się zatrzymał. Biedaczka znalazła się w pułapce uwięziona przez bezkresny ból i cierpienie.

Kara spojrzała na Coopera, dostrzegając w jego oczach współczucie. Zanim zdążyła się do niego zbliżyć, coś ich rozłączyło.

Fizycznie i intuicyjnie poczuła, że ukochany oddala się od niej.

Śpiąc, przytuliła się mocno do niego, by nie pozwolić mu odejść. Bała się, że zostanie porzucona jak rozpaczająca po nocach kobieta, czekająca na miłość, która nigdy się nie spełni.

Cooper obudził się pierwszy, zdziwiony, że sen się skończył. Kara leżała obok skulona. Jej mała dłoń spoczywała na jego torsie. Poglądził ją, po czym niechętnie wypuścił z objęć.

Jak to możliwe, że znaleźli się w tym samym śnie? Że dzielili z duchem jego cierpienie? Jak mógł zapomnieć lekcję, którą dostał wiele lat temu? Zjawa była niegdyś młodą i piękną kobietą, która straciła wszystko, gdyż ośmieliła się kochać. Powinien pamiętać, że miłość oznacza ból.

Zmarszczył brwi i wstał. Spojrzał na nagą kobietę leżącą w jego łóżku i coś mocno ścisnęło w gardle. Ogarnął go żal, że jego życie nie ułożyło się inaczej. Równocześnie miał świadomość, że pewnych rzeczy nie da się zmienić lub odwrócić.

Kara, czując podświadomie jego spojrzenie, przebudziła się. Przeciągnęła się leniwie, otworzyła oczy, które napotkały jego wzrok, i uśmiechnęła się nieśmiało.

– Czy my właśnie... ?

– Śniliśmy ten sam sen – przytaknął zaniepokojony kielkującymi w nim uczuciami.

– Ale jak to możliwe?

– Nie wiem – mruknął i podniósł z krzesła dzinsy. Musiał natychmiast opuścić ten pokój. Nie wolno mu było patrzeć na tę kobietę, inaczej popełni niewybaczalny błąd. Zatracił się na moment w jej ramionach, zapominając o dawnym bólu i ranie w sercu. Nagle zdał sobie sprawę, że Kara stała się dla niego ważna. Nie powinien był do tego dopuścić, gdyż wiele lat temu przekonał się, że miłość prowokuje nieszczęścia.

– Idę zaparzyć kawę.

– Cooper?

Odwrócił się i rzucił jej krótkie spojrzenie. Jak mógł popełnić tak niewybaczalny błąd? W jej oczach płonęła miłość i to go przeraziło. Serce mu zamarło, poczuł w środku chłód. Ścisnęło go w gardle tak, że przez moment miał wrażenie, że się dusi. Odwrócił się plecami,

ponieważ nie był w stanie na nią patrzeć. Nie chciał jej. Gdy był przy drzwiach, przystanął, położył rękę na klamce i rzucił przez ramię:

– Przyniosę ci kawę i może jajka. Sądzę, że czujesz się już na tyle dobrze, że możesz zjeść coś pożywne.

– Tak – zgodziła się. W barwie jej głosu czaiło się pytanie, na które nie miał ochoty odpowiadać. – Ale musimy porozmawiać...

Zaprzeczył ruchem głowy i wychodząc, dodał:

– Nie ma o czym. Sen się skończył. Czas się obudzić.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Przez kolejne dwa dni panowały między nimi napięte stosunki, choć słowo „napięte” nie było do końca właściwym określeniem. Można by raczej powiedzieć, że wszystko powróciło do dawnego stanu rzeczy.

Cooper znów stał się wyobcowanym, nieobecnym myślami szefem, którego Kara tak dobrze знаła. Roztargniony, zaabsorbowany pracą, spędzał większość czasu zamknięty w swoim pokoju. Słyszała tylko stukanie w klawiaturę komputera. Prawie w ogóle go nie widywała.

Co prawda nadal jadali razem obiady w kuchni, nie toczyli już jednak lekkich rozmów, nie przedrzeźniali się i nie śmiali się wspólnie. Karę dręczyło nieustannie wspomnienie wspólnie spędzonej cudownej nocy. Lonergan nie przejawiał żadnych uczuć. Noce ciągnęły się w nieskończoność. Towarzystwem Kary był jedynie duch, z którym miała coraz więcej wspólnego.

– Coś poważnego? – spytała Maggie, zbliżając się i uśmiechając.

– Tak – przyznała Kara, spoglądając na Coopera rozmawiającego z dziadkiem i Samem w przeciwległym końcu podwórza.

Mimo że czuł na sobie jej spojrzenie, nie dawał tego po sobie poznać. Stał odsunięty od pozostałych mężczyzn, zachowując bezpieczny dystans. Kara miała złamane serce i nie wiedziała, jak sobie z tym poradzić.

Maggie przysiadła na krześle obok i wyciągnęła przed siebie długie, opalone nogi. Zaczęła delikatnie głaskać płaski jeszcze brzusek, jakby chciała przytulić rozwijające się w nim dziecko.

– Mogłabym przysiąc, że w cieniu jest o jakieś dziesięć stopni chłodniej – powiedziała z ulgą.

– Mhm – mruknęła z roztargnieniem Kara, gdyż cała jej uwaga skupiona była na Cooperze. Wiszący w powietrzu upał rozmazywał zarys jego postaci, tworząc wrażenie, jakby był ulotnym marzeniem sennym. Nie potrafiła sobie wyobrazić dalszego życia bez Coopera. Mimo tego będzie musiała znaleźć sposób, żeby pójść dalej. Zdecydowała już, że odchodzi. Pozostało jej jeszcze kilka krótkich, niestrzeżonych chwil, w których mogła na niego patrzeć i sycić pamięć obrazami.

– Nie powiedziałaś mu, że go kochasz? – spytała niespodziewanie Maggie.

– Nie, to nie ma sensu. On nie chce tego wiedzieć.

– Przeciwnie, powinien to usłyszeć – przekonywała Maggie. Zdjęła z nadgarstka gumkę i związała włosy w koński ogon.

Kara bardzo chciała, żeby Maggie miała rację, jednak mimo najlepszych chęci nie знаła Coopera tak jak ona.

– Sam zachowywał się podobnie – ciągnęła Maggie łagodnie, spoglądając w kierunku trzech mężczyzn. Jeremiaś i jej narzeczony śmiali się z czegoś, Cooper stał na uboczu i

obserwował ich.

– Co masz na myśli? – spytała Kara raczej z uprzejmości niż z ciekawości.

– Sądzę, że to, co się stało z Makiem, dotknęło bardzo głęboko wszystkich kuzynów. Sam przez wiele lat nie potrafił się otrząsnąć po tragedii. Podobnie jest z Cooperem i Jake'em. Pomyśl, wszyscy byli wtedy dziećmi. Przyglądanie się śmierci bliskiej im osoby musiało być dla nich traumatycznym przeżyciem.

Kara poczuła na plecach zimny dreszcz. Odwróciła się powoli do siedzącej obok niej kobiety.

Maggie bezbłędnie odczytała myśli z wyrazu jej twarzy.

– Nic o tym nie wiedziałaś?

– Nie – odparła. To bolało. Przez ponad pięć lat byli ze sobą tak blisko i nigdy nie wspomniał jej o tym nawet słowem. Nie dopuścił jej do siebie. Nie dał po sobie poznać, że przeżył w dzieciństwie straszliwą tragedię. Dlatego uciekał od świata i życia. Dlatego nie pozwalał nikomu pokonać muru, którym otoczył swoje serce.

– Przykro mi. – Maggie ujęła dłoń Kary. – Sądziłam, że wiesz o wszystkim.

– Nie obwiniaj się – odrzekła Kara, walcząc z ogarniającym ją smutkiem i rozczarowaniem.

– Jestem idiotką.

– Proszę, opowiedz mi, co się stało.

– Nie wiem... – zmieszała się.

– Muszę to wiedzieć.

Maggie westchnęła i spojrzała na mężczyznę.

– Myślę, że powinnaś.

Kiedy opowiadała, serce Kary powoli traciło zapach. Z każdym słowem coraz jaśniej zdawała sobie sprawę ze swojej sytuacji. Runął budowany przez ostatnie pięć lat zamek z piasku. Łzy napłynęły jej do oczu. Zrozumiała, jak wielką traumę przeżył w dzieciństwie Cooper, jakie tamto wydarzenie odcisnęło piętno na jego dorosłym życiu. Płakała z powodu utraconych nadziei, niezrealizowanych marzeń.

W końcu dopuściła do siebie gorzką prawdę.

Cooper nigdy nie podejmie ryzyka i nie pokocha jej.

Cooper obserwował siedzące w cieniu dębu kobiety i zastanawiał się, o czym mogą rozmawiać. Słowa stojących obok Jeremiaha i Sama dudniły mu w głowie. Nie był w stanie skupić uwagi na tym, co mówią, jakby znajdował się za grubą, szklaną ścianą. Widział ich, ale czuł się, jakby stracił kontakt z rzeczywistością.

Zresztą od kilku dni był całkowicie oderwany od świata, dokładnie od momentu, kiedy przyśnił mu się ten dziwny sen. W umyśle kłębiły mu się wspomnienia i wizje. Za każdym razem, gdy zamykał oczy, widział twarz Maca. Obiecał sobie, że już nigdy nie przywiąże się do nikogo, kogo mógłby stracić. Będzie żył bez miłości. Jeśli człowiekowi na nikim nie

zależy, nie można go zranić. Dlatego odciął się od rodziny i kuzynów. Utrata Maca bardzo go zabolęła. Każde dziecko sądzi, że jest nieśmiertelne, niezniszczalne. Rzeczywistość pozbawiła Coopera tych złudzeń w bardzo brutalny sposób, pozostawiając na zawsze głęboką ranę w sercu. Kiedy niedługo po wypadku Maca zmarli rodzice pisarza, utwierdziło go to tylko w przekonaniu, że powinien się odciąć od świata i unikać bliskości z ludźmi.

Zależało mu jedynie na książkach. Na co dzień żył z wymyślonymi bohaterami. Kiedy któryś z nich umierał, nie łamał tym pisarzowi serca i nie rozdzierał duszy.

Do tego wszystkiego pojawił się jeszcze problem Kary. Niespodziewanie obudziła w nim uśpione uczucia, co go przeraziło. Mężczyźnie trudno się do takich rzeczy przyznać, ale ta kobieta ogrzała mu serce. Nie chciał tego, nie potrzebował bliskości. Był zły, że udało jej się ożywić to, co od dawna uważał za bezpiecznie umarłe.

I choć bardzo pragnął przebiec przez trawnik, chwycić ją za rękę, zabrać do domu i kochać się z nią do utraty tchu, był przekonany, że to może się zakończyć tylko cierpieniem.

Zdecydował więc zostać tu, gdzie stał, na zewnątrz, tylko w roli obserwatora. Od wielu lat co noc lękał się zasnąć, gdyż obawiał się, że we śnie znów zobaczy, jak Mac umiera. Wiedział, że nie wolno mu się zbliżyć do Kary, ponieważ nie mógł jej dać tego, czego pragnęła. I choć wiele go to kosztowało, chciał jej oszczędzić bólu ponad ten, który był konieczny.

Nie był aż takim idiotą. Następnego ranka po upojnej nocy dostrzegł w jej oczach żar, radość, marzenia o przyszłości.

Postanowił ją więc ignorować, wiedząc, że sprawia jej tym ogromny ból. Lepiej przerwać wszystko od razu. Później cierpiałyby jeszcze bardziej. Co by było, gdyby pozwolił jej uwierzyć, że istnieje dla nich wspólna przyszłość? Nie, tak będzie lepiej, pomyślał. Trudno, ale lepiej.

– Co o tym sądzisz? – spytał Sam, machając mu dłonią przed oczyma.

– Słucham? – popatrzył gniewnie na kuzyna.

– Zastanawiamy się z dziadkiem nad przerobieniem dawnego pokoju babci do szycia na bawialnię dla dziecka. – Z tonu jego głosu wynikało, że nie pytał o to po raz pierwszy. – Chcę znać twoje zdanie.

– To nie moja sprawa – rzucił Cooper, dostrzegając kątem oka dezaprobatę na twarzy Jeremiaha.

– Dzięki, bardzo mi pomogłeś – mruknął Sam. – Co się z tobą dzieje?

– Nic – odparł zły na siebie, że okazuje wszystkim swoje uczucia. – Idę po piwo. Przynieść wam? – spytał.

– Tak – odpowiedział Sam.

– Ja jeszcze mam. – Jeremiah pomachał butelką pełną do połowy.

Cooper ruszył pospiesznie w kierunku domu.

Potrzebował trochę przestrzeni. Chciał pobyć chwilę sam ze sobą, odizolować się od tych, którzy patrzą na niego z nadzieją, i od tych przyglądających mu się z potępieniem.

Nie mógł ich wszystkich zadowolić. Czyż nie rozumieli tego?

Wchodząc na schody, zatrzymał się na moment i zaczął nasłuchiwać. Z oddali dochodziły niskie dźwięki burczenia silnika motocykla. Sam i dziadek przerwali rozmowę. Narastające wycie maszyny zapowiadało przybycie gościa, którym mógł być tylko kuzyn Jake.

Cooper, zapominając o piwie, zamarł w bezruchu.

Sheba zaczęła głośno szczekać, alarmując zebranych w ogrodzie, na wszelki wypadek, gdyby ktoś nie usłyszał zbliżającego się warkotu. Kiedy na podwórko wtoczył się ogromny, chromowany motocykl, schowała się za nogami Jeremiaha.

Sam i dziadek ruszyli natychmiast powitać przybysza. Cooper obserwował scenę z bezpiecznej odległości.

Jake zgasił silnik i zeskoczył z maszyny. Miał długie, ciemne włosy związane w kucyk. Był ubrany w biały podkoszulek, czarne dżinsy i zdarte czarne trapery, które wyglądały, jakby poszedł w nich do piekła i z powrotem. Na prawym ramieniu nosił tatuaż „US Marines” i co najmniej dwudniowy zarost. Zdecydowanym ruchem ściągnął okulary przeciwsłoneczne i uśmiechnął się.

– Miło was widzieć – zawołał.

– Ciebie również. Fajny motor – pochwalił Sam.

– Jakoś jeździ – odparł, po czym odwrócił się do dziadka i mruknął: – Jak na umierającego nieźle wyglądasz.

– Dobrze, że wróciłeś do domu – rozpromienił się staruszek, mocno obejmując wnuka.

Maggie i Kara wstały i podeszły przywitać się z gościem.

– A jak się miewa najsłynniejszy autor powieści grozy?

– zwrócił się do Coopera. – Czytając ostatnią, nieźle się bałem.

Pisarz uśmiechnął się i podszedł do kuzyna.

– Dzięki. – Wyciągnął dłoń i przywitał się. – Cieszę się, że jesteś.

Wszyscy Lonerganowie znów byli razem. Czy tylko Cooper odczuwał tak dotkliwie brak Maca?

– Ja również – odpowiedział. Jego ciemne oczy zapłonęły iskierkami, kiedy dostrzegł nadchodzące kobiety. – A kim są te wspaniałe panie? – spytał, przybierając wyćwiczony uśmiech.

– Wyhamuj – zaśmiał się Sam. – Ta jest moja.

– W takim razie – ciągnął Jake – ty zostajesz dla mnie.

– Mrugnął figlarnie do Kary. – Chyba że... – spojrzał pytająco na Coopera.

Pisarz miał ochotę odepchnąć kuzyna, objąć Karę ramieniem i oświadczyć wszystkim, że należy do niego. Wiedział jednak, że nie może tego zrobić zarówno ze względu na nią, jak i na siebie.

– Jake, to jest Kara. Moja... – wstrzymał oddech, po czym wydusił: – asystentka. – Zauważył, jak w jej oczach zapaliły się iskierki nadziei i po chwili zgasły.

Chłodno spoglądając na pisarza, ucisnęła dłoń trzeciego kuzyna.

– Miło cię poznać. Cooper nigdy mi o tobie nie opowiadał.

– Chętnie zrobię to sam – oświadczył, biorąc ją pod ramię i uśmiechając się porozumiewawczo. – Jak tylko dostanę coś do zjedzenia. Przebyłem długą drogę.

– Oczywiście – zawołał entuzjastycznie Jeremiaś, starając się rozluźnić nagle gęstniejącą atmosferę. – Mamy steki w lodówce. Sam, rozpal grilla. Dziewczyny, może przygotowałybyście ziemniaki?

– Nie ma sprawy – odparła Maggie, wyslizgując się z objęć narzeczonego i cmokając go czule w policzek. – Pomożesz mi? – zwróciła się do Kary.

– Chętnie – zgodziła się, zostawiając Jake'a.

Kiedy przechodziła obok, Cooper poczuł jej zapach i wciągnął go głęboko w płuca. Wyszptał jej imię, nie bardzo wiedząc dlaczego. Może liczył, że poprawi tym panujące między nimi napięte stosunki. Musiał spróbować. Ona jednak przeszła, nie zwracając na niego uwagi. Czyż nie tego właśnie chciał?

Kara, choć miała ogromną ochotę rozplakać się, postanowiła, że będzie twarda.

Sama była sobie winna i doskonale o tym wiedziała. Nie przynosiło jej to bynajmniej ulgi. To ona wszystko zaczęła. Dała się ponieść marzeniom i nierealnym fantazjom o wspólnej przyszłości z Cooperem.

Gorzka prawda była taka, że on jej nie chciał. Kilka spędzonych razem upojnych nocy nie oznacza związku. A ona nie chciała kompromisu.

Po rozmowie z Maggie i spędzeniu popołudnia z Cooperem, który jak ognia unikał wspomnień, wiedziała, że nie ma dla niej nadziei. Nie tylko odsunął się od niej, ale zamknął się również przed rodziną.

– Co robisz? – usłyszała za plecami głos Coopera. Nie odwróciła się jednak i nie spojrzała na niego. Wzięła z łóżka żółtą bluzkę, złożyła ją i włożyła do otwartej walizki.

– Odchodzę.

– Co? – Wszedł do pokoju, zbliżył się do niej i spoglądając raz na nią, raz na walizkę spytał: – Jak to? Teraz?

– Tak – odparła. Ciężko wciągnęła powietrze i zamrugła ze złością powiekami, starając się powstrzymać łzy. Nie zobaczy, że złamał jej serce.

– Zamierzałaś mi o tym powiedzieć?

Rzuciła mu krótkie spojrzenie i uśmiechnęła się przez zaciśnięte usta.

– Oczywiście – rzuciła.

Omijając go, sięgnęła po dzinsową spódnicę, której przez cały czas pobytu w Coleville nie zdążyła ani razu włożyć, i starannie ułożyła ją w walizce. – Zresztą już dawno złożyłam ci wymówienie, pamiętasz?

– Tak, ale... – przeszedł przez pokój tam i z powrotem – nie sądziłem, że mówiłaś poważnie.

– No to teraz już wiesz.

– Do licha! O co ci naprawdę chodzi? Przecież lubisz swoją pracę.

– Dobrze wiesz, o co mi chodzi.

– O nas, tak? – Pokiwał głową, wyjął rękę z kieszeni i zaczął rozcierać policzek. – O wspólny sen, tego przeklętego ducha i...

– Zjawy nie ma z tym nic wspólnego. To dotyczy wyłącznie nas, a właściwie mnie – mruknęła, składając ostatnią bluzkę.

– Posłuchaj – powiedział łagodnie. – Nie mogę ci dać tego, czego pragniesz.

Wiedziała o tym aż za dobrze. Czowała to głęboko w sercu. Chciało jej się ryczeć, ale nie dobrego by z tego nie wynikło.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi o Macu? – spytała spokojnie, spoglądając mu w oczy.

– Skąd się dowiedziałeś? Od Maggie? – domyślił się.

– Tak.

– Nie powinna ci mówić.

– Masz rację, ty powinienes.

Zaprzeczył stanowczo ruchem głowy, zamykając temat i odbierając jej resztę nadziei.

– To się wydarzyło dawno temu.

– Nie. Dla ciebie to się stało wczoraj.

– Nie chcę o tym rozmawiać.

– O tym również już wiem – powiedziała i podeszła do niego. Położyła mu dłonie na ramionach, wyczuwając napięcie jego mięśni. Ogarnął ją smutek i zrobiło jej się go bardzo żal. – To nie była ani twoja, ani niczyja wina.

– Nie wiesz tego – westchnął ciężko.

– Maggie opowiedziała mi, co się stało.

– Nie było jej tam. Tak jak i ciebie.

– Byliście dziećmi.

Odsunął się od niej. Oczy zaszyły mu mgłą. Odgrodził się od niej murem.

– Mac również.

Na opuszkach palców czuła jego ciepło, jakby wciąż dotykała jego skóry. Nie było jednak sensu dalej udawać. Nie było nadziei na przyszłość u boku mężczyzny zasklepionego tak głęboko we własnym bólu, że nie potrafił dostrzec czekającego na niego czegoś pięknego.

Mimo to pragnęła mu pomóc. Przynajmniej po raz ostatni podjąć próbę.

– Nic nie mogliście zrobić. Mac wskakując do wody, skręcił kark.

Cooper wzdrygnął się na jej słowa i pokiwał smutno głową.

– Chciał pobić rekord Jake'a i udało mu się. Musiał jeszcze tylko dłużej wytrzymać pod wodą.

Kara chciała go przytulić, ale odsunął się.

– Chciałaś wiedzieć, to słuchaj. O tym Maggie na pewno ci nie powiedziała. Sam zamierzał wskoczyć po Maca, martwił się. Jake był wkurzony, że przegrywa, a ja się cieszyłem. – Poklepał się dłonią po klatce piersiowej, jakby się dusił. Z gardła wydobył mu

się cierpki śmiech. – Byłem zadowolony, że Mac w końcu pokona Jake’a. Namówiłem Sama, żeby jeszcze zaczekał. Gdybym... – Głos mu się załamał. – Być może uratowalibyśmy go. Gdybym posłuchał Sama i wskoczylibyśmy po Maca, być może by żył. Więc nie mów mi, że rozumiesz. Bo nie rozumiesz.

– Masz rację – przyznała łagodnie Kara. Na widok bólu i udręki w oczach Coopera ogarnęła ją fala współczucia.

– Nie mogę wiedzieć, co czujesz ani czego żałujesz. Jednego natomiast jestem pewna. Mac nie chciałby, żebyś się zadreślał z powodu czegoś, czego nie można zmienić. Cooper zacisnął usta i zazgrzytał zębami.

– Kochałem go jak brata. On umierał, a my staliśmy na brzegu jak kretyni.

– Nie wiedzieliście.

– Powinniśmy się domyślić, przeczuć nieszczęście. Ta tragedia jest nadal we mnie i nie opuści mnie. Dlatego nigdy więcej nikogo nie pokocham. Nie będę ryzykował.

– Przykro mi – wyszeptwała. Po policzku spłynęła jej zabłakana łza. – Ze względu na Maca i was wszystkich. – Westchnęła ciężko i dodała: – Nas wszystkich.

Odwróciła się, podeszła do łóżka i zamknęła walizkę. Dźwięk zasuwanego zamka rozdarł panującą między nimi, pełną napięcia ciszę. Podniosła bagaż, przerzuciła przez ramię torbę i odwróciła się, żeby po raz ostatni spojrzeć na Coopera.

– Jadę do twojego dziadka. Maggie powiedziała, że mogę się zatrzymać w domku dla gości aż do wylotu jutro wieczorem.

– Zostań tu.

– Nie chcę.

Podeszła do otwartych drzwi, po czym zatrzymała się w progu, żeby ujrzeć go jeszcze raz. Cooper wpatrywał się w nią oszołomiony. Kara wiele by dała, żeby móc poznać jego myśli, dowiedzieć się, co przeżywa. On jednak do perfekcji opanował sztukę ukrywania uczuć przed światem i samym sobą.

– Życzę ci szczęścia – powiedziała i odeszła.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Cooper stał nieruchomo w miejscu, w którym go zostawiła, osłupiała i zdruzgotana. Słyszał, jak otwierają się frontowe drzwi, a potem z hukiem za nią zamykają. W domu zapadła grobowa cisza. Nie mógł uwierzyć w to, co się stało. Kara go opuściła.

Przed oczyma nadal miał jej wizerunek, tak bardzo żywy, jej spojrzenie przepełnione bólem. Zamknął oczy, żeby go wymazać, jednak zamiast zniknąć, obraz stał się jeszcze wyraźniejszy.

– Do licha! – jęknął, czując się bardziej samotnie niż kiedykolwiek dotąd.

– Kochałbym cię, gdybym mógł. Ale dla nas jest już za późno.

Jak niewidzialna zamieć do pokoju wtargnęła fala zimna. Huczał wiatr, chłoszcząc go, targając włosy i popychając w kierunku drzwi. Cooper chwycił się kurczowo klamki, by utrzymać równowagę.

Dławiło go w gardle, serce waliło jak oszalałe. Rozejrzył się z niedowierzaniem po sypialni. Ryk wiatru przerodził się w żalosny jęk. Obrazy wiszące na ścianach zsunęły się z kołków i zawirowały w powietrzu w szalonym tańcu. Lampa na suficie zaczęła mrugać, dając widowiskowy pokaz światłocieni. Lustro na toalecie pękło i rozprysło się po całej podłodze w drobne kawałeczki, mieniając się w błyskającym świetle.

Cooper puścił klamkę i zaparł się mocno nogami. Próbował pokonać przewracający go wiatr i stawić czoło rozwścieczonemu duchowi.

– Przestań – zawołał, przekrzykując wycie huraganu. Jego gorący oddech wytworzył w powietrzu zwiewną mgiełkę. – Czego chcesz? Nic ci nie zrobiłem!

Lament przybrał na sile, przyprawiając pisarza o gęsią skórę. Ścisnęło go w żołądku. Poczuł, jak zaczyna w nim krążyć adrenalina. Rozpaczliwe wdarło się do jego duszy i serca, rozdzierając je w powolnej agonii.

Wiatr hulał, obrazy wirowały, na szybach osadził się mróz.

– Odeszła, nie mogę jej zatrzymać!

Jęki coraz głośniejsze i coraz bardziej przeraźliwe uderzyły w niego ze zdwojoną siłą. Zadrżały ściany, zawył rozjuszony wiatr.

– Duchy nie będą mi rozkazywać! – wykrzyknął. Słyszając własne słowa, zaczął się zastanawiać nad ich sensem. Czy nie podporządkował całego swojego życia duchom przeszłości? Czyż jego losu nie nazaczyła tragedia sprzed lat?

Poczuł w głowie zamęt. W gruncie rzeczy niczym się nie różnił od uwięzionego w domu ducha.

Zjawa, podobnie jak on, zrezygnowała ze wszystkiego, zamykając się we własnym bólu. Odgrodziła się od świata na resztę życia, tonąc w rozpacz. Nawet po śmierci nie chciała dopuścić do siebie duszy kochanka. Była tak zasklepią we własnym cierpieniu, że nie potrafiła odnaleźć drogi wyjścia. I wtedy, i teraz.

Nagle Cooper ujrzał przed sobą własną przyszłość, która przeraziła go bardziej niż poczynania zjawy.

Nie, mruknął, przeczesując włosy lodowatymi palcami. Nie będzie jak uwięziony duch. Jego sytuacja jest inna.

Czy aby na pewno? – zastanowił się.

Zrezygnował z miłości, żeby się ochronić przed bólem. Kara starała się do niego zbliżyć, pokonać mur, którym się otoczył, a on ją odrzucił.

Wiatr nagle ustał, a wirujące w powietrzu obrazy runęły z łoskotem na podłogę. Chłód ustąpił, roztapiający się na szybach lód zaczął spływać strużkami wody, sprawiając wrażenie, jakby dom płakał. Temperatura w sypialni powróciła do normy. Cooper zastygł w bezruchu jak ocalały po bitwie. Starał się poukładać w głowie myśli i wyciągnąć wnioski, zanim będzie za późno.

Godzinę po tym jak Kara położyła się do łóżka, na podwórku Jeremiaha zaparkował samochód. Od razu podświadomie wyczuła, że to Cooper przyjechał. Leżała, nie mogąc zasnąć, i wpatrywała się w sufit. Postanowiła, że nie wyjrzy przez okno. Nie chciała na niego patrzeć. Obawiała się, że może jej nie wystarczyć silnej woli, żeby wyjechać. A do tego nie mogła dopuścić. Nie mogła czekać w nieskończoność, licząc na to, że Cooper się obudzi i zrozumie, że ma prawo żyć. I kochać.

W końcu zakopała się pod kołdrą i zapadła w niespokojny sen.

Cooper stał na ganku, głośno łomocząc w drzwi domu Jeremiaha. Rzucił krótkie spojrzenie w kierunku spowitego w ciemnościach domku dla gości, walcząc z potrzebą natychmiastowego zobaczenia Kary.

Poczucie desperacji wzbierało w nim jak gorąca lawa. Odwrócił się i uderzył z całej siły pięściami w stare, twarde drewno, raniąc przy tym dłoń.

Kiedy drzwi się otworzyły, zrobił krok do tyłu i o mało się nie przewrócił.

– Czyś ty oszalał? – przywitał go Sam, rzucając mu gniewne spojrzenie. – Nie za późno na wizytę? Wszystkich pobudzisz!

– Muszę z tobą porozmawiać – zignorował kuzyna i przepchnął się obok niego, by wejść do środka. Skrzypiąc tenisówkami na linoleum, zaczął nerwowo przemierzać kuchnię, od lodówki do zlewu i z powrotem, i tak w kółko. Przeczesując palcami włosy, układał w głowie rozproszone myśli. Nie był jednak w stanie wydobyć z nich większego sensu. Czy dlatego przyjechał do Sama?

On też tam był tego dnia. Wiedział, co Cooper przeżywał przez ostatnie lata, bo również tego doświadczył. Jednak pokonał ból, wyszedł z traumy i pogodził się ze śmiercią Maca. Cooper musiał się dowiedzieć, jak tego dokonał.

Spojrzał na kuzyna. Ubrany w spodnie od pidżamy, z nagim torsem, oparł się o drzwi i skrzyżował ręce na piersi.

– Co się z tobą dzieje? – rzucił z rozdrażnieniem.

– Nic – mruknął, po czym natychmiast się poprawił: – Wszystko.

– To nie wystarczy – oświadczył Sam. Podeszedł do lodówki, wyciągnął z niej dzbanek z sokiem pomarańczowym i nalał do szklanek, które znalazł w kredensie. – Byłbym wdzięczny, gdybyś zachowywał się ciszej. Maggie źle się czuła przez cały wieczór i musi odpocząć – dodał.

– Przepraszam – odpowiedział automatycznie Cooper, ściskając w dłoniach szklaneczkę z sokiem. – Naprawdę musiałem się z tobą zobaczyć.

– W porządku – mruknął Sam, widząc desperację w oczach kuzyna. Usiadł przy stole i wskazał gestem drugie krzesło. – Słucham. Opowiadaj, co się stało.

Pisarz zignorował zaproszenie. Nie mógł spokojnie siedzieć, kiedy rozpadało się całe jego życie.

– Jak to zrobiłeś? – wypalił.

– Co?

– Jak poradziłeś sobie ze śmiercią Maca? – Utkwił uważne spojrzenie w twarzy Sama. – Znam cię. Żyłeś przez piętnaście lat podobnie jak ja i Jake. Unikałeś kontaktów z rodziną, z nami. Wszystko z powodu tego, co się wydarzyło tamtego dnia.

Sam opuścił wzrok, wpatrując się w szklankę z sokiem.

– Tak było – westchnął.

– Więc co się zmieniło?

– Spotkałem Maggie – odparł, wzruszając ramionami. – I tak po prostu się otworzyłeś? Zmieniłeś się?

– Oczywiście, że nie. Nie chciałem się zmienić. Nie chciałem jej pokochać ani zostawać tu – wyznał, zataczając dłonią w powietrzu krąg ogarniający dom, ranczo i Coleville. – Z drugiej strony byłem już zmęczony ciągłym uciekaniem przed wspomnieniami.

– A może raczej wyrzutami sumienia? – spytał w zamyśleniu.

– Pewnie i jednym, i drugim – przyznał. – Usiądź spokojnie.

Cooper opadł niechętnie na krzesło, nie spuszczać wzroku z kuzyna.

– Kara odeszła – wyznał cicho.

– Wiem.

– No tak, przecież jest u was – zachichotał nerwowo. – I pozwalasz jej na to?

– Nie mogę jej zatrzymać – oświadczył żałośnie Cooper. Jedyne, czego teraz pragnął, to pobiec do domku dla gości, zmusić ją, żeby go wpuściła do środka, zatopić się w niej, zaznać jej ciepła i bliskości.

– Jesteś prawdziwym idiotą.

– Dzięki, bardzo mi poprawiłeś humor.

Sam pochylił się do przodu i położył ręce na stole.

– Kara odchodzi, a ty nie robisz niczego, żeby ją zatrzymać. Powinieneś czuć się podłe.

– I tak jest. Ale powiedz mi, jak mam ją kochać, skoro Mac nie żyje?

– A co on ma z tym wspólnego?

– Wiesz doskonale.

– No tak, rozumiem. Ja sobie z tym poradziłem. Omal nie straciłem Maggie i naszego dziecka. – Pokiwał głową, zastanawiając się, jak mógł popełnić tyle błędów i dokonać tylu niewłaściwych wyborów. – Naprawdę sądzisz, że Mac by tego chciał? Żebyśmy cierpieli do końca życia?

– Raczej nie – mruknął Cooper. Przed oczami pojawił mu się obraz Maca: szesnastolatka z błyszczącym, łobuzerskim spojrzeniem i dzikim uśmiechem wyzywającym kuzynów na pojedynek w skokach.

Mac tak bardzo kochał życie. Wyciskał z niego radość jak sok z cytryny, cieszył się każdym dniem. Na pewno by mu się nie spodobało, że jego kuzyni zrezygnowali z tej radości z jego powodu.

– Jak pokonałeś lęk? – spytał spokojnie, studiując uważnie żółty płyn w szklance, jakby krył największy sekret życia. – Nie obawiasz się, że możesz stracić tego, kogo kochasz?

– Oczywiście, że się boję. Ten strach zawsze będzie mi towarzyszył. Nie potrafię sobie wyobrazić, co by było, gdyby Maggie coś się stało. Sama myśl o tym śmiertelnie mnie przeraża.

– Mało pocieszające.

– Ale przez cały czas jest też przy mnie miłość. Bez niej pozostaje tylko lęk. Puste, jałowe życie.

– No tak...

– Jeśli przyszedłeś po radę, to słuchaj. Pogódź się z Makiem. Pozostaw przeszłość za sobą i otwórz sobie drogę do przyszłości.

– Nie wiem, czy potrafię.

– Jeśli pozwolisz Karze odejść ze swojego życia, bo opanował cię strach i boisz się przed nią otworzyć...

– To co?

– To by znaczyło, że po prostu na nią nie zasługujesz – dokończył. Dopił sok, odstawił szklankę na blat i dodał:

– Wychodząc, zgaś światło i zamknij drzwi.

Cooper dobrze znał drogę nad jezioro. Trafiłby tam nawet po omacku. Czas dłużył mu się niemiłosiernie. Wydawało mu się, że odległość zwiększyła się dwukrotnie od czasów, kiedy był tam po raz ostatni. Każdy krok ciążył mu, jakby miał przytroczone do nóg wielkie kamienie. Ale miał świadomość, że musi wrócić nad jezioro i zmierzyć się z duchami przeszłości.

Serce pękało mu z bólu.

Minęło piętnaście lat, a wokół praktycznie nic się nie zmieniło. W jasnej poświacie księżycy wspiął się powoli na wzgórze. W oddali słychać było dźwięczną serenadę kojotów. Wiał delikatny, chłodny wiatr, przynosząc zapach oceanu i targając Cooperowi włosy. Pisarz wystawił twarz na bryzę, starając się odzyskać spokojny oddech i uspokoić przyspieszone

bicie serca.

Nie chciał wracać do tego miejsca. Nie sądził, że kiedykolwiek będzie do tego zdolny.

Dotarł na brzeg i wspinał się na skałę, skąd rozciągał się widok na czarną otchłań jeziora skąpaną w księżycowej poświacie. Nagle czas się cofnął. Cooper znów miał szesnaście lat i ruszał z kuzynami na podbój świata.

Gorące słońce paliło mu nagie plecy. Jake głośno przeklinał, ponieważ Mac skoczył dalej niż on. Sam śmiał się, spoglądając na stoper. Cooper usłyszał własny głos: Dajmy mu jeszcze kilka sekund. Chce pobić rekord Jake'a. Chcę, żeby mu się udało. Nic mu nie jest. Co ty taki strachliwy.

Krzywiąc się z bólu, Cooper spojrział na miejsce, w którym Mac wylądował. Wpatrywał się, jakby przez wodę mógł dostrzec martwe ciało kuzyna leżące na dnie jeziora. Starali się przeprowadzić reanimację, ale było już za późno.

Tamtego popołudnia stracili nie tylko Maca. Utracili też niewinność i wiarę, że są niezwycciężeni.

– Mac? – wyszeptał chrapliwie Cooper. Głos z trudem przeciskał mu się przez krtań. – Jesteś tam jeszcze?

Uderzył go podmuch wiatru, jakby zachęcał do zabawy. W głowie usłyszał śmiech. Śmiech Maca. Odwrócił się i rozejrzał, licząc podświadomie, że ujrzy wysokiego, chudego chłopaka wbiegającego na wzgórze, żeby do niego dołączyć.

Był jednak sam. Ogarnęło go przykre rozczarowanie.

Przypominając sobie wściekle usposobienie zjawy mieszkającej w starym wiktoriańskim domu, zaczął się zastanawiać, czy duch Maca uwięziony jest na dnie jeziora. Może czekał, aż powrócą tu wszyscy kuzyni i... I co?

– Czego mógłbyś chcieć? Usłyszeć nasze przeprosiny? – spytał wiatru. – Co by to zmieniło?

Na wschodzie niebo zaczęło jaśnieć, przybierając delikatne odcienie fioleto. Powoli świtało. Musiało minąć wiele godzin od jego wyjazdu z rancza. Dziwne, jak długo tu szedł.

Podniósł spojrzenie znad ciemnej toni jeziora i przeniósł wzrok na usiane gwiazdami niebo.

– Przepraszamy, choć wiem, że to nic nie znaczy. Odszedłeś zbyt młodo. Wszyscy bardzo za tobą tęsknimy. – Kręcąc głową, wyznał smutno: – Ciągle powraca do mnie tamten dzień, nieustannie na nowo go przeżywam. Przed oczami pojawiają mi się kolejne sceny, ale zawsze cię ratuję. – Głos mu się załamał. Przeniósł wzrok na jezioro, które zabrało młode życie. – Chcę, żebyś wiedział, że zawsze kiedy śnię ten sen, ratujemy cię. – Z jego gardła wydobył się dławiący śmiech. Przetarł dłońmi twarz. – Oczywiście. .. nie zrobiliśmy tego, kiedy był na to czas. Tak bardzo żałuję, że nie można tego zmienić, że nie możemy przywrócić ci życia. Porozmawiać z tobą. Boże, tak bardzo za tobą tęsknię!

Uderzył w niego odświeżający powiew wiatru. Mimo że w sercu czuł rozdzierający ból, ku własnemu zdziwieniu uśmiechnął się. Czyżby Mac chciał mu w ten sposób przekazać,

żeby przestał się zadreć? A może to było tylko jego własne pobożne życzenie?

Jeszcze kilka tygodni temu nie wierzył w duchy. Teraz miał pewność, że po każdym człowieku coś zostaje. Śmierć nie jest końcem. Raczej zakrętem na drodze, za którym nic nie widać, dopóki się go nie minie.

Przynajmniej taką miał nadzieję.

Wierzył, że gdziekolwiek Mac jest, jest szczęśliwy, nie może jednak iść dalej, ponieważ jego bliscy, przeżywając ciągle na nowo tamten tragiczny letni dzień, nie pozwalają mu odejść.

Cooper nigdy nie zaznał tak straszliwego bólu jak piętnaście lat temu. Celowo unikał okazji. Nie chciał kochać, chroniąc się przed cierpieniem, ale w ten sposób uciekał również przed radością. Trwał tak od tamtego dnia bezpieczny i bardzo samotny. Mac przeżył więcej przez szesnaście lat niż on przez swoje trzydzieści jeden.

Odizolował się od życia, zadając sobie pokutę za coś, czego nie mógł zmienić. Czuł się winny, że żyje, kiedy Mac umarł.

Wszyscy troje, on Sam i Jake, opłakiwali Maca, każdy na swój sposób. W jednym byli zgodni. Wszyscy unikali wspomnień, trzymali się z dala od tego miejsca. Przecież łączyło ich z Makiem znacznie więcej niż tylko tamta tragedia. Zamiast skupić się na wspaniałych wspomnieniach, wciąż od początku przeżywali wypadek. Jaka szkoda. Godne pożalowania, żeby tylko tak pamiętać kogoś, kogo bardzo kochali.

Zmęczony, oszołomiony kłębiącymi się w jego sercu emocjami, opadł na ziemię, podciągnął pod brodę kolana i objął je ramionami. Łód, który obrósł jego serce, zaczynał powoli topnieć. Chłód uczuć, z którym tak długo żył, z wolna odchodził. Po raz pierwszy od piętnastu lat oddychał spokojnie.

Wyczerpany schodzącym z niego napięciem wyciągnął się na mokrej od rosy trawie i zamknął oczy. Ból i udręka powoli odpływały, pozostawały tylko wspomnienia dobrych chwil, wszystkich wspaniałych spędzonych razem wakacji, chłopaka, który umarł zbyt młodo, ale swoje dni na ziemi przeżył pełnią życia.

Przed oczami znów ujrzał Maca. Młodego, śmiejącego się, skaczącego radośnie do jeziora.

– Dziękuję – wyszeptał Cooper.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Lonergan obudził się. Zmrużył oczy oślepiiony jasnymi promieniami słońca. Przez dłuższą chwilę czuł w głowie kompletny zamęt. Gdzie, u licha, był? Co tu robił?

Jeziro. Usiadł i spojrzał ze skały w ciemnoniebieską toń. Muskające tafle wody światło migotało tysiącem odblasków.

Przetarł oczy, wstał i przeciągnął się, rozciągając obolałe mięśnie. Mało komfortowe miejsce na spędzanie nocy, pomyślał. Jednocześnie zdał sobie sprawę, że nie spał tak dobrze od piętnastu lat.

Ogarnął go smutek, a raczej słodka tęsknota za czymś, czego od dawna nie doświadczył. Nie było w tym poczucia winy ani bólu wpisanego dotąd w jego życie.

– Kara miała rację – powiedział na głos, po czym zerknął na zegarek.

Musi ją zatrzymać. Wy tłumaczyć, że był bardzo pogubiony i że w końcu odnalazł drogę. Zobaczył swoją przyszłość, a w niej ją.

Niespodziewanie, zupełnie jakby Mac stał tuż obok niego, usłyszał jego głos:

– Na co czekasz? Jedź po nią.

Cooper uśmiechnął się i ruszył biegiem w kierunku rancza.

– Dziękuję za podwiezienie – powiedziała Kara, sięgając po leżącą na tylnym siedzeniu walizkę.

– Nie ma sprawy – odparła Maggie, zamykając za nią drzwi samochodu. – Jesteś pewna, że chcesz tu spędzić cały dzień, czekając na samolot?

Kara westchnęła i popatrzyła na otaczający ją tłum pasażerów przepychających się w kolejce do odprawy. Przeniosła wzrok na Maggie. Na jej twarzy malowało się współczucie. Zrobiło jej się miło, a jednocześnie przykro. Gdyby została na ranczu, musiałaby przez cały dzień znosić te żalosne spojrzenia wszystkich członków rodziny: Sama, Jeremiaha i nawet Jake'a. Zawsze była też możliwość, że Cooper wstąpi z wizytą do dziadka. Woli spędzić te kilka godzin na lotnisku niż ryzykować, że go spotka.

– Nie martw się o mnie – zaszczebiotała sztucznie. – Mam dobrą książkę i stertę czasopism.

Maggie pokiwała głową, jakby znała dokładnie myśli Kary.

– No dobrze. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, jak tylko wrócę na ranczo, dam Cooperowi kopniaka.

Niespodziewanie do oczu Kary napłynęły łzy.

– Dzięki – uśmiechnęła się, zaciskając usta. Przytuliła Maggie, wzięła walizkę i szybko odeszła, na wypadek gdyby przyszło jej do głowy zmienić zdanie.

– Kara! – krzyknął Cooper, waląc pięściami w drzwi domku gościnnego. Ponieważ nikt nie otwierał, przedarł się przez gąszcz pelargonii i zajrzał do środka przez okno.

– Kara! Otwórz, do licha, te drzwi! – wrzasnął. – Muszę z tobą porozmawiać. Cisza.

– Co ty wyczyniasz? – zawołał Sam z podwórka.

– Szukam Kary. Gdzie ona jest?

Sam oparł się o drewnianą kolumnę ganku i pociągnął łyk kawy z trzymanej w dłoni filiżanki.

– Uciekła od ciebie.

Cooper wydostał się z klombu kwiatów, przebiegł podwórze i stanął u stóp schodów przed kuzynem, rzucając mu świdrujące spojrzenie.

– Lepiej się nie wtrącaj – warknął.

– Przecież to ty mnie w to wciągnąłeś, już zapomniałeś? Kto do mnie przyszedł się użalać wczoraj w nocy?

– No tak, ja – przyznał, odgarnął dłonią włosy i opuścił ją bezwładnie. – Ale teraz wszystko jest inaczej. Ja... – przerwał i spytał cicho: – Gdzie ona jest?

– Wyjechała.

– Jak to? – Ogarnęło go uczucie paniki. – Co to ma znaczyć?

– Co to za krzyki? – Z domu wyszedł Jeremiaś i stanął na ganku obok Sama.

– A, to ty.

– To ja – burknął Cooper.

Zza drzwi wyskoczyła Sheba, precyzyjnie się dziadkowi między nogami i rzuciła radośnie na pisarza. Podskakując i szczekając, biegała wesoło wokół niego, prosząc, żeby zwrócił na nią uwagę. Ale on nawet jej nie zauważył.

– Co to jest, żeby człowiek nie mógł się wyspać nawet na wsi – wytoczył się z domu rozżalony Jake. – Lepiej można odpocząć na stacji kolejowej niż tu u was.

– Świetnie! – Cooper zamachał rękami, po czym opuścił je z rezygnacją. – Wszyscy już są? To może teraz dowiem się, gdzie jest Kara – rzucił groźnie do Sama.

– Dlaczego miałbym ci powiedzieć?

Jake wyjął z rąk kuzyna filiżankę z kawą i wypił wielki łyk.

– Hej, zrób sobie swoją!

– Powiedźcie mu i uciszcie tego psa – wymamrotał Jake, ignorując kuzyna.

– Jak zawsze rano nieprzytomny – uśmiechnął się Jeremiaś. – Sheba, spokój! – zawołał.

Szczeniak natychmiast umilkł i przysiadł grzecznie przy nodze Coopera, nie przestając machać ogonem.

– Mów! – zwrócił się do Sama, ignorując pozostałych. – Proszę – dodał łagodnie.

Kuzyn przyglądał mu się uważnie przez dłuższą chwilę. W końcu pokiwał głową i odebrał Jake'owi filiżankę.

– Maggie zawiozła ją na lotnisko. Pojechały wcześniej, ponieważ nie chciała cię więcej widzieć.

Pisarz skrzywił się, słysząc słowa prawdy, które uderzyły go, jakby dostał w policzek. Był prawdziwym durniem. Pytanie tylko, czy nie jest jeszcze za późno, żeby się zrehabilitować...

– Pożyczam tracka, oddam później – wykrzyknął, kierując się do samochodu.

– Zaczekaj! – zawołał za nim dziadek. – Mam wam coś ważnego do powiedzenia.

– Później – odkrzyknął. Otworzył drzwi, wskoczył do środka i włączył silnik. Przycisnął pedał gazu i ruszył, wzbijając tuman kurzu. – Ja mam coś znacznie ważniejszego do powiedzenia – mruknął pod nosem. – Oby tylko chciała mnie wysłuchać.

– Tu nie wolno parkować – poinformował strażnik, kiedy Cooper zamykał samochód przed wejściem do hali wylotów.

Nie miał jednak czasu, żeby go przestawić, i nawet się tym nie przejmował. Teraz najważniejsza była dla niego Kara.

– Odholujcie – oznajmił, wbiegając przez automatycznie otwierane drzwi do środka. Trackiem będzie się martwił później. Najwyżej zapłaci mandat.

Teraz musi ją znaleźć.

Omiótł wzrokiem kłębiący się tłum ludzi. Straszny tłok i hałas. Dzieci płakały, rodzice je uspokajali, pod ścianami obściskwały się pary, całując się, jakby za chwilę świat miał się skończyć. Wszędzie plątały się wielkie walizki i torby. Piszczwały kółka ciągniętych po błyszczącej posadzce bagaży. Bezpłciowy głos huczał przez megafon, słowa zlewały się w niewyraźny bełkot.

Cooper przeciskając się przez tłum, błędził wzrokiem po twarzach podróżnych. Jednocześnie szukał na tablicy ogłoszeń numeru terminalu, z którego może odlatywać Kara. Przebiegł przez wąski pasaż, przepychając się wśród podróżnych i mamrocząc pod nosem przeprosiny. Serce waliło mu jak młotem, w umyśle kłębiły się słowa i myśli. Układał jedną przemowę za drugą, każdą kolejno odrzucając. Musiał ją przekonać, sprawić, żeby zrozumiała i uwierzyła mu.

Ale jak?

Tuż przy bramce bezpieczeństwa dostrzegł ją stojącą w kolejce. Była sama. Wpatrywała się w przestrzeń niewidzącymi oczyma.

Na moment serce mu zamarło i z trudem złapał oddech. Jeśli teraz przegra sprawę, nigdy sobie tego nie wybaczy.

Podbiegł do niej i czekał, aż go dostrzeże. W jej spojrzeniu było zdziwienie i cień radości, który prawie natychmiast zniknął przyćmiony wyrazem smutku.

Jej ból nieprzyjemnie ścisnął mu serce.

– Szukałem cię – wysapał obłąkanym głosem.

– Wyjechałam wcześniej, specjalnie, żeby się z tobą nie spotkać.

– Domyśliłem się i rozumiem cię – powiedział, sięgając po jej dłonie i zamykając je w swoich. Przytrzymał mocno, kiedy chciała je wyszarpnąć.

– Proszę, nie. Najpierw mnie wysłuchaj.

W jej oczach zaświtał błysk nadziei, ale w ułamku sekundy zgasł.

– Wszystko już sobie powiedzieliśmy.

– Niezupełnie – zaoponował, rzucając groźne spojrzenie na biznesmena, który próbował wepchnąć się do kolejki.

– No dobrze. Mów, co masz do powiedzenia, i odejdz.

– Byłem durniem.

– Ciekawy początek. – Uniosła brwi.

Uśmiechnął się nieśmiało i ścisnął ją mocniej za rękę.

– To nie wszystko.

– Słucham. – Westchnęła ciężko.

Cooper pokręcił głową, układając w myślach zdania.

– Jestem pisarzem i powinienem być w tym dobry, a nie mogę znaleźć odpowiednich słów teraz, kiedy tak ich potrzebuję.

– Postaraj się. – W jej głosie pojawiła się nutka nadziei, a na ustach zagościł nikły uśmiech.

– Najpierw powiem to, co najważniejsze, a potem wrócę do szczegółów.

Milcząc, skinęła głową.

– Kocham cię.

W oczach Kary pojawiły się łzy i z trudem złapała powietrze. Coopera zalało uczucie paniki.

– Nie płacz, proszę – jęknął rozpaczliwie. – Chcę, żebyś była szczęśliwa, żebyśmy oboje byli szczęśliwi.

– Mów dalej – ponagliła.

– Miałaś rację – oświadczył, dochodząc do wniosku, że każda kobieta lubi to słyszeć, szczególnie jeśli to faktycznie prawda. – Powinienem był powiedzieć ci o Macu. Dawno też powinienem znaleźć sposób, żeby się pogodzić z bólem. Nie zrobiłem tego. Łatwiej mi było chować się przed nim. Przed wszystkim i wszystkimi.

Kara uściśniła jego dłonie w geście wsparcia, a może współczucia.

– Przez tyle lat ukrywałem się przed życiem, że zapomniałem, czym jest radość. W zeszłym tygodniu dopiero ty mi o tym przypomniałaś. Znaliśmy się od kilku lat, ale wcześniej było jakoś inaczej. Dopiero tu, w Coleville, byliśmy naprawdę razem. Rozumiesz?

– Tak, wiem, co masz na myśli.

– To dobrze. – Zamilkł, ciężko oddychając.

Powietrze rozdarł głośny komunikat z megafonu. Podróżni unieśli wyczekująco głowy, starając się zrozumieć jego treść. Kolejka posunęła się o kilka kroków do przodu. Kara i Cooper nie zwrócili na to uwagi.

– Poszedłem wczoraj nad jezioro.

– Naprawdę? – Spojrzała na niego współczująco i znów w oczach stanęły jej łzy.

– Tak. Rozmawiałem z Makiem. Zrozumiałem jeszcze coś, o czym mi mówiłaś. To nie była nasza wina i Mac nie ma do nas żalu. Chce, żebyśmy byli szczęśliwi – wyznał, wylewając z siebie słowa szczerości. – Myślę, że chciałby, żebyśmy żyli tak jak on, gdyby

dano mu szansę. Ja też tego pragnę.

– Cieszę się.

– Świetnie, ponieważ jesteś najważniejszym elementem mojego planu.

– Jak to?

Cooper podniósł jej dłonie i pocałował najpierw jedną, potem drugą.

– To prawda. Kocham cię. Rozumiesz? Teraz przejdę do szczegółów.

– Jak dotąd wszystko, co powiedziałeś, bardzo mi się podobało.

Emocje zaczęły dławić go gardle. Miał wrażenie, że za chwilę się udusi.

– Nie sądziłem, że będę mógł kogoś tak mocno pokochać. Jesteś dla mnie wszystkim. Chcę ci to udowodnić.

– Mówił szybko, bojąc się, że Kara przerwie mu, zanim dokończy. – Nie pozwolę ci odejść bez walki. Jeśli wsiądziesz do tego samolotu, polecę z tobą. Jeśli się przeprowadzisz, pojedę za tobą. Będę cię kochał przez resztę życia, codziennie dając ci dowody mojego uczucia. Daj mi tylko szansę.

Serce Kary przepelniło szczęście. Spełniło się jej największe marzenie. Zajrzała Cooperowi głęboko w oczy i dostrzegła w nich uczucia, których szukała. Ale to jeszcze nie było wszystko. Chciała więcej.

– Ja również cię kocham – wyznała.

– Dzięki Bogu – wyszeptał z ulgą.

– Ale...

– Jest jeszcze jakieś ale?

– Nie wystarczy mi bycie twoją asystentką czy kochanką. Pragnę małżeństwa, dzieci, rodziny.

Pisarz uśmiechnął się tak, że zmiękły pod nią kolana.

– Oczywiście, że weźmiemy ślub. I będziemy mieć gromadkę dzieci.

– Gromadkę?

– W tej kwestii dopuszczam jeszcze negocjacje. I nie będziesz już moją asystentką. Zatrudnimy kogoś.

Kara pokręciła głową i złożyła na jego ustach długi pocałunek.

– Nikt nie zajmie mojego miejsca przy tobie – oświadczyła.

Cooper westchnął i objął ją czule ramieniem.

– No to mamy plan. Chodźmy. Zabieram cię do domu. Mamy wiele do nadrobienia.

– Dopiero teraz mamy plan – zaśmiała się.

Okazało się, że samochód Jeremiaha został odholowany, musieli więc złapać taksówkę. Lonergan zdecydował, że wykupi go... później.

Kiedy zajechali pod dom, Cooper wniósł Karę na rękach na ganek. Zanim zdążył przekręcić klucz w zamku, drzwi same się przed nimi otworzyły, zapraszając do środka. Pisarz mocniej objął ukochaną i ostrożnie przestąpił próg, po czym zdziwiony zatrzymał się w

holu. W domu panowało przyjemne ciepło, przez ściany zdawały się przenikać promienie słoneczne, rozświetlając wnętrze nierzeczywistym, przepięknym, złotym blaskiem.

– Posłuchaj – wyszeptała.

Cooper wstrzymał oddech i wyteżył słuch. Po chwili usłyszał sączącą się łagodną muzykę i śmiejącą się wesoło parę młodych ludzi. Nareszcie razem.

EPILOG

Po zapłaceniu grzywny udało się odebrać z policyjnego parkingu samochód dziadka. Bagaż Kary poleciał do Nowego Jorku. Po interwencji linii lotnicze zobowiązały się w przeciągu najbliższych dni odesłać go z powrotem do Coleville. Cooper i Kara z ochotą rozpoczęli pracę nad powoływaniem do życia ich pierwszego dziecka.

Po obiedzie cała rodzina zebrała się przy stole w kuchni, czekając, aż Jeremiaś obwieści im wiadomość, z powodu której zebrał ich wszystkich u siebie w domu.

W końcu wstał i obrzucił uważnym spojrzeniem swoich trzech wnuków.

– Nie umiecie sobie nawet wyobrazić, co znaczy dla starca móc znów zobaczyć was razem. – Uśmiechnął się do Maggie i Kary, po czym dodał: – Jestem naprawdę szczęśliwy, że dołączyliście do naszej rodziny.

Kara sięgnęła po dłoń Coopera, a on mocno ją uściskał i przytrzymał.

– Oprócz tego, że za wami tęskniłem, jest jeszcze jeden ważny powód, dla którego was tu ściągnąłem.

– Ale nie zaserwujesz nam tu teraz żadnej ze swoich sztuczek? – spytał Jake.

– Nie – odparł dziadek, czerwieniąc się uroczo. W jego oczach zapłonęły iskierki radości i nadziei. – Bóg mi świadkiem, że to, co powiem, to szczerą prawdą. Czekalem, żeby wam to powiedzieć, kiedy się wszyscy zbierzecie.

– Wyrzuć to z siebie, dziadku – ponaglił Sam, obejmując ramieniem Maggie.

– Donna Barrett wróciła – oświadczył Jeremiaś.

– Wiem – wyjął Cooper. – Spotkałem ją w sklepie. Przecież wspominałem wam o tym. Więc jeśli to ma być ta rewelacja, to się spóźniłeś.

Starzec posłał wnukowi gniewne spojrzenie.

– To nie wszystko. Nie przyjechała tu sama. Przywiozła ze sobą syna Maca.

HARLEQUIN

Gorący Romans[®]

NR 14 07/07 CENA 7,40 ZŁ W TYM 0% VAT INDEKS 356948



Lato pełne
sekretów
miniseria

Maureen Child
Domowe ognisko

Hoty Romany
pasja, namiętność i pożądanie

Maureen Child

Lato pełen
niekierców
miszery

Domowe ognisko

Jake Lonergan przyjeżdża po latach do domu rodzinnego w Coleville. Dowiaduje się, że powróciła tu również Donna - była dziewczyna tragicznie zmarłego kuzyna Lonerganów - wraz z synem Erikiem. Lonerganowie chcą przyjąć młodego Erica do rodziny. Jake, przed laty zakochany w Donnie, ma nadzieję, że teraz uda mu się stworzyć z nią szczęśliwy związek...



W tym miesiącu polecamy:

Światowe Życie

Jane Porter

Wygrana w Monte Carlo

HARLEQUIN

www.harlequin.pl

ISBN 798-83-238-5553-3



CENA 7,40 ZŁ

Hoty Romany



Maureen Child

Domowe ognisko

Maureen Child

Domowe ognisko

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Jake Lonergan nie był przyzwyczajony do przebywania wśród tylu ludzi naraz. Przez ostatnie piętnaście lat był samotnikiem. Przenosił się z miejsca na miejsce, z jednego wyścigu motocyklowego na drugi. Nie zawierał przyjaźni i nie utrzymywał kontaktów z rodziną.

Tak było prościej.

Prawdopodobnie postępowałyby tak przez następnych piętnaście lat, gdyby nie to, że się dowiedział, że jego dziadek, Jeremiah Lonergan, umiera. Jake bardzo go kochał, a staruszek miał tylko jedno życzenie: aby jego trzech wnukowie wrócili do domu i razem spędzili wakacje.

Jake był w Hiszpanii, kiedy otrzymał tę wiadomość, a powrót do Coleville w Kalifornii zajął mu tyle czasu, że bał się, że przyjedzie za późno i nie zdąży się pożegnać.

Dotarłszy jednak na miejsce, stwierdził, że Jeremiah wcale nie umiera. To był podstęp. Oszukał Jake'a i jego kuzynów, Sama i Coopera, by po piętnastu latach ściągnąć ich na ranczo.

Jake dokręcił śrubę w podwoziu swojego skonstruowanego na zamówienie czarnego chromowanego moto-

cykla, wstał i wyprostował się. Wyjrzał zza podwójnych drzwi stodoły w stronę parterowego domku po drugiej stronie podwórza, skąd dobiegały go śmiechy i ciche odgłosy rozmów. Z każdego okna padało światło.

Jake patrzył przez chwilę na dom, czując się, jak zawsze, jak outsider. Oczywiście z własnej winy.

Z żadnej winy - poprawił się natychmiast, odrywając spojrzenie od budynku, w którym zebrała się cała rodzina z wyjątkiem niego. - To był wybór.

Przecież tu jest, prawda? Powrócił do miejsca, które wciąż prześladowało go w snach, i obiecał, że zostanie tu przez resztę lata. Wyjście do stodoły nie oznaczało odejścia. Po prostu potrzebował trochę czasu. Trochę spokoju i przestrzeni, żeby pomyśleć. Zastanowić się, co robić.

Pozostawił więc w domu rodzinę, którą właśnie poznawał na nowo, i udał się do stodoły, żeby popracować przy swoim motorze. Majstrowanie przy silniku i drobne regulacje uspokajały go. Zawsze tak było. Mógł się pogрузić w tym zajęciu bez reszty i zapomnieć o całym świecie.

Jake włożył klucz francuski do pudełka z narzędziami i umieścił je w stalowym bagażniku. Cieszył się, że Jeremiah jest zdrowy. Dobrze też było zobaczyć znów Sama i Coopera. Jednak powrót do Coleville okazał się cięższy, niż się spodziewał, zwłaszcza po tym, kiedy pół godziny temu Jeremiah ogłosił pewną wielką nowinę. Już samo wspomnienie jego słów sprawiało, że serce Jake'a zaczynało bić szybciej, miotane żalem i wściekłością. Uczuciami, które znał zbyt dobrze.

Przesunął spojrzeniem po słabo oświetlonej stodo-
le i stojącym w niej motorze i zaczął chodzić w kółko.
Nie mógł ustać w miejscu, kiedy jego myśli galopowały.
Wspomnienia osaczyły go z taką intensywnością, że aż
tracił oddech.

Potrząsnął głową, wyszedł ze stodoły, skręcił w pra-
wo i zatrzymał się dopiero w połowie podwórza. Sta-
nął nagle, jakby nie był pewien, co dalej. Światło księży-
ca oświecało podwórze i ziemie rozciągające się po obu
stronach starego domu.

W uszach raz po raz rozbrzmiewało mu nieoczeki-
wane oświadczenie dziadka: Donna Barrett wróciła do
miasta razem z synem Maca.

Jake ruszył dalej, kierując się w stronę sztachetowego
płotu oddzielającego podwórze od pól. Złapał się go obie-
ma rękami i trzymał mocno, jakby potrzebował uchwycić
się czegoś stabilnego, by utrzymać równowagę.

- Syn Maca - wyszeptał łamiącym się głosem. Od-
rzucił głowę do tyłu i utkwiał wzrok w odległych gwiaz-
dach. Szorstkie drewno wpijało mu się w dłonie, a on
z wdzięcznością przyjął ten lekki ból.

Wokół niego roztaczała się otwarta przestrzeń pu-
stych o tej porze roku pól. Najbliższe zabudowania są-
siadów znajdowały się o jakąś milę stąd. Można było do-
strzec jedynie złote prostokąty okien. Z oddali dobiegło
szczekanie psa.

Gwałtownie wciągnął do ściśniętych płuc chłodne
nocne powietrze. Serce waliło mu jak młotem. Przełknął
ślinę i przeniósł wzrok na swojskie ranczo Lonerganów.

Znał każdy cal tego miejsca. W dzieciństwie spędzał tu wszystkie wakacje, szalejąc z kuzynami. Czwórka młodych Lonerganów zawsze wpadała w kłopoty. Tak było aż do tamtego ostatniego lata.

Nie mógł w to uwierzyć. Nie było go w Coleville przez piętnaście lat. Przez piętnaście lat przebywał z dala od rancza, kuzynów i dziadka, którego kochał, bo nie był w stanie poradzić sobie ze wspomnieniami tamtych wakacji. Teraz wiadomość, że wówczas wydarzyło się o wiele więcej, niż myślał, była dla niego zbyt wielkim szokiem.

Wspomnienia popłynęły szeroką falą, wypełniły jego umysł i zmysły, przepełniając go, zanim zdołał je powstrzymać. Utkwił wzrok w otaczającej go ciemności, ale zamiast niej zobaczył przeszłość.

Dni były długie, świeciło słońce, a lato zdawało się trwać wiecznie. Nie było innych zmartwień niż to, kto tego dnia wygra zawody na jeziorze.

Jake nawet tym nigdy nie musiał się martwić. Zawsze wygrywał. Kochał wygrywać. Był w tym dobry.

Tego ostatniego poranka ustawili się na brzegu jeziora leżącego na terenie rancza. Zadanie było proste: skoczyć jak najdalej do lodowatej wody i jak najdłużej pozostać pod powierzchnią. Wszyscy czterej Lonerganowie skakali po kolei.

Jake czuł lodowate strumyczki ściekające mu z długich włosów na klatkę piersiową. Mrużąc oczy, wpatrywał się w błyszczącą powierzchnię jeziora w poszukiwaniu pęcherzyków powietrza. Kipiał z wściekłości i,

przeklinając, czekał na wynurzenie się Maca, którego skok był tak samo długi jak jego. Teraz, by wygrać, musiał tylko pozostać dłużej pod wodą.

Ale przecież nie mógł. Żaden z nich nie był w stanie wstrzymać oddechu tak długo jak Jake.

Cholera.

Sam zaczął się martwić i powtarzać, że powinni po niego popłynąć, bo Mac nigdy nie był tak długo pod wodą.

- Daj mu jeszcze minutę, Sam - powiedział Cooper.
- On naprawdę chce pobić Jake'a. Ja też chcę, żeby mu się udało. Nic mu nie będzie, nie zachowuj się jak stara baba.

Jake był wściekły i z ust płynęły mu wszystkie przekleństwa, jakie znał. Nie mógł uwierzyć, że Mac właśnie ma szansę go prześcignąć.

- Damy mu jeszcze pół minuty - powiedział Sam z uśmiechem. - Jak tak dalej pójdzie, pobije rekord Jake'a.

Jake zacisnął pięści na płocie. W dłoń wbiła mu się drzazga i ostry ból przywołał go do rzeczywistości. Całe szczęście. Niechętnie wspominał tamten dzień.

Chociaż Bóg wie, jak często wciąż go przeżywał w swoich snach.

Emocje tak się w nim burzyły, że nawet nie potrafił ich wszystkich zidentyfikować - wiedział jedynie, że go duszą. Obrócił się lekko i zerknął przez ramię na dom. Przez firanki w kuchni mógł dostrzec całą rodzinę, najwyraźniej tłoczącą się tam wciąż po wiadomości przekazanej przez

dziadka. Pewnie powinien był z nimi zostać i wszystko przedyskutować. Ale co było do powiedzenia?

Każdy wiedział, co miał robić. Nie było nic do omawiania. Żadnych decyzji do podjęcia.

Mac miał syna.

To wszystko.

Kiedy tak rozmyślał, tylne drzwi domu otworzyły się i na zewnątrz wyszli jego kuzyni, Sam i Cooper. Od razu go dostrzegli i ruszyli w jego stronę.

Jake puścił sztachetkę, odwrócił się i oparł o płot. Drzazga uwierała go w dłoń. Skrzyżował ramiona na piersi i czekał na kuzynów. Wiatr uniósł w powietrze wirującą chmurę kurzu.

Sheba, nowe szczenię golden retrievera dziadka, wyskoczyła zza powoli zamykających się drzwi i zbiegła po schodach. Popędziła za Samem i Cooperem i radośnie zamierdała ogonem, kiedy Sam ukląkł i zgarnął ją pod pachę.

Jake patrzył na twarze zbliżających się mężczyzn, rozpoznając charakterystyczne rodzinne rysy. Cała trójka była do siebie bardzo podobna. Ich nieżyjąca już babka mawiała, że wszyscy mają „rysy Lonerganów”. Ciemne włosy i oczy, szeroką szczękę świadczącą o uporze i twardą głowę.

Ależ się stęsknił za chłopakami.

Dawniej byli sobie bliscy jak bracia. Te piętnaście lat, które minęły od chwili, gdy widział ich po raz ostatni, były najbardziej samotnym okresem jego życia. Wciąż jednak nie był w nastroju do rozmów. Nawet z nimi.

- Wyszedłem, bo chciałem być sam - powiedział Jake,

wiedząc, że nie odniesie to skutku. Kuzyni zawsze przychodzili i odchodzili, kiedy oni mieli na to ochotę. Zupełnie jak on sam.

- Dobra, dobra - powiedział Sam, podnosząc brodę, aby uniknąć psich pocałunków. - Nie jesteś sam. Lepiej się do tego przyzwyczaj.

Jake uważał, że to niemożliwe.

Samotność była lepsza.

Prostsza.

- Musimy się zastanowić, co robić - powiedział Cooper.

Jego wypowiedź nikogo nie zaskoczyła. Cooper zawsze lubił mieć dobry plan. Prawdopodobnie przydawało mu się to podczas pisania tych jego horrorów. W ciągu ostatnich lat powieści Coopa stawały się bestsellerami i prawdopodobnie były przyczyną koszmarów sennych co najmniej połowy Ameryki.

- A nad czym tu się zastanawiać? - zapytał Jake, odrywając się od płotu i przyjmując nieświadomie pozycję wojownika. - Mac ma syna. Ten dzieciak jest Lonerganem. Jednym z nas.

- Wyluzuj - powiedział Sam, odstawiając psa, który zaczął biegać w kółko po podwórzu. Pokiwał nad nim głową, a następnie spojrzął na Jake'a. - Uważam, że nie powinniśmy od razu tam biec, żeby powitać dzieciaka w rodzinie.

- A dlaczego nie? - Jake zezłościł się, ale starał się powstrzymać nerwy. - Jesteśmy mu to winni. Jemu i Macowi.

- Do diabła, Jake - uciał Sam. - Nie jesteś tu jedyną osobą, która czuje się z tym okropnie, wiesz? Ale to nie znaczy, że powinniśmy się narzucać Donnie i wtrącać się w życie jej dziecka.

- A kto tu mówi o narzucaniu się? - nie zgodził się Jake. - Myślę, że powinniśmy pójść go zobaczyć. Opowiedzieć mu o Macu. O tym, ile dla nas znaczył. Co w tym złego?

- Jake, ten dzieciak może nawet nie wie, że jest Lonerganem - powiedział cicho Cooper. - Nie wiemy, co Donna mu powiedziała. Może są rzeczy, o których nie chce, żeby się dowiedział.

To go przekonało. Jake zaczerpnął powietrza, jakby się przygotowywał do kolejnego skoku do jeziora. To oczywiste, że Donna powiedziała dziecku o Macu. Dlaczego miałyby tego nie zrobić? Przeciągnął ręką po twarzy i wypuścił powietrze.

- Dobrze. Pójdę zobaczyć się z Donna.

- Chciałeś powiedzieć: pójdziemy zobaczyć się z Donna - poprawił go Sam i zagwizdał na psa biegnącego w kierunku stodoły.

- Nie, pójdę sam - powtórzył Jake, przenosząc wzrok z jednego kuzyna na drugiego, żeby się upewnić, czy zrozumieli. - Sam z nią porozmawiam.

- A dlaczego to ty miałbyś iść? - spytał Cooper.

Dobre pytanie, pomyślał. Ale nie mógł im na nie odpowiedzieć. W każdym razie nie mógł powiedzieć im prawdy.

- Wy macie inne rzeczy na głowie - zauważył. - On

ma nowy gabinet lekarski, a ty prawdopodobnie piszesz kolejną książkę...

- No i co z tego? - zaprotestował Cooper.

- To, że musicie się też zajmować Maggie i Kara, A ja nie. - Kiepski argument, ale nic lepszego nie przyszło mu do głowy. - Sam spotkam się z Donna i zobaczę dzieciaka. Wtedy we trzech zdecydujemy, co robić.

Sheba przybiegła i szcękając jak szalona, domagała się uwagi. Jake był jej za to wdzięczny. Kuzyni przyjrzeni mu się wnikliwie i wreszcie kiwnęli głowami.

- W porządku - powiedział Sam. - Ale nie rozmawiaj z dzieckiem bez nas. To dotyczy nas wszystkich. Razem.

„Razem” było słowem, którego Jake nieczęsto używał w ciągu ostatnich piętnastu lat. Samotny mężczyzna robił to, na co miał ochotę, i nie musiał się liczyć z nikim innym. Ale teraz wrócił do Coleville i wszystko się zmieniło.

Przynajmniej na jakiś czas.

- Co to znaczy: „Mam randkę”? - Donna Barrett zamrugała powiekami i spojrzała na matkę, jakby widziała ją po raz pierwszy w życiu.

Jej matka i randki?

- Zastanów się, kochanie - odpowiedziała matka, zerkając przez ramię w lustro, żeby sprawdzić, czy czarna spódnica dobrze leży. - Co mogę mieć na myśli?

Donna opadła na łóżko matki. Pod nagimi udami poczuła chłód ręcznie robionej miękkiej kapy przykrywającej podwójny materac. W lecie w Coleville nawet

w klimatyzowanym domu było na tyle gorąco, że noszenie szortów stawało się koniecznością.

Potrząsnęła głową i patrzyła, jak jej matka, Catherine, stroi się niczym nastolatka na bal maturalny. Wyprostowała się przed lustrem, poprawiła makijaż i nastroszyła palcami krótkie kasztanowe włosy.

- Twój tata umarł już dwa lata temu - powiedziała, uśmiechając się porozumiewawczo do własnego odbicia.

Donna westchnęła. To prawda. Jeff Barrett, zdrowy i krzepki pięćdziesięciopięciolatek, dwa lata temu nieoczekiwanie zmarł na atak serca. Donna mieszkała wtedy w Colorado. Matka upierała się, że daje sobie radę i że Donna powinna się zajmować swoim życiem.

Tak też próbowała, rozmawiając z nią prawie codziennie przez telefon i często odwiedzając. Wreszcie, kilka miesięcy temu, udało jej się przewyciężyć obiekcje matki i wróciła do domu. I chociaż Catherine nie chciała się do tego przyznać, ulga malująca się na jej twarzy powiedziała Donnie wszystko.

Donna musiała wrócić do domu. Z wielu powodów. Jednak przebywanie w tym miejscu nie było łatwe, zwłaszcza teraz, kiedy dwóch Lonerganów znowu było w mieście. Raz już wpadła na Coopera w sklepie. Z Samem, nowym lekarzem miejskim, też wcześniej czy później z pewnością będzie zmuszona się zetknąć.

A Sam zobaczy Erica.

Na myśl o synku Donna nerwowo przygryzła dolną wargę. Teraz już nie mogła się wycofać. Wróciła do do-

mu na dobre, bo tak jest lepiej i dla mamy, i dla niej. Dla Erica również. Tylko dlaczego tak trudno jej się tu odnaleźć?

Przez tyle czasu byli tylko we dwójkę, a teraz wszystko się zmieniło.

Czuła się, jakby była na zepsutym diabelskim młynie, który nie przestaje się kręcić: w górę, w dół i znów w górę. Żołądek podchodził jej do gardła i musiała walczyć o każdy oddech.

Matka patrzyła na nią z troską, więc Donna oddechnęła myśli na bok i spróbowała się uśmiechnąć.

- Trudno uwierzyć, że taty już tak długo nie ma.

- To prawda - powiedziała miękko matka. - Ale nie myślałaś teraz o swoim tacie.

- Właśnie, że myślałam - zaprotestowała Donna.

- O tacie, o Macu i o Ericu... i o wszystkim - dodała z bezbronnym uśmiechem. - Chyba nie lubię zmian.

- Wiem. - Spojrzenie Catherine powędrowało do małego zdjęcia Jeffa Barretta, które stało na toaletce. - Wiele czasu upłynęło, zanim uwierzyłam, że twojego taty naprawdę już nie ma. Czasami wciąż wydaje mi się, że zaraz usłyszę jego głos z drugiego pokoju.

Świetnie. Brawo, Donno. Zdołować matkę tuż przed jej wielkim wyjściem.

- Wiesz, gdyby tu był, na pewno powiedziałby ci, że świetnie wyglądasz.

Catherine uśmiechnęła się. Zadanie wykonane.

- To od kiedy spotykasz się z tym facetem? No i co o nim wiemy?

- Bardzo śmieszne - odpowiedziała sucho matka. -
Wiem wszystko, co trzeba. Zaczęłam się spotykać z Mi-
chaelem pół roku temu.

- Pół roku temu? - Donna wytrzeszczyła oczy. - A ja
dowiaduję się o tym dopiero teraz?

- Myślałam, pewnie głupio, że mogłabyś to źle przyjąć.
- Wargi Catherine drgnęły.

Na zewnątrz pies sąsiada czekał do księżycy, a zra-
szacz zasyczał, zaterkotał, po czym woda wystrzeliła
z niego na szeroki trawnik. Chłodne powietrze z szu-
mem płynęło z klimatyzatora. Mijały sekundy, a Donna
starła się przyswoić sobie ten nowy fakt.

Jej matka prowadziła bogatsze życie towarzyskie niż
ona sama.

- Jestem tylko... zaskoczona, to wszystko - powiedzia-
ła wymijająco. - Kim jest ten Michael i dlaczego go jeszcze
nie widziałam? Mieszkam tu już od dwóch miesięcy.

Catherine zaśmiała się, a jej ciemnoniebieskie oczy,
takie same jak Donny, zamigotały.

- Nie spotykaliśmy się zbyt często, od kiedy wróciłaś
do domu. Chciałam, żebyś miała trochę czasu, zanim...
- urwała. Po krótkiej pauzie dodała: - Zresztą znasz go.
To Michael Cochran.

- Pan Cochran? - wykrzyknęła Donna, zeskakując
z materaca. - Mój nauczyciel od biologii?

Catherine podniosła torebkę, otworzyła ją i schowała
portfel i szminkę.

- On już nie jest twoim nauczycielem.

- No tak, ale...

- Donno... - ton głosu matki zmienił się nieco - ciesząc się, że wróciłaś do domu. A Michael nie jest twoim nauczycielem już od piętnastu lat.

- To prawda - przyznała Donna, siadając z powrotem w nogach łóżka. - Tylko to takie... dziwne. Myśl, że umawiasz się z kimś, kto nie jest, no wiesz, tatą.

Catherine uśmiechnęła się lekko, usiadła obok córki i objęła ją ramieniem.

- Mnie też było ciężko. Na początku. Ale czy nam się to podoba, czy nie, życie toczy się dalej, kochanie. A ja jestem zmęczona samotnością. Rozumiesz to, prawda?

Samotność? O, tak. Donna rozumiała samotność.

I strach.

I smutek.

- No pewnie, że rozumiem - odpowiedziała. - Po prostu zaskoczyłaś mnie. To wszystko.

Mama przytuliła ją mocno i podskoczyła na dźwięk dzwonka. Zerknęła w stronę otwartych drzwi.

- To pewnie Michael.

- Baw się dobrze - powiedziała Donna, starając się uśmiechnąć, chociaż nie czuła radości. Niełatwo patrzeć, jak własna matka idzie na randkę. Zwłaszcza z twoim dawnym nauczycielem.

- Na pewno wszystko w porządku?

Donna przewróciła oczami.

- Tak, mamó, w porządku. Zamówimy sobie pizzę albo coś innego. Idź. Baw się dobrze.

- No to na razie. - Catherine pomachała ręką i wybiegła z sypialni.

- Na razie. - Donna siedziała tam jeszcze dobrą minutę, przyglądając się swojemu odbiciu w lustrze.

Nic nie było tak samo, wiedziała o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Ale czy wszystko musiało się zmieniać naraz?

Zadzwoił telefon. Poderwała się z łóżka i pospieszyła go odebrać. To pewnie Eric będzie ją błagał, żeby móc zostać nieco dłużej na minigolfie.

Podniosła słuchawkę.

- Halo, Eric?

- To nie ten Lonergan, Donno - powiedział głęboki głos. - Tu Jake.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Donno? Jesteś tam jeszcze? - powtórzył Jake.

Wydawało mu się, że milczenie w słuchawce trwa wieczność. Z salonu, gdzie zebrana była reszta rodziny, dolatywały do niego śmiechy i urywki rozmów. Jake stał przy oknie w kuchni i patrząc w noc, starał się wyobrazić sobie twarzy Donny.

Przed oczami stanął mu dzień, w którym widzieli się po raz ostatni. Szła przez cmentarz pomiędzy nagrobkami udekorowanymi przywiedłymi bukietami. Jej kroki były powolne, niepewne, drżące. Miała pochyloną głowę, a długie blond włosy zwisały po obu stronach jej twarzy niczym miękka kurtyna oddzielająca ją od świata. W drodze do samochodu rodziców zatrzymała się przy Jake'u i podniosła ku niemu twarz.

Jake znów poczuł to samo co wówczas ukłucie bezsilności, kiedy spojrzała na niego niebieskimi, zaczerwienionymi od płaczu oczami. Świeże łzy spływały po jej bladych policzkach, lśniąc w blasku słońca. Zaciśnęła wargi i nic nie powiedziała. Przez długą chwilę patrzyła na niego, zanim się odwróciła i odeszła. Jake stał samotnie i mógł tylko odprowadzić ją wzrokiem.

Dwa tygodnie później dziewczyna opuściła Coleville, nie powiedziawszy nikomu, dokąd się wybiera.

- Czego chcesz, Jake? - zapytała wreszcie Donna, odrywając go od rozpamiętywania przeszłości. Wepchnął więc stare wspomnienia do głębokiego ciemnego dołu, który wykopał dla nich przed laty.

- Jeremiaś powiedział nam o synu Maca.

Wciągnęła gwałtownie powietrze.

- O moim synu - poprawiła go.

- Oczywiście, to również twój syn - powiedział, bardziej szorstko niż zamierzał. Położył rękę na ścianie i wzdrygnął się, bo wciąż tkwiąca w jego dłoni drzazga wbiła się nieco głębiej. Przysunął się bliżej okna i przez własne odbicie w szybie patrzył na niebo. Spadająca gwiazda przecięła czerń, pozostawiając za sobą ogniłą smugę. Zamknął oczy, spróbował się uspokoić i zaczął ponownie: - Chciałem tylko powiedzieć, że wiemy o nim i że chcielibyśmy...

- Naprawdę, Jake, nie obchodzi mnie, co byście chcieli. - Donna przerwała mu, zanim zdążył dokończyć.

- No cóż, dobrze wiedzieć, że zachowujesz się rozsądnie.

- Jestem bardzo rozsądna. To nie ja do ciebie zadzwoniłam - przypomniała mu gniewnie.

- Nie, do cholery, oczywiście, że nie zadzwoniłaś - rzucił oskarżycielsko Jake. - Ani wtedy, ani teraz.

Westchnęła niecierpliwie.

- Posłuchaj, wiem, że prawdopodobnie chcesz dobrze...

- Prawdopodobnie? - Jake odsunął słuchawkę od

ucha, popatrzył na nią ze zdumieniem i przyłożył z powrotem. - Prawdopodobnie chcę dobrze?

- Okej. Chcesz dobrze. Ale ja niczego od was nie potrzebuję. Mój syn niczego od was nie potrzebuje.

- Nie musisz skakać mi do gardła. Ja tylko...

- Co? - spytała. - Ty tylko co?

- Cholera, czy musisz być taka napastliwa?

- Odczep się, Jake. Nie muszę się przed tobą tłumaczyć.

Jake potrząsnął głową i w myślach przeklął się za zepsucie wszystkiego. Powinien był pamiętać, jak ciężko jest się dogadać z Donna. Powinien był się starać zachować spokój. Powinien był spróbować z nią porozmawiać, nie wywołując trzeciej wojny światowej.

- Wszystko utrudniasz - westchnął.

- Jake, nie musimy nic robić - odrzekła. - To, że wróciłam do domu, nie znaczy, że pragnę dzielić się synem z kuzynami Lonerganami.

- Tym gorzej dla ciebie - odparował szybko, zapominając, że miał być spokojny. Do diabła, już sam dźwięk jej głosu po tylu latach wystarczył, żeby przekreślić wszelkie szanse na „spokój”.

Odwrócił się od okna, oparł o ścianę i wbił spojrzenie w sufit, oddychając ciężko. Zaciśnął dłoń na słuchawce i wysiłkiem woli starał się, aby jego głos brzmiał równo.

- Ten dzieciak jest jednym z nas. Zasługuje na to, żeby o tym wiedzieć.

- Ten dzieciak - podkreśliła słowo, którego użył, a Jake stłumił jęk - ma na imię Eric. I wie, kim był jego ojciec - powiedziała cicho. - Powiedziałam mu wszystko o Macu.

- Boże. - Jake poczuł ucisk w gardle. Drzwi do salonu otworzyły się i do kuchni wszedł Sam, patrząc na niego pośpiesznie. Jake rzucił mu gniewne spojrzenie i ruchem głowy pokazał drzwi, nakazując wyjście. Sam stanął w miejscu i potrząsnął głową.

Jake zignorował go i zniżył głos do szeptu.

- Donno, my tylko chcemy z nim porozmawiać.

Zapadła dłuższa chwila ciszy. Na tyle długa, że Jake pomyślał, że odłożyła słuchawkę i odeszła.

- Przemyśle to - rzuciła Donna i zakończyła rozmowę.

Rozległ się sygnał. Jake zacisnął zęby. Powoli podszedł do wiszącego na ścianie telefonu i starannie odwiesił słuchawkę.

- Proszę, proszę - zauważył cierpko Sam. - Słyszę, że świetnie ci poszło.

- Odczep się.

- Byłeś jak zwykle fantastyczny.

Jake rzucił mu spojrzenie, które mogło zabić na miejscu, ale na Samie nie wywarło żadnego wrażenia.

- Daruj sobie te miny. Zbyt długo cię znam.

Jake z frustracją wypuścił powietrze, gwałtownie potarł ręką kark i wzruszył ramionami.

- Nie chciała ze mną rozmawiać - przyznał.

- Nic dziwnego. - Sam przeszedł obok Jake'a, kierując się do lodówki.

- Jak to? - zaoponował Jake. - Dlaczego miałyby nie chcieć ze mną rozmawiać?

Sam otworzył lodówkę i szukał czegoś w środku.

- Tu nie chodzi o ciebie. Myślę, że potraktowałyby w ten sposób każdego z nas. Jake, w końcu ona przez piętnaście lat ukrywała przed nami istnienie syna Maca. To chyba jasne, że chce to tak zostawić.

- No tak. - Jake oparł się o blat kuchenny, krzyżując nogi i ręce. Poczekał, aż Sam się wyprostuje i zamknie lodówkę biodrem, i dodał: - Ale niech wie, że się na to nie zgodzimy. Nie teraz, kiedy wiemy.

- Na pewno wie. Ale to nie znaczy, że jej się to musi podobać. - Sam w każdej dłoni trzymał po dwie butelki piwa. - Musimy być cierpliwi. I delikatni.

- Potrafię być delikatny.

- Jasne - prychnął Sam.

Jake zmarszczył brwi, oderwał się od blatu i włożył obie ręce do kieszeni dzinsów.

- Zajmę się tym.

Sam popatrzył na niego przeciągle.

- No dobra - powiedział wreszcie. - Poczekamy, aż zavalisz sprawę, a potem wkroczymy do akcji.

- Dzięki za wotum zaufania.

- Nie obraż się, Jake, ale cierpliwości akurat zawsze ci brakowało - zachichotał Sam.

Jake'owi zabrakło argumentów. Sam wrócił do reszty rodziny zgromadzonej w salonie. To prawda, Jake nigdy nie był cierpliwy. Przed laty udało mu się nauczyć panować nad wybuchami gniewu, ale niecierpliwość ciągle w nim tkwiła.

To poczucie palącej konieczności osiągnięcia czegoś przydawało mu się podczas wyścigów. Przekraczał gra-

nice, oczekując od swojej maszyny więcej niż inni za wodnicy. Sam jednak miał rację. W przypadku Donny niecierpliwością nic nie wskóra.

Chciałby wiedzieć, co robić.

- Słyszałaś? Jake Lonergan wrócił do miasta.

Donna drgnęła na dźwięk jego imienia, ale zachowała na twarzy nieprzenikniony uśmiech i wytrzymała chłodne spojrzenie niebieskich oczu Margie Fontenot. Ta starsza kobieta przez całe życie mieszkała w Coleville, a jej poczta pantoflowa działała bez zarzutu. Wiedziała o wszystkim, co się działo w miasteczku.

- Słyszałam.

- Nic dziwnego - powiedziała Margie, podając jej DVD ze swoim ulubionym musicalem. - W miasteczku o niczym innym się nie mówi, jak tylko o chłopakach Lonergana, którzy przyjechali wreszcie do domu. Jake jako ostatni. Sama widziałam go dwa dni temu, gdy jechał przez centrum na motorze tak głośnym, że zbudziłby umarłego.

- To do niego podobne - udało się wtrącić Donnie pomimo dziwnego dławienia w gardle. Zastanawiała się, jak to się stało, że przegapiła widok Jake'a na motorze. I dlaczego było jej z tego powodu przykro.

Palce jej drżały, kiedy wzięła DVD i przesunęła kod kreskowy pod czytnikiem.

- Dwa dolary za wypożyczenie do pięciu dni, Margie.

- Dobra cena - starsza pani zaczęła grzebać w torebce wielkiej niczym walizka. Wreszcie wyciągnęła kwiecistą

portmonetkę o wściekłych kolorach, z której wysypała na ladę stos różnego rodzaju monetek. - Wiesz - ciągnęła dalej, odliczając odpowiednią sumę - chłopaki Loneraganów zawsze byli dzikusami. Mówiłam Jeremiahowi, żeby trzymał ich krótko, ale nie potrafił. Uwielbiał patrzeć na całą czwórkę.

Czwórkę.

Ostry, słodki i dobrze znajomy ból umiejscowił się w piersi Donny. Musiała wstrzymać oddech.

Pograżyła się we wspomnieniach, nie słuchając trajkotania Margie Fontenot. Było czterech kuzynów: Sam, Cooper, Mac i Jake. Piętnaście lat temu ona sama należała do ich ekskluzywnej grupy. Głównie ze względu na Maca. Rozpogodziła się, wspominając łagodny uśmiech i miłe oczy szesnastolatka.

- Oczywiście - ciągnęła Margie z westchnieniem - po tej tragedii nic już nie było takie, jak dawniej. - W zamysleniu zmrużyła oczy. - Ale ty wiesz o tym lepiej niż ktokolwiek inny, prawda?

- Chyba tak - przyznała Donna niedbale, nie chcąc dawać Margie więcej powodów do plotek, niż już miała. Prawdopodobnie przyszła do wypożyczalni wyłącznie po to, żeby zasięgnąć języka.

Inne kobiety w miasteczku pewnie nie mogły się doczekać, co się stanie teraz, kiedy Donna przywiozła do domu swojego syna. Wystarczyło jedno spojrzenie na Erica i jego pochodzenie stawało się jasne. Wyglądał identycznie jak Mac w jego wieku. Nie było wątpliwości co do tego, kim był jego ojciec.

Miał ciemne oczy i włosy Lonerganów, i taki sam uśmiech, jaki zawsze rozświetlał twarz Maca. Eric stał jak Mac, poruszał się jak Jake, miał wyobraźnię Coopera i mądrość Sama.

Miał też serce swojej matki.

A Donna była gotowa zrobić wszystko, żeby tylko uchronić go przed bólem.

- Już dobrze, kochana. - Margie wyciągnęła dłoń o nieskazitelnie wypielegnowanych paznokciach i poklepała Donnę po ramieniu. - Nie martw się tym.

- Nie martwię się, Margie.

- No to dobrze. Nie trzeba. Wiesz, czas, żeby twój chłopak poznał swoją rodzinę.

Donna powoli wciągnęła powietrze i powiedziała sobie w duchu, że starsza pani ma dobre intencje.

- Dziękuję. Będę o tym pamiętać.

- Zawsze byłaś dobrą dziewczyną.

Margie chwyciła swoją olbrzymią torbę, wzięła film i wyszła. Donna wypuściła powietrze, uspokoiła się i wysunęła zza lady. Przeszła między regałami, wyrównała okładki filmów i powyciągała egzemplarze science fiction z sekcji komedii romantycznych, a kreskówki spośród horrorów.

Potrząsając głową, powkładająca wszystko na miejsca. Starła się nie myśleć o tym, co powiedziała Margie. Ani o telefonie Jake'a ostatniego wieczoru. Lepiej będzie, jeśli skoncentruje się na prowadzeniu wypożyczalni założonej przez rodziców już tyle lat temu. Lepiej, jeżeli będzie sobie powtarzać, że wróciła do Coleville nie

tylko z powodu samotności matki, ale również dlatego, że Eric dorastał. Potrzebował w swoim życiu mężczyzny. Potrzebował... więcej, niż była w stanie mu dać.

Och, jak bolało przyznanie się do tego.

Drzwi frontowe otworzyły się za nią z rozmachem i na powitanie zadźwięczał krowi dzwonek, który jej ojciec zawiesił wiele lat temu. Donna odwróciła się i uśmiechnęła.

- Cześć, mamó - zawołał Eric, chwytając leżący na ladzie batonik.

- Hej, a obiad już jadłeś? - zapytała automatycznie.

- Tak - odrzekł, oddzierając kolorowe opakowanie i nadgryzając czekoladę. - Babcia zabrała mnie na burgera. - Chłopiec zaczął przeglądać stertę zwrotów, których nie odłożyła jeszcze na półkę. - Super! - wykrzyknął, sięgając po coś, co wyglądało na krwawą jatkę.

- Mogę to wziąć do domu?

- Absolutnie nie. - Podeszła na tyle blisko, by wyciągnąć mu z ręki film i ugryźć jego batonik. - Dozwolone od lat osiemnastu, kolego - dodała, patrząc z obrzydzeniem na okładkę ze zdjęciem, na którym lała się krew.

- Jaką mam korzyść z dostępu do tych wszystkich filmów, jeżeli nie pozwalasz mi oglądać tych, które chcę? - naburmuszył się Eric, przechodząc do działu horrorów.

- Och, życie jest ciężkie. - Donna z uśmiechem przyglądała się, jak jej syn schyla się, by zajrzeć na dolną półkę.

Zdarzyło się w jej życiu wiele rzeczy, których żałowała, ale nigdy tego, że ma Erica. Był jej sercem. Jej życiem. Jedyną częścią jej świata, która zawsze miała sens.

Spojrzał na nią i uśmiechnął się.

- To ja zawsze to powtarzam. Ale czy ktoś mnie słucha?

- Hm... - Pokiwała głową i odwróciła się, bo drzwi znowu się otworzyły. Tym razem się jednak nie uśmiechnęła. Zaparło jej dech w piersiach, a serce dziko zatrzepotało. - Jake.

Wydawało się, że wypełnia sobą całe drzwi. Miał szerokie bary, wąską talię i nogi długie na trzy mile. Ubrany był w białą koszulkę, czarne dżinsy i zniszczone buty z kwadratowymi czubkami. Czarne długie włosy wciąż związywał z tyłu w kucyk. Ciemne okulary ukrywały przed nią jego oczy. Być może tak było lepiej.

Ale ledwo o tym pomyślała, ściągnął je i zawiesił w wycięciu koszulki. Ciemne oczy spojrzały na nią i poczwała, jak ogarnia ją fala ciepła.

- Donna. Świetnie wyglądasz.

ROZDZIAŁ TRZECI

Niebieskie oczy Donny rozszerzyły się, a gorąca czerwień wypełzła jej na policzki. Wstrzymała oddech, a Jake zauważył, że przygryzła dolną wargę.

- Nie - wyszeptała, potrząsając głową i robiąc powoli krok do tyłu.

- Donna... - Nawet klimatyzacja ustawiona w sklepie na maksimum nie mogła zagasić ogarniającego go płomienia. Każda komórka jego ciała drżała i niemalże czuł iskrzącą się wokół nich elektryczność.

Cholera.

Nie spodziewał się, że jej widok zrobi na nim takie wrażenie. A powinien. Powinien pamiętać, co była w stanie z nim zrobić piętnaście lat temu przy pomocy jednego tylko spojrzenia.

W tamtych czasach nawiedzała go we wszystkich snach i dręczyła codziennie. Nawet gdyby chciał, nie mógł jej unikać - była dziewczyną Maca.

Cierpiał więc w milczeniu, pragnąc jej tak, jak tylko siedemnastolatek potrafi. Przepęłniała każdą jego myśl, każde marzenie, każde pragnienie. Była nieosiągalna.

Aż do tamtej nocy, owego ostatniego lata.

Wtedy była jeszcze dzieckiem. Miała piętnaście lat. Była czymś najpiękniejszym, co w życiu widział. A teraz była kobietą i jej wygląd zapierał mu dech w piersiach.

- Jake, nie powinienes tu przychodzić.

- Donno, chcę tylko porozmawiać - powiedziała, podchodząc bliżej do lady, za którą schroniła się niczym za tarczą. To było kłamstwo, pomyślał. Chciał o wiele więcej, niż tylko porozmawiać. W jego myślach pojawiły się obrazy wszystkiego, co pragnął z nią robić. Jego ciało napięło się.

Oczy Donny były niespokojne.

- Nie bój się. Nie będę gryzł. Chyba że... będziesz chciała.

- Przestań. - Zerknęła przez ramię, a Jake podążył wzrokiem za jej spojrzeniem.

Natychmiast dostrzegł chłopca. Siedzący w kucki nastolatek przeglądał filmy na najniższej półce. Kiedy wyjął jeden z nich i wyprostował się, Jake mógł mu się przyjrzeć. Wysoki i szczupły chłopiec miał czarne włosy, ciemne oczy, a na jego twarzy malowała się ciekawość.

Jake znieruchomiał. Eric wyglądał dokładnie jak Mac tamtego ostatniego lata. Zupełnie, jakby przeniesiono go w czasie. Poczuł mocne ukłucie żalu.

- Mamo, a ten? - zapytał chłopiec, podchodząc do lady. - Nie ma krwi, ale są duchy i takie tam. - Zerknął na Jake'a. - Dzień dobry.

- Dzień dobry.

- Dobrze - powiedziała pospiesznie Donna. Tylko Jake zauważył, że jej uśmiech był sztuczny. - Zabierz to

do domu, kochanie. Powiedz babci, że przyniosę kurczaka na kolację.

- Super - odpowiedział. - A mógłbym dostać pięć dolców? Mam się spotkać z Jasonem w barze i...

- Pewnie. - Nie czekała na pełne wyjaśnienie. Wcisnęła guzik na kasie, a kiedy szuflada się wysunęła, wyjęła pięciodolarowy banknot i podała synowi.

- To było proste - powiedział dzieciak, wychodząc i rzucił Jake'owi uśmiech.

Krowi dzwonek dzwięczał przez jakąś minutę, po czym umilkł. Jake wciąż patrzył za chłopcem. Wreszcie Donna przerwała milczenie.

- Jake, skoro zobaczyłeś Erica, to może już pójdziesz?

Odwrócił głowę i spojrzał jej w oczy. Te same, które przez piętnaście lat widywał w swoich snach.

- Wygląda tak jak on.

- Wiem.

Jake przeciągnął dłonią po twarzy.

- Nie wiedział, kim jestem.

- Skąd miał wiedzieć? - Donna zaczęła ustawiać zwroty w porządku alfabetycznym. - Przecież nigdy wcześniej cię nie widział.

To zabołało.

Jake omiół spojrzeniem wnętrze sklepu. Nie zmieniło się tu wiele w ciągu ostatnich lat. Było teraz wprawdzie więcej kaset DVD niż wideo, ale wystrój pozostał ten sam. Ściany pomalowane były na biało, a plakaty wypełniały każdy możliwy ich skrawek. Okna wycho-

dzące na główną ulicę błyszczały w słońcu, a w stojącym na końcu lady telewizorze wyświetlany był film przygodowy.

Westchnął i przeniósł wzrok na Donnę.

- Gdybyśmy o nim wiedzieli, wszystko ułożyłoby się inaczej - powiedział cicho.

Podniosła na niego wzrok, a jej dłonie znieruchomiały.

- Wiem. Ale zrobiłam to, co musiałam.

- Sama?

- Nie byłam sama - odparła i podjęła przerwana pracę. - Miałam ciocię Lily. Ona była... - Donna urwała i uśmiechnęła się. - Cudowna.

Jake cieszył się, że nie była całkiem sama. Starał się wyobrazić sobie, jak to musiało być. Była jeszcze dzieckiem. W ciąży. Daleko od domu. Ojciec dziecka nie żył.

Poczuł znajome ukłucie bólu.

- To było dawno, Jake - powiedziała miękko, jakby czytając w jego myślach.

- Tak, czasami mam wrażenie, jakby to było w innym życiu - przyznał. - Ale kiedy indziej czuję, jakby się zdarzyło wczoraj.

Donna zebrała się w sobie i podniosła ku niemu wzrok. Zaskoczył ją, przychodząc tutaj. To pewnie dlatego zrobiło jej się tak gorąco, kiedy tylko go zobaczyła. A brzmienie jego głosu przypomniało jej o nocy, która odmieniła całe jej życie.

Odetchnęła głęboko, wzięła stertę filmów i wyszła zza lady ku szerokim alejkom. Nie zaskoczył jej odgłos cięż-

kich kroków Jake'a za plecami. Skoncentruj się na pracy - powiedziała sobie. - Na filmach. - Włożyła komedię romantyczną na wolne miejsce w dziale science fiction. Jake natychmiast wyjął ją z powrotem.

- To nie tutaj.

- Wiem.

- To co, sprawdzasz mnie? - parsknął.

- Nie - zabrała mu film i szybko przeszła do właściwego regału. - Jake, staram się pracować. Może jednak sobie pójdziesz?

- Nie wyjdę, dopóki nie porozmawiamy.

Zatrzymała się, wrzuciła pudełko w odpowiednie miejsce i odwróciła się do niego. Nawet mimo tego, że była przygotowana na jego spojrzenie, poczuła przebiegającą między nimi iskrę.

- Już rozmawialiśmy. Widziałeś Erica. Teraz idź.

- Widziałem go, ale go nie poznałem. Nie rozmawiałem z nim. - Podszedł bliżej, a Donna mogłaby przysiąc, że czuje napływające ku niej falami ciepło jego ciała. - Sam zdecyduję, kiedy wyjść.

Boże, zajmował tyle miejsca.

Musiała odchylić głowę, żeby spojrzeć mu prosto w oczy. Był wysoki, wyższy, niż pamiętała. Jego barki stały się szersze, a klatka piersiowa bardziej umięśniona. Włosy wciąż miał gęste i długie. Miała ochotę zerwać skórzaną wstążkę z kucyka i przeczesać je palcami. Mocną szczękę pokrywał zarost. Przypatrując się jej, ściągnął ciemne brwi.

Teraz był jeszcze bardziej pociągający niż jako nasto-

latek. A już wtedy nikt nie działał na nią tak jak Jake Lonergan.

Grając na zwłokę, Donna gwałtownie odwróciła się i przeszła do regału z dramatami. Tam odłożyła na miejsca cztery filmy, a resztę zaniósła do działu dziecięcego. Jake był o krok czy dwa za nią.

Wiedziała, że na nią patrzy. Czuła na sobie jego wzrok tak intensywnie, że wzdłuż pleców przeszedł jej dreszcz, a krew zaczęła szybciej krążyć. Gdzieś głęboko w niej coś dziko zatrzepotało i obudziło się do życia, chociaż starała się to zignorować.

- To prowadzisz teraz wypożyczalnię, tak?

Donna rzuciła mu krótkie spojrzenie przez ramię.

- Widzę, że nic ci nie umknęło.

- Fajnie. - Przeszedł koło niej, przesuwając czubkiem palca po półce. - Ale myślałem, że będziesz nauczycielką.

- Co? - Zatrzymała się przy klasyce.

- Przecież mówiłaś, że chciałybyś być nauczycielką.
- Uśmiechnął się, a Donna poczuła, że świat wiruje jej przed oczami.

- Pamiętasz to?

- Pamiętam wszystko - odpowiedział miękko Jake.

Zamknęła oczy, bo wydawało jej się to bezpieczniejsze, niż utrzymywanie kontaktu wzrokowego z Jakiem. Niestety, kiedy nie patrzyła, podszedł bliżej. W momencie, kiedy położył ręce na jej ramionach, otworzyła oczy i lekko się zachwiała. Szybko się wyprostowała.

Wysunęła się spod jego dotyku i potrząsnęła głową, jakby strząsając iskrzące się w niej uczucia.

- Musisz przestać mówić takie rzeczy.

- Dlaczego?

- Bo już nie jesteśmy dziećmi, Jake. Czasy się zmieniły. Ja się zmieniłam.

Włożył ręce do kieszeni.

- Ja też się zmieniłem.

Donna zaśmiała się krótko i omiotła go spojrzeniem od stóp do głów.

- Nie, ty się nie zmieniłeś - powiedziała. - Wciąż jesteś niebezpiecznym mężczyzną.

- Co?

- Proszę cię... Popatrz na siebie, Jake. Długie włosy, niechlujny zarost, zniszczone buty i sprane dżinsy. Nie mówiąc już o motorze, który z pewnością stoi zaparkowany przed sklepem. Jesteś modelowym niebezpiecznym facetem.

- Tak? - Uśmiechnął się nieco szerzej, a w jego oczach zabłysło zadowolenie.

- To nie był komplement. - Oczywiście, że był. Choć jako nastolatka uwielbiała Maca, Jake zbyt często pojawiał się w jej snach. Nawet wtedy działał na nią tak jak nikt inny przez całe jej życie.

I najwyraźniej nie zmieniło się to mimo upływu lat.

- Czyli niepokoję cię? - drażył.

- Na poziomie instynktów - przyznała - tak.

- Dobrze wiedzieć.

- Miło ci to słyszeć?

- Który mężczyzna by się nie ucieszył?

- Mac. - Na dźwięk tego imienia w jednej chwili dobry nastrój znikł z jego oczu i pojawiło się między nimi napięcie.

- Dobra. - Kiwnął szorstko głową. - Chcesz mówić o Macu? Porozmawiajmy. Po śmierci Maca... - przełknął z trudem ślinę, jakby już same te słowa miały gorzki smak - ...kiedy odkryłaś, że jesteś w ciąży, dlaczego nie powiedziałaś tego przynajmniej mnie?

- Nie mogłam.

- Byliśmy przyjaciółmi. - Zrobił krótką przerwę. - Więcej niż przyjaciółmi.

Ogarnęła ją fala ciepła rozlewająca się od stóp aż po czubek głowy. Wspomnienia stały się nagle tak intensywne, że oddychała z trudem. Pamiętała to wszystko tak samo wyraźnie jak Jake.

- Właśnie dlatego nie mogłam ci powiedzieć.

- Do cholery, Donno - powiedział, wyciągając ku niej rękę. Chwytał ją za ramiona i przyciągnął do siebie tak szybko, że upuściła pudełka, które rozsypały się u ich stóp. - Nie powinnaś była mnie tak odsuwać.

Wyrwała się z jego uścisku, podniosła pudełka z filmami i przycisnęła do piersi.

- Nie byłam ci nic winna, Jake. Żadnemu z was. Eric nie był twoim synem, był synem Maca. Byłam coś winna jedynie Macowi, ale on umarł.

Łzy przestłoniły jej widok, co ją rozwścieczyło. Nie chciała przy nim płakać. Nie chciała już w ogóle płakać. Tamtego lata wylała tak dużo łez, że powinno starczyć na resztę życia.

- Mogłem ci pomóc.
- Miałeś siedemnaście lat.
- Ja...
- Jake, bądź realistą - powiedziała. Była już zmęczona. - Już zaciągnąłeś się do piechoty morskiej. Jechałeś na obóz dla rekrutów. Ja musiałam myśleć o dziecku, wszystko zaplanować.

Wypuścił niecierpliwie powietrze i widziała, że nie chce zapomnieć. Wciąż był uwikłany w decyzje podjęte tamtego odległego lata. Ale czy ona też nie była? Urodziła dziecko, które przypominało jej o tym każdego dnia.

- Jake, musisz zapomnieć. Po prostu wróć do swojego życia i...

- I co? Zapomnieć o Ericu, teraz, kiedy o nim wiem? Nic z tego.

- No dobrze - westchnęła. - Ale jeżeli ty i inni chcecie poznać Erica, niech to będzie na moich zasadach. On jest moim synem i muszę robić to, co uważam dla niego za najlepsze.

- Zgoda - powiedział szybko.
- Zacytuję go: „To było łatwe”.
- Nie mam żadnych planów - uspokoił ją. - Chciałem po prostu, żeby to było łatwe dla nas wszystkich.
- I tak od razu zamieniasz się w pana Rozsądnego?
- Może on będzie cię mniej niepokoił niż pan Niebezpieczny?

Donna uśmiechnęła się niechętnie. Jake zawsze potrafił postawić na swoim.

- Nie sędzę. Z panem Niebezpiecznym przynajmniej wiem, na czym stoję,

- A na czym? - zapytał, przysuwając się bliżej i opuszczając głowę, aby popatrzeć jej w oczy.

- Na krawędzi bardzo stromego klifu - odpowiedziała, wytrzymując jego spojrzenie.

- Czy to dlatego uciekłaś tamtej nocy?

Nie musiała pytać, o którą noc mu chodzi. Przez lata prześladowało ją właśnie to wspomnienie. Często zastanawiała się, co by się stało, co mogłoby być inaczej, gdyby nie uciekła od Jake'a w ślepej panice.

Przesunął dłonią po jej ramieniu, a Donnę przeszedł dreszcz. Bała się, że nie będzie w stanie wziąć kolejnego oddechu.

- Naprawdę cię wystraszyłem? - zapytał miękko. - Donno, przecież nigdy bym cię nie skrzywdził.

- Wiem, Jake. Wtedy też o tym wiedziałam.

- A więc dlaczego? - nie ustępował. - Jeżeli się mnie nie bałaś... dlaczego uciekłaś tamtej nocy?

- Nie bałam się ciebie, Jake - przyznała Donna, patrząc mu w oczy, zatapiając się w ciemnej głębi przepełnionej emocjami, których nie powinni byli budzić.

- Uciekłam, bo bałam się samej siebie. Uczuć, które we mnie rozbudziłeś.

Słońce wpadające przez szerokie okna wychodzące na ulicę niemal ją oślepiło. Oczy zaczęły jej łzawić i nie była pewna dlaczego. Czy to wspomnienia? Dotknięcie Jake'a? Czy po prostu ostre światło?

- A więc to, co czuliśmy podczas pocałunku... - wy-

szeptał. - Ta namiętność, pożądanie... Uciekłaś od tego wszystkiego... Zostawiłaś mnie samego i poszłaś prosto do Maca.

- Tak - przyznała sucho.

- Czy poszłaś z nim wtedy do łóżka? - To pytanie zabrzmiało jak warknięcie, ale Donna usłyszała kryjące się pod złością zranienie.

- Tak. - Wytrzymała jego spojrzenie. Podniosła głowę i wyznała to, czego nigdy nikomu nie powiedziała:
- Z tobą odkryłam namiętność, ale pobiegłam do Maca. I tamtej nocy spółdziliśmy Erica.

ROZDZIAŁ CZWARTY

W jednej chwili Jake przeniósł się w tamtą upalną letnią noc piętnaście lat temu:

Przepełniał go jej zapach, otaczało jej ciepło, a jego siedemnastoletnie serce dziko waliło. W jej oczach tańczyło światło księżyca. Pamiętał, jak przygryzła zębami dolną wargę.

Kuzyni Jake'a kapali się w jeziorze. On i Donna stali sami z boku drogi, przy samochodzie jej ojca. Jake wyszedł z domu później niż pozostali, bo chciał być przez chwilę sam. Kiedy dostrzegł przy drodze zepsuty samochód, natychmiast rozpoznał, do kogo należy.

Powtarzał sobie, że Donna jest dziewczyną Maca, ale to nie pomagało. Myślał tylko o tym, jak bardzo jej pragnie. Jak bardzo mu na niej zależy.

Zwalczył w sobie chęć wyciągnięcia ramion i przytulenia jej. Podeszedł do samochodu i otworzył klapę silnika. Donna stanęła obok niego, a zapach jej perfum otulił go niczym ciężki płaszcz.

- Potrafisz to zreperować? - spytała miękko.

- Tak - wymruczał, od razu dostrzegłszy problem. - Poluzował się przewód rozdzielacza.

Nie chciał tego naprawiać. Nie chciał pomóc jej tylko po to, żeby wsiadła do samochodu i odjechała na spotkanie z Makiem. Chciał, żeby została tutaj. Z nim. Jake zacisnął zęby, pochylił się, chwycił za przewód i poprawił złącze. Pogmerał jeszcze wokół, sprawdzając połączenia innych przewodów, byle tylko utrzymać ją przy sobie przez kilka cennych dodatkowych sekund.

Donna przysunęła się bliżej, żeby spojrzeć, co robi, ale potknęła się i wpadła na niego. Jake przytomnie złapał ją i podtrzymał, jednak zamiast puścić, otoczył ramionami, przyciągając do siebie.

- Jake... - Dziewczyna przełknęła ślinę i spojrzała na niego. - Powinam już...

- ...iść - skończył za nią. - Tak, wiem.

Jake znał Donnę od lat. Zawsze się przyjaźnili. Jednak tego lata coś się zmieniło. Chociaż była dziewczyną Maca, Jake czuł, że mu się przygląda, kiedy jej się wydaje, że on nie patrzy. Widział w jej oczach to samo zainteresowanie, które błyszczało w jego własnych.

Coś między nimi było. Coś, co chciał zgłębić i określić. Czy czuła do niego to, co on do niej?

Czy to możliwe, żeby nie kochała Maca? Czy mogła za to kochać jego?

Położyła mu dłonie na piersi i wiedział, że czuje, jak gwałtownie bije jego serce. Jej dotyk przepalał go aż do kości. Ciepło przepłynęło po jego ciele, a siła pożądania niemal go dławiała.

- Donno - wyszeptał, pochylając się ku niej. - Nie odchodź. Zostań. Ze mną.

Powoli potrząsnęła głową.

- Nie mogę. Wiesz, że nie mogę.

Dookoła nich noc zamarła. Powietrze stało nieruchomo. Żaden pies nie zaszczekał w oddali. Żaden samochód nie przejechał ciemną drogą. Gwiazdy i księżyc świeciły z atramentowoczarnego nieba i zdawało się, że otulają ich milczeniem pełnym tęsknoty.

- Dlaczego nie? - zapytał, chociaż znał odpowiedź.

- To nie byłoby w porządku - odrzekła, a jej spojrzenie przemknęło po jego twarzy niczym dotyk. - Jake, nie chcę iść.

- Więc zostań - uśmiechnął się.

Przesunęła dłońmi po jego piersi, opuszkami palców muskając skórę i pozostawiając ogień. Zaczepnęła gwałtownie powietrza, zacisnął mocniej ramiona wokół jej talii i przysunął swoją twarz jeszcze bliżej.

Patrzyła na niego, a on czekał, aż się odsunie, aż odwróci głowę w bok, aby uniknąć pocałunku. Nie zrobiła tego jednak. Wpatrywała się w niego swymi jasnoniebieskimi oczami, zaglądając w głąb jego duszy.

Jej pełne usta były tak blisko. Skosztował ich. Szybko, krótko, tylko przesunął po nich wargami. Donna obliżała się i ostrożnie przybliżyła do niego.

Jake znów ją pocałował, tym razem wlewając w ten pocałunek wszystkie swoje uczucia, pragnienia i marzenia. Otworzyła się przed nim, a jego język wziął ją w posiadanie, tak jak pragnął przez całe lato.

Jęknęła, a ten cichy dźwięk podsycił płomień namięt-

ności, która zawrzała we krwi i zażądała więcej. Zażądała wszystkiego.

Przesuwał dłońmi po jej plecach i pośladkach, starając się poczuć ją całą. Przyłgnęła do niego mocniej. Jake zastanawiał się, czy ona wie, jak na niego działa. Czy chce tego samego? Czy pragnie go tak bardzo jak on jej?

Gorączkowo podniósł brzeg jej bluzeczki bez rękawów i wsunął dłonie pod miękką tkaninę. Jej skóra w dotyku była miłsza niż jedwab. Ciepła i gładka. Przesunął dłonie wyżej, gdzie poczuł nagie piersi.

Dziewczyna pogłębiła pocałunek, wtulając się w niego. Ich języki splotły się, a oddechy mieszały się w rozpaczliwym tańcu pożądania.

Ujął dojrzałe piersi w dłonie i ostrożnie przesunął kciukami po twardych sutkach. Wydała stłumiony jęk, po czym odrzuciła głowę, żeby na niego spojrzeć.

Oddychała ciężko. Widział, że namiętność rozpala jej oczy za każdym ruchem kciuka.

- Donno - udało mu się wydobyć z siebie zduszony głos - chciałbym...

- Ja też, Jake, ja też.

Kiedy opuścił ręce ku krawędzi jej szortów, nie zrobiła nic, aby go zatrzymać. Głaskała go po ramionach w milczącym błaganiu, żeby się pospieszył.

Miał nieco trudności z rozpięciem jej dzinsowych spodenek. Przeklął pod nosem, a ona zaśmiała się lekko. Dla jego uszu była to najpiękniejsza muzyka. Wreszcie jednak udało mu się odpiąć wszystko i chwilę póź-

niej już wsuwał dłoń pod jej kwieciste majteczki, tam, gdzie pragnął.

Śmiech zamarł, a dziewczyna zachwiała się i wbiła paznokcie w jego nagą skórę. Ledwo to zauważył. Myślał tylko o tym, że wreszcie spełnia się jego marzenie.

Donna była jego.

Przy pierwszym dotknięciu zadrżała w jego ramionach i głośno wymówiła jego imię.

-Jake, Jake, co...?

On też nie wiedział. Razem z kuzynami wielokrotnie o tym rozmawiali. Ale choć lubili się przechwalać, żaden z nich nigdy nie posunął się dalej niż do odpięcia jakiegoś biustonosza.

Dziś było inaczej.

Dziś było szczególnie.

Przesunął dłoń głębiej i pieścił ją, rozkoszując się jej jedwabistością.

Donna oddychała szybko. Pocałował ją, a ona oddała pocałunek - przez długą, cudowną minutę.

Nagle zatrzymała się, odepchnęła jego dłoń i odeszła krok w tył. Zapięła szorty, poprawiła koszulkę i potrząsnęła głową.

- Nie mogę tego zrobić. Nie możemy tego zrobić.

- Donna. - Zrobił krok naprzód.

- Chcę tego, naprawdę bardzo - powiedziała, przełykając ślinę i kręcąc głową jeszcze bardziej stanowczo, jakby chciała przekonać samą siebie do tego, co mówi. - Jake, przy tobie czuję się... sama nie wiem... wyjątkowa. Ale nie możemy tego zrobić. Co z Makiem?

- Pragniesz mnie, a nie Maca - powiedział krótko.
- Nie mów tak, Jake. - Wyciągnęła dłoń, żeby go zatrzymać, i pospieszyła do samochodu. - Nic nie mów. Przykro mi. Nie powinnam była. Przepraszam.

Wskoczyła do środka, zapaliła silnik, obrzuciła Jake'a ostatnim, pełnym żalu spojrzeniem i odjechała. A on został sam, zastanawiając się, gdzie znikła cała magia.

Drgnął, wracając do terażniejszości. To dziwne, ale ta jedna noc, tak dawno temu, była w jego umyśle tak wyraźna, tak żywa, że wciąż czuł i pożądanie, i gorycz odrzucenia.

Skoncentrował się na złości i spojrział w dół, w oczy, które były tak samo piękne jak tamtej nocy. Wyrażanie gniewu było o wiele łatwiejsze.

- Wykorzystałaś mnie - powiedział surowo.
- Co takiego?
- Narzucałaś mi się - rzucił jej oskarżenie, chociaż wiedział, że to nieprawda. - Nakręciłaś się, a potem uciekłaś do Maca.
- Czy ty naprawdę myślisz, że zrobiłam to umyślnie?
- Droczyłaś się ze mną.
- A ty byłeś dupkiem - ucięła. - Zupełnie tak jak teraz.
- To ty mnie pragnęłaś - powiedział, idąc długimi powolnymi krokami za cofającą się Donna.

Na końcu alejki rozejrzała się szybko dookoła, jakby zastanawiając się, czy po prostu nie uciec, a następnie podniosła ku niemu wzrok. W jej oczach wyczytał, że postanowiła stawić mu czoło. Podziwiał ją za to.

- Tak, pragnęłam cię - powiedziała, niecierpliwym gestem dłoni odsuwając włosy z oczu. - Byłam młoda i głupia, a kiedy mnie dotknąłeś...

- Rozpaliłem cię?

- Tak - przyznała z westchnieniem. Otoczyła się ściśle ramionami. Znowu przygryzła dolną wargę, a Jake z przykrością musiał stwierdzić, że to wciąż na niego działa. - Jake, miałam piętnaście lat. Nigdy wcześniej nie odczuwałam czegoś takiego. To mnie wystraszyło.

Kiwnął powoli głową. Ta cierpliwość wiele go kosztowała.

- Więc wzięłaś to, co zaczęło się między nami, i pozwoliłaś, żeby Mac dokończył.

- Byłam zdenerwowana. Wstrząśnięta. - Podniosła dłoń i potarła się między oczami. - Kiedy zostawiłam cię wtedy na drodze, pojechałam nad jezioro. Coopera i Sama już nie było. Mac widział, że coś mnie dręczy. Nie powiedziałam mu o nas - dodała szybko. - Ja tylko... no wiesz. Płakałam, a Mac był cudowny. Delikatny.

- Więc ty i on... - Nie chciał widzieć tego obrazu. Tyle razy myślał o tamtej nocy. O tym, co mogło się stać. Za każdym razem budził się roztrzęsiony, wspominając jej niewinność, podniecenie i zapierającą oddech namiętność.

- Nie chciałam, żeby tak się to potoczyło - powiedziała z westchnieniem. - Ale po prostu stało się.

- Bo Mac nie był taki jak ja.

Podniosła brodę.

- Nie możesz o tym zapomnieć?

- Staram się od piętnastu lat.

- Och, proszę cię - zdusiła śmiech. Przecisnęła się obok niego i wróciła za ladę do sterty płyt, które zostały do odłożenia na półki. - Chyba nie oczekujesz ode mnie, żebym uwierzyła, że przez te wszystkie lata chociaż raz o mnie pomyślałeś.

Dogonił ją kilkoma długimi susami. Złapał za ramiona i odwrócił, żeby na niego spojrzała.

- A czy ty możesz mi powiedzieć, że nigdy nie myślałaś o tym, co się między nami wydarzyło tamtej nocy? Możesz popatrzeć mi w oczy i powiedzieć, że cię to nie dręczy? Że nie żałujesz tego, co się stało?

Donna wstrzymała oddech. Wystarczyło jedno dotknięcie ręki Jake'a, żeby jej skóra zapłonęła.

- Czy naprawdę chcesz to usłyszeć? - odparowała, nie odpowiadając na jego pytanie. - Czy ty naprawdę wierzysz, że to było takie niezapomniane? Jake, byliśmy dziećmi.

- Jasne. Przestaliśmy nimi być w momencie, kiedy się pocałowaliśmy.

Jake zacisnął mocniej palce na jej ramieniu i pochylił się ku niej. Donna wiedziała, że musi coś zrobić. Cokolwiek. Nie może zaangażować się w związek z Jakiem. Nie teraz, kiedy musi myśleć o Ericu.

Najważniejsze było jednak to, że przez Jake'a wciąż bała się swoich uczuć.

- Donno, nie wyjaśniliśmy sobie jeszcze wszystkiego.

Jego niski głęboki głos rozbudził w niej emocje. Zmiękły jej kolana.

- Jake...

- Pachniesz tak samo - wyszeptał, zatapiając głowę w jej szyi.

Wstrzymała oddech, po czym powoli wypuściła powietrze, kiedy musnął ustami zagłębienie w jej szyi. W głowie rozległ jej się głos ostrzegawczy, że znajdują się w wypożyczalni i że olbrzymie okno wychodzi na główną ulicę miasteczka. I że w każdej chwili ktoś może tu wejść.

Walenie jej serca zagłuszyło jednak ten głos rozsądku.

- Czy musiałeś tu wrócić? Dlaczego? - zapytała bez tchu.

- Dlatego - odpowiedział i położył usta na jej wargach. Pożądanie.

Poczuła surową, niepowstrzymaną żądzę.

Każda komórka jej ciała podskakiwała i krzyczała z bezrozumnej radości.

Otworzył jej usta językiem, a ona poddała się temu intymnemu dotykowi. Przysunęła się ku niemu, zaplotła ramiona wokół jego szyi i przyłgnęła mocniej. Jego usta, bardziej doświadczone niż tamtej odległej nocy, doprowadziły ją do szczytu pożądania.

Wszystko się rozpląnęło, świat, praca, odpowiedzialność. W jednej chwili znów stała się nastolatką. Młoda, niewinna i płonąca ogniem, którego nie znała.

Jake położył jedną dłoń na jej pośladkach i pieścił je mocnymi i pewnymi palcami. Potem przesunął ją do przodu. Dotykając przez džinsy, doprowadził ją niemal na szczyt... i zatrzymał się.

Donna zachwiała się i oparła o ladę. Ciemne oczy Jake'a połyskiwały od niezaspokojonej żądzy, chyba nawet większej niż jej własna.

- Jake, co ty...

- Nie tutaj - powiedział, rzucając spojrzenie na okno i pusty chodnik za szybą. - Nie teraz.

Donna miała ściśnięte gardło, serce jej waliło i z trudem odzyskiwała oddech i godność.

- Pragnę cię - oświadczył Jake, wsuwając obie dłonie do kieszeni. - I tym razem mam zamiar cię zdobyć.

Spojrzała na niego i wybuchnęła krótkim śmiechem.

- Miałam rację. Nic się nie zmieniłeś. Dalej jesteś panem Niebezpiecznym.

- Może i jestem - przyznał miękko. - Ale ty już nie jesteś piętnastoletnią dziewczyną, prawda?

- Nie, nie jestem - odpowiedziała, odzyskując samokontrolę. - Jestem dorosła. Jestem matką. I mam w głowie coś jeszcze poza zaspokajaniem własnych pragnień.

- Bzdura.

- Słucham? - Spróbowała prychnąć lekceważąco, ale kiepsko jej to wyszło.

Wyciągnął jedną dłoń z kieszeni i podniósł jej brodę, tak żeby ich oczy się spotkały.

- Minutę temu gotowa byłaś zrobić to ze mną tutaj na podłodze.

Donna oblała się rumieńcem, bo przecież miał rację. Jej mózg zamilkł, a ciało przejęło panowanie. To właśnie dlatego Jake tak bardzo ją przestraszył piętnaście lat temu. W jego obecności nie potrafiła myśleć o niczym innym.

- I wkrótce - obiecał, schylając się i całując ją pośpiesznie - to się stanie.

Przeszedł obok niej, kierując się w stronę wyjścia. Donna słuchała jego ciężkich kroków i odwróciła się, kiedy doszedł do drzwi.

- Jake?

Spojrzał na nią, podnosząc jedną brew w niemym pytaniu.

- Cokolwiek jest między nami, to nie daje ci żadnego prawa do Erica - ostrzegła.

Zmarszczył brwi i potrząsnął głową.

- Nie rozumiesz, Donno. My nie potrzebujemy prawa do Erica. On jest Lonerganem. Jest jednym z nas. Rodziną.

- Nazywa się Eric Barrett.

- Nie jest przez to mniej Lonerganem. Należy do rodziny. - Jake podniósł rękę do czoła w geście pożegnania. - Do zobaczenia, Donno.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Godzinę później Donna zamknęła wypożyczalnię. Wcześniej niż zwykle. Jeżeli ktoś z Coleville będzie chciał pożyczyć film na wieczór, po prostu pojedzie sobie trzydzieści mil dalej, do San Jose. Nie chciała dłużej tam siedzieć otoczona świeżymi wspomnieniami obejmującego ją i całującego Jake'a.

Mrucząc posępnie, rzuciła torebkę na przednie siedzenie swojego niewielkiego samochodu, przekręciła kluczyk i włączyła silnik. Wrzuciła wsteczny, szybko wycofała i pojechała do oddalonego o milę domu, w którym dorastała.

Dziwnie było znów się tam znaleźć. Miło, ale dziwnie. Nie było jej tu tak długo i tak bardzo się zmieniła, że przebywanie w rodzinnym miasteczku wydawało jej się niemal... snem.

Coleville wyglądało, jakby cały czas trwało w bezruchu. Ludzie, których pamiętała, byli teraz starsi, ale sklepy i ciche uliczki wciąż były takie same. Mocniej ścisnęła kierownicę i omiotła spojrzeniem wystawy sklepów.

Wysadzane drzewami ulice miasteczka były praktycznie puste. Nic dziwnego. Wszyscy woleli przebywać wewnątrz klimatyzowanych domów. Lato dobiegało wreszcie końca, ale nie poddawało się bez walki. Fale gorąca tańczyły przed nią na szosie, drząc w skwarzym blasku słońca - tak wyobrażała sobie miraż na pustyni.

Jednak ciepło rozgrzewające Donnę nie miało nic wspólnego z latem. Winny był Jake. Zatrzymała się na czerwonym świetle i bezmyślnie stukała palcami w kierownicę.

- No dobrze, to nie całkiem jego wina - wymruczała i zamknęła oczy, czując nową falę gorąca przebiegającą jej przez całe ciało. - Co on ma w sobie takiego, że potrafi zamienić człowieka w chodzący hormon? - zapytała samą siebie, otwierając oczy i przyglądając się sobie w lusterku.

Znała jednak odpowiedź na to pytanie. Już jako nastolatek Jake Lonergan był chodzącym wcieleniem „niegrzecznego chłopca”. Jego włosy zawsze były trochę za długie, dzinsy lekko przybrudzone, koszulki nieco za ciasne, a oczy...

Och, Boże, jego oczy.

Opuściła brodę na piersi. Miała problem. Nie mogła sobie pozwolić na poddanie się własnemu pożądaniu. Własnym żądzom i potrzebom. Miała czternastoletniego syna, o którym musiała myśleć i którego trzeba było chronić.

Kiedy światło zmieniło się na zielone, skręciła w lewo w Lemon Street. Stare drzewa pochylały się ku sobie nad

jezdnią, tworząc chłodny łuk. Na nawierzchni widoczny był koronkowy wzór utworzony przez przeświecające przez liście słońce.

Wjechała na podjazd i kiwnęła głową do sąsiada strzygącego swój wypieszczony trawnik. Kiedy wysiadła, dotarł do niej nie tylko odgłos silnika, ale również szczekanie psa i śmiechy dzieci biegnących przez ulicę.

Dobrze, wszystko jest normalnie, powiedziała do siebie, kierując się w stronę domu. Ta krótka chwila z Jakiem była czymś zupełnie innym niż normalnością. Ale teraz rzeczy wróciły na swoje miejsce, a ona odzyskała kontrolę.

Wytrzyma jakoś przez resztę lata, a jesienią Jake odjedzie. Miała nadzieję, że potem już nigdy nie będzie musiała mieć z nim do czynienia. W momencie jednak, kiedy o tym pomyślała, zdała sobie sprawę, że nigdy nie uwolni się od niego całkowicie, ponieważ teraz, kiedy wiedział o synu Maca, będzie oczekiwał - a znając Jake'a, nawet będzie się domagał - by być częścią życia chłopca.

- No dobrze - powiedziała, otwierając drzwi i wchodząc do rozkosznie chłodnego salonu matki. - Ale to jeszcze nie znaczy, że musi być częścią mojego życia.

- To ty, kochanie? - Usłyszała głos matki.

Uśmiechnęła się. Bez względu na to, jakie kłopoty może mieć z Jakiem, dobrze zrobiła, wracając do domu. Przez te wszystkie lata tęskniła za matką. Jej powrót do Coleville był ważny. Dla nich obu.

- Tak, to ja, mammo.

- To dobrze. - Catherine wpadła do pokoju, układając sobie włosy. - Chciałam z tobą porozmawiać przed wyjazdem.

- Wyjazdem? - Donna cisnęła torebkę na kanapę w biało-granatowe paski. - A gdzie się wybierasz?

Catherine odwróciła się do lustra, przejechała palcami po brwiach i uśmiechnęła się do córki.

- Wyjeżdżam z Michael'em na weekend.

Cóż, pomyślała Donna, dobrze być z powrotem w domu. Dla mnie i dla mamy ważne jest wspólne spędzanie czasu.

- Na weekend? - spytała na głos. - Razem?

Mama zmarszczyła się lekko.

- Donno, jestem dużą dziewczynką. Wiem, co robię.

- Dobrze, już dobrze - mruknęła Donna, osuwając się na kanapę. - Tylko myślałam, że dziś wieczorem pojedziemy gdzieś we trójkę na kolację.

- To miło z twojej strony - matka przeszła przez pokój i stanęła przed nią - ale Michael i ja zrobiliśmy tę rezerwację w Bed & Breakfast jeszcze zanim wróciłaś do domu i nie mogę mu tego zrobić, żeby się teraz wycofać.

- Oczywiście, że nie, ale... - Ale co? Potrzebowała mamusi? Czy to nie brzmiało żałośnie?

- Widziałaś dzisiaj Jake'a.

- Skąd o tym wiesz? - Spojrzała zdumiona na matkę.

- Eric mi powiedział.

- Eric? - Myśli Donny galopowały. Jej syn widział co prawda Jake'a, ale nie przedstawiła ich sobie. Oczywiście Eric był mądrym dzieckiem. Wiedział, że rodzina jego

ojca mieszka w Coleville, no i nie mógł nie zauważyć podobieństwa między sobą a Jakiem.

Westchnęła. Chciała powiedzieć Ericowi o Loner-ganach. Czekwała jednak na odpowiedni moment. Na idealną chwilę. Która chyba jednak nie miała nigdy nadejść.

- A skąd on wiedział, że to Jake? Nie przedstawiłam ich sobie.

- Nie wiedział, jak się nazywa, ale opisał mi go i powiedział, że bardzo przypomina stare zdjęcie Maca. - Catherine uważnie sprawdzała stan swoich paznokci. - A kiedy doszedł do włosów związanych w kucyk i tatuażu piechoty morskiej na ramieniu, już wiedziałam, kim był tajemniczy mężczyzna.

- Powiedziałaś mu, że to Jake?

- Oczywiście.

- Co jeszcze mówił ci o tym spotkaniu? - spytała z jękiem.

- Oprócz tego, że widział, jak się z nim całujesz?

- Och, Boże! - Donna ukryła twarz w dłoniach, wspominając dziki pocałunek. W owej chwili nawet przez moment nie pomyślała o oknach. Takie właśnie rzeczy się zdarzają, kiedy przestajesz myśleć. - Jestem idiotką.

- Nie jesteś. - Catherine zachichotała. - A Eric nie doznał trwałego urazu psychicznego.

- Muszę z nim porozmawiać. - Donna podniosła wzrok na matkę.

- Nie ma go.

- Nie ma? A gdzie jest? Jeszcze z Jasonem?

- Nie - odparła Catherine, przysiadając na oparciu kanapy i biorąc córkę za rękę. Poklepała ją pocieszająco.
- Wrócił do domu jakiś czas temu, a potem wziął rower i gdzieś pojechał.

Troska w oczach matki zmartwiła Donnę. Zrobiło jej się słabo. Zmusiła się do postawienia pytania:

- A dokąd pojechał?

- Na ranczo Lonerganów.

- Co? - Skoczyła na równe nogi, wyrwała dłoń z pocieszającego uścisku matki i zaczęła chodzić po pokoju. Zrobiła kilka pospiesznych kroków i odwróciła się.

- Dlaczego?

Catherine spojrzała na nią z powagą, unosząc jedną z wypielegnowanych brwi.

- A jak myślisz? Chciał porozmawiać z Jakiem.

- Super. - Donna chwyciła torebkę i skierowała się ku drzwiom. - Świetnie. Po prostu świetnie.

- Donno, nie przesadzaj.

- Wcale nie przesadzam - odparła. - Eric nigdy nie widział, żebym się z kimś całowała. Prawdopodobnie jest wściekły. I zawstydzony - przerwała, żeby złapać oddech. - Poza tym nie chcę, żeby zadawał się z Jakiem. Nic dobrego nie może z tego wyniknąć.

- A, to ciekawe.

- Co?

- Och - Catherine wygładziła szarą spódnicę na kolanach - bo jakoś jeśli chodzi o ciebie, to nie widzisz problemu w zadawaniu się z nim. Śmieszne, że tak ci zależy, żeby trzymać Erica z dala od niego.

Wpadające przez szerokie okno światło słoneczne malowało w przytulnym salonie złote smugi. Świeże kwiaty wypełniały wysoki prostokątny wazon na małym stoliku, a w powietrzu unosił się zapach cytrynowego płynu do czyszczenia.

Donna chłoneła ten znajomy i ciepły widok, żeby się uspokoić. Jak mogła wyjaśnić swoje uczucia do Jake'a matce, skoro nie potrafiła ich wytłumaczyć sobie samej?

- Chłopiec ma prawo znać całą swoją rodzinę - powiedziała miękko matka.

- Wiem - odparła Donna. - Chcę, żeby poznał i pokochał Jeremiaha. Żeby dowiedział się więcej o swoim ojcu. Tylko jakoś nie do końca ufam Jake'owi - wyrzuciła w końcu z siebie.

- Hmm - Catherine wstała i podeszła do niej. - Jesteś pewna, że nie chodzi raczej o to, że nie ufasz sobie w jego obecności?

- Mamo! - Donna zamrugowała gwałtownie.

- Kochanie, nawet kiedy byliście dziećmi, coś między wami było. Każdy, kto nie był ślepy, mógł to dostrzec na jego twarzy, gdy na ciebie patrzył.

- O mój...

- Kiedy oznajmiłaś nam, że jesteś w ciąży, byłam niemal pewna, że to Jake jest ojcem.

- Ależ mamo! - Donna ukryła swoje zdumienie za spojrzeniem pełnym oburzenia. - Przecież to Mac był moim chłopakiem.

- Och, wiem. Ale między tobą a Jakiem była jakaś szczególna więź. Z Makiem nie łączyło cię nic podobnego.

Donna nie mogła uwierzyć w to, co właśnie usłyszała. Zbyt wyraźnie pamiętała zaszokowane i niezadowolone twarze rodziców, kiedy dowiedzieli się o jej ciąży. Jednak nigdy się nie domyśliła, że jej matka była zaskoczona, dowiadując się, kim jest ojciec dziecka.

A przecież gdyby tamtej nocy nie uciekła od Jake'a i od wszystkiego, co do niego czuła, to właśnie on byłby ojcem Erica. Ale jednak uciekła. Uciekła dlatego, że Jake nie był typem chłopaka na stałe. Do diabła, wciąż nim nie był.

- Nie mogę uwierzyć, że mi to mówisz. - Donna powiesiła torebkę na ramieniu. - Więż? Z Jakiem? Miałam tylko piętnaście lat.

- Ale teraz masz już więcej - powiedziała miękko Catherine. - Myślę, że nawet wtedy, kiedy byłaś zaledwie nastolatką, wiedziałas, czego chcesz. Po prostu bałaś się do tego przyznać.

- Mylisz się, mamó - odrzekła cicho Donna. - Nie bałam się przyznać, że pragnęłam Jake'a. Ja po prostu wiedziałam, już wtedy, że nie powinnam go pragnąć.

- Ludzie się zmieniają.

- Nie, to nieprawda. - Donna uśmiechnęła się ze smutkiem, a następnie uściśnęła matkę. - Baw się dobrze. - I pobiegła do samochodu.

Z małego radyjka stojącego na warsztacie w stodole Lonerganów rozbrzmiewał rock. Jake lubił słuchać podczas pracy muzyki. Zazwyczaj, kiedy pracował, nawet wybuch bomby pod nogami nie zakłóciłby mu koncentracji.

Ale dzisiaj wszystko było inaczej.

Nie było łatwo skupić się na gaźniku ciężarówki, kiedy jego usta wciąż płonęły, a serce biło mocniej. Pod opuszkami palców nadal czuł gładką, jedwabistą skórę Donny.

Cisnął klucz francuski na zastawiony stół i bezmyślnie patrzył na znajdującą się przed nim tablicę korkową. Chyba nie powinien był się spotykać z Donna. Rozbudziło to w nim emocje i odczucia, które tłumił przez lata, a teraz nie wiedział, czy może je dalej ignorować.

Ani czy chce je ignorować.

- Hej!

Jake odwrócił się i spojrzał w twarz chłopca, który tak bardzo przypominał Maca, że przez moment pomyślał, że to właśnie jego ma przed sobą. Czyżby wrócił z zaświatów, żeby mu wyrzucić, że całował jego dziewczynę?

Otrząsnął się jednak z takich myśli i skoncentrował na nieoczekiwanym gościu.

Dzieciak rozejrzał się po stodole i wolno wszedł do środka, prowadząc swój rower. W końcu podniósł ciemne oczy na Jake'a i patrzył na niego przez dłuższą chwilę.

- Widziałem, jak całował pan mamę.

O cholera!

Jake podrapał się po karku. Eric miał dopiero czternaście lat, ale przyszedł tu jako mężczyzna, a nie jako mały chłopiec. Jake musiał więc tak go potraktować.

- Znamy się z twoją mamą od dawna.

- Wiem. - Chłopiec oparł rower o stół i wsunął obie

ręce do tylnych kieszeni luźnych dżinsowych szortów. -

- Jest pan kuzynem mojego ojca.

- I twoim też - powiedział Jake.

- Być może. - Eric wzruszył ramionami i spojrzał na niego ostro. - No więc, dlaczego pan ją pocałował?

Ponieważ pragnął jej bardziej niż czegokolwiek w życiu? Ponieważ samo przebywanie z nią w jednym pomieszczeniu sprawiało, że był tak napalony jak nastolatek na tylnym siedzeniu samochodu ojca?

- To sprawa między twoją mamą a mną.

- Nie podoba mi się to - nachmurzył się dzieciak.

- Przykro mi - powiedział Jake. - Ale może jak mnie lepiej poznasz, nie będziesz temu taki przeciwny.

Chłopiec rozważał to przez parę sekund.

- Może. Ale moja mama nie chce, żebym tu przychodził i widywał się z panem i z innymi.

- Ale i tak przyszedłeś.

- Żeby panu powiedzieć, że wszystko widziałem.

- Przykro mi, że nas widziałeś. Ale nie jest mi przykro, że ją pocałowałem.

- Zamierza pan to powtórzyć?

- Jeżeli mi pozwoli.

- Nie pozwoli.

- Zobaczymy. - Jake skrzyżował ramiona na piersi, rozstawił szeroko nogi i patrzył na chłopca. Poczuł w sercu znajome ukłucie żalu i winy. Przez tyle lat dręczył się z powodu śmierci Maca. Teraz było mu jeszcze ciężiej. Macowi nie tylko nie było dane żyć, ale nie poznał też swojego syna.

- Czy jest tu mój dziadek? - zapytał Eric, starając się przekrzyczeć radio.

- Jest w domu. Razem z innymi kuzynami twojego taty.

- Tak? - Chłopiec spojrział przez ramię na dom. - Czy mogę ich poznać?

Jake chciał powiedzieć po prostu: „No pewnie”, jednak ku swojemu zdziwieniu zrobił inaczej.

- Mówiłeś, że twoja matka nie chce, żebyś tu przychodził. Domyślam się, że nie wie, że tu teraz jesteś.

- Niezupełnie.

- Jasne. - Jake skinął głową, tłumiąc uśmiech. - Chodź. Zaprowadzę cię do środka i poznasz wszystkich. Potem zadzwonisz do mamy i powiesz jej, gdzie jesteś.

- Okej - zgodził się Eric. - Ale wciąż nie podoba mi się, że całował pan mamę.

- Rozumiem.

Jake szedł koło chłopca, walcząc z chęcią położenia ręki na jego wąskich barkach i przytulenia go. W tej chwili nie zostałoby to dobrze przyjęte. Dzieciak był za bardzo zagubiony i zbyt na niego wkurzony.

Teraz, kiedy wreszcie nawiązali nić porozumienia, Jake zamierzał znaleźć sposób, żeby przekonać Donnę, by pozwoliła im ją wzmocnić.

Nie straci tej więzi z Makiem.

Donna wjechała na teren rancza Lonerganów i podjechała pod tylne wejście. Miała nadzieję, że tylko zabierze Erica i szybko ucieknie. Może, jeżeli będzie miała szczęście, Jake'a w ogóle tam nie będzie.

Kiedy minęła róg domu i zaparkowała samochód, westchnęła ciężko. Nie tylko Lonerganowie byli w pełnym składzie, ale zdaje się, że urządzili małe przyjęcie na cześć Erica.

Jeremiah już ku niej szedł, a szeroki uśmiech rozjaśniał jego pomarszczoną twarz. Teraz na pewno nie uda jej się szybko wymknąć.

Mimo wszystko uśmiechnęła się. Kochała dziadka Maca tak samo jak Mac go kochał. I brakowało jej go przez te wszystkie lata. Zamknęła drzwi samochodu i wpadła w potężny uścisk staruszka.

- Donno, tak się cieszę, że jesteś! Eric jest chyba trochę przytłoczony tym tłumem nowych krewnych. Potrzebuje wsparcia matki. - Odsunął ją na odległość ramion i patrzył z radością. - Czy dasz się namówić na burgera z grilla?

Donna zerknęła nad jego ramieniem na stół piknikowy stojący w rogu podwórza, w cieniu starego drzewa. Cooper, Sam, Jake i Eric kręcili się wokół grilla, a w powietrzu unosił się dym. Narzeczona Sama, Maggie, niosła z domu stertę talerzy, a druga kobieta stała na straży z packą na muchy.

Zakłuło ją w sercu, kiedy pomyślała, że Mac też powinien brać udział w tym rodzinnym zgromadzeniu. Zamiast niego był jednak jego syn. Odkrył kuzynów, których wcześniej nie widział, i cieszył się dziadkiem, którego znał zaledwie od paru miesięcy.

Eric, otoczony przez trójkę tak do niego podobnych mężczyzn, wyglądał na szczęśliwego. Jego tęskne spoj-

rzenie przeskakiwało z jednego kuzyna na drugiego, kiedy opowiadali mu przeróżne historie o ojcu, którego nigdy nawet nie widział. Jak mogła go stąd zabrać? Jak mogła zabronić mu, żeby poznawał ojca w jedyny możliwy sposób?

- Donno? - spytał cicho Jeremiaś. - Zostaniesz?

Podniosła wzrok na stojącego przed nią uroczego starszaka i uśmiechnęła się.

- Zostanę. Na razie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Weź rower i włóż do bagażnika. - Donna wręczyła synowi kluczyki.

Eric spuścił głowę i spojrział na nią spod fali ciemnych włosów.

- Zła jesteś, bo nie powiedziałem ci, że tutaj przychodzę?

- Masz na myśli, że nie zapytałeś mnie o pozwolenie?
- poprawiła. - Nie, nie jestem zła. Porozmawiamy o tym później.

Podniósł głowę i uśmiechnął się do niej,

- Dobra. - Spojrział poza nią i zawołał: - Na razie, Jake.

Donna skuliła się nieco, słysząc za sobą kroki.

- Na razie, mały.

Eric odszedł, a ona została sama z Jakiem. Czuła jego obecność tak wyraźnie, jakby jej dotykał. A gdyby to faktycznie zrobił, chyba by wybuchła. Każdy nerw jej ciała był już napięty do granic możliwości. Nawet najlepsze muśnięcie doprowadziłoby do eksplozji.

Zamknęła na chwilę oczy i spróbowała się skoncentrować. Nie pomogło. Przez ostatnie dwie godziny była

otoczona przez Lonerganów. Eric wyglądał na niezwykle szczęśliwego, ale Donna była spięta.

Narzeczone Sama i Coopera były bardzo miłe i łatwo się z nimi rozmawiało, ale o wiele bardziej interesowało ją to, co mówili mężczyźni. Młodzi Lonerganowie i Jeremiaś opowiadali jedną historyjkę o Macu za drugą - a wszystko to dla Erica, który brał to za dobrą monetę. W tym krótkim czasie dowiedział się o ojcu więcej niż w ciągu minionych czternastu lat. Donna oczywiście opowiedziała mu o Macu, ile mogła, ale dzięki anegdotom z taką miłością i uczuciem przytaczanym przez jego rodzinę ten ojciec, którego Eric nie miał okazji poznać, stał się rzeczywisty jak nigdy dotąd.

Dla Donny jednak przywołane wspomnienia były trudne do zniesienia.

W oczach Jake'a dostrzeżała cień, który mówił jej, że i dla niego przeszłość była większym problemem niż dla jego kuzynów. Ich spojrzenia, pełne bólu i żalu, nieraz spotykały się nad stołem.

Teraz Jake stał tuż obok niej, a Donna zupełnie nie wiedziała, co powiedzieć.

- Cieszę się, że zostałam - przerwał milczenie.

Oderwała wzrok od syna siłującego się z rowerem i spojrzała na Jake'a.

- Zostałam tylko dla Erica.

- Wiem.

- To się już nie powtórzy.

- Nigdy nie mów nigdy.

Donna wypuściła gwałtownie powietrze.

- Jake, to popołudnie niczego nie zmienia. Wciąż nie chcę, żeby Eric się z tobą zadawał.

- Dlaczego nie? - Ściągnął brwi i skrzyżował muskułarne ramiona na szerokiej piersi. Oczekiwał wyjaśnień.

Wiedziała, że jej wytłumaczenie mu się nie spodoba.

- Ponieważ - zaczęła - Eric jest młody i podatny na wpływy. - Zerknęła w kierunku syna, żeby się upewnić, że jest poza zasięgiem głosu. - Widziałam, jak na ciebie patrzył. Wytrzeszczał oczy z zainteresowaniem za każdym razem, kiedy otwierałeś usta. Już jest na dobrej drodze, żeby się w ciebie zapatrzeć, a nie chcę, żeby do tego doszło. Jesteś zbyt...

- Niech zgadnę - warknął. - Niebezpieczny?

- No cóż, tak. - Również skrzyżowała ramiona tuż pod biustem. Natychmiast zdała sobie sprawę, że w ten sposób za bardzo podniosła piersi do góry pod wycięciem bluzki i Jake mógł podziwiać zbyt wiele. Opuściła więc ręce wzdłuż ciała i zniżyła głos: - Eric nie powinien cię naśladować, Jake. Musi sam odnaleźć siebie. Musi iść do szkoły, zdobyć zawód.

- A ja nie zdobyłem? - Jake był wyraźnie zaszokowany.

- Jeździsz na wyścigi motocyklowe. To nie jest zawód.

Podniósł brew.

- Sprawdziałś mnie?

Tak, pomyślała, ale to nie ma nic do rzeczy. Poza tym przecież nie śledziła go systematycznie przez te wszystkie lata. Tylko raz poszukała jego nazwiska w Internecie. I to wystarczyło.

W jednym z artykułów przeczytała: „Jake Lonergan pędzi na swoim motorze, jakby ścigał się ze śmiercią. Nigdy nie zachowuje się bezpiecznie i ostrożnie. Ten zawodnik jeździ tak, jak nikt inny by się nie odważył. Ze swojego motoru wyciska prędkości niespotykane na torach wyścigowych. Kiedy Jake Lonergan uczestniczy w zawodach, jedzie po zwycięstwo, nawet jeżeli miałyby go to kosztować życie”.

Słowa te zabrzmiały w jej pamięci i ledwo zdołała stłumić dreszcz. Eric potrzebował w życiu męskiego wzorca, ale nie takiego jak Jake.

Ona też go nie potrzebowała, bez względu na to, co mówiło jej ciało. Skan i przerobienie pona.

- Wystarczająco, by wiedzieć - powiedziała cicho, patrząc mu w oczy - że nic się nie zmieniłeś. Wciąż szukasz dreszczyku przygody. Adrenaliny. Kiedy byłeś mały, jak szalony jeździłeś ciężarówką dziadka. Teraz ścigas się w niebezpiecznych zawodach i nawet twoi przeciwnicy uważają, że jesteś szalony.

Spojrzał na nią nachmurzony i wyprostował się.

- Jeżdżę na wyścigi, bo lubię.

- I to mnie właśnie martwi - wybałała.

- Ale to nie jest całe moje życie. Nie zajmuję się tylko tym. Prowadzę też własny biznes, Jake's Choppers. Projektuję i buduję motocykle dla ludzi, którzy mają więcej pieniędzy niż dobrego gustu.

O tym nie wiedziała. Prawdopodobnie mogła to znaleźć, ale po wspomnianym artykule przestała więcej czytać.

- To miło, Jake, ale...

- I założyłem schronisko dla uciekinierów w Long Beach.

- To... - urwała i popatrzyła na niego zdumiona. - Naprawdę?

Przytaknął powoli, patrząc jej w oczy.

- Jestem również członkiem zarządu kilku firm, w których mam udziały.

-W zarządzie...

Donnie nie mieściło się to w głowie. Stał przed nią w świetle księżyca, jak współczesny pirat, z kucykiem, w brudnych dżinsach i zakurzonych butach, nie mówiąc już o gniewnym wyrazie twarzy. Nie odpowiadał wyobrażeniu o biznesmenie.

- Ponadto - dokończył jeszcze ciszej - moja firma projektowa prowadzi coroczny konkurs dla młodych inżynierów, dając im szansę na realizację ich pomysłów.

- Nie wiedziałam - powiedziała, ale nie była całkiem pewna, co zrobić z tymi wszystkimi informacjami. Czy to coś zmieniało? Czy zmieniło charakter Jake'a? Wystarczy spojrzeć, jak się ubiera. Wciąż jest buntownikiem. Wciąż balansuje na krawędzi. No i sam potwierdził, że lubi brać udział w niebezpiecznych zawodach.

- Mogłaś zapytać - odparł szorstko, krzywiąc usta.

Przytaknęła.

- No dobrze. W porządku. Przyznaję, osiągnąłeś więcej, niż przypuszczałam. Ale wciąż są te wyścigi, Jake. Czyli, jak napisali w jednym z artykułów, ściganie śmierci.

Przesunął obiema rękami po twarzy, zerknął, czy Eric wciąż się boryka z rowerem, i zapytał:

- I ty w to uwierzyłaś? W opinię jednego faceta?

- To do ciebie pasowało - powiedziała. - I nie chciałabym, żeby Eric coś z tego przejął.

- Donno, przecież nie zabiorę go na zawody.

- Nie zabierzesz.

- Ale też nie będę się trzymał od niego z daleka. - Jego twarz złagodniała. - To fajny chłopak.

Najpewniejszym sposobem na podbicie serca matki jest pochwalenie jej dziecka. Donna stopniała nieco.

- Tak, to prawda.

- Nie zrobiłbym niczego, co mogłoby go skrzywdzić.

Głos załamał mu się z nadmiaru emocji, a Donna wiedziała, ile go kosztowało to stwierdzenie.

- Wiem, Jake, naprawdę.

- Ale?

- Ale - powtórzyła, patrząc w te ciemne oczy, które będą ją prześladować przez resztę życia - to nie znaczy, że i tak nie zostanie skrzywdzony.

- Mamo - zawołał Eric. - Ten rower nie mieści się do twojego bagażnika.

- Połóż go z tyłu samochodu Coopera. Jest taki duży, że zmieści się na nim łódka - odkrzyknął Jake.

- Super - wykrzyknął Eric. - Mogę prowadzić?

- Nie - zareagowała natychmiast Donna.

Jake zaśmiał się.

- Doceń, że próbuje.

- Jake... - Donna urwała.

- Posłuchaj, odwiozę go do domu, a rozmowę dokończymy jutro.

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł.

- Przy kolacji?

- Jake przychodzi do nas na kolację? - Eric przeszedł obok nich, kierując się w stronę suwa Coopera. - Super. Możemy zrobić spaghetti?

- Świetny pomysł. - Jake spojrzał pytająco na Donnę. Wiedziała, że jest na przegranej pozycji. Przynajmniej w tej chwili.

- No dobrze - burknęła. - Może być spaghetti.

- Ale fajnie! - dobiegł do nich głos Erica.

- Przyniosę wino - powiedział Jake, pochylił się, pocałował ją szybko w usta i pobiegł pomóc Ericowi.

Donna patrzyła za nimi przez chwilę, starając się dojść do tego, w którym momencie straciła kontrolę nad sytuacją.

Następnego popołudnia Jake czuł się jak nastolatek szykujący się na pierwszą randkę. Wiedział, że to głupie, ale nie mógł się pozbyć tego wrażenia. Wczoraj, podczas grilla, świetnie się bawił w towarzystwie Donny i Erica, dopóki nie zauważył, że Donna wzdyga się za każdym razem, kiedy pada imię Maca. Podsyciło to tylko jego poczucie winy.

Włożył butelkę czerwonego wina do bagażnika i zamknął pokrywę. Wziął kask ze stołu, odwrócił się i zobaczył w otwartych drzwiach Coopera.

- Czego?

- Miły jak zawsze - zachichotał Cooper i powoli wszedł do środka, trzymając ręce w kieszeniach czarnych spodni.

- Nie boisz się pobrudzić tych czarnych bucików? - Jake zapiał pasek przy kasku.

Cooper zignorował to pytanie i zadał swoje:

- Randka z piękną Donna, co?

- Nie randka - zaprotestował Jake, chociaż dla niego była to właśnie randka. - To tylko kolacja. Z nią i z Erikiem.

- Aha. - Cooper przesunął palcem po stole, zerknął na nagromadzony brud i szybko go strzepnął. - To już za nią nie szalejesz?

- Co takiego? - Wszystko w nim nagle zamarło.

- Daj spokój, Jake, nie jestem głupi. Nie byłem też głupi, kiedy byliśmy młodzi. - Cooper wzruszył obojętnie ramionami i oparł się o brzeg stołu. - Mac nic nie zauważył. Nigdy nie widział nic poza silnikami, nad którymi pracowaliście. Zawsze się zastanawiałem, dlaczego ty i Donna w końcu się nie zgadaliście.

Jake cisnął kask na czarne skórzane siedzenie motocykla.

- Odczep się, Coop.

- Za chwilę. - Cooper przechylił głowę na bok i przyglądał mu się. - Widziałem cię z nią wczoraj wieczorem, wiesz? Nie mogłeś oderwać od niej oczu.

- To tak się odczepiasz?

- Nie.

- Koniec rozmowy.

- Prawie. - Cooper oderwał się od stołu, przeszedł kilka kroków i stanął przed Jakiem. - Wiem, co czujesz.

- Ach tak?

- Wciąż czujesz się winny z powodu Maca - powiedział miękko Cooper. - I dlatego nadal nie zabiegasz o Donnę, tak jak powinieneś piętnaście lat temu. Rozpoznaję w twoich oczach takie samo poczucie winy, jakie wystarczająco długo widziałem we własnych.

Jake przełknął ślinę i chciał zaprzeczyć. Co jednak mógł powiedzieć? Patrzył na Erica i czuł w duszy ukłucia żalu. Nie mógł zrobić nic, co naprawiłoby to, czego nie zrobił piętnaście lat temu. Zawsze już będzie musiał się zmagać z wyrzutami sumienia.

- Do czego zmierzasz?

- Chodzi mi o to, Jake - Cooper położył mu dłoń na ramieniu - że nie powinieneś się obwiniać. Byliśmy dziećmi. Nie wiedzieliśmy, że Mac jest w niebezpieczeństwie. A poza tym - dodał z uśmiechem - to ty chciałeś skoczyć po niego do jeziora, pamiętasz? To nie była twoja wina. Powinieneś przestać to sobie wyrzucać.

- Jasne - wymamrotał Jake, potrząsając głową. - Niczyja wina. Po prostu się stało. Mac umarł. My przeżyliśmy. Proste.

- Nic nie było proste. - Cooper puścił go i cofnął się o krok. - Ale nie bierz całej winy na siebie. Jeżeli wciąż pragniesz Donny, do roboty. Nie jesteś Macowi nic winien.

Jake jednak wiedział lepiej. Znał prawdę, którą przed wszystkimi ukrył. Cooper miał rację, że to Jake chciał

skakać do jeziora po kuzyna, ale nie dlatego, że się o niego martwił.

Nie. Myślał tylko o sobie. Chciał wskoczyć do wody i wyciągnąć Maca, zanim pobije jego rekord. To nie troska popychała go do działania, lecz zwykły egoizm.

Podobnie jak tamtej nocy, kiedy prawie kochał się z Donna. Nigdy nie był z Makiem szczerzy w kwestii swoich uczuć do Donny. Nie potrafił, jak prawdziwy mężczyzna, przyznać, że zakochał się w dziewczynie kuzyna.

A tej winy nie mógł nikomu wyjawić.

- Odpuść, Coop, dobrze?

- Ja tylko mówię...

- Rozumiem. A teraz odpuść.

- Dobra. - Cooper ruszył w kierunku drzwi. Zatrzymał się jednak w plamie księżycowego światła i jeszcze raz spojrzął na Jake'a. - Ale powinieneś wiedzieć, że wczoraj wieczorem widziałem też, jak Donna patrzyła na ciebie. I jeżeli tym razem pozwolisz jej odejść, będziesz frajerem.

- Kolacja była pyszna.

Donna patrzyła, jak Jake bierze mokry talerz i powoli go wyciera.

- Dzięki, ale to przecież tylko spaghetti. Trudno je zepsuć,

- Mnie się to udawało - uśmiechnął się.

Czuła, że również się uśmiecha w środku, ale zwalczyła to. Dobrze się bawiła z nim i z Erikiem. Zbyt dobrze. Ponieważ mamy nie było w mieście, kolację jed-

li tylko we trójkę i kilka razy podczas posiłku czuli się prawie jak rodzina. Eric opowiadał o swoim przyjacielu Jasonie i parku skateboardowym poza miastem. Potem Jake zabawiał ich historyjkami o krajach, które zwiedził, i o rzeczach, które widział.

Donna zazdrościła mu trochę tych przygód. Czasu spędzonego z Erikiem nie zamieniłaby na nic, jednak były miejsca, które chciała zobaczyć, i rzeczy, które zawsze planowała zrobić.

- Zamyśliłaś się - zauważył Jake.

- Przepraszam. - Donna uśmiechnęła się nienaturalnie i skłamała: - Zastanawiałam się, czy Eric nie zapomniał wziąć do Jasona... szczoteczki do zębów.

Teraz oczywiście żałowała, że się zgodziła, kiedy najlepszy przyjaciel Erica zadzwonił i zaprosił go na noc. Gdyby nie to, wciąż byłby tu w charakterze przyzwoitki.

Żałosne, pomyślała. Stawiać czternastoletniego syna na straży własnych hormonów.

- Zabrał, co potrzeba. - Jake wziął od niej kolejny talerz. - Naprawdę o tym myślałaś?

- Nie - przyznała z westchnieniem. Wyciągnęła korek ze zlewu i jak zahipnotyzowana patrzyła na spływającą wodę. - Myślałam o tych wszystkich miejscach, o których mówiłeś przy kolacji. Hiszpania, Włochy, Szwajcaria. - Odwróciła głowę i spojrzała na niego. - Zawsze chciałam zwiedzać świat.

- Nic ci nie stoi na przeszkodzie.

Zaśmiała się krótko.

- Jasne. Tylko Eric. I praca. I mama. I...

- W porządku, nie byłoby to proste, ale jeżeli czegoś pragniesz, powinnaś zrobić wszystko, żeby to osiągnąć.

Uderzył ją jego ton. Powoli podniosła wzrok i ujrzała w jego oczach gorące płomienie pożądania.

- Jake.

Odrzucił ściereczkę na blat, podszedł do niej i pochylił się.

Kuchnia jej matki była przytulna, ciepła i swojska. Zapach kolacji wciąż unosił się w powietrzu, a między nimi iskrzyło.

- Donno, coś jest między nami. Zawsze było.

- Nie mówię, że nie. - Powinna była zaprzeczyć, ale nie zrobiła tego. Nie mogła. Nie mogła skłamać, bo i tak na pewno widział to w jej oczach. - Ja tylko mówię, że nie powinniśmy...

- Dlaczego nie?

- No bo Eric i...

- Erica tu nie ma.

- Teraz nie ma. - Dlaczego pozwoliła mu wyjść? Głupia, głupia. - Ale jutro będzie. I pojutrze i następnego dnia.

- A ty nie masz prawa do własnego życia, dopóki on nie dorośnie i nie zacznie żyć swoim?

Nie brzmiało to dobrze, chociaż właśnie tak postępowała, dopóki Jake nie pojawił się w mieście. Przez tyle czasu skupiała się wyłącznie na Ericu, że ledwo mogła sobie przypomnieć jakiegokolwiek marzenia, które nie dotyczyłyby syna. Był dla niej najważniejszą osobą na świecie, ale wiedziała, że jeżeli w końcu nie ułoży sobie

życia, to kiedy Eric dorośnie i się wyprowadzi, nic jej nie pozostanie. Jednak.

- Mam, ale każda decyzja, którą podejmuję, dotyczy również jego.

Stał tak blisko, że niemal czuła jego dotyk. Chciała się przysunąć, żeby jego ręce znalazły się na jej ciele. O Boże.

- Zgoda - powiedział, pochylając głowę, aż jego usta zatrzymały się na wysokości jej warg. - Ale w tej chwili jesteśmy sami.

- Jake - wyszeptała, zamykając oczy. Wiedziała, że nie potrafi mu się oprzeć, kiedy na niego patrzy. Wciągnęła głęboko powietrze. - Proszę, nie rób tego.

Podniósł dłoń i palcami przesunął po wypukłości jej piersi. Przez jasnyniebieską bluzeczkę poczuła jego ciepło. Wypuściła powietrze i miała nadzieję, że uda jej się wziąć kolejny oddech.

- Naprawdę chcesz, żebym sobie poszedł?

- Nie - przyznała, chwytając jego dłoń i ściskając ją mocno. Nerwowo przygryzła dolną wargę. - Dlatego powinieneś już iść.

Odsunął się od niej i kiwnął głową.

- Dobrze, jeżeli naprawdę tego chcesz, wyjdę. Pod jednym warunkiem.

- Nie przyjmujesz odmowy, prawda?

- Nie.

Donna westchnęła.

- Dobrze. Niech będzie. Jaki to warunek?

- Pojedziesz ze mną na przejażdżkę przy świetle księżycy.

Tego się nie spodziewała.

- Twoim motorem?

- Tak. Teraz.

- Och, nie wiem - zawahała się. - Już zapowiedziałam Ericowi, że nie będzie mógł się przejechać twoim motorem, a...

- Nie zabiorę na niego Erica - rzekł, wyciągając do niej rękę - tylko ciebie.

Była głupia, naprawdę głupia. W milczeniu podała mu dłoń. Prawdopodobnie następnego ranka będzie tego żałowała, ale teraz niczego bardziej nie pragnęła, niż siedzieć za Jakiem na motorze pędzącym wśród nocy.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Ciemność wirowała wokół nich. Jake skoncentrował się na drodze, ale był całkowicie świadomy tego, że Donna siedzi tuż za nim, mocno przytulona. Jej uda spoczywały wzdłuż jego ud, a ramiona oplatały go ciasno w pasie. Mógł przysiąc, że czuje na plecach ciepło jej twardych sutków.

Znajome trasy wydawały mu się tej nocy jakieś inne. Letnie powietrze słodko pachniało jaśminem, a droga przed nimi była na tyle pusta, że mieli wrażenie, jakby ta noc należała tylko do nich.

Jake kochał prędkość. Szybkie samochody, szybkie motory. Zarabiał, konstruując choppery, sportowe motocykle do jazdy terenowej i akrobatycznej, dla tych, którzy mieli wystarczająco dużo pieniędzy, aby sobie na nie pozwolić, ale jego życiem były wyścigi. Ściganie się na granicy bezpieczeństwa. Nic nie mogło się równać z migającym przed oczami światem. Przypływ adrenaliny był wówczas silniejszy niż wszystko inne, co mógł odczuwać.

Aż do dzisiejszej nocy.

Dotyk obejmujących go ramion Donny, jej oddech,

który czuł na karku, ciepło jej ciała przyciśniętego do niego - nic nie mogło się z tym równać.

Dziwne, tego wieczoru prędkość go nie pociągała. Chciał zwolnić. Po raz pierwszy w życiu Jake chciał nieco zdławić potężny silnik motoru. Wiedział jednak, że i tak tych kilka chwil, które może z nią spędzić, szybko upłynie.

- Dokąd jedziemy? - spytała. Jej usta były blisko jego ucha, ale głos ledwo się przebił przez ryk silnika.

- Czy to ma znaczenie? - odkrzyknął, zaciskając mocniej dłonie na uchwytych kierownicy.

- Nie. - Położyła głowę na jego ramieniu, a on rozjaśnił się wewnątrz tak, jak niebo podczas pikniku z okazji Czwartego Lipca.

Jake zacisnął zęby i walczył z narastającą falą pożądania. Było tylko jedno miejsce, gdzie chciał ją zabrać. Gdzie musiał ją zabrać.

Nie potrzebował latarni, żeby znaleźć drogę. Pamiętał te boczne ścieżki tak dobrze, że trafiłby do tamtego zagajnika na ślepo. Zresztą w zasadzie i tak niewiele widział. Księżyc w nowiu był zaledwie nikłym światełkiem na niebie wypełnionym migoczącymi gwiazdami. Po obu stronach drogi rozciągała się ciemność przerywana tylko co jakiś czas błyskami świateł z okien gospodarstw.

Jake skręcił w kamienistą ścieżkę i poczuł, że Donna zeszywniała. Rozpoznała tę drogę. Nie poprosiła go jednak, żeby się zatrzymał, ani nie kazała mu zawrócić. Był jej za to wdzięczny, bo nie był pewien, czy byłby w stanie spełnić taką prośbę.

Kiedy w oddali zamajaczył ciemniejszy kształt, Jake skierował się ku niemu. Ten mały dębowy zagajnik zajmował w jego pamięci specjalne miejsce. To o tym miejscu marzył i ono wypełniało jego zmysły zapachami i dźwiękami owego ostatniego lata. Tej jednej gorącej, księżycowej nocy, kiedy on i Donna prawie...

Zatrzymał motor na skraju lasu i wyłączył silnik. Zapadła cisza, a on siedział nieruchomo, trzymając wyprostowane nogi na trawie po obu stronach pojazdu.

Świerszcze cykały, a lekki wiaterek poruszał delikatnie liśćmi drzew, które szumiały niczym stłumione szeptu oczarowanego tłumu. Opuścił podpórkę i poczekał, aż Donna zsiądzie z motoru. Podeszła do najbliższego drzewa i wyciągnęła rękę, by dotknąć guzowatej kory. Cofnęła ją jednak jak oparzona. Odwróciła się do Jake'a.

Wśród panującej ciemności bacznie śledził wyraz jej twarzy. W jej oczach dostrzegł napięcie i wspomnienia.

- Jake, dlaczego mnie tu przywiozłeś?

Włożył obie ręce do kieszeni i podszedł do niej. Teraz, kiedy znajdowali się w miejscu, gdzie wyobrażał ją sobie tyle razy, nie za bardzo wiedział, co ma powiedzieć.

Jak ma jej wyznać, że chwile, które spędzili razem w tym ocienionym zagajniku, były najwspanialszymi w jego życiu? Jak żałośnie by to zabrzmiało! Dorosły mężczyzna uczipiony wspomnień pierwszej miłości siedemnastolatka?

Nie. Nie mógł jej tego powiedzieć. Nie był w stanie się przyznać, że po niej żadna kobieta nic dla niego nie znaczyła. Nawet sam przed sobą nie potrafił stanąć w praw-

dzie, że nigdy nikogo nie pożądał tak intensywnie i gorąco, jak jej za pierwszym razem, kiedy jej dotknął.

- Wydawało mi się, że to dobry pomysł - powiedział tylko.

- Wcale nie był dobry. - Donna otuliła się ściśle ramionami, przygryzając dolną wargę. Oczy jej się zachmurzyły. - To... bolesne.

- Dlaczego bolesne? - zapytał szorstko, z trudem wymawiając słowa. - Z powodu tego, co prawie zrobiliśmy? Czy ponieważ tego nie zrobiliśmy?

- Z obu powodów.

Zakłuło go w sercu. Zrobił jeden długi krok, chwycił ją za ramię i przyciągnął bliżej. Odrzuciła głowę, a ich spojrzenia się spotkały. W jej oczach ujrzał odbicie księżycy i gwiazd. Poczł pulsującą falę pożądania.

- Donno, tamtej nocy nie było bólu - wymamrotał ciężko.

- Tamta noc była błędem. - Donna zwilżyła językiem suche wargi i starała się złapać oddech. - Teraz też byłoby to błędem.

Uścisk na jej ramieniu zelżał, ale Jake wciąż trzymał ją mocno. Złapał drugie ramię i potarł o jej skórę kciukami, delektując się tym dotykiem.

- Jedynym błędem tamtej nocy było to, że uciekłaś ode mnie - szepnął łagodnie.

Z trudem przełknęła ślinę i odrzuciła włosy z twarzy.

- Powiedziałam ci, dlaczego uciekłam. Miałam piętnaście lat i byłam przerażona. Przerażona tobą. I tym, co przez ciebie poczułam.

- A czy myślisz, że ja nie byłem przerażony? - Zaśmiał się krótko. - Byłem niewiele starszy od ciebie, wiesz? I nigdy wcześniej nie czułem czegoś takiego, jak tamtej nocy.

Zamknęła oczy i wymknęło jej się znużone westchnienie.

- Po co to robisz, Jake? Minęło piętnaście lat. Dlaczego teraz?

Przesunął wzrokiem po jej twarzy. W jego sercu wyglądała dokładnie tak jak wtedy. Jej oczy jaśniały wówczas niewinnością i pożądaniem, którego nie rozumiała. On miał siedemnaście lat i był niewiele bardziej doświadczony niż ona. Wiedział jednak, że jej pragnie. Że jej potrzebuje.

Jak się okazało, to się nie zmieniło.

-Ponieważ samo przebywanie w twojej obecności sprawia, że to wszystko powraca. Myślałem o tobie - przyznał. - Przez te wszystkie lata zawsze byłaś ze mną, na obrzeżach mojego umysłu. Zawsze przypominałaś mi, co prawie mieliśmy. Co prawie odnaleźliśmy.

-Jake...

- Powiedz mi, że o mnie nie myślałaś - zażądał, nie pozwalając jej odwrócić wzroku. Zacisnął mocniej palce na jej ramionach. - Powiedz mi szczerze, że ani razu nie żałowałaś swojej ucieczki, a zawiozę cię do domu i już nigdy nie wrócimy do tego tematu.

Wytrzymała jego spojrzenie. Sekundy mijały, a on słyszał jedynie oddech wiatru i pieśń świerszczy. Serce waliło mu jak młotem i czuł, że płonie od środka.

Wreszcie, kiedy już myślał, że straci panowanie nad sobą, przemówiła:

- Żal niczego nie zmienia.
- To nie jest odpowiedź.
- Jake, znasz odpowiedź - patrzyła mu w oczy - ale to niczego nie zmienia.
- My możemy to zmienić.
- Możemy? - spytała, potrząsając głową. - Ale czy powinniśmy?
- Donno, już nie jesteśmy dziećmi. - Przesunął po niej głodnym spojrzeniem. - Nie ma powodów do ucieczki. Nie ma powodu, żebyśmy nie przeżywali tego, czego oboje chcemy.

Zaśmiała się krótko.

- Oczywiście, że są powody - westchnęła. - Zbyt wiele, żeby je wyliczyć.
- One się nie liczą. - Patrzył, jak emocje przepływają przez jej oczy, zbyt szybko, by mógł je zidentyfikować.
- Czyżby?
- Pragnąłem cię wtedy i pragnę cię teraz. To wszystko, co się dziś liczy.

Na krótki moment oparła czoło o jego pierś, po czym podniosła głowę i znów na niego popatrzyła.

- Nawet wtedy trudno było ci się oprzeć.
- A jednak ci się udało - uśmiechnął się gorzko.
- Byłam tak przerażona...
- Tak. Już to mówiłaś. Przestraszyłem cię tak bardzo, że pobiegłaś do Maca.

Lekko zeszywniała.

- Mac był kochany. Delikatny. Uprzejmy.
 - Miał wszystkie cechy, których ja nie miałem? - To też go zabolalo, ale nie miał zamiaru jej tego pokazać.
 - Jake, przestań. Nie rób tego. - Potrząsnęła głową, a jej włosy zatańczyły miękko.
 - Pragnęłaś mnie - powiedział. - Nie Maca.
- Zamknęła oczy i przytaknęła.
- Tak, pragnęłam ciebie - przyznała. - Ale chciałam pragnąć Maca.
 - I co, stało się tak? - zapytał, a powiew wiatru przecieciał ponad nimi niczym błogosławieństwo. - Kiedy byłaś z nim, widziałas jego, czy widziałas i czułaś mnie?

Popatrzyła mu w oczy, a on wyczytał w jej spojrzeniu prawdę.

- Naprawdę potrzebujesz to usłyszeć?
- Myślę, że po piętnastu latach zasługuję na to.
- Dobrze. To byłeś ty, Jake. To zawsze byłeś ty.
- A więc pamiętasz, co czuliśmy.
- Jak mogłabym zapomnieć?

To mu wystarczyło. Przyciągnął ją bliżej i uniósł, tak że stanęła na palcach. Patrząc jej w oczy, pochylał głowę coraz niżej, niespiesznie, rozkoszując się słodkim oczekiwaniem.

Wreszcie jego usta przywarły do jej warg, a czas się cofnął. Westchnął i poddał się ogarniającej go fali ciepła.

Donna jęknęła, rozchylając wargi pod słodkim atakiem Jake'a. Od tamtej odległej nocy nigdy nie doznała takiego ścierania się tyłu różnych emocji naraz.

Jej ciało odżyło, a pragnienia, które już dawno pogrzebała, eksplodowały dziko. Płoneęto każde zakończenie nerwowe jej ciała, rozpalając się coraz mocniej pod dotykiem jego dłoni.

Przyciągnął ją ku sobie jeszcze bliżej, a ona oplotła ramionami jego szyję i wtuliła się w niego, jak tylko mogła najmocniej. Potężne dłonie chwyciły jej pośladki i podniosły, przyciskając. Otoczyła go nogami w pasie i zaczęła kołysać biodrami.

Lata całe minęły, od kiedy czuła coś podobnego. Jedynie w snach, podczas samotnych nocy, pozwalała sobie na wspomnienia i rozmyślenia.

Przez ostatnie piętnaście lat Donna próbowała pogrzebać swoje potrzeby. Liczył się tylko Eric. Zasługiwał na jej uwagę. Czyż jednak - myślała teraz, kiedy ręce Jake'a rozbudzały jej ciało - nie mogła sobie pozwolić na jedną noc? Na kilka godzin, w czasie których będzie się liczyła tylko ona i jej pragnienia?

Jako nastolatka była zbyt przerażona tym, co czuje, żeby na to pozwolić. Teraz przerażała ją wyłącznie myśl o tym, że mogłaby nie przyjąć tego, co Jake miał do zaoferowania.

Jake wsunął jedną dłoń między ich ciała, a Donna postanowiła wyłączyć rozum. Nie chciała myśleć. Chciała tylko czuć. Tylko ten jeden raz w życiu. Później będzie się martwić o konsekwencje.

Rozpiął jej dzinsy. Donna przerwała pocałunek, odrzuciła głowę i spojrzała na rozgwieżdżone niebo, podczas gdy on wsunął palce pod jej bieliznę.

- Nie sięgam. Nie mogę... cię dotknąć - wymruczał, opuszczając głowę.

Zadrzała. Nie chciała opuszczać jego objęć, ale pragnęła poczuć tam jego dłonie. Skończyła już z udawaniem. Z okłamywaniem samej siebie. Zawsze pragnęła dotyku Jake'a, i dzisiaj go dostanie. Wreszcie.

- Dotknij mnie, Jake - westchnęła, a jej mięśnie drżały od nagromadzonego pożądania. - Musisz to zrobić. Teraz.

Mruknął coś chrapliwie, chwycił ją w talii i postawił przy drzewie. Szorstka kora wbijała jej się w plecy, ale nie dbała o to. Liczyło się tylko spojrzenie jego oczu, kiedy zsuwał w dół jej spodnie i bieliznę. Rozkoszowała się pocałunkami wiatru na nagiej, rozgrzanej skórze.

Serce waliło jej mocno. Spojrzała Jake'owi w oczy i wyczytała w nich ten sam głód.

Nagle jednak wyraz jego twarzy zmienił się. Sposepniał.

- Co? - Zdołała wykrztusić z siebie tylko jedno słowo.

Wyglądał, jakby miał ochotę w coś kopnąć.

- Nie mam nic przy sobie. - Donna spojrzała na niego tępo. - Prezerwatyw.

Zachichotała.

- Duży niegrzeczny Jake Lonergan nie nosi już kondomów w portfelu?

Przeciagnał dłonią po twarzy.

- Już nie jestem napalonym dzieciakiem szukającym przygód.

Wciągnęła gwałtownie powietrze. Teraz miała szansę

zatrzymać to, zanim posuną się dalej. Wiedziała jednak dobrze, że z niej nie skorzysta.

- Chyba macz szczęście - powiedziała głosem niskim od pożądania.

- Tak?

- Tak. Jeżeli przysięgniesz mi, że jesteś zdrowy.

- Oczywiście, że jestem. - Poczłł się urażony, że mogła pomyśleć, że dotknąłby jej, gdyby nie był.

- Ja też - powiedziała. - I biorę pigułki - dodała.

- To chyba najlepsza wiadomość, jaką kiedykolwiek słyzałem. - Uśmiechnął się miękko i podszedł bliżej. - Jesteś piękna - wyszeptał. - Jeszcze piękniejsza niż wtedy.

Donna czuła się piękna. Widziała w jego oczach żar i rozkoszowała się świadomością, że ten mężczyzna pragnął jej tak rozpaczliwie, jak ona jego.

Jake ściągnął koszulkę, wystawiając na jej zachłanne spojrzenie szeroką i umięśnioną klatkę piersiową. Wyciągnęła dłoń i przesunęła czubkami palców po jego skórze. Wtedy zdjął z niej bluzkę i rzucił na ziemię. Stała naga w świetle księżyca, a powiew wiatru pieścił jej ciało. Poczłła dreszcz zakazanego owocu.

Rozpiął spodnie, a ona podeszła do niego i wsunęła się w jego ramiona, jakby tam od zawsze było jej miejsce. Posadził ją sobie na biodrach, a ona otoczyła go nogami w pasie i ramionami oplotła szyję. Patrzyli sobie w oczy. Zaczłł ją pieścić w najbardziej wrażliwym miejscu. Zadrżała i przytrzymała się kurczowo jego ramion, kiedy przeszedł ją pierwszy cudowny dreszcz. Wymawiała jego imię i poruszała biodrami w poszukiwaniu...

- Jake, proszę - jęknęła błagalnie. - Proszę...

- Chodź do mnie, maleńka.

Nie mogąc się dłużej powstrzymać, poddała się ogarniającej ją fali. Jej ciałem wstrząsnęła niewiarygodna rozkosz, a jego silne ramiona podtrzymywały ją mocno. Wreszcie Donna pozwoliła sobie być tym, kim zawsze chciała być.

Dzika.

Z Jakiem.

Zaczęli wirować na karuzeli pożądania. Jake nadawał im rytm, podsyczał ogień i regulował płomienie. Był wszystkim - wypełniał jej ciało, umysł i duszę.

Nie istniało nic poza tą kępą drzew i nimi. Znajdowali się w odrębnym świecie, do którego należeli tylko oni. Nie chciała myśleć o tym, że ten świat skończy się wraz z pierwszymi promieniami słońca.

W świetle księżyca, ukryci pod dębami, odnaleźli magię, którą zagubili tak dawno temu.

Godzinę czy dwie później Jake leżał wyciągnięty na ciepłej trawie, a Donna na nim. Kochali się tak długo, aż żadne z nich nie miało sił się podnieść. Nie pamiętał wspanialszej nocy w całym swoim życiu.

Przesunął dłonią po jej plecach, uśmiechając się do siebie. Była lepsza, niż sobie wymarzył. Lepsza, niż miał nadzieję. Ale wciąż nie była jego. Czuł to. Wiedział, że podzielała jego namiętność. Jednak kiedy noc się skończy, znowu ucieknie.

Nie do Maca.

Ale i tak ucieknie.

- O czym myślisz? - Donna skrzyżowała ramiona na jego piersi i położyła na nich podbródek.

- Dlaczego wydaje ci się, że myślę?

- Zmarszczyłeś brwi.

- Tak? - Podniósł dłoń i spróbował wygładzić sobie czoło.

- Chcesz mi powiedzieć?

- Nie bardzo. - Wiedział, że kiedy wspomni o jej ucieczce, odejdzie. A nie był jeszcze gotowy na jej zniknięcie. Długo czekał na tę noc.

Kiwnęła głową.

- No to ja powiem tobie, o czym myślałam.

- Dobrze.

- Myślałam, że to było cudowne - w jej głosie wyczuwał żal i wiedział, że był szczery - i że już się nie powtórzy.

Jake zaśmiał się krótko, a tym razem ona zmarszczyła brwi.

- O co chodzi?

- To właśnie o tym myślałem - powiedział, klepiąc ją lekko po pośladku. - Że zaraz znowu uciekniesz.

Usiadła nad nim i spojrzała mu w oczy.

- Wcale nie uciekam, tylko mówię...

- Że wciąż nie jestem wystarczająco dobry?

- To nie to, wiesz przecież.

Spróbowała się z niego ześlizgnąć, ale przytrzymał ją mocno dłońmi za biodra.

- A więc dlaczego?

- Ponieważ nie mogę tak po prostu robić tego, co chcę - powiedziała, kładąc ręce na jego dłoniach. - Mam syna. Muszę myśleć o nim.

- Eric nie ma tu nic do rzeczy.

- Oczywiście, że ma. Jestem jego matką. Powinnam się skupić na nim, a nie na...

- Seksie? - dokończył za nią, pieszcząc ją delikatnie dłonią. Donna zaczerpnęła powietrza jak tonąca.

- To nie fair.

Znowu się zaśmiał.

- A kogo obchodzi fair play?

- Do diabła, Jake. - Poddała się jego dotykowi, przygryzając dolną wargę i drżąc. - To niczego nie rozwiązuje.

- Może nie musi - powiedział, ponownie obejmując jej biodra. Podniósł ją, a potem opuścił na siebie. - Donno... - Sięgnął do jej piersi i przykrył je dłońmi, a oddech uwiązał mu w gardle, kiedy położyła ręce na jego dłoniach i przycisnęła, poddając się pożądaniu.

Jake nie mógł oderwać od niej wzroku. W księżycowej poświacie wyglądała jak sen.

Chwilę później przekonał się jednak, że jest jak najbardziej rzeczywista. I że gdyby sobie pozwolił, mógłby ją pokochać.

I że jeżeli znów ją utraci, może go to zabić.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Co ty tu robisz? - zapytał Jake trzy dni później Erica, który powoli wczłapał do stodoły Lonerganów.

Chłopak wzruszył ramionami.

- Nic - odburknął, przesuwając spojrzeniem po warsztacie i leżących na nim narzędziach. - Wpadłem się przywitać.

- Czy twoja mama wie o tym?

- Zostawiłem jej kartkę.

- Kartkę, którą zobaczy, dopiero jak wróci z pracy?

- No tak. - Eric rzucił wujowi półuśmiech. Tak bardzo przypominał w tym geście swojego ojca, że Jake'owi zaparło dech w piersiach. - Ona nie chce, żebym się z tobą zadawał - przyznał, podchodząc do lśniącego w blasku słońca motocykla. Przejechał palcem po chromowanym baku. - Martwi się, że będziesz miał na mnie zły wpływ.

- Tak powiedziała? - Jake zacisnął zęby. Cholera. Stawianie mu zarzutów osobiście to jedno, ale nastawianie syna Maca przeciw niemu było czymś zupełnie innym.

Eric odgarnął czarne włosy z oczu.

- Słyszałem, jak mówiła babci.

Doskonale.

Zły wpływ.

Zdaje się, że w końcu niczego nie ustalili. Od ich długo wyczekiwanej nocy w zagajniku minęły trzy dni, w ciągu których nie odezwała się do niego ani słowem. Jake dzwonił do niej do domu, zostawiał wiadomości, rozmawiał z jej matką i nic.

Zupełnie jakby kobieta, z którą był tamtej nocy, rozwiła się w jego wspomnieniach tak skutecznie jak piętnaście lat temu.

Jake patrzył z niezadowoleniem na swojego młodszego kuzyna. Jeśli miał być szczery, rozumiał stanowisko Donny. Gdyby miał syna, też by nie chciał, żeby naśladował jego styl życia.

Jednak Jake nigdy nie miał powodu, by obrać inną drogę. Poza dziadkiem i kuzynami nie miał żadnej rodziny. Żadnych więzów. Nikt w żaden sposób od niego nie zależał. Dlaczego więc, do cholery, nie miałby brać udziału w zawodach? Dlaczego nie miałby wykorzystywać okazji, które odrzucali mężczyźni mający rodziny?

Zmarszczył brwi i skoncentrował się na chłopcu kucającym teraz przy motorze.

- Lubisz pracować nad silnikami?

Eric zerknął w górę i znów się uśmiechnął. Trochę czasu upłynie, zanim przyzwyczai się do uśmiechu Maca na twarzy chłopca.

- Tak, ale nie znam się na nich na tyle, żeby cokolwiek zrobić.

- Mógłbym cię nauczyć - wypalił, a następnie skrzy-

wił się w duchu, wiedząc z góry, co Donna by na to powiedziała.

- Naprawdę? - Dzieciak rozpromienił się niczym włączona żarówka. - Byłoby wspaniale. - Po chwili jednak spochmurniał. - Mama pewnie mi nie pozwoli.

- Załatwię to z twoją mamą. - Cóż za odwaga, pomyślał, już przewidując przebieg konfrontacji z Donna.

- Super.

Jake kiwnął głową i oparł się biodrem o stół, krzyżując na piersi ramiona.

- Najpierw jednak idź do domu, zadzwoń do wypożyczalni i powiedz mamie, gdzie jesteś.

Eric wstał i wsunął obie ręce do kieszeni dżinsów, niemal zsuwając luźne spodnie z wąskich bioder.

- Każe mi wracać do domu.

- Porozmawiam z nią po tobie.

- Dobra.

- Dwa dolary za pięć dni - powiedziała Donna, biorąc pieniądze od klientki i wsuwając DVD w pudełko na wynos.

Kiedy klientka wyszła, zadzwonił telefon. Donna sięgnęła po słuchawkę, nie spuszczając oka z pary nastolatków w dziale horrorów.

- Movie Time, słucham?

- Cześć, mamó - zaczął Eric, po czym nie dając jej dojść do słowa, oznajmił: - Chciałem ci tylko powiedzieć, że jestem u dziadka i pomagam Jake'owi pracować przy motorze.

Poczuła skurcz w żołądku.

- Ericu...

- Jake chce z tobą porozmawiać. Pa, mamó. - I szybko przekazał słuchawkę.

- Cześć.

- Cześć. - Zamknęła oczy, na moment zapominając o potencjalnych złodziejach przy półce z horrorami. Niski głos Jake'a wibrował tak głęboko, że opadła na pobliski stołek. Otworzyła oczy i skoncentrowała się na nastolatkach, podczas gdy jej myśli radośnie tańczyły na wspomnienie wydarzeń sprzed trzech dni.

Trzy pełne dni, a jej ciało wciąż żyło. Nawet nie pamiętała, ile razy kochali się w ciągu tych kilku godzin spędzonych w zagajniku. Pamiętała jednak doskonale każdą nutkę podniecenia, każdy płomień pożądania, każdy dotyk i muśnięcie.

Żywe wspomnienia zakłócały sen jej ostatnich nocy. I nie wiedziała, ile jeszcze wytrzyma. Zrobiła jednak to, co uważała za najlepsze. Trzymała się od Jake'a z daleka, zdając sobie sprawę, że jeżeli znowu pobędzie z nim sam na sam, jego nieuchronne odejście będzie o wiele cięższe do zniesienia.

Nie było dla nich przyszłości.

I nie chciała przyszłości z Jakiem.

Reprezentował wszystko, czego przez większość życia starała się unikać. Balansowanie na krawędzi. Brak zobowiązań. Brak reguł. Brak stabilizacji.

Ona zaś już jako dziewczynka wiedziała, czego pragnie. Rodziny. Domu.

A Jake'a nie interesowały te sprawy.

Gdyby więc pozwoliła sobie na zaangażowanie, na radość z przebywania w jego ramionach, na oczekiwanie na jego pocałunki, nic dobrego by z tego nie wynikło.

Boże, tak za nim tęskniła.

- Donno? - zabrzmiał niski, głęboki i zatroskany głos.
- Jesteś tam?

- Tak, Jake - powiedziała, marszcząc brwi na widok jednego z chłopców wsuwającego sobie film pod koszulkę. - Ale nie mogę teraz rozmawiać.

- Dobrze. Eric przyszedł tu na kilka godzin. Może wpadniesz po pracy?

Chłopcy kierowali się w stronę drzwi, ale Donna już wstawiała, żeby ich zatrzymać. - Dobra. W porządku. Jeszcze o tym porozmawiamy. Do widzenia, Jake.

Odrzuciła słuchawkę, wyszła zza lady i stanęła tuż przed chłopcami. Nie patrzyli jej w oczy. Wyciągnęła rękę i powiedziała miękko:

- Oddajcie.

Wyższy chłopiec, mamrocząc coś pod nosem, wyjął film spod koszulki i lekko się skulił.

- Zadzwoń pani po gliny?

- Nie. - Chwyciła ich za ramiona i zaprowadziła do lady. - Zadzwonię do waszych matek.

- O, nie...

- Ty idioto - powiedział drugi chłopak, uderzając kolegę w ramię. - Mówiłem ci, żeby tego nie robić.

Chłopcy byli nieco młodszy od Erica, więc nie chciała dzwonić na policję. Niewątpliwie były to dobre dzieci,

ale musiały się nauczyć, że wszystko ma swoje konsekwencje. Ona sama dowiedziała się o tym w wieku piętnastu lat i była to trudna lekcja.

Podniosła słuchawkę telefonu i wręczyła ją pierwszemu z chłopców.

- Wykręć numer - nakazała, starając się ukryć uśmiech, kiedy dzieciak jęknął rozpaczliwie.

Kiedy dwie godziny później dotarła na ranczo Lonerganów, popołudniowe słońce rzucało już na podwórzu długie cienie, a w stodole świeciło się światło. Wysiadła z samochodu i natychmiast powitał ją dobiegający z zabudowań męski śmiech.

Donna westchnęła. Jak mogła liczyć na to, że zatrzyma Erica z dala od jego kuzynów? Było oczywiste, że potrzebował spędzać z nimi czas. Tak się cieszył, że jest członkiem większej rodziny.

Idąc w kierunku stodoły, postawiła sobie kilka pytań i starała się udzielić szczerych odpowiedzi. Czy próbowała trzymać Erica z daleka od Lonerganów ze względu na niego, czy na samą siebie? Czy naprawdę martwiła się o to, jaki wpływ Jake i inni mogli na niego wyrzucić, czy po prostu nie ufała samej sobie, jeśli chodziło o Jake'a?

Chroniła swojego syna, czy też chodziło raczej o chronienie siebie?

Być może, przyznała, jedno i drugie. Być może, jeżeli po prostu zaakceptuje fakt, że Lonerganowie będą teraz stałą częścią życia Erica, znajdzie sposób, aby sobie jakoś z tym poradzić, z widywaniem się z Jakiem i z resztą.

Kopnęła leżący na drodze kamyk, wzbijając małą chmurę kurzu. Z otwartych drzwi stodoły dobiegł ją śmiech syna. Uśmiechnęła się mimo dręczących ją myśli. Nieważne, co jeszcze czuje do Jake'a i pozostałych Lonerganów: zaakceptowali Erica z otwartym sercem i wiedziała, jak wiele to dla niego znaczy.

Kiedy weszła do stodoły, Cooper opowiadał właśnie jakąś historyjkę, więc zatrzymała się w drzwiach, żeby nie przerywać.

- Tak więc Jake - mówił Cooper, uśmiechając się do Erica - uparcie twierdził, że pralka babci działa za wolno, i zapowiedział twojemu tacie, że kiedy babcia z dziadkiem pójda na kolację, powinni ją naprawić.

- Ericu, nie słuchaj go. - Jake szturchnął Coopera przyjacielsko. - On zawsze koloryzuje.

- Nie wierz w żadne jego słowo. - Sam rzucił Jake'owi piwo.

- No i co się stało? - Wzrok Erica utkwiony był w Cooperze.

- Twój tata i Jake rozmontowali pralkę i złożyli z powrotem przed powrotem dziadków.

- Czyli udało się? - spytał Eric. - Naprawili ją?

- Oo, tak, świetnie naprawili - śmiał się Sam.

- To była winą Maca - wtrącił Jake, pociągając duży łyk. - Za bardzo naoliwił tryby.

- Jasne - przytaknął szyderczo Cooper. Następnie odwrócił się do Erica, kontynuując opowieść. - Następnego ranka babcia zabrała się do prania...

Sam wybuchnął śmiechem na to wspomnienie.

- Pralka wirowała tak szybko, że odsunęła się od ściany i wyszła na środek kuchni, wyciągając przy tym węża ze ściany. Woda zalała wszystko jak wodospad.

Eric roześmiał się, przesuwając wzrokiem z Coopera na Jake'a i Sama, i z powrotem.

- Babcia krzyczy, dziadek wrzeszczy, woda zalewa całą podłogę, a pies próbuje wpłynąć do salonu - dodał, śmiejąc się Cooper. - Sam i ja patrzyliśmy na to przedstawienie, ale twój tata i Jake byli już w połowie drogi nad jezioro, żeby nie być zbyt blisko.

- Mieli kłopoty? - zapytał Eric.

Donna uśmiechnęła się i podeszła do nich.

- Musieli wysprzątać dom od góry do dołu i pomóc dziadkowi zainstalować nową pralkę, którą dostarczono następnego dnia. - Pocałowała syna w czoło i pociągnęła z jego puszkę łyk napoju. - Przez resztę lata mieli się zajmować praniem.

- Cześć, Donno. - Sam podszedł i przytulił ją.

- Donno - Cooper pocałował ją na powitanie - z dnia na dzień jesteś coraz piękniejsza.

- Jasne - zaśmiała się do obu mężczyzn, po czym odwróciła się ostrożnie do Jake'a.

Skinął jej głowę, a ona zmusiła się, żeby do niego nie podejść. Niełatwe zadanie.

- No i co robicie?

- My opowiadamy niesamowite historyjki, a Eric pomaga Jake'owi w pracy nad motorem - powiedział Cooper.

- Zupełnie jak za dawnych czasów - zadumał się Sam.

- Jake i Mac zawsze nad czymś razem pracowali.

- Mój tata był dobry w te klocki, prawda? - Spojrzenie Erica wędrowało pomiędzy trójką mężczyzn.

- Cholernie dobry - przyznał Jake. - I mądry. Miał studiować w Massachusetts Institute of Technology... - Głos mu się załamał i trójka Lonerganów zjednoczyła się w bolesnym wspomnieniu.

- Był bardzo mądry, kochanie. - Donna przerwała pełną napięcia ciszę. - Zupełnie tak jak ty.

Eric zmarszczył brwi.

- Tak, ale ja nie chcę iść na studia.

- Wiem, ale pójdiesz - powiedziała Donna, wkraczając na znajomy temat.

- Oczywiście, że tak - poparł ją Jake.

- Dzieciaku, musisz się uczyć - dodał Cooper.

- Twój tata na pewno by tego chciał - podkreślił Sam.

Twarz Erica skamieniała. Rzucił każdemu z nich buntownicze spojrzenie.

- To zależy ode mnie. Jeżeli nie będę chciał, to nie muszę.

- Ericu...

- Nie, mamu. Mówiłem ci, że nie muszę studiować. Mogę robić inne rzeczy.

- Porozmawiamy później. - Donna czuła na sobie wzrok wszystkich Lonerganów.

Już od dzieciństwa Erica zaplanowała dla niego wyższe wykształcenie i odkładała na ten cel pieniądze. Oczywiście nie było tego dużo, ale zamierzała wziąć pożyczkę. Zrobi wszystko, co będzie trzeba. Jej syn pójdzie na stu-

dia. Ona nie poszła, bo nie miała takiej szansy. Ale Eric musi skorzystać ze wszystkich możliwości, jakie będzie w stanie mu dać.

Niestety Eric zbyt dobrze zdawał sobie sprawę z tego, jak mało mieli pieniędzy, i w zeszłym roku postanowił, że nie będzie studiować. Był to teraz częsty temat ich dyskusji, a ona miała szczerzy zamiar wygrać tę wojnę. Nie chciała jednak angażować w to Lonerganów.

- Jake nie poszedł na studia i jest w porządku - znalazł nowy argument Eric.

- Nie bierz ze mnie przykładu - mruknął pośepnie Jake.

- Nie będziemy o tym teraz rozmawiać. - Donna rzuciła synowi spojrzenie, po którym zazwyczaj uspokajał się i wycofywał.

- Donno - odezwał się nagle Sam. - Maggie przygotowuje jakieś tony pieczonego kurczaka. Chcecie zostać z Erikiem na kolację?

Otworzyła usta, aby powiedzieć nie, ale Eric zwrócił ku niej w niemym błaganiu swoje wielkie ciemne oczy. Potrzebuje tego, przypomniała sobie. A poza tym skoro Lonerganowie byli po jej stronie w sprawie studiów, może dobrze się stanie, jeżeli Eric spędzi z nimi więcej czasu.

Wiedziała jednak dobrze, że nie był to prawdziwy powód, dla którego tak samo jak Eric pragnęła zostać. Nie mogła powiedzieć tego na głos, ale samej siebie nie musiała okłamywać. Chciała zostać, bo przez ostatnie dni tęskniła za Jakiem. Nie ufała sobie jednak na tyle, by być

z nim sam na sam, więc mogła co najwyżej zjeść kolację z całą rodziną.

- Oczywiście, Sam, bardzo chętnie, dziękujemy. Zadzwoń tylko do mamy i ją zawiadomię.

- Ja zadzwonię do babci. - Eric uściskał ją dziko i pojechał w kierunku domu.

Jake widział, że Donna jest w szoku, ale nie było mu przykro, że została wmanewrowana w kolację. Już samo patrzenie na nią było wspaniałe, chociaż marzył o tym, by jej dotykać.

Najpierw jednak musiał jej coś powiedzieć. On, Sam i Cooper już to omówili. Oderwał wzrok od Donny i spojrzał na kuzynów, otrzymując ich milczącą zgodę.

- Donno, jeżeli chodzi o studia Erica...

Zesztywniała.

- Nie musicie się martwić o wykształcenie Erica. Doceniam, że stanęliście po mojej stronie, pomagając mi przekonać go do studiów, ale to jest mój syn i ja się tym zajmę.

- Jest też synem Maca - powiedział cicho Sam, a ona skarciła go spojrzeniem.

- A my w pewnym sensie reprezentujemy Maca - dodał Cooper.

- No cóż. Źle to sobie wymyśliliście. To ja podejmuję decyzje dotyczące mojego syna. Sama. Tak jak zawsze to robiłam.

Jake podszedł do niej i zauważył, że cofnęła się o krok. Nie spodobało mu się to.

- Już nie jesteś sama - powiedział miękko.

Westchnęła i starała się zachować cierpliwość.

- Doceniam, że chcecie być blisko Erica. Przyznam nawet, że dobrze mu to robi. Potrzebował mężczyzn w swoim życiu. I potrzebował dowiedzieć się więcej o swoim ojcu.

Jake widział, że to wyznanie dużo ją kosztuje.

- Ale nie jesteście mu winni nic ponad uczucie.

- Mylisz się. - Jake położył ręce na jej ramionach. Wyczuł jej napięcie, ale nie wyzwoliła się spod jego dotyku.
- Jesteśmy mu winni to, co należałoby do Maca.

- Co masz na myśli? - Jake czuł bijącą od niej zimną siłę i gotowość do walki. Czy jest coś bardziej dzikiego niż matka osłaniająca swoje młode?

Cooper oderwał się od warsztatu i stanął obok Jake'a. Sam zajął miejsce po jego drugiej stronie. Teraz wszyscy trzej Lonerganowie stali naprzeciw Donny jak jeden mąż.

- Tamtego ostatniego lata - zaczął Jake, nie odrywając spojrzenia od Donny - Mac i ja wymyśliliśmy taki...
- przerwał i wzruszył ramionami. - Nie wdawajmy się w szczegóły...

- Dzięki - mruknął Cooper. - Nie cierpię, kiedy rozwodzisz się nad częściami silników.

- Cicho - uciszył go Sam i szturchnął Jake'a, żeby mówił dalej.

- Wymyśliliśmy takie małe ustrojstwo do silników
- ciągnął Jake, wspominając godziny, które spędzili razem z Makiem w tej stodole. - Podnosi ono wydajność i pomaga przejechać więcej na jednym baku. Z pomocą

dziadka i chłopaków sprzedaliśmy ten pomysł wielkim fabrykom i...

- On chce powiedzieć - wtrącił Sam - że dochody z tego małego „czegoś” to całkiem poważne pieniądze.

- No i co w związku z tym? - szepnęła Donna.

- No i... - Jake zacisnął dłonie na jej ramionach, natarczywie wpatrując się w jej oczy - każdy z nas dostaje ćwierć sumy. Co roku oddawaliśmy część Maca różnym organizacjom charytatywnym. Teraz, kiedy wiemy o Ericu, chcemy, żeby to on ją dostawał.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Donna z niedowierzaniem patrzyła na rozognione spojrzenia Jake'a, Sama i Coopera. Boże, jak to możliwe, że zaledwie pięć minut temu żywiła do nich same ciepłe uczucia? Obudził się w niej gniew. Cała trójka stała nieruchomo, gapiąc się na nią w oczekiwaniu na jej reakcję.

Nie zawiedzie ich oczekiwań.

- Ach, tak - zaczęła, cedząc przez zaciśnięte zęby. - Czy dobrze rozumiem? Co roku oddajecie część Maca na jakieś cele dobroczynne?

- Tak - odpowiedział Jake z uśmiechem.

- I teraz to my mamy być waszym nowym celem dobroczynnym?

Uśmiech Jake'a znikł.

Trzej Lonerganowie wyglądali, jakby ktoś uderzył ich w głowę. Trzy pary oczu rozszerzyły się, trzy szczęki opadły nisko, a na wszystkich trzech twarzach pojawił się niepokój.

- Nic takiego nie powiedziałem - wybuchnął Jake.

- Powiedziałeś. - Donna wysunęła się spod jego ramion, aby ciepło jego dłoni nie mąciło jej umysłu.

Drżała z wściekłości. Była zażenowana, zła i... odczuwała zbyt wiele emocji, żeby móc od razu je wszystkie zidentyfikować.

- Cholera, Jake. - Sam popchnął kuzyna, a ten cofnął się o parę kroków.

- Wiedziałem, że to schrzanisz. - Cooper wyciągnął oskarżycielsko palec i spojrzał na Jake'a z pogardą.

- Ale co ja takiego powiedziałem? - Jake nie zwracał uwagi na kuzynów i patrzył na Donnę. - Co, do diabła, złego powiedziałem?

- Zdaje się, że wszystko - burknął Sam i rzucił Cooperowi wściekłe spojrzenie. - Mówiłem ci, że nie powinniśmy pozwolić, żeby to on o tym powiedział.

- Nie pomagasz - zatrzymał go Cooper.

- Cały czas nie wiem, co źle powiedziałem - skarżył się Jake, opuszczając bezradnie ręce.

- Pozwól więc, że ci to wyjaśnię - syknęła Donna, podchodząc do niego i dźgając palcem wskazującym jego klatkę piersiową przy każdym słowie. - Nie jesteśmy waszym najnowszym celem dobroczynnym. Mój syn i ja nie potrzebujemy jałmużny od Lonerganów. Dobrze sobie radzimy. Zawsze tak było i tak będzie.

- Przecież nie powiedziałem, że jesteście celem dobroczynnym. Ja tylko...

- Nie musisz tego powtarzać. - Donna walczyła z chęcią wymierzenia mu kopniaka.

- Nie tak to sobie zaplanowaliśmy - wtrącił Cooper.

- Co ty powiesz? - Jake niemal krzyknął.

- Cóż, ja i Cooper teraz sobie stąd pójdziemy. - Sam

obszedł Jake'a i pociągnął drugiego kuzyna do wyjścia. - Donno, ty i Jake musicie się uspokoić. Zobaczymy się z wami w domu, jak już będzie po bitwie.

Nawet nie zaszczyciła ich spojrzeniem. Nie dotarło do niej, co powiedział Sam. Jej wzrok utkwiony był w Jake'u.

- Jake, jak mogłeś tak powiedzieć? - Przełknęła ślinę, starając się rozluźnić zaciśnięte gardło. - Jak mogłeś nawet pomyśleć, że się na *to* zgodzę?

- Cholera, Donno - nie ustępował. - Ty specjalnie wszystko przekręcasz.

- Och, chyba przedstawiłeś to wystarczająco jasno.

- Najwyraźniej nie - mruknął.

Znowu uderzyła go palcem.

- Ależ tak. Teraz, kiedy wiesz o Ericu, potraktujesz go jako swój prywatny ceł dobroczynny. Otóż nie, dziękuję. Mój syn nie tego od was potrzebuje.

- To nie jest jałmużna - wykrzyknął Jake. - To jest uczciwe i dobre wyjście z sytuacji.

- Czy myślicie, że Eric przyszedł was poznać, bo chciał pieniędzy? - zapytała Donna, wciąż wściekła. Kolejna straszna myśl przebiegła jej przez głowę. - Dobry Boże, czy myślisz, że dlatego pozwoliłam mu tu przyjść?

Donna starała się odzyskać kontrolę nad galopującymi uczuciami. Gotowała się ze złości, a jej ciało - a niech to wszyscy diabli! - wciąż tęskniło za dotykiem Jake'a.

To tylko pogarszało sytuację.

Jake zaczerpnął powietrza i powoli je wypuścił. Chwilę później znów znalazł się przed nią, wyciągając do niej

ramiona. Donna musiała walczyć o zachowanie bezpiecznej odległości.

- Przesadzasz - powiedział.

- Nie sędę.

- Zaufaj mi.

Parsknęła.

- Dobrze - sapnął. - No to przynajmniej posłuchaj.

Utkwiła w nim zmrużone oczy.

- Słucham.

Jake włożył ręce do kieszeni dżinsów i odwzajemnił jej spojrzenie.

- Oczywiście, że nie dlatego pozwoliłaś Ericowi przychodzić do nas, że liczyłaś na wydobyć od nas pieniądze. Zresztą skąd miałybyś wiedzieć, czy cokolwiek mamy? - Przerwał na chwilę i wzruszył ramionami. - Poza Cooperem oczywiście. Wielki pisarz śpi na kasie.

- Jake...

- Nie o to chodzi. Omówiliśmy to we trzech, kiedy dowiedzieliśmy się o Ericu. Gdyby Mac żył, dostawałby jedną czwartą tantiem za nasz wynalazek.

Przytaknęła, ignorując małe ukłucie bólu na wspomnienie Maca.

- Cóż, Maca nie ma, ale jest jego syn.

- Tak, ale..

- Miałaś słuchać. .

- No dobrze.

- Mac by tego pragnął. - Mówił tak cicho, że z trudem go słyszała. - Chciałby, żeby jego syn mógł dostać część tych pieniędzy. Wiesz o tym, prawda?

- Taaak... - Oczywiście, że Mac chciałby, żeby Eric dostał jego część. Ale nie ułatwiało to przyjęcia tych pieniędzy.

- Chcemy więc, aby Eric został prawnie naszym partnerem. Ze względu na Maca.

Całe jej ciało zwiotczało niczym balon, z którego nagle uszło powietrze. Nie mogła się za bardzo kłócić z taką logiką. Przez moment zaczęła się zastanawiać, o ile łatwiejsze byłoby jej życie, gdyby po prostu przyjęła to, co Lonerganowie chcieli jej i Ericowi ofiarować.

Odsunęła tę myśl na bok.

- Rozumiem - powiedziała wreszcie głosem pozbawionym wściekłości, którą odczuwała jeszcze przed chwilą. Podniosła spojrzenie na Jake'a. - Ale jak mogę to przyjąć, skoro przez ostatnie czternaście lat uczyłam Erica, że ludzie powinni stać na swoich własnych dwóch nogach?

Uśmiechnął się i podszedł do niej powoli, jakby nie był pewien, jak zareaguje.

- Jasne. Ale on wciąż będzie musiał stać na swoich własnych nogach. Te pieniądze będą po prostu poduszka, gdyby zdarzyło mu się upaść.

- Sama nie wiem...

- Przynajmniej - ciągnął dalej szybko - pozwól nam wpłacić je dla niego na jakiś fundusz. Będą tam na studia lub na coś innego, czego kiedyś będzie potrzebował.

Myśl o tym, że będzie mogła posłać Erica na dobre studia, nie martwiąc się o to, jak za nie zapłaci, była zbyt kusząca, żeby się jej nie poddać. A jeżeli pieniądze zo-

staną umieszczone na koncie dla jej syna, ona nie będzie z nich korzystać. Nie ona będzie brać pieniądze od Lonerganów.

Poczuła ulgę i kiwnęła głową.

- No dobrze. Zgadzam się na fundusz edukacyjny pod jednym warunkiem.

Zauważyła drgnienie kącika jego ust.

- Twarda z ciebie kobieta.

- Owszem - zaśmiała się. - Te pieniądze mają być przeznaczone wyłącznie na studia. A jeżeli coś zostanie, niech pójdzie na fundusz, do którego Eric będzie miał dostęp po ukończeniu trzydziestu lat.

Jake uniósł brwi, ale przytaknął.

- Dobrze, tak zrobimy. Ale, Donno... Posłuchaj, wiem, że robisz to, co uważasz dla niego za najlepsze, jednak musisz być ostrożna z Erikiem.

- Co masz na myśli?

Wyciągnął ręce z kieszeni i wziął ją za ramiona w stanowczym, lecz łagodnym uścisku.

- Tylko się znowu nie zdenerwuj. Dam ci jedynie pewną radę. Możesz z niej skorzystać albo nie, jak chcesz.

Starła się nie zwracać uwagi na ciepło rozlewające się po całym ciele od jego rąk. Skupiła uwagę na jego oczach. Ciemnych. Głębokich. Przełknęła ślinę.

- Słucham.

- Chodzi o to... Wiesz, kiedy umarł mój ojciec, mama starała się trzymać mnie pod kluczem, żebym był bezpieczny. Osiągnęła coś wręcz przeciwnego. Buntowałem się jak tylko mogłem przeciwko wszystkiemu. - Wzru-

szył ramionami. - Żeby zacząć własne życie, zaraz po liceum zaciągnąłem się nawet do piechoty morskiej.

- Pamiętam.

- W każdym razie chcę ci powiedzieć, że gdyby mama nie starała się tak bardzo mnie uwięzić, nie musiałbym tak mocno walczyć o swoją wolność. - Kciukami masował kojąco jej ramiona. - Nie chciałbym, żeby coś takiego przydarzyło się Ericowi. I tobie.

Jego ciche i łagodne słowa zabrzmiały bardzo wiarygodnie i Donna nie mogła ich zignorować. Eric dorastał i buntował się przeciwko różnym regułom, starając się być sobą. Donna ostatnie czternaście lat spędziła, chroniąc go. Wiedziała, że testowanie granic jest naturalne, jednak niełatwo jej będzie się wycofywać.

- Jake, wiem, że masz dobre intencje - powiedziała, nie chcąc, aby wiedział, jak bardzo jego słowa ją uderzyły. - Ale nie jesteś ojcem Erica.

- Niewiele brakowało - przypomniał.

- Nigdy nie zapomnisz o tamtej nocy, prawda? - szepnęła.

- Nie. - Zsunął jedną rękę z ramienia ku jej piersi i nakrył ją dłonią, pieszcząc delikatnie. - Chociaż muszę przyznać, że noc, którą ostatnio spędziliśmy razem, jest jeszcze lepszym wspomnieniem... - Przerwał na chwilę. - Tęskniłem za tobą przez ostatnie dni.

- Jake... - Zamknęła oczy, a kiedy je otworzyła, jego dłoń zdążyła wślizgnąć się pod tkaninę jej bluzki i biustonosza. - Och, Jake - westchnęła. - Nie powinienes tego robić.

- Nie, powinienem zrobić o wiele więcej - powiedział, pochylając głowę i składając na jej ustach obiecujący pocałunek.

- Grasz nie fair - wyszeptała słabo.

- Nie zaprzeczę.

Zaśmiała się i westchnęła, kiedy palcami zaczął drażnić jej sutek. Nigdy nie zaznała takiego podniecenia. Nawet nie wiedziała, że potrafi tak pragnąć. Pochyliła się ku niemu i oblizała wargi.

- Miałam już nigdy się z tobą nie spotykać - przyznała. - A przynajmniej nie sam na sam.

- Taak, domyślałem się tego - powiedział Jake, całując jej czoło, zamknięte oczy i czubek nosa.

- Muszę się jeszcze z tobą spotkać - westchnęła.

- Miałem taką nadzieję. - Pochylił się i pocałował ją w usta.

Zadrżała.

- Jake, to nie jest dobry pomysł.

- Donno, oboje jesteśmy dorośli i nie mamy zobowiązań. - Jego oddech omiół jej twarz. - Pragniemy się nawzajem. Dlaczego nie mielibyśmy się temu poddać?

- Przedstawiasz to tak rozsądnie.

Jake mrugnął do niej.

- Cóż, robię postępy - powiedział, uśmiechając się. - Kilka dni temu byłem panem Niebezpiecznym, teraz jestem rozsądny.

Zachichotała i przytuliła się do jego szerokiej piersi.

- Jak to jest, że to wszystko tak się płacze i jest takie

zagmatwane? Przysięgam, Jake, czasami nie wiem, co mam myśleć. Albo czuć.

- Sama wszystko komplikujesz. Zawsze tak było.

- Nie, Jake. Ja po prostu przewiduję konsekwencje pewnych rzeczy. Ty nigdy nie wybiegałeś myślą poza obecną chwilę.

- Ludzie się zmieniają.

Nie tak dawno matka powiedziała jej to samo, a ona udzieliła tej samej odpowiedzi.

- Nie, to nieprawda.

- Donno...

Czuła pod swoimi dłońmi mocne bicie jego serca. Ten rytm pomógł jej odzyskać równowagę.

- Jake, to nie ma znaczenia. Teraz, w tej chwili, nic innego nie ma znaczenia, tylko dotyk twoich dłoni. Smak twoich ust. Później będę się martwić o konsekwencje - powiedziała miękko, wspinając się na palce po pocałunek.

Przyciągnął ją bliżej i przywarł do jej ust z namiętnością, która pozbawiła ją tchu. Cały świat gdzieś się rozplynął.

Przerwało im wołanie Erica dobiegające z domu:

- Mamo! Babcia mówi, że umówiła się z Mikiem, więc mamy zostać i dobrze się bawić!

Donna odskoczyła od Jake'a i zaśmiała się.

Jake spojrział w dół na zarumienioną kobietę, którą trzymał w ramionach, i na jej usta nabrzmiałe pożądaniem.

- Czy już się dobrze bawisz?

- Och, tak! - Do diabła z konsekwencjami, pomyślała, nie mogąc się doczekać kolejnego pocałunku.

W ciągu następnego tygodnia Jake i Donna znaleźli się niemal na krawędzi szaleństwa. Ani przez moment nie udało im się być sam na sam. Ich rodziny ciągle wchodziły im w drogę. Lonerganowie, Eric, mama Donny - zawsze był przy nich ktoś jeszcze. Kradzione po kryjomu pocałunki wydawały się przez to jeszcze słodsze, a Jake w każdej wolnej chwili wyobrażał sobie, co będą robili, gdy tylko nadarzy się okazja.

Spędzał za to wiele czasu z Erikiem i im lepiej go poznawał, tym bardziej dostrzegał w nim odrębną osobę, a nie jedynie odbicie Maca. To jednak umacniało jego poczucie winy i żalu. Każda minuta spędzona z Erikiem uświadamiała Jake'owi, co ominęło jego kuzyna.

Śmierć w wieku szesnastu lat zabrała Macowi nie tylko jego własne życie, ale również okazję obserwowania, jak jego syn wyrasta na wspaniałego człowieka.

Eric ostrożnie czyścił narzędzia Jake'a, który usiłował sobie wmówić, że Mac cieszyłby się, że spędzają razem czas. Jednak nawet to nie wystarczało, by całkowicie wymazać ból duszy, z którym żył przez tyle lat.

- Mama mówiła, że byłeś w piechocie morskiej.
 - Co? - Jake oderwał się od swoich rozmyślań. - Ach, tak. Sześć lat.
 - Podobało ci się?
 - Tak. - Dało mu to, czego w owym czasie najbardziej potrzebował. Poczucie przynależności. Zadanie do wykonania. Miejsce, gdzie mógł pochować swój ból.
 - Myślisz, że mógłbym być dobrym żołnierzem?
- Jake patrzył na szeroko otwarte oczy i zbyt długą czu-

pryję chłopca opadającą na czoło. Wyglądał niewiarygodnie młodo.

- Pewnie, że tak - odpowiedział. - Ale jeżeli pójdziesz tam po studiach, będziesz mógł zostać oficerem.

Eric w jednej chwili spochmurniał.

- Nie wybieram się na studia.

- Twój tata na pewno by tego chciał.

- Ale go tu nie ma, prawda?

- Nie ma. - Po raz kolejny Jake uświadomił sobie, co Mac utracił. Ileż jeszcze będzie płacił za ten jeden letni dzień? Jak długo będzie musiał żyć z poczuciem winy wyskakującym przy każdej myśli o Macu?

Eric odłożył narzędzia i odwrócił się twarzą do Jake'a.

- Mój tata był mądry, prawda?

- Tak.

Chłopiec pokiwał głową.

- Mama zawsze o tym mówi. Zawsze podkreśla, że mój tata był naprawdę mądry. Mądrzejszy niż większość ludzi.

- To prawda - przyznał miękko Jake.

- Ale ja taki nie jestem. - Eric wsunął obie ręce do kieszeni i kołysał się w przód i w tył na piętach. - Nie jestem taki mądry jak on i nigdy nie będę, więc nie chcę iść na studia.

Jake patrzył na chłopca i widział ból malujący się na jego twarzy. Wyglądało na to, że Mac odcisnął piętno na nich wszystkich. Nawet na Ericu, który nigdy go nie poznał.

- Nie musisz być taki jak twój tata - powiedział cicho Jake. - Gdyby on tu był, powiedziała by ci, żebyś był sobą.

- Tak myślisz?

- Oczywiście.

- No więc nie chcę iść na studia.

Jake westchnął. Dyskusowanie z dzieckiem było jak chodzenie w kółko. Bez początku i końca.

- Może jeszcze zmienisz zdanie.

- Mama ma taką nadzieję. Ale nie zmienię.

- Ericu, masz mnóstwo czasu na podjęcie tej decyzji.

- Ty nie poszedłeś - powiedział chłopiec wyzywająco.

- Nie.

- No i wyrosłeś na ludzi.

- Tak, ale było mi ciężiej, niż mogło być. I wielu rzeczy żałuję.

- Na przykład czego?

Jake skrzyżował ramiona na piersi, starając się zyskać na czasie. Do diabła, był chyba ostatnią osobą, która powinna rozmawiać z dzieckiem o poważnych życiowych wyborach. To Sam powinien się tym zająć. Albo Cooper. Ale kiedy spojrział Ericowi w oczy, zrozumiał, że się nie wywinie.

- Na przykład nie miałem czasu na normalne życie nastolatka. Na chodzenie do szkoły razem z innymi. - Wzruszył ramionami. - Ericu, nie warto obierać trudniejszej ścieżki. W dzisiejszych czasach każdy potrzebuje studiów.

- Daliście mamie pieniądze, żebym poszedł na studia, prawda?

To było oskarżenie, a nie pytanie.

- To są pieniądze, które należałyby do Maca. Teraz są twoje.

- Nie chcę ich. - Eric wyprostował się i podniósł wyzywająco brodę. - Już wcześniej postanowiłem, że nie pójdę na studia, a gdybyśmy nie mogli sobie na to pozwolić, może mama łatwiej by odpuściła.

Jake parsknął.

- Nie łudź się. Twoja mama nie należy do osób, które „odpuszczają”.

- Nie jestem taki jak mój tata. On lubił szkołę, a ja nie jestem taki mądry.

- Nie wiesz tego.

- Wiem. Ale nie chcę iść na studia tylko po to, żeby stamtąd wylecieć.

- A czy grozi ci wylanie z liceum? - zapytał Jake, starając się w ten sposób uspokoić nieco chłopca.

-Nie, ale...

- No to dlaczego myślisz, że wyleciałbyś ze studiów?

Jęknął.

. - Po prostu nie chcę, żebyście to wy decydowali, co mam zrobić ze swoim życiem.

Jake oderwał się od stołu i zrobił krok w kierunku chłopca.

- My też tego nie chcemy - powiedział. - Staramy się tylko dać ci szansę samodzielnego wyboru. Zrobić to, czego chciałby Mac.

- Mój ojciec nie żyje. - Eric odgarnął włosy z oczu i Jake zauważył błyszczące w nich łzy. - A ja nie jestem nim.

- Do diabła, Ericu, nikt tak nie myśli. Chcemy tylko...

- Nie jestem taki mądry jak on. Nie mogę być tym, kim wy byście chcieli.

Zanim Jake zdążył coś powiedzieć, Eric przebiegł obok niego, chwycił swój rower i popędził drogą w kierunku szosy.

- Świetnie - mruknął sucho. Naprawdę świetnie sobie radził tutaj w Coleville. Nie tylko wdał się w romans z byłą dziewczyną Maca, ale udało mu się też zrazić do siebie jego syna.

Prawdopodobnie byłoby lepiej dla wszystkich zainteresowanych, pomyślał, gdyby nigdy nie wrócił do domu.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Kiedy podjechał motocykl Jake'a, Donna poczuła, że przyspiesza jej puls. Odchyliła brzeg białych koronkowych firanek, wyjrzała przez okno i zobaczyła, jak mężczyzna zeskoczył na ziemię, zdjął kask i położył go na czarnym skórzanym siedzeniu. Ściągnął okulary słoneczne, które nosił nawet wieczorem, zaczepił je o kieszeń czarnej koszulki i ruszył w kierunku domu.

- Och, Boże. - Donna nakazała sobie zachować spokój. Nie przyjechał przecież na randkę, ale dlatego, że zadzwoniła po niego po powrocie Erica do domu. Jej syn był zły i nie chciał jej powiedzieć, co go dręczy.

Kiedy tylko Eric poszedł znowu nocować do domu Jasona, zadzwoniła do Jake'a. Denerwowało ją, że potrzebuje pomocy, aby się dowiedzieć, co się dzieje z jej własnym dzieckiem, ale któż miał to wiedzieć, jak nie osoba, która spędziła z nim większość dnia? Przyjazd zajął Jake'owi niecały kwadrans. Długimi krokami przemierzył ukwieconą ścieżkę i po kilku sekundach już dzwonił do drzwi.

Otworzyła je i przez długą chwilę stała, patrząc na niego. Prawdopodobnie nie był to dobry pomysł, żeby

tu przychodził, kiedy jest sama. Jej mama była na kolejnej randce, Eric u przyjaciela... Nikt nie stłumi palących się już w niej wewnętrznych płomieni.

- Czy mogę wejść? - zapytał wreszcie.

- Ach, tak, przepraszam. Jasne, Jake, wejdz. - Wpuściła go i odetchnęła głęboko, kiedy przeszedł koło niej, kierując się w stronę salonu. Jego zapach wypełnił jej nozdrza, odsuwając gdzieś racjonalne myślenie.

Zamknęła drzwi i oparła się o nie.

- Gdzie jest twoja mama?

- Na randce.

Uśmiechnął się.

- Naprawdę? To dobrze. - Rozejrzał się wokół. -

A Eric?

- U Jasona.

- W takim razie cieszę się, że zadzwoniłaś - oświadczył, podchodząc bliżej.

Dotknął jej, a ona poczuła przebiegający po plecach dreszcz oczekiwania. Mężnie walczyła o utrzymanie kontroli.

- Nie dzwoniłam po to, żebyśmy... - machnęła ręką.

- No wiesz.

- Rozumiem - powiedział, głaszcząc jej ramię długimi, powolnymi i zmysłowymi ruchami. - A więc dlaczego?

- Muszę wiedzieć, co dręczy Erica - wyrzuciła z siebie.

- Myślę, że to idea studiów go przeraża.

- Przecież jest dopiero w drugiej klasie liceum.

- Wygląda na to, że tak jak jego matka wybiega myślą w przyszłość.

Westchnęła i oparła głowę o znajdujące się za nią drzwi.

- Nie chcę, żeby się bał. Chciałabym, żeby był pod-
ekscytowany na myśl, że może iść do każdej szkoły, do
jakiej tylko zechce.

- Boi się porażki - powiedział jej Jake.

- Ale dlaczego? Jest inteligentny.

- To prawdopodobnie nasza wina - przyznał, przycią-
gając ją do siebie i obejmując. - Opowiadaliśmy mu, ja-
ki Mac był mądry, i myślę, że Eric czuje teraz presję, że
powinien być taki jak ojciec.

- O matko. - Donna zaplotła ręce wokół pasa Jake'a
i położyła głowę na jego piersi. Miarowe bicie jego serca
uspokoilo ją w takim samym stopniu, w jakim jego do-
tyk działał podniecająco na każdą komórkę jej ciała.

Pogłaskał jej plecy wielkimi, silnymi dłońmi, a ona
zamknęła oczy, poddając się odczuciom.

- Po prostu chciałabym, żeby był szczęśliwy.

- On wie o tym - zapewnił ją Jake, zniżając głos do
przenikającego ją szeptu. - Jest po prostu zagubiony
i... do diabła, Donno, on ma czternaście lat. To zawsze
trudny wiek dla chłopaka. Będzie dobrze.

Tak, wiedziała o tym. Jednak jej matczyzny radar budził
się za każdym razem, kiedy czuła, że coś jest nie tak.

- Dzięki - szepnęła, odsuwając głowę i patrząc na nie-
go. Spojrzała mu w oczy, na usta, i znowu w oczy. - Chy-
ba potrzebowałam to usłyszeć.

- Cieszę się, że mogłem pomóc. - Lekki uśmiech wy-
krzywił mu usta, a ręce poruszyły się w dół jej pleców

i uchwyciły mocno. - Czy jest coś jeszcze, co mógłbym powiedzieć... albo zrobić?

Naprawdę nie powinna.

Doskonale wiedziała, że kolejna noc spędzona z Jakim doleje jedynie oliwy do już i tak niewiarygodnie silnego ognia. Ale kiedy jego dłonie spoczywały na jej ciele, po prostu nie mogła go odprawić. Potrzebowała znów poczuć go w sobie. Potrzebowała zatracić się, choćby tylko na parę godzin.

- Jest parę takich rzeczy - powiedziała, wspinając się na palce, aby dotknąć ustami jego warg.

Jeden pocałunek. Dwa. Trzy. Szybkie przesunięcie językiem po jego wargach. Jake przycisnął ją do siebie tak mocno, że zabrakło jej powietrza.

- Tęskniłem za tobą - wyszeptał, całując ją namiętnie.

Donna poddała się pożodze szalejącej w jej ciele. Każdy centymetr jej skóry płonął. Wielkie dłonie Jake'a głaaskały i ugniatały jej ciało. Nawet przez tkaninę dżinsów czuła gorące odciski jego palców.

Wziął jej usta z dziką determinacją. Ich języki splotły się w tańcu żądz tak dojrzałej i tak pierwotnej, że nie myślała o niczym innym, tylko o jego następnej pieszczocie, kolejnym dotyku.

- Gdzie twój pokój? - wysapał. - Szybko.

Wyplątała się z jego objęć, chwyciła go za rękę i pociągnęła przez schludny salon do długiego korytarza i na schody.

Kiedy dotarli na miejsce, zamknął z impetem drzwi, odwrócił się ku niej i złapał za brzeg koszulki.

- Masz na sobie zbyt wiele ubrań.
- Racja. - Pomogła mu z zatraskami i zamkami.

Zdjęła z siebie wszystko oprócz biustonosza i koronkowych majteczek, a Jake zrzucił buty i zajął się własnymi ubraniami. Po chwili był już zupełnie nagi. Wyciągnął po nią dłonie.

Kiedy patrzyła, jak podchodzi, zaparło jej dech w piersiach. Jego ciało, takie twarde i umięśnione, takie gotowe. Już pragnęła go tak, jak jeszcze niczego w życiu, a jej pożądanie cały czas wzrastało.

Podniósł ją i położył na materacu. Wtedy przestała myśleć i skoncentrowała się na odczuciach. Chciała go objąć, ale zrobił unik i pochylił się, aby złożyć pocałunek na jej płaskim brzuchu. Donna zadrżała i wyszeptała jego imię.

Światło księżycy wpadało przez okna jej pokoju z dzieciństwa, tworząc srebrne plamy na łóżku i na wypolerowanej drewnianej podłodze. Świeciło też w oczach Jake'a, błyszczało na jego opalonej skórze. W powietrzu roztaczał się słodki zapach kwitnących jaśminów.

Zerknął na nią i powoli przesunął się w dół jej ciała, ustami i językiem znacząc na jej skórze linię ognia. Potem ukląkł między jej nogami, wsunął dłonie pod pośladki i podniósł ją do góry. Zaciśnęła palce na tkaninie leżącej pod nią narzuty, patrząc, jak pochyła ku niej głowę.

Nie mogła oderwać wzroku. Nie mogła na niego nie patrzeć.

-Jake...

Uśmiechnął się, ale nie przerywał, dopóki nie wymówiła jego imienia na w pół stłumionym okrzykiem.

To jednak nie był koniec. Za chwilę poczuła na sobie ciężar potężnego ciała Jake'a.

Kochała go.

Popatrzyła w jego ciemne oczy i знаła już prostą prawdę. Zawsze kochała Jake'a Lonergana.

Starala się go nie kochać.

Maca też kochała, ale inaczej.

Bo to Jake przemawiał do jej duszy.

To Jake potrafił ożywić ją jednym zaledwie dotknięciem.

To Jake doprowadzał ją w jednej chwili do śmiechu, a w następnej do wściekłości.

- Donno? Wszystko w porządku?

- Tak - skłamała gładko, oplatając jego szyję ramionami. - Tak, w porządku.

- To dobrze - uśmiechnął się. - Bo jeszcze nie skończyliśmy.

Kiedy Jake wjechał na drogę prowadzącą do domu dziadka, do świtu brakowało niecałej godziny. Atramentowoczarne niebo jaśniało już głęboką purpurą.

On i Donna godzinami kochali się na więcej sposobów, niż mógł policzyć. Jednak nie był zmęczony - przeciwnie, czuł się bardziej ożywiony niż kiedykolwiek przedtem. To go zmartwiło.

Wyłączył silnik, żeby nikogo nie obudzić, i wtoczył motor do stodoły. Po ciemku zdjął kask i ostrożnie po-

łożył go na stole. Głowę przepełniało mu mnóstwo myśli. Nie był w stanie ich zidentyfikować. Odetchnął głęboko i starał się zignorować narastające poczucie żalu.

- Późna randka, co?

Odwrócił się i zobaczył Sama stojącego w otwartych drzwiach.

- Co tu robisz tak wcześnie?

Sam wszedł niespiesznie do stodoły i wzruszył ramionami.

- Jenny Fowler rodzi.

Jake zamrugał.

- Mała Jenny? Piegi? Warkoczyki?

Sam zaśmiał się.

- Teraz ma dwadzieścia pięć lat. Wciąż jest piegowata, ale już od dawna nie ma warkoczy.

- O matko, starzejemy się - mruknął Jake.

- Co przypomina mi o moim pytaniu - powiedział Sam. - Co taki staruszek jak ty robi, wkradając się do domu przed świtem?

Jake zeszywniał.

- Czy to twoja sprawa?

- Nie. Ale i tak pytam.

- Odczep się, Sam.

- Spokojnie, Jake. Cieszę się. - Sam podszedł do niewielkiej lodówki i wyciągnął z niej butelkę wody. Odkręcił korek, pociągnął długi łyk, zakręcił i znowu wzruszył ramionami. - Ty i Donna dobrze wyglądacie razem.

No pewnie. Tylko że to w ogóle nie ułatwiało sprawy.

- Nie jesteśmy razem.

- Ach, nie? - Sam uniósł brew w zdumieniu.

- Nie tak, jak myślisz. - Nie tak, jak on sam by chciał.

- A dlaczego nie? - spytał Sam i oparł się o stół, najwyraźniej szykując się na dłuższą pogawędkę.

- Nie musisz lecieć do jakiegoś porodu?

- To jej pierwsze dziecko. - Sam machnął ręką. - Na razie ma skurcze co piętnaście minut. Powiedziałem, żeby jechała do szpitala, bo jej mąż panikuje. Ale ja mam jeszcze mnóstwo czasu.

- Super - mruknął Jake, a głośno powiedział: - Ale ja nie mam. Jestem zmęczony. Idę spać.

- Wciąż uciekasz?

Jake'a zamurowało. Odwrócił się i spojrzał na kuzyna.

- Co to miało znaczyć?

- Wiesz, co to miało znaczyć. Piętnaście lat temu uciekłeś od tego, co czułeś do Donny, i nadal przed tym uciekasz.

- A kim ty jesteś? Prowadzisz kącik złamanych serc?

Sam zaśmiał się i niedbale przerzucił butelkę z wodą z lewej ręki do prawej i z powrotem.

- Niezupełnie. Ja tylko rozpoznaję pewne oznaki. Dużo czasu minęło, zanim zrozumiałem, że Kocham Maggie. Prawie ją straciłem, bo byłem zbyt głupi i uparty, żeby stanąć w prawdzie.

- Jakiej prawdzie?

Sam przestał się uśmiechać i odstawił butelkę z wodą na stół.

- Prawda była taka: wymyśliłem sobie, że nie zasługu-

ję na to, żeby być szczęśliwy. Miałem tak wielkie poczucie winy, że dopuściłem do tragicznej śmierci Maca, że nie zauważałem, że moje własne życie przemija.

- To nie była twoja wina.

- Twoja też nie. - Sam podszedł do Jake'a i klepnął go po ramieniu. - Do diabła, Jake, przecież to ty chciałeś po niego płynąć.

Jake przez te wszystkie lata nikomu, nie zdradził tej prostej i strasznej prawdy, a teraz usłyszał, jak wypowiada ją na głos:

- Tak, ale wiesz dlaczego? Bo nie chciałem, żeby pobił mój rekord.

Sam patrzył na niego w milczeniu, a Jake poczuł, że słowa wypływają z niego, jakby były tłumione o wiele za długo.

- Byłem tak zazdrosny o Maca, że zupełnie mnie to zaślepiło - przyznał, czując gorycz wypowiedzianych słów.

- Miał wszystko. Był mądry. Mieszkał w Coleville przez cały rok. Miał oboje rodziców. No i miał Donnę.

- Jake...

- Nie. - Podniósł dłoń, żeby uciszyć kuzyna. - To głupie, ale potwornie mu zazdrościłem. A wtedy, tego ostatniego dnia... myślałem, że odbierze mi mój rekord. Jedyne, co było moje. Nie chciałem, żeby tak się stało. A kiedy tak stałem na brzegu, martwiąc się o ten idiotyczny rekord we wstrzymywaniu oddechu, Mac umierał.

- Nie wiedzieliśmy o tym. Nie mogliśmy tego zmienić.

- To chyba nie ma znaczenia - rzucił otwarcie Jake, czując gromadzące się pod powiekami łzy. Zacisnął oczy,

żeby je powstrzymać. Dopiero po chwili spojrzął na Sama. - Mac nie żyje. Spędzam czas z jego synem. Sypiam z jego dziewczyną. - Ta prawda uderzyła go właśnie dziś, kiedy wracał od Donny. - Sam, nie mogę tego zrobić Macowi. Muszę wyjechać. Dziś w nocy.

Sam jęknął.

- Daliśmy dziadkowi słowo, że zostaniemy na całe lato.

-Wiem, ale...

- Jake, czy ty naprawdę myślisz, że jesteś jedyną osobą, która boryka się z tym, co się wtedy stało? Jedynym z nas, który czuje się winny, że żyje?

-Nie, ale...

- Ucieczka od tego, co czujesz do Donny, wcale ci nie pomoże. Przecież od lat tak uciekasz i wciąż jesteś w tym samym miejscu.

Jake westchnął. Czuł się jak w jakiejś cholernej pułapce. Serce podpowiadało mu, żeby chwycić Donnę i nigdy nie pozwolić jej odejść. Jednak rozum i poczucie winy nie chciały mu na to pozwolić.

Sam klepnął go w plecy.

- Musisz pogadać z Makiem.

- Co?

- Przecież słyszałeś. Ja i Cooper tego lata rozliczyliśmy się z przeszłością. Wygląda na to, że teraz twoja kolej.

- Mac nie żyje.

- Nieprawda - powiedział miękko Sam. - On wciąż tu jest, bo żaden z nas nie pozwalał mu odejść.

Może Sam miał rację. Czy Jake nie czuł obecności Maca tutaj, na ranczu? Czy nie wydawało mu się, że

młodszy kuzyn może w każdej chwili wejść do pokoju?
Ale rozmawiać z nim?

- Nie wiem, czy potrafię.

- Powiem ci, co powiedziała mi Maggie. - Sam zniżył głos i poklepał go po ramieniu. - Nie musisz uciekać od ducha Maca. Mac cię przecież kochał. Kochał nas wszystkich. Czy naprawdę myślisz, że chciałby, żebyś przez resztę życia był nieszczęśliwy?

- Nie, nie chciałby. - Jake wyciągnął spod stołu stołek i opadł na niego. Oparł łokcie na kolanach i ukrył twarz w dłoniach. - Sam, co ja mam zrobić?

- Masz żyć, Jake. - Sam skierował się ku drzwiom. - Teraz muszę iść odebrać poród. A ty może pójdziesz nad jezioro porozmawiać z Makiem?

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- A co tam u Jake'a?

Donna odwróciła gwałtownie głowę i spojrzała na matkę. Było zbyt wcześnie rano na tego typu rozmowę, ale nie przychodził jej do głowy żaden sposób na jej uniknięcie.

Catherine zawsze wstawała o świcie, a ponieważ Donna po wyjściu Jake'a nie mogła zasnąć, poszła do kuchni za zapachem kawy. Teraz pomyślała, że prawdopodobnie nie był to dobry pomysł.

Starła się wyglądać spokojnie, ale już sam dźwięk jego imienia ją rozbijał. Nerwowo zastanawiała się, czy matka mogła poznać po jej wyglądzie, co ona i Jake robili tej nocy.

- Chyba dobrze, a co?

- Och - Catherine nucąc, mieszała ciasto na ciasteczka - nic takiego. Tak się tylko zastanawiałam.

- Aha. - Donna wróciła do studiowania swojej książeczki czekowej i walczyła o zachowanie równowagi. Musiała się czymś zająć, żeby nie rozpamiętywać minionej nocy i tego, jaki Jake był dobry. Zwłasz-

cza w pobliżu matki, która była wyczulona jak radar. Nie mogła się jednak skupić na cyfrach. - Daj spokój, mamo.

- Nie zamierzam, kochanie. - Catherine ostrożnie nałożyła porcję ciasta na blachę. - Jeżeli myślisz, że nie widzisz, co się między wami dzieje, to się mylisz.

Donna westchnęła, odchyliła się na krzesło, wyciągnęła przed siebie nogi i skrzyżowała je w kostkach. Założyła ręce na piersi i odrzuciła głowę do tyłu.

- A ty się mylisz, jeżeli myślisz, że będę z tobą o tym rozmawiać.

Catherine wypełniła blachę i włożyła ją do piekarnika. Włączyła minutnik i odwróciła się do córki.

- Wiesz, jacy ważni jesteście dla mnie oboje, ty i Eric, prawda?

- Taaak. - Donna nie była pewna, do czego matka zmierza.

- Chcę, żebyście oboje byli szczęśliwi.

- Wiem.

- A Eric tak się dobrze czuje u Lonerganów.

- To prawda.

- Ale czy wiesz, jak ty się tam dobrze czujesz?

- Mamo... - Donna wyprostowała się na krzesle.

Catherine szybko podeszła i usiadła obok córki. Wzięła jej dłoń w swoją i ciągnęła dalej:

- Ty kochasz Jake'a.

Ona sama zdała sobie sprawę z tego przerażającego faktu poprzedniej nocy. Jakim cudem wie o tym jej matka? Znowu ten przeklęty radar.

- Mamo - powiedziała wymijająco. - Ja nie mogę kochać Jake'a.

- Widzę, że nie zaprzeczasz - zauważyła sprytnie mama. - Na Boga, dlaczego nie możesz?

- To nie ma znaczenia, co ja do niego czuję. Zbyt się różnimy. Pragniemy czego innego. - Taka właśnie była prawda, która dotarła do niej około piątej nad ranem. Chociaż jej ciało wciąż tańczyło radośnie, musiała stawić czoło suchym faktom. Nieważne, jak dobrze układało się między nią a Jakiem, nie potrwa to długo. Nie mogło.

Catherine uderzyła ją w rękę.

- Au! - zawołała Donna zaskoczona.

- Co ty opowiadasz, Donno. Nie ma znaczenia, co czujesz? Przecież to jedyne, co ma znaczenie.

- Jak możesz tak mówić? Przecież muszę myśleć o Ericu. Muszę chronić jego przyszłość!

- A przed czym dokładnie chcesz ją chronić? Przed miłością?

-Mamo...

- Wiem, że się boisz. Nawet nie wiesz, jak bardzo sama się bałam. Byłam tak przerażona, że ze strachu prawie ignorowałam to, co czuję do Mike'a. Ale gdybyś mogła zobaczyć siebie moimi oczami przez ostatnie parę tygodni... od kiedy Jake wrócił do miasta... Widać, że odżyłaś.

Donna zeskoczyła z krzesła i przeszła przez kuchnię. Wyglądało na to, że i tak nie uniknie dyskusji na ten temat.

Zacząła mówić, bardziej do siebie niż do matki:

- Kiedy widzę Jake'a, wszystko wewnątrz mnie się budzi. To brzmi głupio - przyznała - ale tak jest. Nie spodziewałam się tego i nie chciałam, aby tak było. - Rzuciła matce stalowe spojrzenie. - Kochałam Maca. Wiem, że miałam tylko piętnaście lat, ale naprawdę go kochałam. A on zginął.

- To był okropny wypadek. Ale nie możesz patrzeć na całe życie tylko przez pryzmat tej tragedii.

- Jak to nie mogę? Popatrz na Jake'a. Ten facet jeździ na wyścigi motorowe. On przecież aż się prosi o jakiś wypadek! Kocha ryzyko. Niebezpieczeństwo. Jeżeli pozwolę sobie na miłość i stracę go... jak ja to przeżyję?

Catherine wstała, położyła ręce na ramionach Donny i spojrzała jej głęboko w oczy.

- Kochanie, jeśli nie pozwolisz sobie go kochać, to już go straciłaś.

Godzinę później Jake stał na porośniętym drzewami brzegu jeziora i patrzył w dół na niemal nieruchomą powierzchnię wody. Delikatny wiatr wygładzał jej lekkie zmarszczki.

- Porozmawiaj z Makiem. - Jake zaśmiał się krótko, potrząsnął głową i przeniósł wzrok z jeziora ku niebu i z powrotem na wodę. Czy Sam miał rację? Czy duch Maca był uwięziony tutaj, ponieważ jego kuzyni nie pozwalali mu odejść? Czy czekał tu piętnaście lat, aż cała trójka znowu zbierze się razem, aby wreszcie zmierzyć

się z owym fatalnym dniem i zostawić go w przeszłości, gdzie było jego miejsce?

Jake czuł się jak cholerny głupek, myśląc o takich sprawach. Ale jednocześnie mimo poczucia, że Maca już tu nie ma, bo dawno odszedł tam, gdzie pójdzie każdy, Jake uświadomił sobie, że potrzebował przyjść nad to jezioro.

Potrzebował powiedzieć swojemu dawno zmarłemu kuzynowi, co czuje, oraz wreszcie i ostatecznie przyznać się do tego całego ciężaru, jaki nosił w sobie przez te wszystkie lata.

- Sam mówi, że jak z tobą porozmawiam, to się lepiej poczuję. - Jake opadł na wygrzaną słońcem trawę, oparł ramiona na kolanach i westchnął. - To chyba nie ma większego sensu, ale, Mac, jestem już taki zmęczony tym niekończącym się poczuciem winy. Wspomnieniami i bólem. Nawet nie wiem, co, do diabła, mam ci powiedzieć - szepnął. - „Przepraszam” chyba nie wystarczy. Ale co więcej mogę zrobić?

Jake poczuł na sobie powiew chłodnej bryzy. Uśmiechnął się i wyobraził sobie, że Mac naprawdę tu jest. Prawie czuł jego obecność. Wyobraźnia? Prawdopodobnie. Mimo to było to krzepiące. Skan i przerobienie pona.

- Eric jest świetnym dzieciakiem - powiedział miękko. - Byłbyś z niego dumny. Chociaż przecież pewnie cały czas masz na niego oko, nie? - Ta rozmowa z Makiem nie była taka dziwna, jak się spodziewał. Czuł się zupełnie swobodnie i naturalnie. Ale trudna część dopiero się zaczynała. - A jeśli masz oko na Erica, to pewnie wiesz też, co dzieje się między mną a Donną.

Zmarszczył brwi, wyrwał garść suchej trawy i roztarł ją w palcach.

- Kocham ją, Mac. Bardziej niż myślałem, że potrafię kogokolwiek pokochać. - Jake sam jeszcze nie zaakceptował prawdy zawartej w tych słowach. Czuł jednak, że tak właśnie jest. Nagle stało się to takie oczywiste. Kochał Donnę.

Poczuł panikę. Wziął długi, głęboki oddech.

- Nie wiem, co to znaczy dla każdego z nas. Widzisz, do tej chwili nawet nie zdawałem sobie sprawy z tego, że ją kocham. Ale chyba nie powinienem być zaskoczony. Zależało mi na niej, kiedy jeszcze byliśmy dziećmi. Oczywiście nie chciałem, żebyś o tym wiedział. Ale teraz musisz się dowiedzieć. Pewnej nocy próbowałem *ci* ją odebrać... Uciekła ode mnie. Wróciła do ciebie.

Zmusił się do wyznania najsilniejszych uczuć z przeszłości.

- Nienawidziłem cię wtedy za to. Nienawidziłem cię za to, że ją miałeś. Za to, że miałeś to, czego tak bardzo pragnąłem.

Odrzucił głowę do tyłu, spoglądając na białe chmury żeglujące po powierzchni nieba.

- I kochałem cię jednocześnie - przyznał. - Bez względu na to, jak byłem wściekły czy zawistny, kochałem cię. - Wewnętrzny ból nieco odpuścił i Jake poczuł niewiarygodną ulgę. - Boże, Mac, jak ja za tobą tęsknię. Wszyscy za tobą tęsknimy.

Słońce zaświeciło mu w twarz, oślepiając go. Oczy duszy zobaczył chłopaków Lonergana z tamtego lata.

Byli wówczas młodzi i nieustraszeni, cała czwórka miała zawsze trzymać się razem.

- I w pewien sposób - Jake czuł, jak pokój wypełnia mu serce - zawsze będziemy razem. Jesteś częścią nas. Już nigdy żaden z nas nie będzie próbował o tym zapomnieć.

Dwa dni później Eric wpadł do kuchni i krzyknął do matki:

- Jake wyjeżdża.

Donna upuściła garnek, który trzymała w ręku. Nie widziała Jake'a od tamtej nocy w jej sypialni. Już wyjeżdżał? Tak bez słowa?

- Naprawdę?

- Kiedy skończy się lato - powiedział Eric, idąc ciężko w stronę lodówki. Otworzył drzwi, wyciągnął puszkę coli i zatrzaskał je z powrotem. - Dziadek mówi, że wraca do Long Beach.

Donna powoli podniosła garnek, spokojnie skończyła go wycierać i odłożyła do szafki. Będzie tu jeszcze przez tydzień, pomyślała, pamiętając, że każdy z Lonerganów obiecał dziadkowi spędzić w Coleville całe lato.

Tydzień. Tylko siedem krótkich dni i Jake znowu odejdzie. Czy będzie umiała powrócić do życia, które prowadziła wcześniej, zanim on stał się centrum wszystkiego? Jak miała stawić czoło przyszłości, w której nie będzie Jake'a?

Posmutniała, ale zacisnęła pięści i zmusiła się do uśmiechu, żeby jej syn nie wiedział, co jej chodzi po głowie.

- Ericu, wiedziałeś, że Cooper i Jake wyjadą, kiedy skończy się lato.

- Ale on przecież nie musi wyjeżdżać - zaprotestował gorąco chłopiec. Jego policzki były czerwone, a spadające na oczy włosy zakrywały błyszczące łzy, które desperacko starał się powstrzymać. - Możesz sprawić, żeby został.

- Co?

- Wiem, że cię lubi. Powiedział mi. Poproś go, żeby został.

Z bólem serca popatrzyła na ukochanego syna. Szybko dorastał i wkrótce zacznie swoje własne życie. Już odchodził małymi kroczkami. I jej matka też się od niej odsuwała. Właśnie poprzedniego wieczoru przyjęła oświadczyny Mike'a, wkrótce więc wyjdzie za męża i zamieszka z nowym małżonkiem.

Wszyscy oprócz Donny szli naprzód.

Wkrótce wszyscy oprócz niej będą mieli własne życia. A ona skończy tutaj. W domu, w którym dorastała.

Sama.

Wcale jej się to nie podobało. Żadnego śmiechu w środku nocy. Żadnych kradzionych pocałunków ani jego oddechu na swojej szyi, kiedy śpi. Żadnych kłótni zakończonych cudownymi przeprosinami. Jej przyszłość wydawała się taka pusta.

Och, jakaś jej część pragnęła zrobić to, o co prosił Eric. Chciała w tej chwili pojechać na ranczo Lonerganów i błagać Jake'a, żeby nie odjeżdżał.

Ale jak mogła? Czy mogła ryzykować ponowny ból

straty? Kiedy miała piętnaście lat, kochała tak, jak tylko potrafi nastolatka, a śmierć Maca niemal ją zniszczyła. Teraz to, co czuła do Jake'a, było o tyle większe, bogatsze, głębsze... Gdyby umarł... nie przeżyłaby?

Nie.

Lepiej być bezpieczną niż zranioną.

Samotną niż załamana.

- Nie mogę, Ericu. - Zrobiła krok w jego kierunku. Chłopiec cofnął się gwałtownie, a jego ciemne oczy wypełniły się wściekłością i rozczarowaniem.

- Chyba nie chcesz.

- Nie spodziewam się, że mnie zrozumiesz - powiedziała cicho i spokojnie, chociaż miała ochotę krzyknąć.

- Ale muszę zrobić to, co uważam za najlepsze dla nas obojga.

- Nie masz racji.

- Być może - przyznała z bólem. - Ale muszę podjąć to ryzyko.

Idąc przez pole, Jake odetchnął chłodnym nocnym powietrzem i zdał sobie sprawę, że lato niemal się skończyło. I gdyby nie to, że jego życie w ciągu ostatnich paru tygodni tak drastycznie się zmieniło, planowałyby teraz wyjazd. Na samą myśl o tym robiło mu się słabo.

Skulił się pod powiewem nagłego, zimnego wiatru i wsunął ręce do kieszeni. Odwrócił się, by spojrzeć na światła błyszczące w oddalonym o pół mili domu.

Było późno. W domu, który w ciemności wyglądał jak bezpieczny port na wzburzonym morzu, panowała

cisza. I tym właśnie zawsze był dla Jake'a. Jakże tęsknił za przyjazdami do Coleville. Tak bardzo chciał móc nazywać to miejsce domem.

Uśmiechając się do siebie, ruszył na spacer, nie myśląc o tym, dokąd idzie. Wyszedł z uspiętego domu, bo musiał pobyć trochę sam. Potrzebował czasu, żeby pomyśleć. Musiał pożegnać się ze swoim starym światem i przywitać to, co, miał nadzieję, stanie się nowym rozdziałem w jego życiu.

Przez ostatnie dwa dni spędzał godziny przy telefonie, rozmawiając z pośrednikami handlu nieruchomościami i bankierami. Chciał zamknąć swoje interesy w Long Beach i otworzyć firmę tutaj, w Coleville. Powiedział sobie z uśmiechem, że przecież wszędzie może robić motory na zamówienie. Jeżeli chodzi o schronisko i wszystko inne, w czym miał udział, zatrudnił menedżera, który zajmie się codziennymi sprawami. On sam zawsze może przyjechać, jeśli będzie trzeba.

Bo od tej pory Coleville będzie jego domem.

Wreszcie czuł się na swoim miejscu.

Wiedział, że powinien porozmawiać o tym z Donna, ale chciał najpierw wszystko ustalić. Chciał móc jej powiedzieć, że zostawił swoje stare życie za sobą i że jest gotów na budowanie nowego. Z nią. I z Erikiem.

I miał wielką nadzieję, że ona też tego pragnie.

- To wielkie ryzyko, Jake - zamruczał do siebie. - Może przecież powiedzieć, żebyś spadał. I co wtedy? - Zatrzymał się nagle, bo dotarło do niego, że Donna może wcale nie być zainteresowana tym, żeby mieć go na stałe przy

sobie. Letni romans to jedno, ale codzienne życie to co innego. Do diabła, tak bardzo tego pragnął, ale myśl o tym przerażała trochę nawet i jego. A jeżeli wszystko schrzani? Jeżeli zawiedzie Donnę i Erica? Co będzie, jeśli się okaże, że nie jest stworzony do życia w domowym ognisku?

A jeżeli to wszystko nie ma znaczenia i Donna wcale go nie zechce? Przesunął dłonią po twarzy, uśmiechnął się i ruszył dalej. Przez większość życia podejmował ryzyko, nadstawiając kark dla jakiegoś pucharu i czeku.

Tym razem jednak ryzykował więcej niż kark. Teraz chodziło również o serce. Ale możliwy zysk był też o stokroć większy niż wszystko, czego zaznał do tej pory. O swoich planach nie powiedział nawet rodzinie. To było zbyt ważne. Zbyt wielkie. Musiał najpierw porozmawiać z Donną.

Od tamtego poranka nad jeziorem, kiedy wreszcie dogadał się z Makiem, po raz pierwszy od lat patrzył na świat jasnymi oczyma. Każdy oddech był błogosławieństwem, bo nie był splamiony poczuciem winy ani żalem. Każdy pocałunek wiatru niósł ze sobą obietnicę przyszłości, której nigdy by nie dostrzegł, gdyby nie wrócił do domu.

W oddali usłyszał stłumiony ryk silnika. Zatrzymał się i odchylił głowę, nasłuchując, jak ktoś odjeżdża, aż odgłos stopniowo zanikł. Otrząsnął się i szedł dalej. Prędkość i adrenalina już go nie interesowały.

Uśmiechnął się do siebie.

- Jutro poproszę Donnę o rękę. A to wystarczająco ekscytujące dla każdego mężczyzny.

Donna chodziła po kuchni, przyciskając telefon do ucha. Nasłuchując sygnału po drugiej stronie przewodu, odsunęła kuchenne firanki i z rozpaczą wpatrywała się w ciemność.

Gdzie jest Eric?

Nie widziała go od popołudnia, kiedy pokłócili się o Jake'a. Chciała dać mu trochę przestrzeni. Ale teraz, kiedy zegar wskazywał już prawie północ, a chłopca wciąż nie było, jej troska zaczęła się przekształcać w czystą panikę. Modliła się, żeby jej syn był cały i zdrowy u Jasona.

- Halo? - zapytał zaspany głos.

- Vickie? - Donna obróciła się, owijając przewód telefonu wokół palców. - Przepraszam, że cię budzę. Ale czy Eric jest u was z Jasonem?

- Co? Donna? - Kobieta wyraźnie starała się obudzić, ale szło jej to opornie. - Eric? Nie, nie ma go tutaj.

Donna poczuła skurcz w żołądku.

- Jesteś pewna? - wybąkała.

- Jestem pewna. - Przyjaciółka otrzeźwiała nagle, w lot pojmując jej lęk. - Jason śpi dzisiaj u mojej mamy. Jestem tylko z Joem.

- O Boże. - Donna odsunęła włosy z twarzy. Gdzie on może być? Z Jakiem? Czy pojechałby w środku nocy aż na ranczo Lonerganów? Ale gdyby tam był, Jake zadzwoniłby do niej. A jeżeli Erica tam nie było, to gdzie był?

- Donno, nie denerwuj się. - Drżenie głosu Vickie zdradzało, że na miejscu Donny też by się martwiła. - Wiesz, że nic mu nie jest. Co mogłoby mu się stać w Coleville?

- To prawda. Na pewno nic mu nie jest. Po prostu stracił poczucie czasu. Wiadomo, jakie są dzieci. - Eric nigdy nie tracił poczucia czasu. Nigdy się nie spóźniał do domu. Nie sprawił, żeby musiała się martwić i denerwować.

Och, gdzie on jest?

Usłyszała sygnał i szybko się pożegnała.

- Mam drugi telefon. To pewnie on. Cześć, Vickie. -
Nacisnęła przycisk. - Eric?

- Pani Barrett? - odezwał się niski, nieznajomy głos.

- Tak.

- Tu policja drogowa...

Trzymając słuchawkę przy uchu, Donna oparła się o ścianę i osunęła na podłogę.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

St. Charles Hospital położony był w połowie drogi pomiędzy Coleville a San Jose. Jake w dziesięć minut przebył trasę, której pokonanie zazwyczaj wymagało kwadransa. Po raz pierwszy w życiu prędkość nie wydawała mu się wystarczająca.

Zaparkował furgonetkę Sama, popędził przez dziedziniec i wpadł na izbę przyjęć. Ściany pomalowane były na blady miętowy kolor, a powietrze przesycone było środkami dezynfekującymi i paniką.

Nienawidził szpitali.

Matka Donny natychmiast zerwała się z krzesła i podeszła ku niemu.

- Jake, tak się cieszę, że przyjechałeś.

- Dziękuję, że pani do mnie zadzwoniła - powiedział, obejmując ją krótko. - Gdzie jest Donna? Jak się ma Eric?

- Wszystko z nim w porządku - powiedziała Catherine, a starszy mężczyzna z siwiejącymi włosami położył dłoń na jej ramieniu. - Będzie dobrze.

- Dzięki Bogu! A Donna?

Catherine zerknęła na podwójne drzwi wiodące do wewnętrznej części szpitala.

- Jest tam razem z nim. Nikogo innego nie wpuszczą.
- Mnie wpuszczą. - Jake skierował się w kierunku drzwi.

- Ona nie wie, że do ciebie zadzwoniłam - powiedziała miękko Catherine.

Zmusił się do uśmiechu. Wolał, żeby to Donna po niego zadzwoniła, żeby chciała, aby tu z nią był. Chciał móc być z nią wcześniej, dzielić jej troskę o Erica. Chciał... wielu rzeczy. Jednak tak naprawdę nic nie miało znaczenia. Liczyło się tylko to, że był tu teraz. I nie zamierzał odejść.

Kiwnął głową.

- W porządku. Bardzo dziękuję za telefon.

Catherine uśmiechnęła się i oparła o stojącego za nią mężczyznę, a Jake ruszył ku drzwiom prowadzącym do strefy zabiegowej, ignorując pielęgniarkę, która już biegła, żeby go powstrzymać. Kobieta, widząc jego twarde rysy, machnęła ręką.

I dobrze.

Spojrzenie Jake'a wędrowało z prawa na lewo w poszukiwaniu twarzy, którą musiał zobaczyć. Wreszcie na końcu korytarza dostrzegł Donnę, samą, skuloną na cytrynowozielonym plastikowym krześle.

Na jego widok zerwała się na równe nogi i pobiegła ku niemu. Otworzył ramiona, a ona wtuliła się w niego, obejmując go i kryjąc głowę na jego piersi. Przygarnął ją mocno, czując szalone bicie jej serca.

- Hej, hej - wyszeptał, głaszcząc ją po plecach. - Twoja mama powiedziała mi, że wszystko jest w porządku.

Kiwnęła głową, nie odrywając się od niego. Jake podniósł wzrok na lekarzy i pielęgniarki szybko przemieszczających się od jednego łóżka do drugiego oraz na szumiące i piszczące maszyny, których odgłosy zakłócały były jedynie rzadkimi jękami pacjentów.

Przytulił Donnę mocniej, opierając podbródek na czubku jej głowy.

- Robią mu prześwietlenie - wymamrotała Donna głosem gęstym od łez. - Ale lekarz uważa, że to tylko potłuczone żebra i złamana noga.

- To dobra wiadomość, kotku. Bardzo dobra. - Jake westchnął z ulgą.

- Dzięki Bogu razem z twoim motorem ukradł też kask.

Poczuł się winny. Co prawda był do tego uczucia przyzwyczajony, ale tym razem było ono o wiele gorsze. Gdyby nie zostawił kluczyków w motorze, Eric nie dałby rady wyprowadzić go ze stodoły. Gdyby nie poszedł na ten długi spacer, byłby tam, kiedy dzieciak się pokazał. Gdyby w ogóle nie wrócił do domu, do Coleville, nic takiego by się nie stało.

- Boże, Jake, tak się bałam.

- Wiem - wyszeptał. - Ja też.

Donna z wdzięcznością wtuliła się ponownie w jego ramiona. Przez ostatnie dwadzieścia minut siedziała w tym okropnym miejscu całkiem sama, zdana na pastwę myśli szalejących jej w głowie.

Przekazana przez policjanta wiadomość, że Eric ukradł motor Jake'a i próbował wyjechać na autostradę, zdruzgotała ją. Nigdy przedtem niczego takiego nie

zrobił. A sama myśl o tym, co mogło się stać... gdyby nie miał kasku Jake'a... gdyby wpadł na kogoś innego... gdyby zginął.

Spojrzała na Jake'a oczami pełnymi łez i powiedziała oskarżycielsko:

- Jechał na twoim motorze.

Jake skrzywił się.

- Twoja mama mi powiedziała. Musiał go wziąć, kiedy wyszedłem z domu.

Donna puściła go, zacisnęła dłoń w pięść i uderzyła go w pierś.

- Gdybyś nie pozwolił mu pracować przy tym głupim motorze... - wydusiła z wściekłością. - Gdybyś nie opowiadał mu o tych twoich przeklętych wyścigach... - Uderzyła go ponownie i zauważyła, że wyraz jego twarzy się nie zmienił. W jego oczach lśniła troska i coś jeszcze głębszego, cieplejszego. Była zbyt zdenerwowana, żeby się nad tym zastanawiać. - Cholera, Jake, przecież to jeszcze dziecko. Nigdy nie powinien był się nawet zbliżyć do tego motoru. Nie powinien próbować na nim jeździć, przecież mógł... - urwała, nie będąc w stanie wypowiedzieć na głos tej strasznej myśli.

- Donno, on ma czternaście lat - szepnął Jake. - To bardzo głupi wiek. Chłopcy robią kretyńskie rzeczy. Ryzykują. To wszystko jest częścią dorastania.

- Kradzieże motorów i uciezki są częścią dorastania?

- Nie mówię, że zrobił dobrze, ale rozumiem to. Najważniejsze, że nic mu nie jest - szepnął Jake, przyciągając ją znów do siebie.

- Nie. Najważniejsze, że mogłam go dziś stracić.
- Ale nie straciłaś - przypomniał jej. - Nie straciliśmy.
- Jake, ja nie mogę. - Głos jej się załamał. - Gdyby coś mu się stało.
- Wszystko jest okej. Eric żyje. Jest bezpieczny. - Ujął jej twarz w dłonie i zmusił, żeby na niego spojrzała. - Jestem tu z tobą. Nie jesteś sama.
- Tak długo byłam sama...
- Wiem, kochanie - szepnął, ocierając kciukiem łzy wzbierające w kąciakach jej oczu. - Świetnie się spisałaś. - Wstrzymał oddech. Po krótkiej chwili dodał: - Przepraszam. Nie powinienem był zostawiać kluczyka w tym cholernym motorze. Gdyby nie to...

Donna zobaczyła ból w jego oczach i wiedziała, po raz pierwszy w życiu, że ktoś czuje dokładnie to, co ona. Czują siłę Jake'a i czerpała z niej pocieszenie. W jego oczach wyczytała strach, ale była pewna, że ten mężczyzna stawi mu czoło i zrobi wszystko, aby go pokonać. Poczwała jego miłość i zrozumiała, że nie może bez niej żyć.

Donna przez tyle lat była sama. To cudowne, że on tu z nią teraz jest. Jake był z nią, przytulał, pocieszał i wiedziała, że kocha Erica tak samo jak ona. Że dzieli z nią jej strach i ulgę.

I nagle, tak po prostu, jej gniew zniknął.

- Przepraszam, Jake. To nie twoja wina, wiem. Ja po prostu...
- W porządku - szepnął, całując czubek jej głowy. - Ja też to czuję.

- Przytul mnie, dobrze? - wymruczała. - I nie puszczaaj.

- Nie ma mowy.

Minuty wlokły się, a oni stali tak i czekali razem, a kiedy doktor wreszcie podszedł, odwrócili się ku niemu, aby przyjąć to, co miał do powiedzenia.

- Pani Barrett?

- Tak. - Donna chwyciła Jake'a za rękę, czerpiąc siłę z jego mocnego uścisku.

- Eric ma się dobrze. - Zmęczony młody lekarz uśmiechnął się, widząc jej ulgę. - Chcę zatrzymać go na noc na obserwację. Mimo kasku ma lekki wstrząs mózgu.

- Ale wszystko w porządku? - nalegał Jake.

- Jutro będzie można go zabrać do domu.

- Dziękuję - szepnęła Donna i ukryła twarz na piersi Jake'a.

- Możemy go zobaczyć? - zapytał Jake, obejmując ją ramieniem.

- Oczywiście. - Lekarz uśmiechnął się i sprawdził coś w papierach. - Proszę zwrócić się do pielęgniarki przy drzwiach, ona państwa zaprowadzi. Przygotowujemy mu pokój.

Eric w szpitalnym łóżku wyglądał jak dziecko. Jego ciemne włosy były zaczesane na bok, a biały opatrunek zasłaniał mu prawy łuk brwiowy. Lewą nogę aż po udo pokrywał gips. Chłopiec przykryty był bladozielonym kocem termicznym.

Donna oderwała się od Jake'a, pochyliła się nad synem i pocałowała go w czoło.

- Tak się martwiłam.

- Wiem, mamo. Przepraszam. - Oczy błyszczały mu z bólu i wstydu. Przeniósł wzrok na stojącego za Donną Jake'a. - I bardzo mi przykro z powodu twojego motoru.

Jake podszedł do łóżka, pochylił się i wziął Erica za rękę.

- To nie ma znaczenia. Ważne, że jesteś cały i zdrowy. Chociaż utniemy sobie jeszcze dłuższą pogawędkę na temat kradzieży i jeżdżenia bez prawa jazdy.

- Mhm. Przepraszam.

Lekarstwa zaczynały działać. Oczy chłopca zamknęły się, a oddech stał się głęboki i równy. Donna zerknęła na Jake'a i uśmiechnęła się słabo.

- Nie chcę go tu zostawiać.

- Jest pod dobrą opieką.

- Wiem, ale...

- Chodź - powiedział, biorąc ją za rękę. - Myślę, że świeże powietrze dobrze nam zrobi. Przyjdziemy do niego, jak tylko go umieszczą w pokoju.

Kiwnęła głową i jeszcze raz pogłaskała Erica, a potem poszła za Jakiem w kierunku wyjścia, omijając poczekalnię. Powinni podejść do jej matki i powiedzieć jej o stanie chłopca, Jake jednak chciał spędzić z nią kilka chwil sam na sam. Kiedy przeszli przez parking na brzeg dziedzińca, owiało ich chłodne letnie powietrze.

Światło księżyca świeciło przez drzewa na kwadra-

towy trawnik. Jake podprowadził Donnę do kamiennej ławki i posadził. Nie miała kurtki, więc zdjął swoją i otulił jej ramiona.

Patrząc na nią, na kobietę, która zmieniła całe jego życie, poczuł się... niesamowicie szczęśliwy. Dzisiaj był o krok od utraty wszystkiego, co miało dla niego znaczenie. Strach o Erica, troska o Donnę... Gdyby jeszcze nie podjął decyzji o pozostaniu tutaj, z nią, dzisiejsza noc przekonałaby go.

Nigdy nie mógłby opuścić Donny. Nawet gdyby był na końcu świata, zawsze by o niej myślał. O niej i o Ericu. W nocy nie mógłby zasnąć, zastanawiając się, czy są bezpieczni. Czy go potrzebują. Czy tęsknią.

I wiedział, że bez tej dwójki nigdy nie zaznałby w życiu spokoju.

- Jake...

- Donno...

Zaczęli jednocześnie.

- Mów - powiedział Jake.

Skuliła się w jego kurtce i odgarnęła włosy z oczu.

- Chciałam ci tylko podziękować za to, że byłeś ze mną dzisiaj. Naprawdę kogoś potrzebowałam... Nie, to nieprawda. Potrzebowałam ciebie.

- Miło mi to słyszeć. - Jake ukląkł przed nią na jedno kolano, tak aby ich oczy znalazły się na jednym poziomie. - Bo ja tak właśnie czuję się przez cały czas.

- Co masz na myśli? - Jej słowa były ledwo słyszalnym szeptem.

- Mam na myśli to, że cię kocham, Donno - powie-

dział Jake, obejmując spojrzeniem rysy jej twarzy. - Myślę, że zawsze cię kochałem.

Zamruła gwałtownie powiekami.

- Jeżeli to dlatego, że czujesz się winny z powodu motoru, to...

- Nie - powiedział szybko i stanowczo. - Długo żyłem z poczuciem winy, wiem, jak to jest. Ale wreszcie pozostawiłem je za sobą. - Wziął jej dłonie w swoje. - Nie mogę sobie wyobrazić życia bez ciebie i bez Erica.

-Jake...

- Pozwól mi to powiedzieć, dobrze? - poprosił ze słabym uśmiechem. - Potem zdecydujesz.

Kiwnęła głową.

- Chciałbym się z tobą ożenić.

Otworzyła usta.

Ścisnął mocniej jej dłonie.

- Chcę ci pomóc wychować Erica. Chcę mieć z tobą więcej dzieci i patrzeć, jak dorastają. - Jake zdawał sobie sprawę, że nigdy w życiu nie podjął większego ryzyka. Nigdy w życiu niczego tak mocno nie pragnął. Musiał jakoś pokazać jej, jaka jest dla niego ważna. Jak dobrze będzie im razem.

- Chcę tulić cię w nocy. Być przy tobie, kiedy płaczesz. Kiedy się śmiejesz. Chcę, żebyś do mnie dzwoniła, kiedy potrzebujesz pomocy. Chcę być mężczyzną, którego kochasz.

Donna zachwiała się pod siłą jego słów. Ale było coś jeszcze. Nie tylko to, co mówił, ale to, co czuł. Wszystko wyraźnie wypisane w jego oczach. Jego miłość prze-

pełniała ją ciepłem i siłą, i wiedziała, że wszystko będzie dobrze.

Jaka głupia była, mówiąc matce, że nie może ryzykować straty dla miłości. Dzisiaj nauczyła się tego aż za dobrze.

Miała za sobą czternaście lat wypełnionych miłością do syna i gdyby, nie daj Boże, utraciła go tej nocy, wcale nie straciłaby tych lat. Gdyby nigdy nie miała Erica, nie znałaby tego strachu, który przeżyła dzisiaj, ale nie miałyby też miłości. Bezpieczeństwo nawet w części nie wynagrodziłoby jej samotności.

To prawda, miłość jest ryzykiem. Ale jest to jedyne ryzyko, jakie warto podjąć.

- Donno - ponaglił ją cicho. - Powiedz coś.

Uśmiechnęła się.

- A co z panem Niebezpiecznym? Podróżami po świecie? Wyścigami?

Potrząsnął głową.

- Od tej chwili, kiedy będę podróżował po świecie, chcę, żeby była ze mną moja żona i rodzina. A jeżeli chodzi o pana Niebezpiecznego... Kochanie, żyjąc z tobą, będę miał zapewnioną wystarczającą dawkę adrenaliny.

- A co z twoją firmą? Z życiem w Long Beach?

- Wszystko załatwione. Przenoszę interesy tutaj. Dzisiaj domówiłem ostatnie szczegóły.

Podniosła brwi.

- Byłeś tak pewny siebie?

- Nie - powiedział miękko. - Miałem tylko nadzieję.

- Ja też jestem pełna nadziei. - Spojrzała na ich sple-

cione dłonie, a potem na jego ciepłe, ciemne oczy. - Kocham cię, Jake. Bardzo.

- Czy to znaczy „tak”?

- Och, „tak” - powiedziała, podnosząc się i pociągając go za sobą. - Tak, wyjdę za ciebie. I będę miała z tobą dzieci. I będę cię kochać do końca życia.

Zamknął ją w uścisku, tuląc, jakby była najcenniejszym skarbem na świecie. A kiedy wreszcie odsunął się na tyle, aby spojrzeć jej w oczy, powiedział:

- Kocham cię, Donno Barrett, i przysięgam, że będzie nam razem dobrze.

I pocałował ją, aby od razu rozpocząć ich przyszłość.

EPILOG

W powietrzu unosiły się ostatnie tchnienia lata. Po niebieskim niebie wędrowały puszyste białe chmury, a słońce oświetlało niewielki cmentarzyk, kładąc złote smugi na podniszczonych nagrobkach.

Sam, Cooper i Jake Lonerganowie stali nad grobem, w milczeniu odczytując słowa wyryte głęboko w kamieniu:

„Mac Lonergan
Odszedł zbyt wcześnie”.

Ostry ból przeszył ich serca... i powoli się rozpląnął.

- Nie mogę uwierzyć, że tyle czasu minęło, zanim tu przyszliśmy - powiedział Jake, zerkając na kuzynów.

Cooper przesunął dłonią po potarganych przez wiatr włosach, nie odrywając wzroku od tablicy.

- Może potrzebowaliśmy być razem, żeby stanąć przed nim twarzą w twarz.

Sam pochylił się i strącił z nagrobka opadły liść, zatrzymując na chwilę palce na rozgrzanym od słońca granicie.

- Nie sądzę, żeby Mac zwracał uwagę na to, po ilu latach przychodzimy - powiedział cicho. - Ważne, że tu jesteśmy teraz.

- I razem. - Jake kiwnął głową i podniósł wzrok ku niebu. Po długiej chwili milczenia spojrział ponownie na kuzynów i uśmiechnął się. - Sam ma rację. Dla Maca ma znaczenie, że w końcu się pojawiliśmy. Wreszcie do niego przyszliśmy. Żeby się pożegnać. I - powiedział stanowczo - żeby obiecać, że już nigdy nie opuścimy go na tak długo.

Kiedy powiał chłodny wiatr, trzech mężczyzn stanęło wokół grobu, gdzie ich zmarły kuzyn leżał pod miękkim kocem zielonej trawy. W ciszy, każdy na swój sposób, pozwolił Macowi odejść.